FENOMEN

NIESPOTYKANE, KURIOZALNE, NIEDOCIECZONE

DOM WYDAWNICZY BELLONA

Dom Wydawniczy Bellona
przedstawia nową fascynującą serię

FENOMEN

Jeśli chcesz lepiej poznać zagadki dziejów i współczesności, skorzystaj z naszej propozycji!!!

MAGIA ⊖ DEMONY ⊖ NIEPOJĘTE ZJAWISKA
⊖ FIZYCZNE I CHEMICZNE ⊖ UFO
⊖ NADNATURALNE ZDOLNOŚCI LUDZI
⊖ ŻYCIE PO ŻYCIU ⊖ KOSMOS A CZŁOWIEK
⊖ CUDOWNE OZDROWIENIA
NIEWYJAŚNIONE ZGONY ⊖ REINKARNACJA
⊖ OSOBLIWE RUCHY RELIGIJNE
⊖ PROROCY, MISJONARZE, SEKTY

FENOMEN

NIESPOTYKANE, KURIOZALNE, NIEDOCIECZONE

Akta UFO

przekład: Andrzej Kaniewski

Odwieczne zagadki

przekład: Andrzej Kaniewski

Śmierć i poza śmiercią

przekład: Anna Zamęcka

DOM WYDAWNICZY BELLONA
WARSZAWA 2000

Tytuły oryginałów:
The UFO Files, Eternal Enigmas, Death and Beyond

© Copyright Orbis Publishing 1998

© Copyright for the Polish edition, Warszawa 2000
Dom Wydawniczy Bellona

© Copyright for the Polish translation, Warszawa 2000
Andrzej Kaniewski, Anna Zamęcka

Projekt graficzny
MICHAŁ BERNACIAK

Redaktor prowadzący
BARTŁOMIEJ ZBORSKI

Redaktor
JOLANTA KASZKUR

Redaktor techniczny
ANDRZEJ WÓJCIK

Korekta
HANNA ŚMIERZYŃSKA

Dom Wydawniczy Bellona prowadzi sprzedaż wysyłkową swoich książek za zaliczeniem pocztowym z 20-procentowym rabatem od ceny detalicznej.
Nasz adres: Dom Wydawniczy Bellona
Ul. Grzybowska 77, 00–844 Warszawa
Tel./fax (0 22) 620 27 01 (Dział Wysłki)
Bezpłatna infolinia: 0 800 120 367
e-mail: biuro@bellona.pl
internet: www.bellona.pl

ISBN 83–11–09099–8

Druk i oprawa: Olsztyńskie Zakłady Graficzne S.A.

AKTA UFO

Kontakty i spotkania z kosmitami — fantazja, czy urojenia?

Przekład: Andrzej Kaniewski

WPROWADZENIE

Gdybyśmy chcieli odrzucić wszystkie relacje o UFO, uznając je za oszustwo lub rezultaty błędnej identyfikacji, to może okazać się, że to właśnie my jesteśmy w błędzie, zwłaszcza w świetle dowodów prezentowanych przez takie organizacje jak Ground Saucer Watch (Ziemscy Obserwatorzy Latających Spodków).

Posługując się komputerami umożliwiającymi przeprowadzenie skomplikowanych analiz, GSW ustaliła, że istnieje niezwykle wysokie prawdopodobieństwo, iż pewne fotografie UFO — chociaż na niektórych widać zaledwie rozmazane plamy światła — są prawdziwe. Wnioski te nie zawsze są zgodne z opiniami innych instytucji, na przykład lotnictwa wojskowego USA.

Zdjęcie godne szczególnej uwagi wykonał w 1965 roku czternastoletni chłopiec rozwożący gazety w Tulsie w stanie Oklahoma. Obserwowany przez wiele osób obiekt świecił najpierw trójkolorowym światłem, które powoli zmieniło się w niebieskozielone. Condon Committee z Uniwersytetu Kolorado potwierdził, że zdjęcie rzeczywiście pokazuje olbrzymi obiekt na tle nieba. Ciemne pasy między jasnym plamkami uznano za części statku powietrznego. Lecz lotnictwo wojskowe USA, z charakterystyczną ostrożnością, twierdziło, że zdjęcie pokazuje albo jakiś prawdziwy statek powietrzny, albo po prostu światełka na choince. Tymczasem GSW zakwalifikowało to zdjęcie jako przekonujący dowód na istnienie UFO.

Szeroko rozpowszechniona jest teoria, według której rządy państw świata umyślnie zachowują wykrętną postawę wobec doniesień o spotkaniach z UFO, żeby nie doszło do wybuchu powszechnej paniki, i że niektóre statki UFO poddano tajnym badaniom naukowym.

A więc, czy rzeczywiście odwiedzają nas dziwne statki obcych? I skąd one pochodzą? Przemawiające do wyobraźni relacje, które prezentujemy w tej książce, mówią wiele o naturze UFO i wyjaśniają, dlaczego w tym stuleciu widywano je tak często. Uważajcie na UFO. To ogólnoświatowy fenomen.

UFO — PILNIE STRZEŻONE TAJEMNICE

Relacje o pojawieniu się UFO nadchodzą z całego świata. Rządy nie mogą już dłużej zaprzeczać, że nie zidentyfikowane obiekty latające, niezależnie od tego, jakie jest ich pochodzenie, istnieją naprawdę. Ale postawa oficjalnych władz jest zatrważająco niekonsekwentna.

Rządy wielu państw, mimo uroczystych zapewnień, że jest inaczej, bardzo poważnie traktują problem UFO. Postawę taką przyjął na przykład rząd Stanów Zjednoczonych, który odmawia nawet ujawnienia kluczowych dokumentów na temat UFO, ponieważ, jak twierdzi, zagroziłoby to bezpieczeństwu narodowemu. Wielka Brytania zaś zachowuje uporczywe milczenie na ten temat, lecz dowody wskazują, że na najwyższym szczeblu rządowym panuje żywe zainteresowanie sprawami UFO.

Wielu przedstawicieli europejskich państw przyznaje otwarcie, że UFO istnieje. Czołowy naukowiec współpracujący z GEPAN, powołanym przez francuski rząd projektem badawczym na temat UFO, odważył się nawet ogłosić, że za tym zjawiskiem stoi inteligencja, która jest w rzeczywistości dominującą formą życia na naszej planecie. Tak szerokie zainteresowanie stoi w sprzeczności ze zwykle podtrzymywaną opinią, że ufologia jest, w najlepszym razie, „pseudonauką".

Wiele mniejszych państw — na przykład w Ameryce Południowej — wydało wyraźne oświadczenia na temat realności i charakteru UFO. Informacje prasowe w tych krajach dotyczące UFO są bardzo obszerne i rzadko krytyczne, nie jest więc niespodzianką, że wyraża się tam pogląd, iż UFO są przedstawicielami wyższej inteligencji.

W 1978 roku prezydent Granady, sir Eric Gairy, próbował wymusić w ONZ debatę na temat UFO. W końcu dopiął swego. W trakcie debaty przedstawiono wiele wywołujących duże wrażenie relacji. Wypowiedzieli się tacy znani i szanowani badacze, jak doktorzy J. Allen Hynek i Jacques Vallee. Jednak efektem tych obrad była zaledwie rezolucja, wzywającą do dalszych akcji, a sir Eric nie uzyskał wystarczającego poparcia, żeby skłonić Zgromadzenie Ogólne ONZ do przyjęcia formalnej rezolucji na temat UFO.

Przez lata w byłym Związku Radzieckim panował skomplikowany i ponury system biurokracji. Wiemy, że w ZSRR zawsze z szacunkiem traktowano parapsychologię, lecz do 1967 roku niewiele było wiadomo o oficjalnym stanowisku Sowietów wobec UFO. Wówczas to wizytę w tym kraju złożył doktor Vallee. Jego pobyt związany był z utworzeniem naukowej fundacji zajmującej się UFO, której przewodniczył doktor Feliks Zigel, profesor kosmologii w moskiewskim Instytucie Lotnictwa, człowiek odpowiedzialny — na polecenie władz — za szkolenie radzieckich kosmonautów.

W zespole badawczym znajdował się major lotnictwa Stoljarow. Jak twierdzili członkowie zespołu, władze obiecały im, że po jego utworzeniu przekażą mu 1500 raportów na temat UFO. Jednakże słowa nigdy nie dotrzymały. Grupie powiedziano: „Jesteście zbyt mali, a problem UFO jest zbyt duży".

Jednakże Stoljarow i Zigel otrzymali pozwolenie wystąpienia w telewizji. Program z ich udziałem nadano 10 listopada 1967 roku. Powiedzieli wtedy obywatelom radzieckim: „UFO to bardzo poważny temat, który musimy dokładnie zbadać". Przy okazji, zaapelowali o dostarczanie im informacji na temat UFO.

Jakiś czas potem Zigel niespodziewanie zmienił zdanie. Kiedy do ZSRR przyjechały dwie amerykańskie dziennikarki, Sheila Ostrander i Lynn Schroeder, które zbierały materiał do książki *Psychic Discoveries Behind The Iron Curtain* [Odkrycia z dziedziny parapsychologii za żelazną kurtyną], jedynym naukowcem, z którym nie pozwolono im się spotkać, był Feliks Zigel.

Utajnianie kosmosu

Kilkanaście lat później, 14 czerwca 1980 roku, pomarańczowe i kształtem przypominające podkowę UFO pojawiło się na niebie w północno-zachodnich dzielnicach Moskwy. Obiekt widziały tysiące osób. Gigantyczna podkowa krążyła nad ulicami stolicy, wywołując ogromną panikę. Niektórzy ukryli się w schronach przeciwlotniczych, przekonani, że wybuchła III wojna światowa. Obiekt jednak oddalił się, nie wyrządzając nikomu krzywdy. Następnego dnia radzieckie media ani słowem nie wspomniały o tym zdarzeniu. Jednakże, co było nieco dziwne, mimo swojej zdumiewającej powściągliwości na temat UFO, Zigel wyraził opinię, że od statku matki (w kształcie podkowy) oddzielił się mniejszy

pojazd, z którego na ulice Moskwy wyszli kosmici. Zigel musiał jednak wiedzieć, że „UFO" było prawdopodobnie satelitą Kosmos 1188, który właśnie wystartował z kosmodromu w Plesiecku na północ od Moskwy.

Wiedzieli o tym zachodni naukowcy. Jednak zwykłych obywateli sowieckich utrzymywano w niewiedzy na temat działalności ich własnego rządu. Ale Zigel, kierujący przecież szkoleniem kosmonautów, musiał być w te działania wtajemniczony. Jego niezwykłe twierdzenie może być w rzeczywistości dowodem na to, że w końcu dopuszczono go do tajemnic zawartych w 1500 oficjalnych raportach na temat UFO. Być może musiał przyrzec, że będzie postępował tak, jak każą mu władze sowieckie. A to, jak sugerowano, mogło się wiązać z wykorzystaniem nieprawdopodobnych historii o UFO do zakamuflowania tajnych operacji rządowych.

Chociaż Zigel opublikował w ZSRR wiele artykułów na temat UFO, bardzo niechętnie dzielił się swoimi danymi z ufologami w innych krajach. Być może przemycenie informacji z ZSRR wiązało się z wieloma problemami, ale innym przecież się to udawało, chociaż musieli pokonywać znaczne trudności. Nikita Schnee jest jednym z radzieckich ufologów, który regularnie wysyłał swoje raporty na Zachód. Schnee pracował w zespole naukowym i razem z innym naukowcem, Władimirem Azhazhą, w latach 1978–1979 próbował utworzyć prywatny instytut badań nad UFO. Ich zamiary blokowała Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego, która uważała, że badania nad UFO są „działalnością antypaństwową" i kazała bezpiece, by nie dopuszczała do spotkań tego nieformalnego zespołu badawczego.

Zaniepokojenie

Jurij Lina to kolejny ufolog radziecki, który przekazywał na Zachód informacje o UFO. Były one bardzo podobne do tych znanych z innych krajów, włączając w to bliskie spotkania. Jednak spotkały go z tego powodu nieprzyjemności. Twierdził, że był prześladowany z tytułu swojej działalności. W końcu udało mu się uciec przed przykrościami, gdy zawarł fikcyjne małżeństwo z pewną Finką — tak jak on ufologiem. Przeniósł się wprawdzie do Finlandii, ale przyjeżdżał do ZSRR z wykładami na temat UFO. Twierdził, że KGB ciągle go obserwowało. Jedyny sensowny wniosek dotyczący ufologii w byłym Związku Radzieckim to taki, że została ona uznana za niebezpieczną dla państwa działalność i musiały się nią poważnie interesować tamtejsze władze.

Na drugim biegunie można postawić rząd Australii, który bardzo chętnie zapewnia badaczom nieograniczony dostęp do dokumentacji o UFO. Pod koniec 1981 roku ufolog Bill Chalker uzyskał niespodziewanie okazję zapoznania się z raportami o UFO znajdującymi się w posiadaniu Australijskich Sił Powietrznych (RAAF). Chalker z entuzjazmem przyjął tę ofertę. W 1982 roku pozwolono mu nawet skopiować wszelkie dokumenty, jakich potrzebował. Poproszono go jednak, co było dość rozsądnym posunięciem, o podpisanie zobowiązania, że zachowa milczenie na temat tożsamości świadków wymienionych w tych dokumentach. Nie wysunięto innych zastrzeżeń.

Przypadki, o których była mowa w dokumentach RAAF, podtrzymywały oficjalne oświadczenie, według którego „nic, co wynika z trzech lub czterech procent nie wyjaśnionych spraw, nie wspiera jednoznacznie poglądu o odwiedzinach nieproszonych gości z innych części świata lub spoza niego". Jednak, zdaniem Chalkera, wiele z tych zdarzeń było niezwykle zastanawiających.

Typowym przykładem była seria wydarzeń, do jakich doszło w pobliżu lotniska w Brisbane 4 listopada 1976 roku. Personel naziemny dostrzegł pulsujące światła na niebie. Ten sam obiekt zaobserwowała załoga samolotu transportowego *Elektra*. Obiekt dotrzymywał tempa samolotowi, po czym skręcił na południe, zwiększając półtora raza prędkość. „Kroku dotrzymano" także wynajętemu odrzutowcowi, a przelatujący niedaleko niewielki samolot poinformował o bliskim spotkaniu z nie zidentyfikowanym obiektem. Radar stacji meteorologicznej i radar lotniska namierzyły obiekt, który był źródłem pulsującego światła. Jednak raport RAAF kończył się wnioskiem, że źródłem światła była najprawdopodobniej Wenus, a wychwycone przez radary sygnały pochodziły „ze statków na morzu". Piloci wspomnianych samolotów odrzucili sugestię, jakoby planeta mogła „dotrzymywać im kroku". Niezwykle doświadczeni operatorzy radarów stwierdzili natomiast, że nigdy nie przechwytywali żadnych śladów obecności statków.

W swoim dochodzeniu RAAF trzymał się jednak zwykłej oficjalnej linii, opartej wyłącznie na trosce o bezpieczeństwo narodowe. Nie podjęto żadnych badań naukowych. Co znamienne, dokumentacja zawiera notatki sugerujące, że część personelu RAAF była świadoma, iż tuszowanie tej sprawy wyda się podejrzane. Jedna z notatek głosi: „Dostarczymy jedynie pożywki niesłusznemu (lecz szeroko rozpowszechnionemu) poglądowi, że ukrywamy niezwykle istotne informacje".

Chalker doszedł do wniosku, że zaoferowana pomoc i zawartość akt zdecydowanie przemawiają przeciwko poglądowi o tuszowaniu przez władze tych spraw. Akta pokazują, że zjawisko to stanowiło dla RAAF taką samą zagadkę jak dla innych. Chalker wskazał, że w aktach RAAF nie ma wzmianki o wielu innych przypadkach — choć niektóre z nich „są niezwykle prowokujące".

W 1981 roku Australia przyjęła Ustawę o Wolnym Dostępie do Informacji, której konsekwencją było udostępnienie Chalkerowi oficjalnych dokumentów. Ale być może taka widoczna otwartość jest tylko próbą zniechęcenia ufologów do dalszych dociekliwych badań.

Jeśli przyjrzymy się zmianom oficjalnej postawy władz wobec UFO od lat siedemdziesiątych, dostrzeżemy w nich wyraźny wzorzec. Hiszpania udostępniła swoje dokumenty zainteresowanym w 1976 roku. Rok później opinii publicznej w Ameryce zapewniono dostęp do tak zwanej Błękitnej Księgi. Pod koniec lat siedemdziesiątych Francja utworzyła oficjalną grupę badawczą zajmującą się UFO. Grupa ta opublikowała kilka interesujących oświadczeń. A w 1981 roku swoje archiwa otworzyła Australia. W 1982 roku Wielka Brytania zapowiedziała, że udostępni swoje akta opinii publicznej. Każde z tych państw przez lata twierdziło, że UFO w ogóle nie istnieje albo że nie przechowuje się żadnych dokumentów na ten temat.

Oczywiście, to wszystko może być kwestią przypadku. Takie filmy, jak *Bliskie spotkania trzeciego stopnia*, wywołały prawdopodobnie tak znaczny niepokój opinii publicznej, że rządy poczuły się zmuszone zapewnić własnych obywateli, iż nie próbują tuszować tej sprawy i szerzej udostępniły swoje dokumenty. Jednakże to jeszcze nie koniec całej historii.

Fakt, że wiele rządów na całym świecie przechowuje dokumentację na temat UFO — a niektóre z nich wydały znaczne sumy na oficjalne badania — wcale nie przyczynia się do rozwikłania tajemnicy otaczającej to zjawisko. Swoje znaczenie ma też fakt, iż żaden rząd nie twierdzi, że rozwiązał zagadkę UFO.

Niezwykłe wyjaśnienie oficjalnej postawy wobec UFO przedstawił lord Clancarty — znany autor książek o UFO pisanych pod pseudonimem Brinsley le Poer Trench — który wierzy, że istnieje ogólnoświatowy spisek mający na celu ukrywanie uzyskanych informacji. Stopniowo jednak wprowadzany jest „program edukacyjny o UFO", którego istnienia nie uświadamia sobie większość ludzi. Lord Clancarty zapewnia, że stwarza się nam warunki umożliwiające zaakceptowanie prawdy. Być może niezwykła popularność takich filmów, jak *E.T.*, w których obcy przedstawiani są jako niezwykle sympatyczne istoty, jest wynikiem takiej kampanii edukacyjnej. Jeśli zakończy się ona sukcesem — nikt nie będzie się bał UFO.

Lecz jeśli twierdzenia lorda są prawdziwe — to do czego jesteśmy przygotowywani? Lord Clancarty — wraz z rosnącą liczbą innych ufologów — wyraża także przypuszczenie, że UFO są prawdziwymi władcami naszej planety. Taka rewelacja wywołałaby ogólnoświatową panikę — stąd konieczność wprowadzenia programu reedukacyjnego.

Jeśli taki jest rzeczywiście prawdziwy powód zastanawiająco niekonsekwentnej postawy rządów w kwestii UFO, to stoi przed nimi zadanie nie do pozazdroszczenia — zagwarantowanie, żeby miliony mieszkańców Ziemi, wywodzących się z najróżniejszych kultur, zostały przygotowane na przyjęcie najważniejszej informacji w historii ludzkości. Świat ma z pewnością prawo poznać prawdę o UFO, niezależnie od tego, czy będzie ona rozczarowująco przyziemna, czy tak zdumiewająca, jak sugeruje teoria lorda Clancarty'ego. Dowody wskazują raczej na posunięcia zmierzające do ujawnienia prawdy. Być może bliski jest dzień, w którym skończy się jej tuszowanie.

OBSERWACJA UFO

Wielu znakomitych badaczy poświęca wiele czasu i energii na zapoznanie się z problemem spotkań z UFO. Kiedy na przykład Harley Rutledge wyruszył na rutynowe badania UFO, nie sądził, że zajmie mu to aż siedem lat. Nie mógł także wiedzieć, że jego raport stanie się przełomem w badaniach nad UFO.

Zdaniem wielu osób, ufologia jest pełna sprzeczności. W konfrontacji z wymykającą się zasadom logicznego rozumowania, paradoksalną naturą dowodów przedstawionych przez uczestników spotkań z UFO, pewna liczba ufologów doszła do wniosku, że nie ma możliwości „materialnego" wytłumaczenia tego zjawiska.

Francuski ufolog Jacques Vallee jest jednym z rosnącej rzeszy bardziej zaawansowanych badaczy, którzy uważają, że ten problem jest znacznie bardziej skomplikowany. W przedstawionym Amerykańskiemu Instytutowi Aeronautyki i Astronautyki dokumencie napisał: „Fenomen UFO jest produktem technologii, która integruje zjawiska fizyczne i psychiczne". Jeśli istotnie tak jest, jako że nauka dysponuje znacznie lepszym aparatem badawczym do poznawania zjawisk fizycznych niż psychicznych, może lepiej byłoby się skoncentrować najpierw na zbadaniu „materialnych" aspektów spotkań z UFO.

To właśnie takie praktyczne podejście spowodowało, że Harley Rutledge zaangażował się w coś, co prawdopodobnie można uznać za najważniejsze osiągnięcie ufologii. Wszystko zaczęło się w 1973 roku, gdy przed Rutledgem, wówczas profesorem fizyki na uniwersytecie na południowym wschodzie stanu Missouri w Cape Girardeau, stanęło intrygujące wyzwanie. W pobliżu miasta Piedmont, około 80 kilometrów od Cape Girardeau, wielu świadków przy rozlicznych okazjach obserwowało dziwne światła. Okoliczności tych zdarzeń wymykały się konwencjonalnym wyjaśnieniom. Rutledge jako prawdziwy naukowiec podjął wyzwanie i postanowił wyjaśnić to zjawisko. Stworzył zespół specjalistów z różnych dziedzin. Wyposażył go we wszelki możliwy sprzęt do obserwacji i nagrywania, jaki udało mu się zgromadzić. Wyruszył na miejsce dziwnych zjawisk przekonany, że dwa, trzy tygodnie obserwacji wystarczą na sporządzenie odpowiedniego raportu.

Ale wyniki jego badań zostały opublikowane dopiero siedem lat później. Były one rezultatem prawie dwóch tysięcy godzin obserwacji przeprowadzonych przez Rutledge'a i jego zespół. W tym czasie zaobserwowali oni 178 UFO, z których 157 zarejestrowano na aparaturze monitorującej. Łączyli także obserwacje wizualne i fotografie z równocześnie prowadzonymi pomiarami za pomocą radaru, ustawianego w różnych punktach.

Zdecydowana większość zjawisk zaobserwowanych przez zespół Rutledge'a miała formę świateł widocznych na tle — przeważnie nocnego — nieba. Z reguły trudno było rozróżnić, jaki kształt mają te światła. Było to niekorzystne, gdyż wśród ufologów panowała tendencja do lekceważenia spotkań, którym nie towarzyszyły bardzo przekonujące szczegółowe dowody. Jak bowiem twierdzili, niewiele można wydedukować z błysku światła. Dodatkowo, światła, jak żaden inny efekt wizualny, mogą prowadzić do błędnej interpretacji. Podczas gdy dysk z kopułą i iluminatorami musi być albo statkiem kosmicznym, albo jakiegoś rodzaju iluzją, błysk światła może być wszystkim — reflektorem samochodu, meteorem, satelitą, a nawet światłem odbitym od stada ptaków.

Praktyczne podejście

Jednakże Rutledge opierał się jedynie na zaobserwowanych faktach. Szybko wyeliminował wszelką błędną identyfikację. Dzięki zastosowaniu metod triangulacji dokładnie ustalono lokalizację i kurs obiektów, ich wymiary, wysokość przelotu i szybkość, z którą się poruszały.

Poniżej prezentujemy typowy przykład zapisu obserwacji dokonanej przez zespół Rutledge'a. Przebieg tego spotkania z UFO zarejestrowano 25 maja 1973 roku. Tego wieczoru dyżur pełniły dwie grupy obserwacyjne, jedna na Pyle's Mountain („P"), a druga na wieży strażackiej w Mudlick Mountain („M"), znajdująca się 18 kilometrów od pierwszego zespołu. Oba zespoły wyposażone były w aparaturę obserwacyjną i utrzymywały ze sobą kontakt radiowy.

21.37. Czterej obserwatorzy na P informują o światłach po zachodniej stronie nieba. Obserwatorzy w M natychmiast potwierdzają ten fakt i rozpoczynają pomiary pozycji geograficznej i wysokości. Dane te są przekazywane co 15 sekund oraz nagrywane na taśmie wideo.

21.42. P informuje, że obiekt „porusza się po niebie dość wolno, jest całkiem jasny, mniej więcej jak gwiazda pierwszej wielkości. Ma barwę żółtawopomarańczową". M odpowiada: „Widzimy go teraz w całej okazałości".

Do 21.43 obiekt stał się doskonale widoczny dla obserwatorów na obu stanowiskach, którzy mogli za pomocą metod triangulacyjnych wyliczyć jego dokładne położenie. Między 21.43 a 21.46 zlokalizowano dziewięć takich punktów w piętnastosekundowych interwałach; jeden punkt przepuszczono z powodu zakłóceń radiowych, lecz obserwatorzy na P potwierdzili, że obiekt ciągle znajduje się na nie zmienionym kursie. O 21.46 obserwatorzy na M utracili kontakt wzrokowy z obiektem. O 21.48 i 21.50 P dokonało dwóch kolejnych obserwacji, ale przy braku jednoczesnych obserwacji na M, mogą być one uznane za dokładne jedynie jeśli chodzi o kierunek poruszania się obiektu.

W wyniku serii zharmonizowanych obserwacji precyzyjnie zlokalizowano obiekt poruszający się zmiennym kursem na odcinku 25 kilometrów oraz już z mniejszą dokładnością na znacznie większym odcinku.

Analizy tych danych wykazały, że obiekt poruszał się początkowo z prędkością 500 kilometrów na godzinę, po zmianie kursu przyspieszył do około 523 kilometrów na godzinę. Chociaż nie daje to zbyt wielu pewnych informacji na temat natury tego obiektu, eliminuje jednak wiele ewentualnych wyjaśnień. Żaden samochód nie osiągnie takiej prędkości, żaden ptak nie potrafi latać tak szybko, żaden satelita nie może lecieć tak nisko ani też żaden meteoryt nie może w ten sposób zmienić swojego kursu.

Więcej niż przypadek

Dzięki takim środkom, w trakcie kierowanego przez Rutledge'a Project Investigation ustalono ponad wszelką wątpliwość, że są to realne zjawiska. Wniosek ten podważył, jeśli nie wszystkie, to przynajmniej większość wcześniejszych wyjaśnień tłumaczących te zjawiska naturalnymi przyczynami. Dokonane za pomocą specjalistycznej aparatury zapisy stworzyły solidną podstawę do dalszych badań. Co więcej, dzięki obserwacjom Rutledge'a ustalono, że obiekty reagowały w specyficzny sposób na działalność obserwatorów. Przy co najmniej 80 okazjach zarejestrowano zsynchronizowaną akcję między czymś, co łączyło się z obserwatorami, i tajemniczymi obiektami. Co ciekawe, w reakcjach tych nie dostrzeżono jakiegoś stałego wzorca — czasami obiekty reagowały w jeden sposób, a innym razem zupełnie inaczej. Do synchronizacji dochodziło zbyt często, aby można ją było uznać za przypadkową, nawet jeśli te wydarzenia same w sobie były raczej mało istotne dla całego programu obserwacji.

Na przykład 21 czerwca 1973 roku, kiedy Rutledge skierował promień latarki na nieruchome światło, zaczęło się ono poruszać, jakby przez zmianę kierunku lotu chciało oddalić się od punktu obserwacyjnego. Gdy 20 czerwca 1976 roku skierował aparaturę obserwacyjną na rzekomą nową gwiazdę, ta natychmiast „zgasła".

Przy wielu okazjach gwiazdy „zatrzymywały się", zaczynały się poruszać lub zmieniały kurs, gdy zaczynano je obserwować, kierowano na nie kamerę lub włączano i wyłączano reflektory samochodowe. Niekiedy obiekt zdawał się reagować z odległości trzech lub więcej kilometrów na głosy obserwatorów, na wymianę komunikatów radiowych między stanowiskami obserwacyjnymi, a nawet na myśli obserwatorów (chociaż tej ostatniej tezy nie można, oczywiście, poprzeć naukowymi dowodami i dlatego należy ją odrzucić).

Takie zachowanie obiektów przynajmniej usprawiedliwia hipotezę, według której prawdopodobnie charakteryzowały się one jakąś formą inteligencji lub były kontrolowane przez istoty inteligentne. Zdaje się także wskazywać, że miały one bardzo zaawansowane metody rejestracji działań obserwatorów, którzy przecież znajdowali się na Ziemi i nie było łatwo wykryć ich z powietrza, zwłaszcza w ciemnościach.

Z projektu Rutledge'a nie wyciągnięto ostatecznych wniosków. Z pewnością nikt nie zrobił tyle co on dla ustalenia, że UFO jest realnym zjawiskiem. Wyniki jego badań dostarczyły bodźców do rozważań wielu innym ufologom.

Kiedy już raz ustali się jednoznaczne fakty, mogą one posłużyć za podstawę do hipotez, które z kolei można będzie przetestować. Ponieważ jednak przytaczane przez ufologię fakty są same w sobie tak bardzo kontrowersyjne, trudno jest dokonać ostatecznej weryfikacji związanych z nimi hipotez. Zaskakujące jest to, jak często ufolodzy nie potrafią zdobyć się na podjęcie nawet najbardziej oczywistych praktycznych kroków.

Na przykład w Walii badacz Peter Paget twierdził, że wyspa Stack Rock w Dyfed wykorzystywana była jako tajna baza UFO. Ale chociaż w 1979 roku prowadził badania w tym rejonie, nie odwiedził tej wyspy, by ostatecznie ustalić prawdę. Gdyby jego twierdzenia okazały się prawdą, dokonałby jednego z najbardziej sensacyjnych odkryć w historii.

Ale zamiast niego poszukiwaniem bazy UFO na Stack Rock zajął się dziennikarz BBC Brynmor Williams, który wynajął łódź i popłynął na wyspę. Nie znalazł tam żadnej bazy.

Ci, którzy wysuwają sensacyjne hipotezy, powinni podbudowywać je przynajmniej jakimiś dowodami. Na przykład grupa PROBE z Bristolu zdecydowała się sprawdzić swoje teorie na temat spotkań z UFO w Warminster. Uważała relacje o tych spotkaniach za podejrzane, gdyż w rzeczywistości mogło chodzić o zwyczajny balon. Członkowie grupy nie wątpili w szczerość świadka — kobiety, która utrzymywała, że widziała nie zidentyfikowany obiekt. Jego szybkość, kierunek i charakterystyka lotu sugerowały, że może istnieć naturalne wytłumaczenie pojawienia się tego obiektu. Wydawało się ono nawet bardzo prawdopodobne.

Członkowie grupy sprowadzili więc balon i wypuścili go na uwięzi, starając się zachować kurs podobny do tego, jakim poruszało się rzekome UFO. Poproszono świadka, żeby obserwował obiekt, wykonano też fotografie. Kobieta stwierdziła, że to, co widzi, wygląda jak obiekt, który zauważyła pierwotnie. Drugi test, w którym balon spuszczono z uwięzi, potwierdził tę opinię. We wnioskach z tych doświadczeń stwierdzono, że „dochodzenie i wynikające z niego testy pokazały, iż domniemane UFO przypominało — i najprawdopodobniej było — srebrno-czerwonym, pokrytym warstwą plastiku i aluminium balonem, wypuszczonym z miejsca na zachód od Warminster".

Takie operacje pozwalające odkryć prawdziwą naturę rzekomych spotkań z UFO nie są najbardziej istotnym aspektem ufologii, lecz odgrywają ważną rolę przy eliminowaniu fałszywych danych, dzięki czemu w wyraźniejszym świetle możemy dostrzec autentyczne zjawiska.

Eliminacja fałszywych danych

Jednym z najbardziej dramatycznych eksperymentów ufologii było z pewnością doświadczenie przeprowadzone przez profesora Alvina Lawsona z Kalifornii. Chociaż jego badania odnosiły się jedynie do określonych aspektów zjawiska UFO, ustalono w ich trakcie, że zwykli ludzie o niewielkiej znajomości UFO zdolni są — w stanie hipnozy — opisać, opierając się wyłącznie na swojej wyobraźni, porwania przez UFO; pokrywają się one z opowieściami osób, twierdzących, że rzeczywiście zostały porwane przez obcych.

Z pewnością, w pierwszej chwili może się zdawać, że fakt ten potwierdza przypuszczenie, iż te „prawdziwe" porwania były po prostu wytworami fantazji. Nie jest to jednak tak oczywiste.

Za poglądem, że „prawdziwe" porwania rzeczywiście mogą być zdarzeniami autentycznymi, przemawiają różnice w relacjach obu grup. Opisy rzekomych porwań są bardzo podobne, lecz „prawdziwi" świadkowie wkładają więcej emocji w swoje opowieści. Oczywiście, to również można wytłumaczyć posługując się wiedzą z dziedziny psychologii. Otwiera się tu droga do dalszych badań. Warto na przykład zbadać hipotezę, według której relacje o porwaniach mogą odzwierciedlać wspomnienia związane z traumatycznymi przeżyciami w momencie narodzin.

Dowody, jakie Lawson zebrał na poparcie swojej tezy o hipnozie, są bardzo przekonujące. On sam jednak zdecydowanie twierdził, że to tylko hipoteza. Największym osiągnięciem takich badaczy, jak Lawson i Rutledge, było ukazanie, że można poddać testom przynajmniej część danych o UFO. Miejmy nadzieję, że takie właśnie podejście pozwoli pewnego dnia rozwiązać zagadkę UFO.

UFO NA WOJNIE

Naziści, a później niektóre zwycięskie mocarstwa sojusznicze, budowali latające dyski. Czy część spotkań z UFO nie była w rzeczywistości spotkaniami z tymi niekonwencjonalnymi statkami powietrznymi?

„Naziści wysłali na nocne niebo nad Niemcami coś nowego. To dziwaczne tajemnicze kule, które lecą przy skrzydłach beaufighterów, uczestniczących w misjach nad Niemcami. Przez ponad miesiąc piloci napotykali tę niesamowitą broń w trakcie nocnych lotów. Nikt nie wie, czym jest ta podniebna broń. «Kule ognia» pojawiają się nagle i towarzyszą samolotom przez wiele mil. Prawdopodobnie są sterowane radiowo z ziemi..."

Wspomniane w tej notatce prasowej podniebne spotkania wykazują znaczne podobieństwa. Na przykład porucznik Schlueter z 415 eskadry myśliwców USA donosił w raporcie, że w nocy 23 listopada 1944 roku podczas lotu nad Renem był niepokojony przez „dziesięć małych kul czerwonawego ognia". Piloci Henry Giblin i Walter Cleary donosili, że w nocy 27 września 1944 roku w pobliżu Speyer niepokoiło ich „niezwykłe płonące światło", które leciało nad samolotem z prędkością około 400 kilometrów na godzinę. Mnóstwo informacji o UFO zgodne jest w dwóch głównych punktach: kule zawsze wznosiły się z ziemi w kierunku samolotów i prawie za każdym razem powodowały awarię systemu zapłonowego w samolocie. Inne raporty, nie potwierdzone przez sojusznicze lotnictwo, sugerowały, że awarie systemu zapłonowego były przyczynami katastrof kilku maszyn.

Sojusznicy sądzili początkowo, że te specyficzne kule były statycznymi ładunkami elektrycznymi. Gdy jednak nie udało się potwierdzić tej teorii, zaczęli podejrzewać, że kule światła są tajną niemiecką lub japońską bronią, stworzoną w celu rozregulowania systemu zapłonowego bombowców. Inna teoria głosiła, że obiekty te stworzono jedynie na potrzeby wojny psychologicznej i wystrzeliwano je, by wprowadzały niepokój i zdenerwowanie wśród alianckich pilotów. W końcu RAF i lotnictwo USA, które nie potrafiły rozwiązać tej tajemnicy, doszły do wniosku, że „kule" były prawdopodobnie „wytworem masowej halucynacji".

Te dziwne kule zniknęły z przestrzeni powietrznej na kilka tygodni przed zakończeniem wojny. Interesujące jest, że następna fala spotkań z UFO nastąpiła na zachodzie Europy i w Skandynawii w latach 1946–1948, gdy wiele osób, w tym piloci i operatorzy radarów, informowali, że widzieli w powietrzu dziwne obiekty o kształtach cygar lub dysków. Przypadki takie notowano także w USA. 21 czerwca 1947 roku Harold Dahl poinformował, że widział obiekt o kształcie spodka, lecący w kierunku granicy kanadyjskiej. Trzy dni później Kenneth Arnold zobaczył podobne do spodków obiekty lecące nad Górami Kaskadowymi, łańcuchem górskim w stanie Waszyngton, również w kierunku granicy z Kanadą. Spekulowano nawet, że Sowieci i Amerykanie, wykorzystując ludzi i materiały zabrane z tajnych ośrodków badawczych nazistowskich Niemiec, pracują nad zaawansowanymi technologicznie podobnymi do spodków statkami powietrznymi.

Latające prototypy?

Podejrzenia o powiązaniach między tajną bronią nazistów a spotkaniami z latającymi spodkami nasiliły się w połowie lat pięćdziesiątych, gdy prasa w Niemczech Zachodnich zaczęła publikować artykuły o kapitanie lotnictwa Rudolphie Schrieverze. Według tych doniesień, ów inżynier i były oficer Luftwaffe zaprojektował wiosną 1941 roku prototyp „latającego garnka". W czerwcu 1942 roku maszyna odbyła próbny lot. Latem 1944 roku razem ze swoimi kolegami, Habermohlem, Miethe i Bellonzo, Schriever pracował nad skonstruowaniem nowej większej wersji pierwotnego „latającego talerza". W fabryce BMW pod Pragą skonstruowali większy model, zastępując jego dotychczasowe silniki znacznie nowocześniejszymi silnikami odrzutowymi.

Krótki opis kierowanego przez Schrievera „Projektu Spodek" znajduje się w książce majora Rudolfa Lusara *German Secret Weapons of the Second World War* [Niemiecka tajna broń w drugiej wojnie światowej]. „Habermohl i Schriever wybrali szeroki pierścień, który wirował wokół nieruchomego, podobnego do kopuły kokpitu. Do pierścienia dołączone były skrzydła-dyski, które można było ustawić w odpowiedniej pozycji w czasie startu i lotu horyzontalnego. Miethe zaprojektował dysk o średnicy 42 metrów, do którego dołączono specjalnie przygotowane silniki odrzutowe".

Inne doniesienia, niekiedy podające sprzeczne ze sobą szczegóły ogólnego projektu, zgodnie relacjonują rozmiary „obiektu". Jego wysokość mierzona od podstawy do sklepienia kopuły wynosiła 32 metry, osiągał wysokość około 12 tysięcy metrów, a jego prędkość w locie poziomym wynosiła 2000 kilometrów na godzinę.

Pod koniec lat pięćdziesiątych Rudolph Schriever przyznał, że w czasie wojny rzeczywiście pracował nad projektem badawczym o kryptonimie „Projekt Spodek". Na początku 1945 roku jego „latający spodek" gotów był do próbnych lotów, lecz ofensywa wojsk alianckich w Niemczech zmusiła go do odwołania testów i zniszczenia maszyny. Dotycząca jej dokumentacja zaginęła lub została rozkradziona w chaosie, w jakim wycofywały się oddziały nazistów.

Wkrótce po opublikowaniu tych rewelacji Schriever zmarł, przekonany do końca, że spotkania z UFO, do jakich doszło po zakończeniu wojny, były dowodem na to, iż ktoś sięgnął po jego oryginalny pomysł i doprowadził go do pomyślnej realizacji.

Lecz czym były owe tajemnicze kule, o których opowiadali piloci bombowców? Z niecodzienną hipotezą na ten temat wystąpił Włoch Renato Vesco w książce opublikowanej w 1968 roku. Jego zdaniem, kule te były w rzeczywistości niemieckimi „kulami ognia" (*Feuerball*), skonstruowanymi po raz pierwszy w zakładach lotniczych w Wiener Neustadt na terytorium Austrii. „Kula ognia" była płaską latającą ruchem okrężnym maszyną, napędzaną silnikami turboodrzutowymi. Używano tych kul w ostatnim etapie wojny, zarówno do zakłócania pracy radarów, jak i jako broń psychologiczną, która miała wywoływać przerażenie wśród lotników alianckich. Vesco pisze:

„Ognista aureola wokół jej obwodu, wywołana bardzo bogatą mieszanką napędową oraz chemicznymi dodatkami, które przerywały przepływ elektryczności przez nadmierne zjonizowanie atmosfery w pobliżu samolotu, zwykle wokół końcówek skrzydeł lub ogona, poddawały radar samolotu działaniu potężnych pól elektrostatycznych i impulsów elektromagnetycznych".

Vesco twierdzi również, że podstawowe zasady *Feuerball* użyte zostały później w znacznie większym „symetrycznym kolistym samolocie", znanym jako *Kugelblitz* (dosłownie Kulista Błyskawica), który mógł wznieść się pionowo w powietrze dzięki „odrzutowej windzie".

Ponieważ ani Amerykanie, ani Brytyjczycy czy Rosjanie nie są skłonni ujawnić, co odkryli w tajnych fabrykach nazistowskich, warto zapoznać się z tym, o czym w 1945 roku donosił w swoim raporcie sir Roy Feddon, kierujący w Niemczech techniczną misją brytyjskiego Ministerstwa Produkcji Lotniczej:

„Widziałem wystarczająco wiele nazistowskich schematów i planów produkcyjnych, by uświadomić sobie, że gdyby udało im się przeciągnąć wojnę choć o kilka miesięcy, stanęlibyśmy twarzą w twarz z całą gamą nowych, śmiertelnie niebezpiecznych broni w wojnie powietrznej".

W 1956 roku kapitan Edward J. Ruppelt, kierujący wówczas „Projektem Błękitna Księga" lotnictwa wojskowego Stanów Zjednoczonych, stwierdził: „W chwili zakończenia drugiej wojny światowej Niemcy prowadzili prace badawcze nad nowoczesnymi typami samolotów i sterowanych zdalnie rakiet. Większość z nich znajdowała się w początkowym stadium rozwoju, lecz były to jedyne znane samoloty, które mogły przypominać wyczyny obiektów, o których wspominali uczestnicy spotkań z UFO".

Amerykanie przejmują pałeczkę

Pierwszy konkretny powojenny dowód na istnienie projektów skonstruowania „latających spodków" pojawił się w 1954 roku. Rząd kanadyjski ogłosił, że olbrzymie UFO widziane w 1951 roku nad Albuquerque w Nowym Meksyku było podobne do samolotu, który Kanadyjczycy próbowali zbudować tuż po wojnie. Jednak z braku odpowiedniej technologii, przekazali plany Stanom Zjednoczonym.

Dalszy dowód na zaangażowanie się Stanów Zjednoczonych w budowę statków powietrznych o kształcie latającego spodka można było znaleźć w projekcie marynarki wojennej USA, tak zwanym *Latającym Naleśniku*. *Naleśnik*, zwany też *Marynarską Flądrą*, był kolistym samolotem, nad którym prace konstrukcyjne rozpoczęto w czasie drugiej wojny światowej. W tym czasie marynarce potrzebny był samolot, który potrafiłby niemal pionowo wzbijać się w powietrze, tak aby mógł startować z lotniskowców i lecieć z prędkością zaledwie 55 kilometrów na godzinę.

Do wczesnych lat pięćdziesiątych, czyli do czasu tuż po zakończeniu przez siły powietrzne USA programu badawczego dotyczącego UFO, „Projekt Żal" (poprzednik „Projektu Błękitna Księga"), istniały zaledwie skąpe informacje na temat tego samolotu. Próbując wykazać, że UFO nie zasługują na dalsze badania, siły powietrzne udostępniły pewną liczbę zdjęć i niezbyt precyzyjnych informacji na temat *Latającego Naleśnika*.

Ponieważ samolot pozbawiony był skrzydeł, problemem stało się zachowanie odpowiedniej stabilności. W późniejszym modelu rozwiązano to zagadnienie. Pogłoski głosiły, że jego średnica wynosi 30 metrów i że ma odrzutowe dysze — przypominające „rozjarzone okna" widywane w tak wielu UFO — rozmieszczone na otaczającej go obręczy. Składał się z trzech warstw: środkowa była nieco większa od pozostałych. Ponieważ szybkość dysku i jego możliwości manewru kontrolowane były przez moc i nachylenie oddzielnych dysz odrzutowych, pozbawiony był lotek (przesuwających się klap na skrzydłach), sterów lub innych wystających powierzchni. Samolot był uderzająco podobny do maszyn opisywanych przez świadków spotkań z UFO.

Badania nad rozwojem samolotów w kształcie dysku na tym się nie zakończyły. 11 lutego 1953 roku „Toronto Star" doniosła, że w fabryce firmy Avro-Canada w Malton, w prowincji Ontario, zaprojektowano nowy model latającego spodka. 16 lutego minister do spraw produkcji obronnej poinformował kanadyjską Izbę Gmin, że Avro-Canada pracuje nad „modelem latającego spodka" zdolnego osiągnąć niezwykłą szybkość 2400 kilometrów na godzinę i wznosić się pionowo w powietrze. Prezes Avro-Canada napisał w „Avro News", że budowany prototyp jest tak rewolucyjny, iż bez wątpienia staną się zbędne wszystkie inne modele samolotów ponaddźwiękowych. Oficjalna nazwa tego statku powietrznego brzmiała *Avro Car* [Samochód Avro].

Lecz przed 1960 rokiem zaczęto oficjalnie twierdzić, że odstąpiono od realizacji projektu. Prototypy dwóch latających spodków Avro znajdują się obecnie w Muzeum Sił Powietrznych USA w Fort Eustis w stanie Wirginia. Rządy Kanady i USA z uporem twierdziły, że nie są zaangażowane w projekty konstrukcyjne latających spodków.

Tylko czy rzeczywiście jest to prawda? Niewykluczone, iż rządy Kanady, Stanów Zjednoczonych czy ZSRR kontynuowały prace nad nowoczesnymi samolotami ponaddźwiękowymi w kształcie spodków. Osoby bezpośrednio zaangażowane w te projekty, rozumiejąc, że nie uda się przetestować maszyn w całkowitej tajemnicy, mogły opowiedzieć się za stworzeniem zasłony dymnej z zamieszania, pogłosek i systematycznego upokarzania obserwatorów UFO. Dzięki tym posunięciom, ich maszyny mogły bezkarnie odbywać próbne loty.

Jeśli zastanowimy się nad niezwykłymi innowacjami współczesnej techniki — samolotami odrzutowymi, rakietami kosmicznymi i satelitami zwiadowczymi — i nad tym, co się dzieje w doskonale strzeżonych ściśle tajnych wojskowych i naukowych ośrodkach — wówczas łatwiej nam będzie uwierzyć w możliwość zbudowania przez człowieka „latających spodków".

UFO MOŻE ZABIĆ

Paniczny strach, utrata wzroku, a nawet śmierć — to skutki dwóch spotkań z UFO w Brazylii.

Po fali spotkań z UFO, która nastąpiła po zakończeniu drugiej wojny światowej, wśród ufologów rozgorzała dyskusja na temat tego, czy obiekty widoczne na niebie są wrogie ludzkości, czy też przyjazne.

Niektórzy badacze trwali w przekonaniu, że istoty pozaziemskie inwigilują naszą planetę. Część z tych badaczy poszła o krok dalej i ogłosiła, iż na Ziemię przybyły „istoty z kosmosu", by ostrzec ludzkość przed błędnymi kierunkami jej rozwoju. Inni wierzą, że istoty pozaziemskie (lub metaziemskie, jak mówią ci, którzy uważają je za mieszkańców świata równoległego) zaangażowane są w walkę o panowanie nad ludzką rasą i że nie interesuje ich dobro ludzkości.

Niektórzy badacze twierdzą, że UFO są zjawiskiem wywołanym przez naszą psychikę. Inni odpowiadają im argumentem, że UFO same mogą objawiać się jako zjawisko psychiczne. Wreszcie są tacy, którzy doszli do wniosku, że UFO są wytworem naszej wyobraźni.

Mówiąc ogólnie, badacze UFO przypuszczają, że mają do czynienia z życzliwym ludziom zjawiskiem. Twierdzą, że jeśli czasami ludzie ponoszą szkody z powodu ich działań, to jest to niezamierzona konsekwencja aktywności UFO, które nie mają złych intencji, lub jedynie reakcja obronna na zachowanie ludzi.

W omawianych tutaj wypadkach, ludzie będący świadkami spotkań z UFO odnieśli poważne obrażenia, a w jednym przypadku — człowiek poniósł śmierć. Ranni prawdopodobnie sami sprowokowali kłopoty. Incydenty te przywołują jednak upiora, o którym po raz pierwszy wspomniał H. G. Wells w *Wojnie Światów* — widmo ataku obcych na Ziemię.

Nadmorski port brazylijski Itaipú usytuowany jest w São Vicente, blisko portu Santos w stanie São Paulo. Dwóm wartownikom patrolującym stanowiska dział, w nocy 4 listopada 1957 roku, wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Nic nie wskazywało, że za kilka minut przejdą przez koszmar, którego ciągle nie potrafimy wyjaśnić.

O drugiej w nocy wartownicy zauważyli coś, co wyglądało jak jasna gwiazda, która nagle pojawiła się nad Atlantykiem. Gwiazda rosła w oczach, a żołnierze uświadomili sobie, że zbliża się ona z wielką szybkością. Początkowo myśleli jednak, że jest to samolot i nie wszczęli alarmu.

W ciągu kilku sekund, UFO poruszające się w całkowitej ciszy osiągnęło pozycję wysoko nad fortem i zatrzymało się. Potem obniżyło się do wysokości około 50 metrów nad najwyższą wieżyczką działa, zalewając teren między wieżyczkami niesamowitym pomarańczowym światłem. Obiekt był okrągły i, według słów żołnierzy, miał rozmiary „wielkiego douglasa" (prawdopodobnie chodziło o samolot typu Douglas DC-6). Strażnicy usłyszeli w tym momencie ciche buczenie, najwyraźniej dochodzące z obiektu.

Bez najmniejszego ostrzeżenia, nagle obu mężczyzn ogarnęła fala gorąca. Przy narastającym odgłosie buczenia, płomienie zdawały się ogarniać ich mundury.

Mrożące krew w żyłach krzyki

Jeden ze strażników, ogłuszony i oślepiony, padł nieprzytomny na ziemię. Jego kolega potykając się dotarł do względnie bezpiecznego miejsca pod jednym z dział. Lecz gdy tam się schronił, wydawało się, że stracił zmysły. Ogarnięty przerażeniem zaczął przeraźliwie krzyczeć.

Te mrożące krew w żyłach wrzaski obudziły resztę żołnierzy. W ciągu kilku sekund odcięty został dopływ prądu, zgasły światła, a sprzęt przestał działać. Jeden z oficerów bezskutecznie próbował uruchomić zapasowy generator. Tymczasem krzyki nie ustawały, a zamieszanie zamieniło się w panikę, która wybuchła w podziemnych, pogrążonych w ciemnościach, korytarzach.

Nagle zapaliło się światło. Oficerowie i żołnierze, którzy jako pierwsi wydostali się na otwartą przestrzeń, ujrzeli ogromne pomarańczowe światło wznoszące się pionowo, a potem błyskawicznie odlatujące. Ostatni żołnierze, którzy wybiegli z budynków, zobaczyli, że poprzedzający ich koledzy badają nieprzytomnego strażnika. Jego towarzysz nadal kulił się w prowizorycznej kryjówce i histerycznie krzyczał.

Kiedy przeniesiono ich do izby chorych, okazało się, że obaj mają „poparzenia pierwszego i drugiego stopnia, głównie na tych częściach ciała, które okrywało ubranie". Strażnik, który odzyskał świadomość, znajdował się w głębokim szoku i minęło wiele godzin, zanim znów mógł mówić.

Później zanotowano, że elektryczne zegarki w forcie zatrzymały się na 2.03 w nocy, co sugeruje, że całe to koszmarne zdarzenie trwało nie dłużej niż cztery minuty.

Rankiem tego dnia pułkownik dowodzący fortem Itaipú wydał surowy rozkaz zakazujący rozmawiania o tym wydarzeniu z kimkolwiek spoza jednostki. Śledztwo w tej sprawie szybko podjęli oficerowie wywiadu. Do kwatery głównej wysłano raport. Kilka dni później przyjechali oficerowie z misji wojskowej USA i oficerowie brazylijskich sił powietrznych. Wartowników przewieziono samolotem do Rio de Janeiro, a potem do Centralnego Szpitala Wojskowego, gdzie otoczono ich kordonem bezpieczeństwa.

Trzy tygodnie później pewien oficer z fortu, który interesował się informacjami na temat UFO, odwiedził doktora Olavo Fontesa, uczestniczącego w wielu takich dochodzeniach. Oficer obecny był w forcie podczas incydentu i kiedy upewnił się, że jego nazwisko nie zostanie ujawnione, opowiedział Fontesowi ze szczegółami o tym, co się stało. Doktor Fontes skontaktował się następnie z kolegami lekarzami w szpitalu w Rio de Janeiro, od których uzyskał potwierdzenie, że u obu żołnierzy leczone są ciężkie rany poparzeniowe, lecz nie chcieli mu oni powiedzieć nic więcej o tej sprawie.

Bez dalszych potwierdzeń Fontes nie mógł opublikować raportu. Sprawa utknęła więc w aktach aż do połowy 1959 roku, kiedy to doktor przypadkowo spotkał trzech innych oficerów, którzy w trakcie dyskusji potwierdzili przebieg wydarzeń tamtej pamiętnej nocy. To dzięki nie autoryzowanym wypowiedziom tych oficerów, ujawniającym przebieg wydarzeń, świat posiada dzisiaj pewną, choć dalece niekompletną wiedzę, o niepożądanej wizycie UFO w forcie Itaipú tamtej przerażającej nocy.

Spotkanie z przemocą

Analfabeta, prosty, uczciwy, godny zaufania i powściągliwy — tak pracodawca opisał Inácio de Souzę, czterdziestojednoletniego brazylijskiego pracownika rolnego. De Souzę spotkał tragiczny koniec w wyniku zetknięcia się z UFO. Podczas tego spotkania, de Souza, ogarnięty strachem, uciekł się do przemocy, za co mu odpłacono z nawiązką.

13 sierpnia 1967 roku około godziny szesnastej de Souza i jego żona Luiza, rodzice pięciorga dzieci, powracali pieszo na ranczo z zakupów

w pobliskiej wiosce. Ranczo znajdowało się niedaleko Pilar de Goias, około 240 kilometrów od stolicy kraju, Brazylii. Małżonkowie dochodzili do pierwszych budynków rancza, kiedy zobaczyli trzech „ludzi", najwidoczniej bawiących się na pasie startowym (właściciel rancza, znany i niezwykle bogaty, posiadał kilka samolotów). Souza pomyślał, że przybysze są nadzy, lecz jego żona zauważyła ich obcisłe żółte ubrania. Intruzi zobaczyli parę i ruszyli w jej kierunku.

W tym momencie Souza dostrzegł dziwny samolot na końcu pasa startowego. Maszyna znajdowała się na ziemi lub tuż nad nią i przypominała odwróconą do góry dnem umywalkę. Pracownika rancza nagle ogarnął strach, zarepetował swój karabin kalibru .44, wycelował i wystrzelił do najbliższej postaci.

Niemal natychmiast z dziwnego samolotu wytrysnął strumień zielonego światła. Trafiło ono Souzę w głowę i ramię; robotnik upadł na ziemię. Jego żona rzuciła się mu na pomoc. Dostrzegła jednocześnie, jak trzy postacie wchodzą do samolotu, który z wielką prędkością wzniósł się pionowo w powietrze, wydając dźwięk przypominający bzyczenie pszczół.

Przez dwa następne dni de Souza uskarżał się na drętwienie i mrowienie ciała, bóle głowy i silne nudności. Trzeciego dnia wystąpiło ciągłe drżenie rąk i głowy. Tego dnia o całym zajściu poinformowano właściciela rancza, który przewiózł samolotem chorego pracownika do odległej o ponad 300 kilometrów Goiânii. Tam zbadał go lekarz.

Na głowie i tułowiu de Souzy odkryto ślady w kształcie regularnych kręgów o średnicy 15 centymetrów. Lekarz sądził, że może to być wysypka spowodowana przez jakąś trującą roślinę. Kiedy przedstawił tę hipotezę ranczerowi, ten opowiedział mu o spotkaniu de Souzy z UFO i jego załogą. Zaskoczony lekarz zaproponował przeprowadzenie analizy kału, moczu i krwi de Souzy. Przepisał maść i stwierdził, że de Souza miał halucynacje będące wynikiem jakiejś choroby. Nie ukrywał, że nie ma czasu na opowieści o latających spodkach i nie wierzy de Souzie oraz że całą sprawę należy zatuszować.

Zbiorowe złudzenie?

Chory mężczyzna i jego pracodawca pozostali przez pięć dni w Goiânie. W tym czasie kontynuowano badania i leczenie. De Souzę wypisano ze szpitala, stwierdzając u niego białaczkę. Zmarł niedługo potem, 11 października 1967 roku.

Lekarz w Goiânii zbagatelizował historię de Souzy, ponieważ bał się wybuchu paniki, którą wśród miejscowej ludności mogła wywołać ta niepokojąca opowieść. Taki motyw mógł się więc kryć za teorią o „halucynacjach". Lecz jeśli de Souza miał halucynacje, to musiała je także mieć jego żona — chyba że lojalność wobec męża skłoniła ją do kłamstwa. Jeśli zaś doświadczyli ich wspólnie, to musiał tu wystąpić jakiś równie tajemniczy czynnik, jak dziwny „samolot" czy „ludzie", których ta para — jak twierdziła — widziała owego pamiętnego popołudnia w sierpniu 1967 roku.

CZYNNIK OZ

Po bliskich spotkaniach z nie zidentyfikowanymi obiektami latającymi, świadkowie wspominali często o zatrzymaniu czasu i poczuciu przemieszczenia. Co jest powodem takiej teleportacji?

Badania ujawniły istnienie dwóch typów zjawisk związanych z UFO. Z jednej strony, są to zdarzenia fizyczne, w czasie których energia zachowuje się w niezrozumiały sposób. Są one zwane nie zidentyfikowanymi zjawiskami atmosferycznymi lub — od angielskich słów „unidentified atmospheric phenomena" — UAP. Z drugiej strony, występują interakcje z UFO, w których uczestniczą ludzie.

Tajemnicy UFO towarzyszy istotny wymiar społeczny. Istota tego zjawiska nie jest czymś stałym — zmienia się z upływem czasu. Fala spotkań ze statkami powietrznymi w USA w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, a w 1909 i 1913 roku w Wielkiej Brytanii, pokazywała, że UFO o krok wyprzedzają ówczesną technikę. Równie uderzające jest podobieństwo między starożytnymi baśniami w wielu kulturach, a współczesnymi nam wizerunkami UFO. Kiedy sondy kosmiczne nie stwierdziły śladów zaawansowanych form życia w żadnym z naszych siostrzanych światów, znaczące stało się także to, że jak twierdzą świadkowie takich spotkań, obcy nie pochodzą z naszego Układu Słonecznego, lecz z systemów planetarnych innych gwiazd, a nawet galaktyk.

W ufologii dokonuje się obecnie podział na wiele podgrup: badania nad UAP mogą stać się nawet samodzielną dziedziną nauki. UAP, niezależnie od przyczyny, która je powoduje, są najprawdopodobniej amorficznymi kulami energii, która emituje promieniowanie szerokopasmowe. Być może mają jakiś związek z kulistymi piorunami, niezależnie od tego, co w końcu ustalą fizycy zajmujący się atmosferą. W rzeczywistości, to raczej kuliste pioruny mogą być subkategorią UAP, a nie odwrotnie. Innym ważnym rodzajem UAP mogą być impulsy piezoelektryczne wydostające się z ziemi do atmosfery. Trudno powiedzieć, czy uda się udowodnić istnienie tych form światła, lecz takie teorie przynajmniej dają ufologom hipotezy, które można poddać weryfikacji.

Lecz chociaż UAP mogą być obserwowane przez wielu niezależnych od siebie obserwatorów, to UFO często są zjawiskami całkowicie subiektywnymi lub postrzeganymi jedynie przez niewielką liczbę świadków, którzy są ze sobą w jakiś sposób związani lub zamieszkują niewielki obszar. Istnieją jednak pewne hipotezy — wysunięte na przykład przez doktora Michaela Persingera — głoszące, iż zjawiska UAP mogą wyjaśniać bardziej tajemnicze bliskie spotkania z UFO.

Według Persingera, promieniowanie emitowane przez UAP może zakłócać funkcjonowanie mózgu każdego odbiorcy, który znajdzie się wystarczająco blisko tego promieniowania — to znaczy w zasięgu „sfery wpływów" tego zjawiska. Ta bliskość wywołuje halucynacje, które wiążą się również z utratą przytomności, urazami, utratą poczucia upływu czasu. Rzekome wspomnienia o spotkaniu z obcymi różnią się u poszczególnych świadków. Mówi się, że są pobudzane przez interpretację zjawiska (i dokonują się w ciągu kilku sekund przed wystąpieniem interakcji UAP/mózg) w kategoriach kulturowo wyobrażanych „sobie poczynań obcych". W dawnych wiekach takie zjawisko zostałoby uznane za spotkanie z demonem lub zakwalifikowano by je do czarnej magii. Doktor Alvin Lawson i William McCall próbowali udowodnić, że te subiektywne interpretacje pochodzą z tłumionych wspomnień z chwili narodzin.

Takie badania mogą się okazać niezbędne dla zrozumienia zagadki UFO. Jednakże problemy pozostają. Dlaczego często następuje całkowite zniekształcenie normalnych bodźców, poprzedzających bezpośrednio bliskie spotkania? Dlaczego powstaje związek między świadkami bliskich spotkań a zjawiskami psychicznymi? Dlaczego świadkowie bliskich spotkań stają się „powtórkowiczami" i od dzieciństwa zdarzają się im częste kontakty z UFO?

Te i inne problemy zmuszają do refleksji. Być może potrzebna jest lepsza, bardziej pojemna teoria, obejmująca pozostałe przypadki. Jedną z ważnych wskazówek w tych rozważaniach może być tak zwany czynnik Oz.

Czynnik Oz zawiera zestaw elementów, które wyróżniają się w informacjach o spotkaniach z UFO. Od wielu lat dostrzegano je u poszczególnych osób, lecz nikt nie próbował powiązać ich w zbiorowe doświadczenie. Ogólne wyjaśnienie tego, czym jest czynnik Oz daje poniższy typowy przykład wypowiedzi świadka uczestniczącego w bliskim spotkaniu z UFO. „Nagle wszystkie dźwięki wokół mnie ucichły... czułem się, jakbym znajdował się na dnie głębokiej studni. Czułem się odizolowany i samotny, wydawało mi się, że przestałem być częścią otaczającego mnie świata. Jakbym jedną nogą był jeszcze na tym świecie, a drugą znajdował się już w innym. Wydawało mi się, że czas zwolnił swój bieg, a potem się zatrzymał. Wszystko zdawało się trwać dosłownie wieki".

W próżnię

Zasadniczo czynnik Oz to utrata poczucia czasu i brak reakcji na bodźce zewnętrzne. Świadkowi wydaje się, jakby UFO na pewien czas wyssało go z realnego świata w pewien rodzaj próżni, w której istnieją obok siebie on i to zjawisko. Nazwa dla tego czynnika wiąże się z doświadczeniem, jakiego doznali Dorotka i Toto, którzy w baśni *Czarnoksiężnik z Krainy Oz* zostali przeniesieni przez trąbę powietrzną do Krainy Oz. Na znaczenie tego czynnika wskazuje częstotliwość, z jaką pojawia się on w relacjach ze spotkań z UFO. Nie jest bowiem tym, czego badacze poszukują. To raczej świadkowie spontanicznie opowiadają o swoich doświadczeniach, w których jest on obecny.

Często świadek po takim spotkaniu nie potrafi powiedzieć, ile czasu ono trwało. Wspomnienia uzyskane za pomocą hipnozy sugerują, że w „utraconym" czasie następuje jakiś „transfer informacji". Z tego wszystkiego można wyciągnąć niepokojące wnioski. Podczas wszystkich bliskich spotkań z UFO może dochodzić do transferu informacji, a osoba w tym uczestnicząca ma znaczenie drugorzędne. Lecz w większości wypadków, świadek nawet nie podejrzewa, że transfer, jeśli w ogóle do niego dochodzi, rzeczywiście następuje. Dzieje się to bowiem poza jego świadomością.

Zastanówmy się nad poniższym opisem: „Ogarnął mnie chłód [...] podniosłem się na łokciu. Nie słyszałem cykania zegara, a znajdował się on zaledwie o stopę ode mnie. Wyglądało na to — jakby to powiedzieć? — że wszystko zamarło".

Relacja ta pochodzi od świadka, który chwilę później zobaczył ducha. Wyraźnie występuje tu pewne podobieństwo do czynnika Oz. Podobne elementy odkryto w doświadczeniach pozacielesnych, przesunięciach czasu i wizjach prenatalnych.

Bliskie spotkania są w wielu punktach zgodne ze zjawiskami paranormalnymi. Mimo że nie muszą pochodzić z tego samego źródła, można wobec nich zastosować wspólną nazwę. Przyjęto więc określenie „doświadczenie quasi-świadome" (po angielsku *quasi-conscious experience*

— *QC experience*), gdyż te doświadczenia na pozór przypominają codzienną rzeczywistość, a mimo to nią nie są.

Wielu badaczy, między innymi Patrick Austin i Hilary Evans, twierdzi, że potrzebujemy „spektrum", żeby opisać różnorodne oblicza rzeczywistości. Rozwinięcie tego pomysłu okazało się w tym związku nieocenione. To, co nazywamy „spektrum rzeczywistości" obejmuje wszystko — od całkowicie subiektywnych doświadczeń, takich jak sny, po całkowicie obiektywne doświadczenia, takie jak codzienne budzenie się do stanu świadomości. Te ekstremalne doświadczenia są przedmiotem „zakłóceń". Na przykład obiektywne warunki środowiska, takie jak zimny podmuch wiatru czy hałas, mogą oddziaływać na śpiącego i pojawić się w innej formie w subiektywnym świecie jego snu.

Manipulowanie rzeczywistością

Doświadczenie quasi-świadome wypełnia niepokojącą przestrzeń w spektrum między jego środkiem a obiektywnym końcem. Gdybyśmy o tym nie wiedzieli, moglibyśmy poczuć pokusę wynalezienia go, żeby zapobiec brakowi równowagi. Doświadczenie quasi-świadome może wypełnić nawet znaczną część spektrum, i to nie tylko płaskiego. Największą wartość ma jako lustrzane odbicie wyraźnego snu, w którym śpiący jest świadomy tego, że śni i do pewnego stopnia zachowuje nad swoim snem kontrolę. Gdy jednak w wyraźnym śnie obiektywna informacja nadchodząca z zewnątrz manipuluje subiektywną rzeczywistością snu, w doświadczeniu quasi-świadomym zachodzi sytuacja odwrotna: subiektywna informacja manipuluje tym, co doświadczane jest jako obiektywna rzeczywistość.

Być może w bardzo rzadkich wypadkach rzeczywistość jest manipulowana na tyle mocno, że pozwala wykonać fotografię ujawniającą jakiś fakt. Mogło do tego dojść wtedy, kiedy udało się zrobić kilka rzekomo bezdyskusyjnych zdjęć UFO. Zwykle jednak manipulacja rzeczywistością nie jest procesem zewnętrznym, w tym sensie, że byłaby widoczna dla innych czy też umożliwiałaby wykonanie odpowiedniej fotografii, lecz dokonuje się jedynie w systemie nerwowym odbiorcy.

To, co odbieramy ze świata zewnętrznego, jest w znacznie mierze tym, co nasz mózg interpretuje z nadchodzących sygnałów. To dlatego dochodzi do optycznej iluzji, która trwa nawet wtedy, gdy wiemy, że jesteśmy oszukiwani. I tak, pod wpływem quasi-świadomego doświadczenia, nasze oczy mogą *widzieć* księżyc, lecz my możemy doświadczyć spotkania z UFO. Pochodzące z jakiegoś źródła subiektywne informacje przysłoniły odbiór obiektywnej rzeczywistości, powodując zakłócenia. Dlatego też większość bliskich spotkań z UFO możemy wytłumaczyć zwykłymi bodźcami odbieranymi pod wpływem quasi-świadomości. I tak też się właśnie dzieje.

Oczywiście, czeka nas jeszcze dużo pracy, aby ostatecznie potwierdzić te hipotezy. Lecz jeśli choć w części okażą się one zgodne z prawdą, będziemy musieli zbadać pochodzenie subiektywnych danych, które przysłaniają obiektywną rzeczywistość. Mogą one pochodzić z naszego wnętrza (najgłębszego poziomu nas samych) lub z zewnątrz (na przykład, od innej inteligencji). Mogą również pochodzić z obu źródeł jednocześnie.

Jeśli gdzieś istnieje obca inteligencja, to wcale nie musi ona używać naszej prymitywnej techniki — na przykład radioteleskopów. Te inteligentne istoty wcale nie muszą mieć oczu i uszu. Prawdziwym radioteleskopem kosmosu może być świadomość. Dzięki niej wokół nas cały czas może toczyć się rozmowa między umysłami, podczas gdy my rozpaczliwie przeszukujemy kosmos za pomocą naszych radioteleskopów — zabawek wartych dziesiątki milionów dolarów. Zaledwie kilka osób (być może, są nimi świadkowie doświadczający powtarzających się psychicznych zdarzeń) może mieć wystarczające zdolności odbiorcze, aby dostroić się do takiej kosmicznej rozmowy. Jeśli podchwycimy takie przesłania, nasze umysły mogą zostać zmuszone do odtworzenia ich w formie ideogramów z zasobów naszej pamięci (opartych na stereotypowych interpretacjach filmów science fiction o małych zielonych ludzikach).

Każdy człowiek może wytworzyć odmienny wizerunek obcych oparty na jego osobistym zasobie obrazów. Między nimi będzie istnieć duże podobieństwo, ponieważ w sumie nasze wizerunki obcych są do siebie podobne. Ponieważ „podobne, ale inne" jest tym, co odnajdujemy w danych dotyczących UFO, teoria ta może mieć pewną wartość, mimo że jest tylko hipotezą.

Obecnie część ufologów zajmuje się głębiej klasyczną „hipotezą o istotach pozaziemskich" — głoszącą, że UFO to statki kosmiczne. Zastanawiające jest jednak to, że gdy już odkryliśmy pewne mechanizmy, które — jak się wydaje — racjonalnie wyjaśniają przynajmniej pewne aspekty tej zagadki, kierujemy swoją uwagę w stronę hipotezy głoszącej, że UFO to wysłannicy świadomości obcych, która w ten sposób nawiązuje kontakt z ludzkim umysłem.

WIELKIE SPEKTAKLE UFO

O czym chcą nam powiedzieć UFO? Czy wykonywanymi przez UFO świetlnymi spektaklami kierują istoty pozaziemskie, kontrolujące te nie zidentyfikowane obiekty?

Pewnym powtarzającym się elementem w relacjach o UFO jest pozorna banalność zdarzeń — światła pojawiające się w powietrzu, „bzyczące" statki kosmiczne lub przerażone niewielkie grupki świadków. Czasami wydaje się, że te zjawiska dzieją się bez wyraźnego celu. Poniżej opisujemy dwa niezwykłe spotkania z UFO. Do pierwszego doszło na Wyspach Kanaryjskich. Wiele osób widziało, jak w znacznej odległości od nich pojawiło się UFO. Ale tylko trzy osoby były wystarczająco blisko, aby dostrzec „humanoidalnych" pilotów kierujących latającym obiektem. Trzeba przyznać, że ten incydent porządnie je wystraszył. Drugie zdarzenie nastąpiło w Lot-et-Garonne w południowo-zachodniej Francji. Pewnej nocy UFO pojawiło się cicho nad polem, na którym pracował miejscowy rolnik. Wystraszyło go nie na żarty, a potem bezszelestnie znikło.

Wieczorem 22 czerwca 1976 roku zaobserwowano na Wyspach Kanaryjskich niezwykłą aktywność UFO. Nie zidentyfikowany obiekt latający widziało wiele osób. W prasie hiszpańskiej pojawiła się duża liczba artykułów na temat tego wydarzenia. Z czasem sprawa zapewne by ucichła, ale niespodziewanie hiszpańskie Ministerstwo Lotnictwa przekazało dziennikarzowi gazety „La Gaceta del Norte" z Bilbao, Juanowi José Benitezowi, dokumenty na temat dwunastu incydentów z udziałem UFO. Jednym z wymienionych w dokumentacji zdarzeń był niezwykły pokaz możliwości UFO na Wyspach Kanaryjskich.

W następnych miesiącach ujawniono wiele interesujących faktów. Do międzynarodowej opinii publicznej dotarł raport sporządzony przez pewnego lekarza na wyspie Gran Canaria. Wydarzenia z tego czerwcowego dnia potwierdziły zarówno hiszpańska marynarka wojenna, jak i zdjęcia wykonane przez przypadkowych turystów. (Później fotografie zostały skonfiskowane przez władze, które chciały je dokładnie zbadać).

Obracający się promień światła

O godzinie 21.27 22 czerwca 1976 roku kapitan i załoga hiszpańskiej korwety *Atrevida* zauważyli UFO nad południowo-wschodnim skrajem wyspy Fuerteventura. Dostrzegli żółtozielone światło, które, wznosząc się coraz wyżej, przesuwało się nad morzem w ich kierunku. Początkowo marynarze uznali, że to światła pozycyjne samolotu, ale zmienili zdanie, gdy światło nagle zatrzymało się w miejscu i zgasło. Zastąpił je obracający się promień, który spłynął na ziemię. Dwie minuty później promień przybrał kształt olbrzymiej, oświetlającej ląd i morze aureoli, która utrzymywała się przez czterdzieści minut. Następnie ukazało się żółto-niebieskie światło, które podzieliło się na dwie części. Niebieskie tworzyło aureolę, a położona wyżej warstwa przyjęła formę nieregularnej spirali wstępującej ku górze. Na koniec uleciała w stronę sąsiedniej wyspy — Gran Canaria. Na dotarcie do tej odległej o 158 kilometrów wyspy potrzebowała zaledwie trzech minut, osiągając, jak wyliczono, szokującą prędkość 3060 kilometrów na godzinę.

Świadkami pojawienia się UFO w północnej części Gran Canarii było wiele osób. Najlepiej jednak widział je miejscowy lekarz. Został wezwany przez młodego człowieka, Santiago del Pino, do jego chorej matki. Obaj jechali taksówką, która właśnie skręcała w miejscu zwanym Las Rosas (pomiędzy Galdar i Agaete w północno-zachodniej części wyspy), gdy nagle ujrzeli przed sobą olbrzymią kulę, wiszącą kilka metrów nad ziemią. Kulę otaczała szaroniebieska poświata. Radio w taksówce umilkło, a trzema znajdującymi się w niej mężczyznami wstrząsnęły dreszcze, kiedy poczuli ogarniającą ich falę chłodu.

Trzęsąc się z zimna kierowca zatrzymał taksówkę. Mężczyźni zobaczyli wewnątrz kuli trzy potężne postacie. Sama kula miała wielkość dwupiętrowego domu. Ponieważ była przezroczysta, mężczyźni doskonale widzieli znajdujące się za nią gwiazdy.

Dwaj pasażerowie UFO ubrani byli w obcisłe ciemnoczerwone kombinezony i czarne hełmy. Świadkowie nie mogli dostrzec rysów ich twarzy, gdyż postacie stały zwrócone do siebie głowami po obu stronach konsoli sterowniczej znajdującej się na platformie. Manipulowały przy tym dźwigniami i przełącznikami. Ręce miały ukryte w czarnych stożkach. Na lekarzu szczególnie wielkie wrażenie wywarły nieproporcjonalnie wielkie rozmiary tylnej części czaszek obu postaci.

Powiększająca się kula

Kiedy nagle taksówkarz włączył reflektory, kula natychmiast zaczęła się wznosić. Obserwatorzy mogli teraz dostrzec przejrzystą rurę w jej wnętrzu, z której wydobywał się niebieski gaz czy też płyn. Wypełnił on stopniowo wnętrze kuli, która powiększyła się do rozmiarów trzydziestopiętrowego budynku. Jednak istoty w jej wnętrzu i konsola nie zmieniły swoich rozmiarów.

Kierowca, ogromnie przerażony, zawrócił samochód i ruszył w stronę najbliższych domów. Mieszkająca w jednym z nich rodzina powiedziała lekarzowi, że ich telewizor przestał działać. Mężczyźni schronili się w tym domu. Z okien dalej obserwowali niezwykły obiekt. Niebieski „gaz" przestał wirować wewnątrz kuli. Następnie obiekt wydał ostry gwizd i błyskawicznie odleciał w stronę Teneryfy, przybierając kształt „wrzeciona" otoczonego aureolą.

Wiadomo, że prowadzący w tej sprawie dochodzenie urzędnicy hiszpańskiego Ministerstwa Lotnictwa nakazali lekarzowi zachować milczenie o tym incydencie. Szczegóły jego relacji nie były znane opinii publicznej aż do chwili, gdy ministerstwo przekazało całą dokumentację Juanowi Benitezowi. Jednakże pewne elementy tej historii przeciekły do prasy, zanim wprowadzono zakaz jej rozpowszechniania. Część gazet opublikowała artykuły o wielkim kulistym obiekcie, w którym znajdowała się sterownia i piloci, unoszącym się nad polem cebuli, i o zniszczeniu części upraw. Zniszczenie upraw na obszarze o średnicy około 30 metrów potwierdzały nawet dokumenty Ministerstwa Lotnictwa.

Setki osób w Puerto de la Cruz widziały UFO przelatujące nad Teneryfą. Świadkami tego zdarzenia była także załoga i pasażerowie przepływającego obok wyspy promu. Wielu mieszkańców odległych wysp dzwoniło do redakcji prasowych oraz lokalnych rozgłośni radiowych i informowało o pojawieniu się UFO.

W dokumentacji ministerstwa znajduje się również informacja o tym, że obiekt wykryto i śledzono go, posługując się radarem. W zbiorze dokumentów znajdują się również zdjęcia UFO wykonane nad południową częścią Gran Canarii. Policja odnalazła fotografa i zarekwirowała wykonany przez niego film.

W ciągu następnych lat pojawiło się wiele teorii na temat natury UFO. Czy UFO to projekcja dokonywana przez tych, którzy kontrolują to zjawisko? A jeśli tak, to kim są ci kontrolerzy i jakie jest ich przesłanie?

Pewien raport sporządzony we Francji prezentuje kolejny intrygujący dowód.

W nocy 13 listopada 1971 roku w Lot-et-Garonne w południowo-wschodniej Francji, 90 kilometrów na wschód od Bordeaux, panowały fatalne warunki atmosferyczne. Niebo było zachmurzone, mżyło. Mimo takiej pogody, Angelo Cellot orał swoje pole, obok którego biegła droga prowadząca do jego domu i domu jego braci. Oprócz normalnych reflektorów traktor wyposażony był w dodatkowe światła, gdyż Cellot przyzwyczajony był pracować do późna w nocy.

Pięć krążących promieni

Około 1.50 w nocy nagle zauważył światło. Najpierw pomyślał, że pochodzi ono z traktora innego farmera. Kiedy jednak zjechał na skraj drogi i ruszył w kierunku strumienia odgraniczającego pole od północy, dostrzegł, że światło unosi się w powietrzu i porusza wzdłuż strumienia w stronę jego pola. Pomyślał, że musi to być helikopter, lecz kiedy znów zwrócił traktor w stronę drogi, uświadomił sobie, że obiekt zmienił kierunek i podąża teraz za nim, unosząc się nad polem. Poprzedzało go czerwone światło. UFO, unoszące się mniej więcej na wysokości 40 metrów, miało pod spodem pięć jasnych świateł, tak silnych, że gdy Angelo spojrzał w ich stronę, nie potrafił rozróżnić za nimi żadnego kształtu.

Farmer dojechał do końca bruzdy blisko drogi i wtedy dostrzegł, że powietrzny intruz był dokładnie nad nim. Teren wokół niego skąpany był w świetle pięciu promieni, a ciekawość farmera ustąpiła miejsca lękowi. Cellot dostrzegł, że UFO zniżyło się i znajdowało się zaledwie 15–20 metrów nad nim. Lęk zamienił się w panikę. Cellot porzucił traktor z włączonym silnikiem i reflektorami i popędził w stronę domu swojego brata, Jeana, żeby wszcząć alarm. Kiedy pokonał około 30 metrów, obejrzał się za siebie i zobaczył, że UFO uniosło się w górę i ruszyło na północ. Wrócił więc pospiesznie do traktora i wyłączył silnik oraz reflektory. W tym momencie uświadomił sobie, że obiekt poruszał się w kompletnej ciszy. Z ulgą dostrzegł, że UFO powoli znika za zaoranym polem. Farmer wstrząśnięty do głębi, zrezygnował z dokończenia pracy, odstawił traktor do szopy i poszedł spać.

Relację o tym zdarzeniu opublikowała gazeta „La Dépêche du Midi". Zaintrygowała ona francuską grupę badaczy zajmujących się UFO, GEPA. Jej przedstawiciel, pułkownik Pierre Berton, przeprowadził rozmowę z Angelo Cellotem. Towarzyszyło mu dwóch oficerów policji. Po tej rozmowie pułkownik sporządził oficjalny raport.

Podobnie jak w wielu innych wypadkach, w tych dwóch spotkaniach z UFO dominującym elementem było światło — rozjarzone, opalizujące, kolorowe, obracające się, rozchodzące się promieniami lub silnymi strumieniami. Powód takich efektownych przedstawień pozostaje jednak intrygującą zagadką.

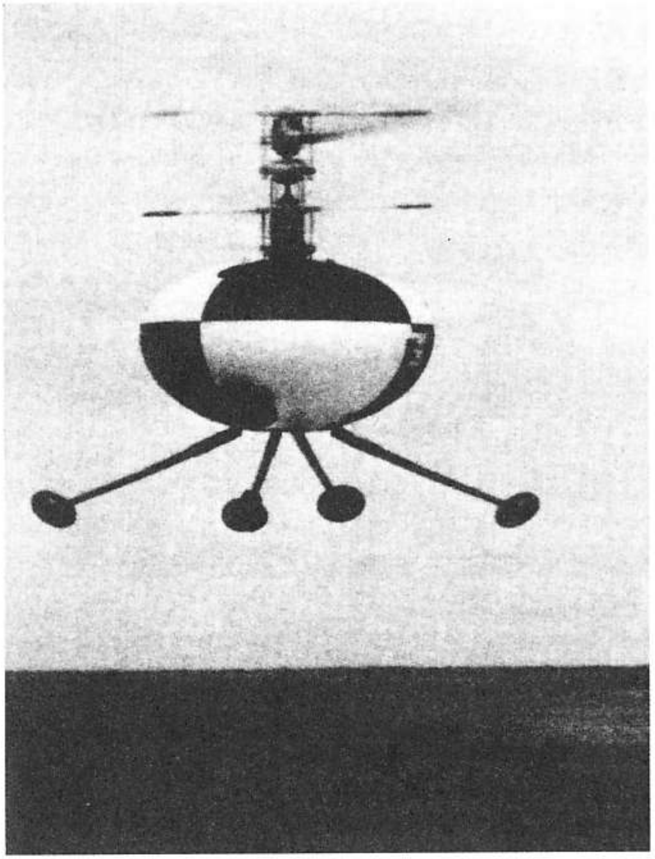

Nie wszystkie dziwne statki powietrzne przylatują spoza naszej planety. Ten bezzałogowy zdalnie sterowany prototyp nie pochodził z kosmosu, lecz z produkującej helikoptery brytyjskiej firmy Westland. Jego podpory pozostawiały ślady podobne do okrągłych wgłębień opisywanych w spotkaniach z UFO. Statki powietrzne, takie jak ten na fotografii, często omyłkowo brane są za niezidentyfikowane obiekty latające.

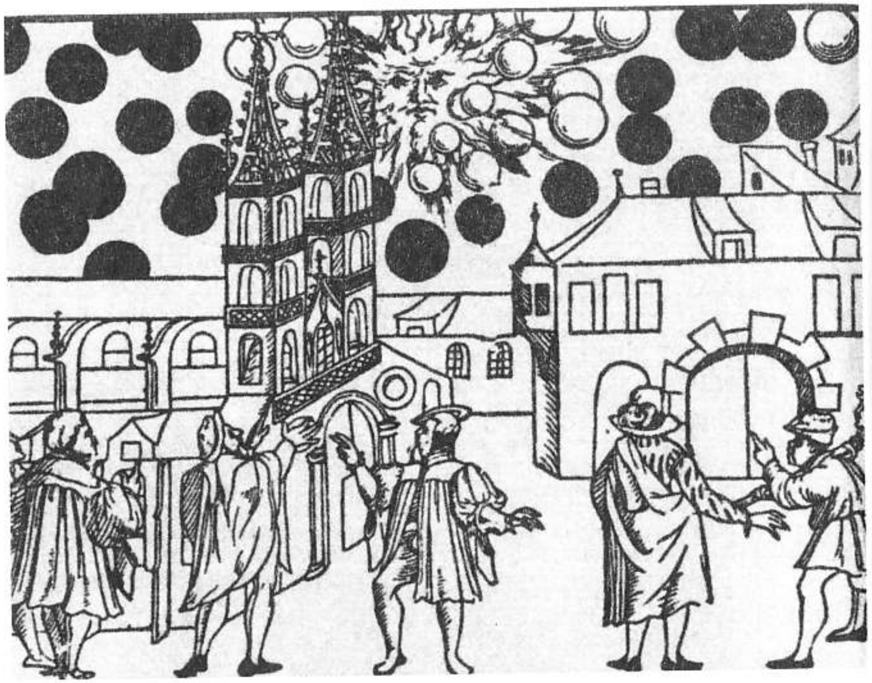

Czym były wielkie, czarne kule, przedstawione na tej rycinie, widziane w 1566 roku? Więcej o tej tajemnicy dowiesz się na s. 66.

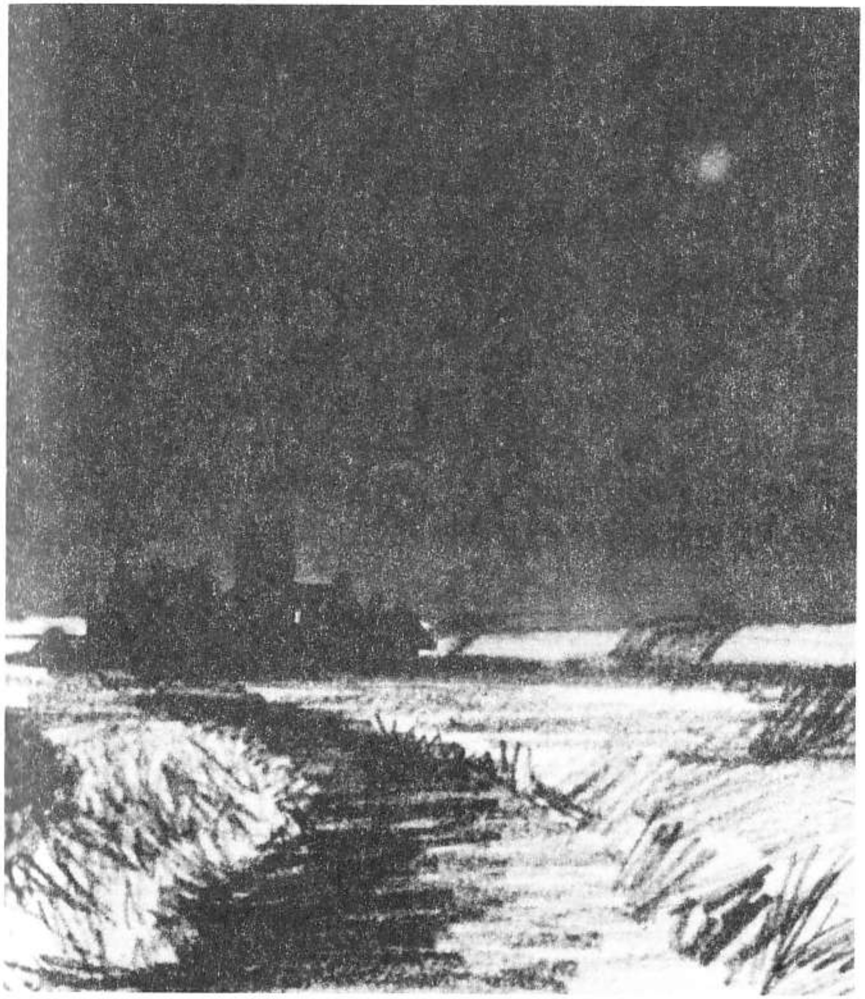

Impresja artysty (*powyżej*) ukazuje dziwne „buczące" światła, które pewnej nocy zobaczył jadąc motorem Paul Green. O tym elektryzującym doświadczeniu przeczytasz na s. 71.

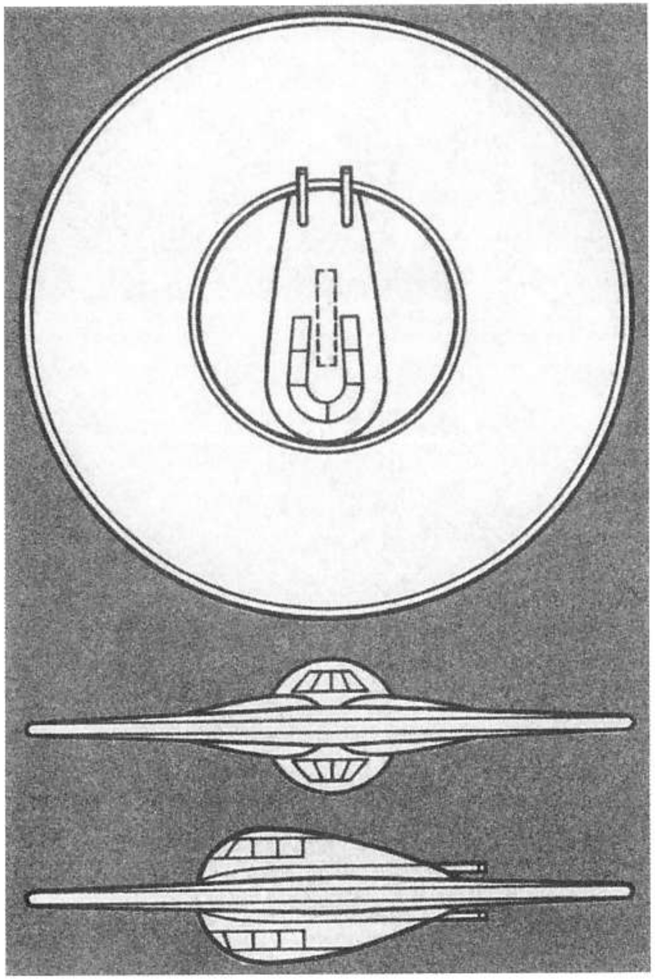

Jest to plan latającego dysku, który zaprojektowali nie obcy, lecz inżynierowie pracujący nad niekonwencjonalnymi statkami powietrznymi w czasie przygotowań nazistów do wojny. Czy pewne spotkania z rzekomymi UFO nie były w rzeczywistości spotkaniami z tym pojazdem? Rozważamy tę teorię na s. 19.

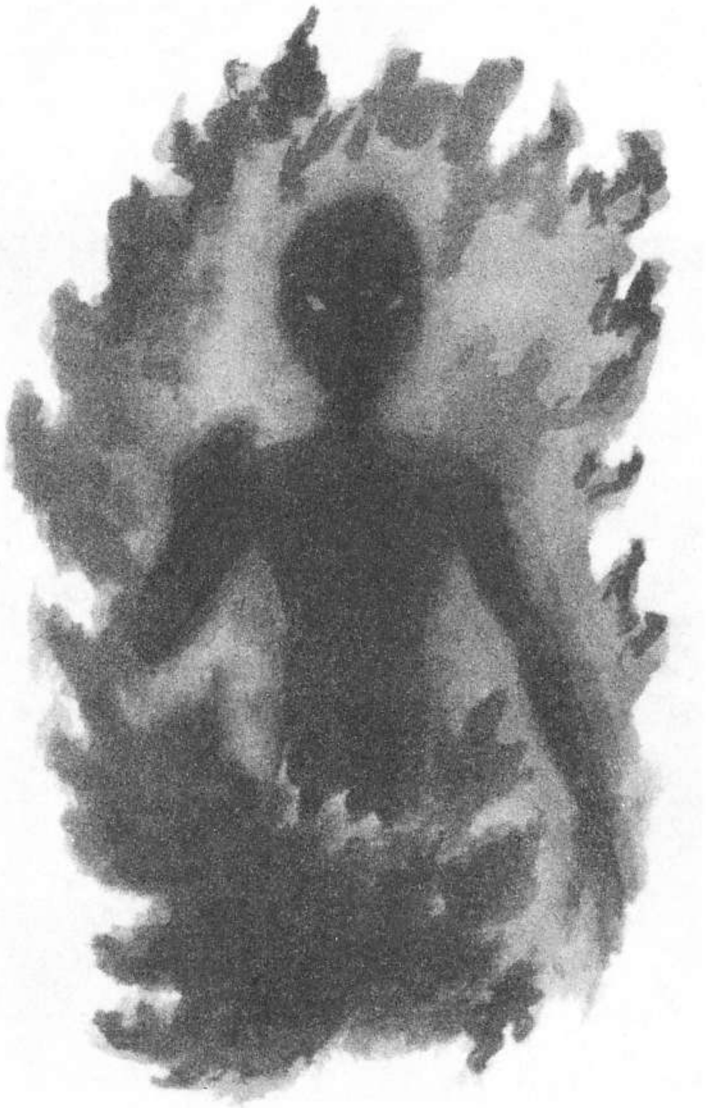

Geoffrey Maskey zauważył UFO, gdy pewnego dnia zatrzymał samochód w Felixstowe w hrabstwie Essex w Anglii. Jedna z jadących autem osób została „wyciągnięta” z samochodu przez dziwne stwory. Maskey ujrzał także mężczyznę otoczonego płomieniami.

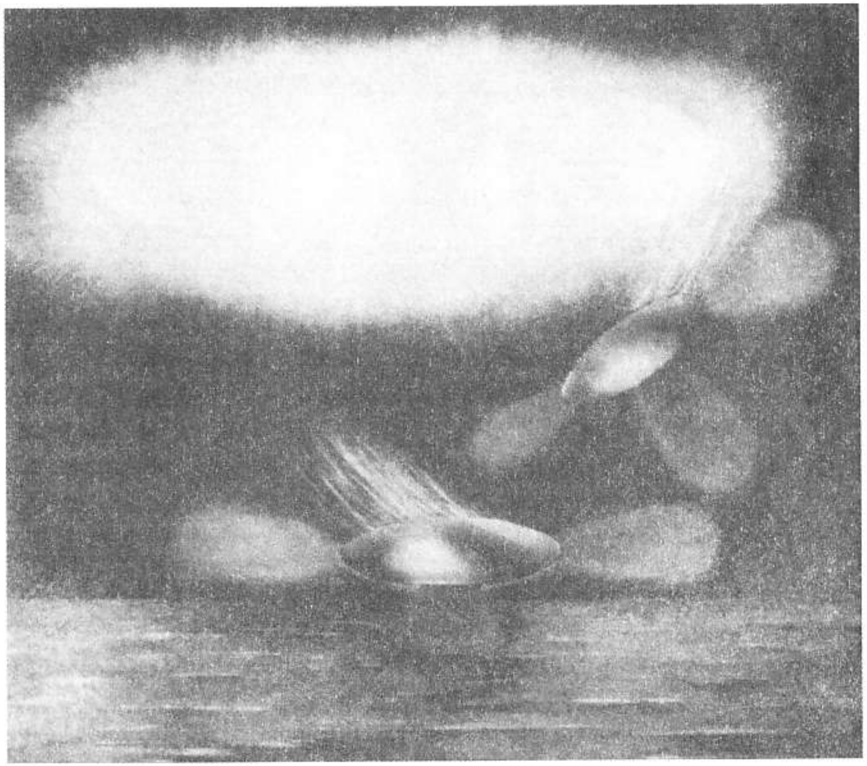

Ta wizja artysty pokazuje dziwne kuliste kształty, które ujrzał Amerykanin David Stephens i jego przyjaciele podczas osobliwej nocy w Maine w USA. Opis tej historii znajdziesz na s. 79.

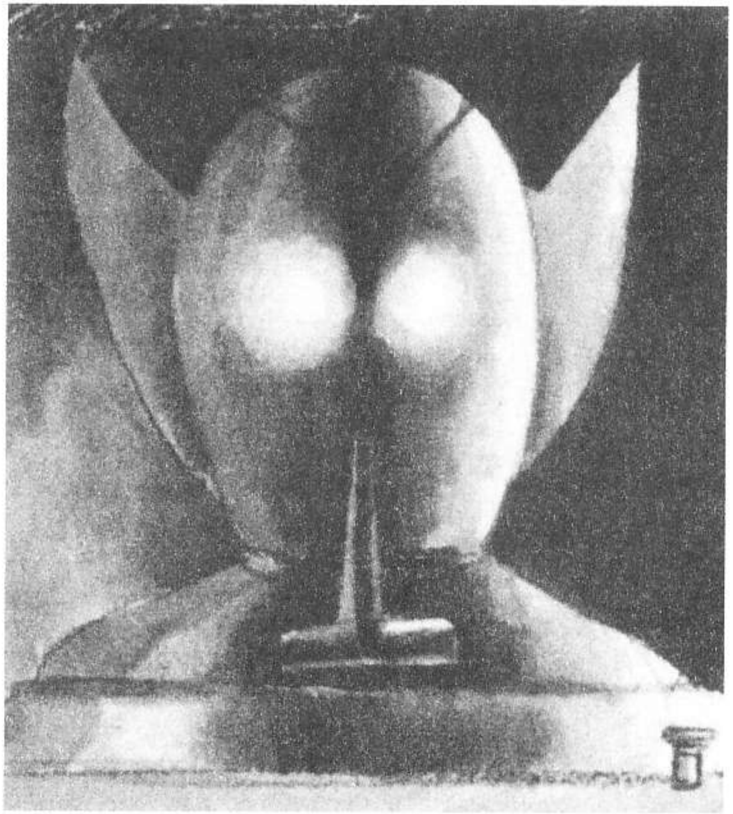

Tak mógł wyglądać humanoid, którego zobaczył Hideichi Amano. Twierdzi on, że spotkał obcego w japońskich górach w pobliżu Sayama w 1978 roku. Szczegóły tej zdumiewającej historii można znaleźć na s. 84.

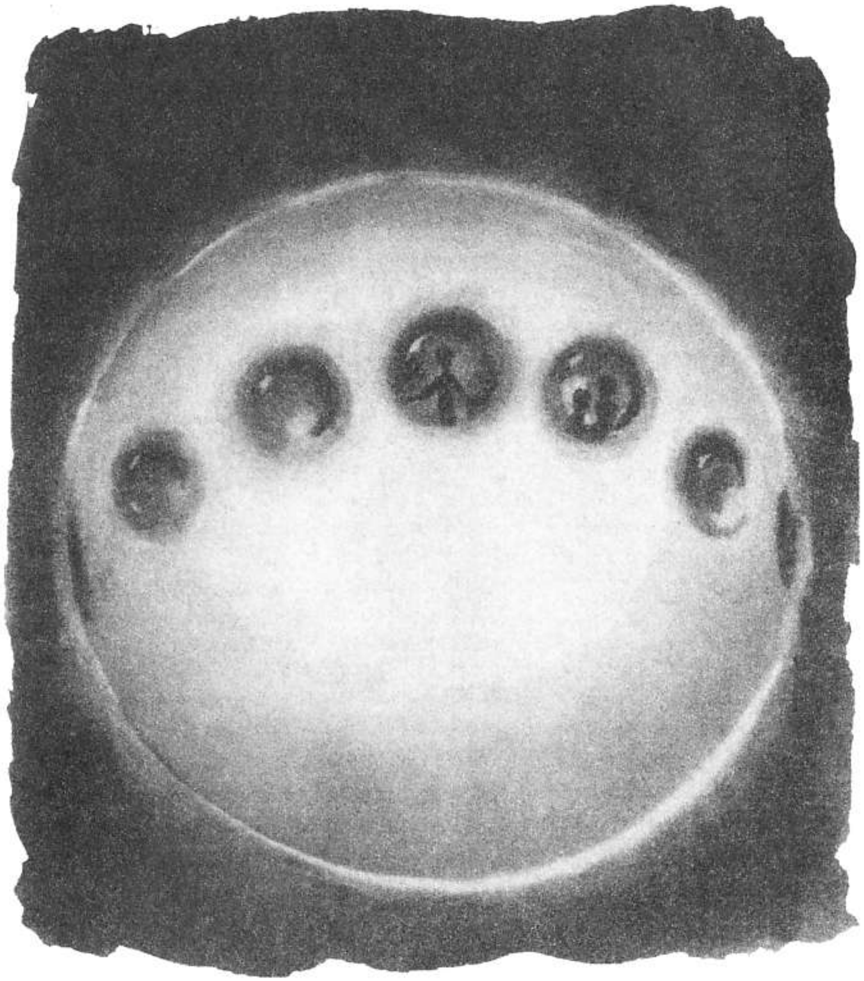

Student jednego z japońskich uniwersytetów Masaaki Kudou twierdzi, że w 1973 roku nad wybrzeżem wyspy Hokkaido w Japonii widział statek podobny do przedstawionego na rysunku, który wykonywał dziwne manewry. Jarzący się obiekt miał wiele okrągłych okien, przez które student widział humanoidalne istoty.

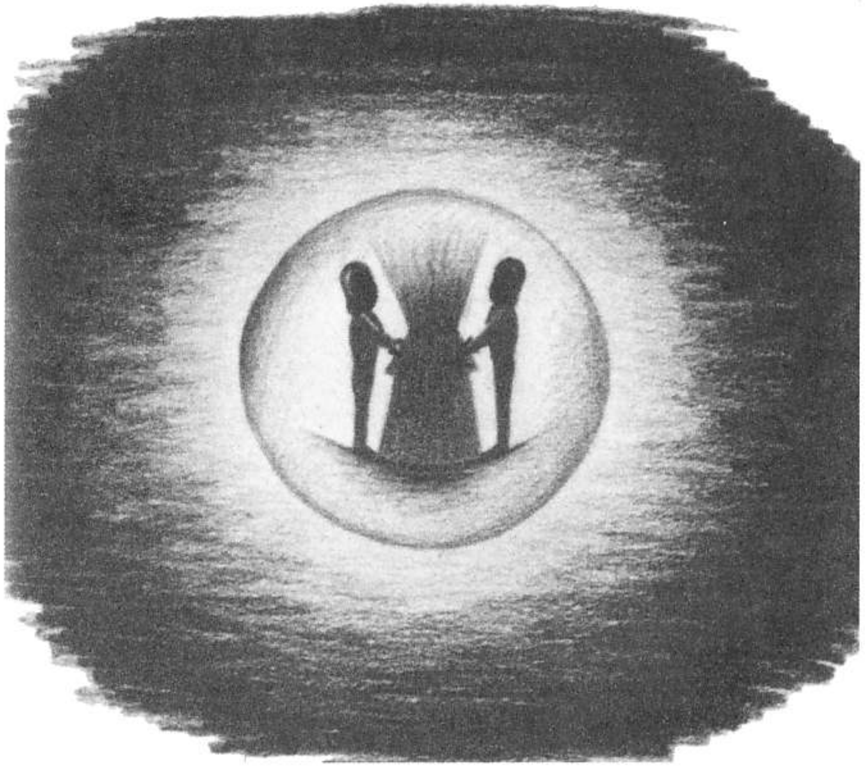

Ilustracja (*powyżej*) pokazuje dwóch podobnych do lalek humanoidów, którzy pojawili się wewnątrz gigantycznej kuli widzianej przez wielu świadków na Wyspach Kanaryjskich w 1976 roku. Z tą historią można się zapoznać na s. 34.

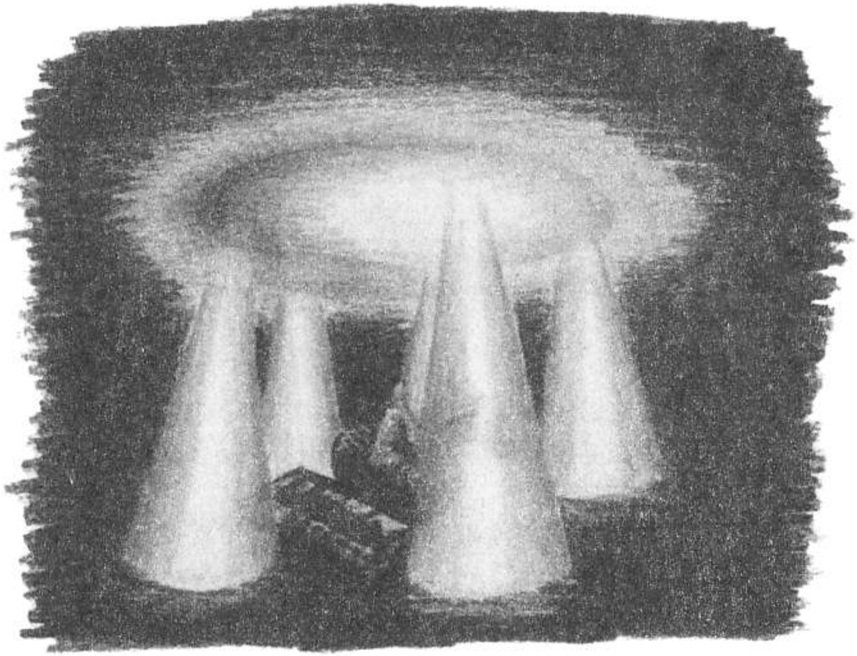

Pięć takich strumieni jasnego światła zobaczył farmer Angelo Cellot pewnego listopadowego poranka w południowo-zachodniej Francji. Na s. 34 zastanawiamy się nad przyczyną pojawienia się tych świateł i ich dziwnym zachowaniem — ścigały one bowiem przerażonego farmera.

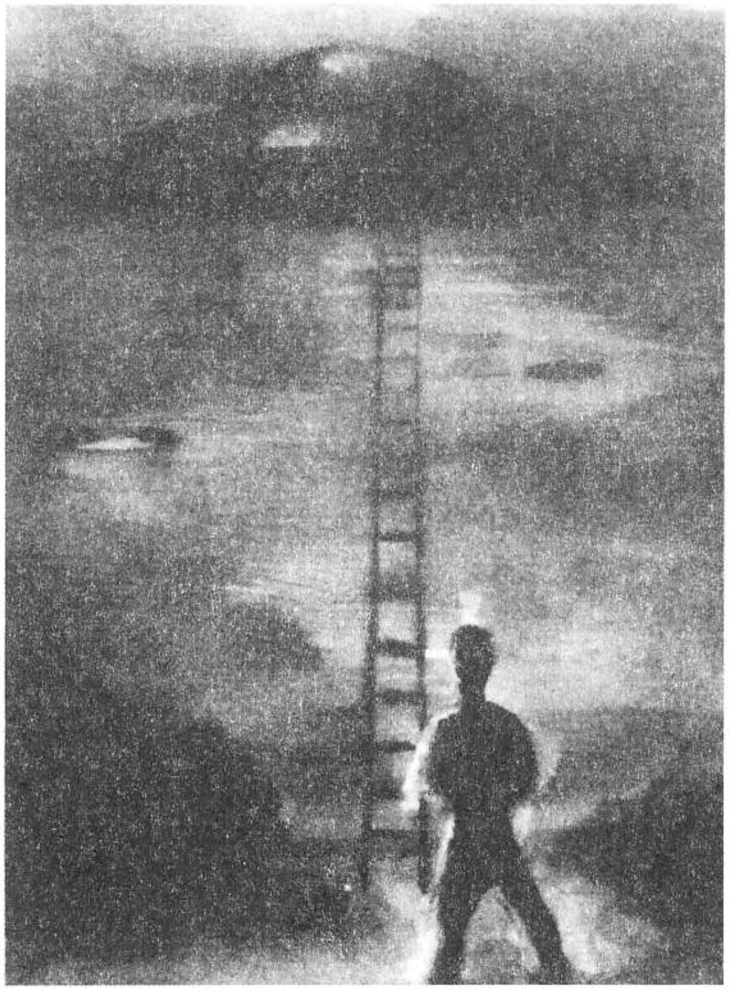

Dziwna postać ubrana w srebrny kombinezon i nosząca czarny kask okrywający głowę została dostrzeżona przez dwójkę dzieci na farmie Ripperston w zachodniej Walii. Na s. 51 zajmujemy się bliżej serią wzbudzających grozę incydentów, które rzekomo rozegrały się w tym miejscu.

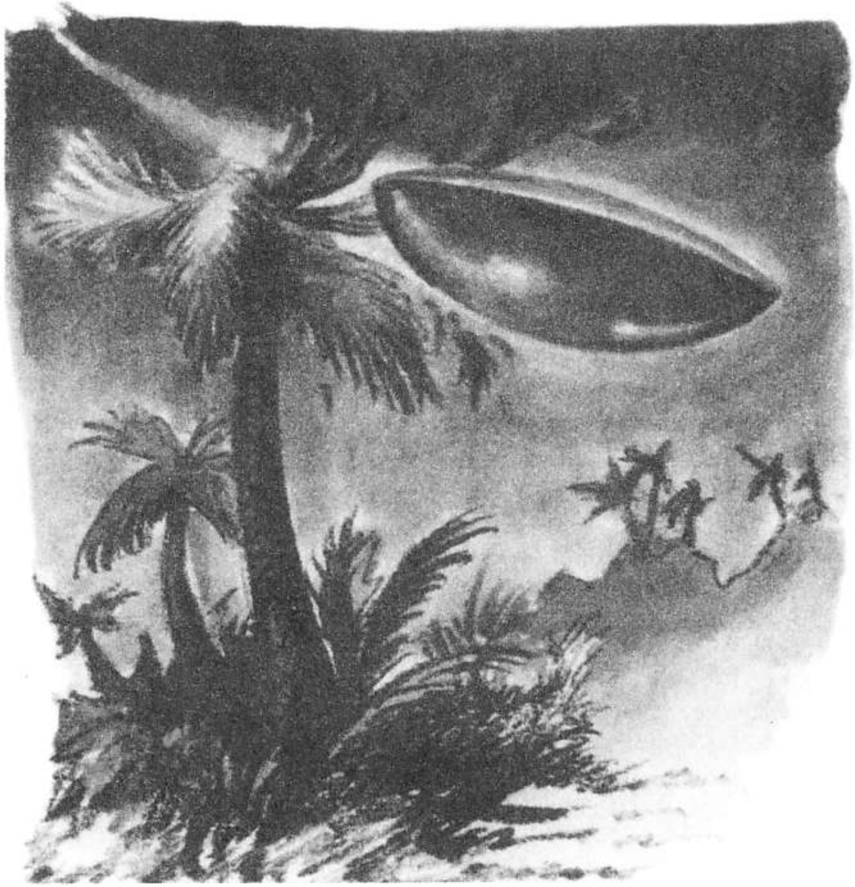

UFO wielokrotnie widywano w pobliżu różnych akwenów albo nad ich powierzchnią. Na s. 62 zajmujemy się pewnym zdarzeniem, do którego doszło w Brazylii. Ośmioletnią Rute de Souza i grupę rybaków przeraził srebrny obiekt, podobny do zaprezentowanego na rysunku, który zderzył się z wierzchołkiem palmy, a następnie wpadł do pobliskiej rzeki.

ROZWIĄZANIE ZAGADKI Z RIPPERSTON

Olbrzymi pozbawiony twarzy humanoid, dziwna teleportacja bydła i UFO ścigające samochód — to tylko kilka z wielu zjawisk, jakich rzekomo doświadczyła rodzina Coombsów na farmie w Ripperston w Walii.

Jesienią 1977 roku właścicielka jednego z hoteli w zachodniej Walii zaoferowała specjalne pobyty weekendowe amatorom badań nad UFO. Entuzjaści mogli za darmo przez całą noc korzystać z hotelowych urządzeń, a ekspert miał zaprowadzić ich do miejsc, w których najwygodniej będzie zaobserwować UFO, chociaż oczywiście nie można było zagwarantować spotkania z nie zidentyfikowanymi obiektami latającymi. „Pembrokeshire pod tym względem bije na głowę inne miejsca" — zauważyła wówczas właścicielka hotelu. Była zdumiona liczbą osób, które do niej pisały lub telefonowały, zamawiając pobyt w hotelu.

Uwagę fanów UFO, nie tylko z Wielkiej Brytanii, ale także z zagranicy, przyciągał nieustanny napływ ważnych informacji z — jak to nazywała prasa — „trójkąta Broad Haven". Poważni ufolodzy nauczyli się sceptycznego podejścia do takich „rewelacji". Okresy, w których pojawiała się większa niż zwykle liczba doniesień na temat spotkań z UFO, mogą rzeczywiście wiązać się z nasileniem występowania niewytłumaczalnych zjawisk. Może jednak być też tak, że to pod wpływem artykułów prasowych na temat UFO pojawiają się kolejni świadkowie, którzy inaczej zachowaliby milczenie na temat swoich przeżyć. Nie znaczy to, że zdarza się więcej takich incydentów, że więcej z nich zostaje ujawnionych. Istnieje również możliwość, że informacje o spotkaniach z UFO mogą zachęcić niektórych do wyobrażenia sobie, iż uczestniczyli w takich zdarzeniach.

Epidemia pomysłów

Taka ewentualność to prawdziwe nieszczęście dla tych ufologów, którzy przekonani są, że wszystkie spotkania z UFO mają korzenie w faktach i powątpiewają w psychologiczne aspekty takich doświadczeń. Wiele doniesień sugerowało właśnie, że wiosną i latem 1977 roku w zachodniej Walii doszło do pewnego rodzaju „epidemii pomysłów". Jako źródło kolejnych relacji wskazywano serię zdumiewających wypadków, które rzekomo rozegrały się na farmie Ripperston. Wydarzenia te tak bardzo pochłonęły uwagę opinii publicznej, że poświęcono im trzy książki. Także prasa i telewizja informowały szeroko o tych zdarzeniach. Efektem tego zainteresowania było znaczne zamieszanie, które utrudniało ustalenie prawdziwych faktów. Poniżej prezentujemy najbardziej prawdopodobną wersję wydarzeń.

Billie Coombs był pasterzem, jedną z trzech osób odpowiedzialnych za doglądanie stada mlecznego bydła na farmie w Ripperston. Jego zwierzchnikiem był Richard Hewison, który mieszkał na sąsiedniej Lower Broadmoor Farm i był odpowiedzialny wobec firmy, do której należały obie farmy. Billie, jego żona, Pauline, i ich pięcioro dzieci mieszkali w domu na Ripperston Farm. Tuż obok znajdował się drugi dom, w którym mieszkał inny pracownik farmy Brian Klass i jego żona Caroline.

Chociaż Pauline Coombs informowała o swoich wcześniejszych doświadczeniach z UFO, pierwsze ważniejsze zdarzenie nastąpiło 16 kwietnia. Wieczorem tego dnia wracała samochodem do domu wraz z trójką swoich dzieci. W pewnej chwili dziesięcioletni Keiron, siedzący na tylnym siedzeniu, powiedział, że widzi dziwne światło na niebie. Miało ono kształt i rozmiar piłki do rugby, było świecące, żółtawe, z zamglonym, szarym światłem poniżej, z którego wydobywał się podobny do pochodni promień światła. Keiron powiedział matce, że światło zawróciło i podąża za nimi. Obiekt zrównał się z samochodem i leciał obok niego. Wtedy światła wozu zaczęły słabnąć. W pobliżu domu wysiadł także silnik i Pauline ostatni odcinek drogi musiała przebyć piechotą. Pobiegła, żeby wezwać męża, który wraz z najstarszym synem, Clintonem, wyszedł akurat przed dom i dostrzegł, jak UFO kieruje się w stronę morza. Kiedy Billie spróbował uruchomić silnik, stwierdziła, że teraz działa bez zarzutu.

Kilka tygodni później, Pauline poinformowała, że z kuchennego okna widziała kolejne UFO. Miało ono około 6 metrów średnicy, srebrną barwę, antenę, trójnóg i znajdowało się metr nad ziemią. Także ten pojazd wystartował w stronę morza, pozostawiając po sobie wypalony w gruncie okrąg. Przy innej okazji, dwoje najmłodszych dzieci widziało trzy przesuwające się w powietrzu UFO, okrągłe i z kopułami. Jeden z pojazdów znajdował się zaledwie 15 metrów nad ziemią. Spuszczona została z niego drabinka, po której zeszła ubrana na srebrno postać. UFO upuściło na trawę pastwiska jasnoczerwony, świecący podobny do pudełka przedmiot. Dzieci szukały później tego pudełka, ale nie mogły go znaleźć.

Postać w oknie

Późnym wieczorem 22 kwietnia Coombsowie oglądali film w telewizji, mimo zakłóceń obrazu, które tego wieczora były szczególnie uciążliwe. Około wpół do dwunastej Pauline zauważyła za nie zasłoniętym oknem salonu jakieś jarzące się światło. Mniej więcej godzinę później jej mąż dostrzegł w oknie obcą twarz. „To był mężczyzna o przerażających rozmiarach" — powiedział później Coombs. Ocenił jego wzrost na mniej więcej dwa metry. Postać nosiła białe ubranie, a jej twarz — jeśli ją w ogóle miała — ukryta była za czymś w rodzaju czarnej przyłbicy.

Przerażeni Coombsowie zadzwonili najpierw do zarządcy farmy Richarda Hewisona, a potem do Randalla Jones Pugha, który działał w Brytyjskim Stowarzyszeniu Badań nad UFO. Pugh poradził im, żeby zawiadomili policję. Hewison natychmiast przyjechał do Coombsów. Tuż po nim zjawiła się policja. Nie znaleziono jednak śladów intruza. Około trzech tygodni później podobną postać zobaczyły ośmioletnie bliźniaki. Bawiły się na pastwisku, gdy ujrzały istotę, której opis pokrywał się z rysopisem podanym przez ich rodziców. Postać nosiła srebrne ubranie, a głowę miała okrytą czymś czarnym. Przeszła obok dzieci w odległości mniej więcej 15 metrów, a potem znikła, przechodząc przez ogradzający pastwisko drut kolczasty.

Niezwykłe zniknięcie

Ze wszystkich incydentów, o których donoszono z farmy Ripperston, najdziwniejszym było najwidoczniej w sposób nadnaturalny przenoszone bydło. Przy wielu okazjach Billie Coombs stwierdzał, że powierzone jego opiece zwierzęta — czasami jedna lub dwie sztuki, lecz czasami całe stado — znikały z zagrody. Raz zadzwonił do niego zdenerwowany farmer z sąsiedztwa, żeby przyszedł po swoje stado. Billie z uporem twierdził, że bydło zostało zamknięte w zagrodzie, dodając, że dla pewności rygiel obwiązał podwójnie szpagatem. Żeby uciec tą drogą, zwierzęta musiały przejść tuż obok domu; jednak ani Billie, ani jego żona nie słyszeli najmniejszego hałasu. A poza tym, jak powiedział, nie starczyłoby czasu, aby stado w tym czasie, jaki upłynął od chwili, kiedy widziano je po raz ostatni, do momentu gdy spostrzeżono je na innej farmie, mogło pokonać tę trasę w naturalny sposób. Nasuwał się jeden wniosek — zwierzęta zostały w jakiś nadnaturalny sposób przeniesione z jednego miejsca w drugie. Bydło było bardzo wystraszone, a następnego dnia krowy nie dały mleka.

To niezwykłe przeniesienie stada stanowi największą zagadkę i poddaje w wątpliwość całą historię. Spotkania z UFO i dziwnymi istotami, niezależnie od tego, jak bardzo godne są uwagi, zaliczają się do powszechnie akceptowanego modelu dziwnych zjawisk, lecz teleportacja zwierząt należy do zupełnie innej grupy zdarzeń.

Nie brakuje jednak precedensów. W książce *Haunted Houses* [Domy, w których straszy] John Ingrams pisze o dziwnym zdarzeniu w Birchen Bower w pobliżu Oldham w Lancashire. W domu tym istniał makabryczny zwyczaj. Dawna właścicielka, odczuwająca lęk, że może zostać pochowana żywcem, zakazała grzebania swojego ciała. Nakazała natomiast, aby co 21 lat jej zabalsamowane ciało przynoszono do domu i przez tydzień pozostawiano w spichlerzu. Zwyczaj ten miał dziwny wpływ na hodowane zwierzęta.

„Rankiem tego dnia, gdy przynoszono ciało, zawsze okazywało się, że konie i krowy nie są uwiązane, a czasami znajdowano krowę na strychu z sianem; zagadką pozostawał sposób, w jaki się tam dostawała, gdyż nie było wystarczająco szerokiego przejścia, aby tej wielkości zwierzę mogło tam wejść [...] Kilka lat temu, gdy na strychu znaleziono krowę należącą do farmera dzierżawiącego wówczas to gospodarstwo, wśród okolicznych mieszkańców zakorzeniło się głębokie przekonanie, że umieściła ją tam jakaś tajemnicza siła [...] Nikt nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób krowa tam się dostała, zwłaszcza że trzeba było wypożyczyć specjalne bloki z Bower Mill, by wydostać ją przez otwór na siano".

Powiązania z poltergeistem

Niektórzy badacze zasugerowali, że to wydarzenie oraz wypadki na farmie w Ripperston mogą być łączone z działalnością poltergeista — złośliwego ducha. Warto zauważyć, że w tym miejscu często dochodziło do awarii urządzeń mechanicznych. Billie Coombs poinformował, że tylko w ciągu 1977 roku zmuszony był pięciokrotnie zmienić samochód, a jeszcze więcej razy psuły mu się odbiorniki telewizyjne. Rachunek Coombsów za prąd elektryczny był tak wysoki, że musieli poprosić zakład energetyczny o sprawdzenie licznika. Nie wykryto jednak żadnego uszkodzenia.

Hipotezę o ewentualnej działalności sił nadprzyrodzonych wspierają szczegóły dotyczące wcześniejszych lat życia Pauline Coombs, która była katoliczką. Jakiś czas przed przybyciem do Ripperston, rodzina Coombsów mieszkała w przyczepie w niedalekim Pembroke Dock, gdzie także zaczęły występować dziwne zjawiska. Co wieczór Pauline widziała z przyczepy naturalnej wielkości postać Maryi Dziewicy, ubraną w białą suknię. Wokół nadgarstka owinięty miała różaniec, a na ręku trzymała Dzieciątko Jezus. Później postać przemieniła się w Jezusa i widoczna była przez mniej więcej pół godziny. Wieść o tym cudzie szybko się rozeszła i wkrótce co wieczór zbierał się tłum gapiów, którzy mieli nadzieję, że będą świadkami niezwykłego zjawiska. W końcu właściciel przyczepy zniszczył ją, ponieważ męczył go nieustanny napływ gapiów. Opis tego zjawiska jest dalece niezadowalający. Właściciele przyczep z reguły nie niszczą swojej własności, nawet z takiego powodu. Jednakże, możemy chyba wysunąć przypuszczenie, że pewne cechy Pauline Coombs predysponowały ją do takich dziwnych doświadczeń.

Niesamowici goście

Rosnąca wiosną i latem 1977 roku liczba incydentów na farmie w Ripperston przyciągnęła uwagę reporterów i badaczy. Można więc było oczekiwać, że prędzej czy później na farmie pojawią się postacie, podobne do ponurych ludzi w czerni, o których tak często informuje się przy okazji spotkań z UFO.

Jak wynika z jednej z relacji, pewnego dnia do farmy podjechał nagle dziwny samochód. Jechał tak cicho, że nikt nie usłyszał, jak się zbliżał. W aucie siedziało dwóch mężczyzn, bardzo do siebie podobnych. Jeden z nich, ubrany w nieskazitelnie skrojony szary garnitur i lakierki, wysiadł z wozu. Oglądał właśnie zagrodę dla bydła, gdy zobaczyła go z własnego, stojącego nieopodal, domu, Caroline Klass. Nagle, w jakiś niesamowity sposób, mężczyzna znalazł się błyskawicznie przy niej, pytając o Pauline Coombs, najwyraźniej zorientowany, że kobieta, której zadał pytanie, nią nie była. Później Caroline stwierdziła, że mężczyzna mówił z cudzoziemskim akcentem. Dodała, że było w nim coś „obcego". Miał badawczo patrzące duże niebieskie oczy, wydawało się jej, że przewiercają ją na wylot i odczytują jej myśli.

Najstarszy syn Coombsów, Clinton, w tym czasie znajdował się w sąsiedniej chacie, lecz był zbyt przerażony widokiem robiących niesamowite wrażenie gości, by otworzyć im drzwi. Zaryglował je skoblem i ukrył się na górze. Kiedy mimo pukania nikt nie otworzył drzwi, mężczyzna wrócił do Caroline Klass i zażądał dalszych informacji, chociaż zdaje się znał odpowiedzi, zanim ona zdążyła otworzyć usta. Potem poprosił, żeby pokazała, jak mają dojechać do następnego celu podróży. Mężczyźni odjechali swoim dziwnym pojazdem. Kilka sekund później Pauline przyjechała do domu. Badający tę sprawę podkreślali szczególnie fakt, że chociaż nie można było zjechać z trasy, którą ona dotarła do domu, Paulina nie zauważyła żadnych obcych mężczyzn.

Jeśli rzeczywiście wydarzenia miały taki przebieg, jak sugeruje ta relacja, mielibyśmy powody, aby uwierzyć, że na farmie w Ripperston wydarzyło się rzeczywiście coś niesamowitego. Niektórzy z badających tę sprawę uznali jednak, że te „dowody" były tylko mieszaniną wprowadzających w błąd oświadczeń i intryg. Twierdzą oni, że nic nie potwierdza, aby ci dwaj mężczyźni byli cudzoziemcami. Nie byli także identyczni, a ponadto, pytania, które zadawali, były całkowicie naturalne. Nie wiedząc, czy Caroline Klass nie jest Pauliną Coombs, najpierw ją o to spytali. Clinton wcale nie schował się w domu przerażony. Istnieje też proste wyjaśnienie faktu, dlaczego Paulina jadąc do domu nie minęła samochodu obcych — Caroline Klass wskazała im skrót, dzięki któremu mężczyźni mogli dojechać znacznie szybciej do celu. Skrót ten prowadził inną drogą.

Mówiąc krótko, cały epizod uważany jest przez sceptycznych badaczy za nieodpowiedzialne wypaczenie faktów, co miało na celu stworzenie sensacyjnej historii z prostego i naturalnego zdarzenia. Dodają ponadto, że nie było to wcale jedyne spotkanie w zachodniej Walii, w którym relacje odbiegały przynajmniej w pewnym stopniu od prawdziwych faktów.

UFO CZY TAJNA BROŃ?

Samoloty budowane podczas ściśle tajnych prac badawczych często odbiegają od powszechnych wyobrażeń na temat tego, jak takie maszyny powinny wyglądać i jakimi możliwościami powinny się charakteryzować. Niektórzy badacze sugerują, że samoloty te mogą być brane omyłkowo za UFO.

Czy od drugiej wojny światowej utrzymywano w ścisłej tajemnicy niezwykły projekt badawczy, którego celem było zbudowanie statku powietrznego przypominającego „latające spodki"? Czy współczesna technika daje samolotom takie możliwości, jakie przypisuje się UFO?

Jest oczywiście możliwe, że ośrodki badawcze były ukrywane przed opinią publiczną i mediami. Podziemne ośrodki badawcze stworzone przez nazistów były majstersztykami sztuki konstruktorskiej. Znajdowały się w nich tunele powietrzne, warsztaty, montownie, wyrzutnie rakiet, składy i kwatery dla tysięcy pracowników. Zaledwie garstka osób wiedziała o ich istnieniu. Podobnie Cheyenne Complex w Colorado Springs, należący do Dowództwa Obrony Przeciwlotniczej USA, jest dosłownie podziemnym miastem umieszczonym w głębi góry. Kompleks spoczywa na ogromnych amortyzatorach zdolnych zneutralizować uderzenie ataku nuklearnego. Połączony jest kilometrami podziemnych tuneli, całkowicie odcięty od świata zewnętrznego i niewidoczny z powietrza. O tym, co się tam naprawdę dzieje, wie tylko kilka osób, oprócz pracujących w tym podziemnym kompleksie, którzy musieli złożyć przysięgę o dochowaniu tajemnicy.

Równie wielkie i skomplikowane ośrodki budowy bardzo zaawansowanych technicznie, przypominających kształtem dyski, samolotów mogą istnieć w innych odludnych miejscach, takich jak pustkowia Syberii i Ameryki Północnej, Arktyki czy Antarktydy.

Choć można zachować tajemnicę, gdy buduje się takie maszyny, to jednak trudno ją utrzymać, gdy zaczną one próbne loty, wykorzystywane są w lotach rozpoznawczych lub przy innych okazjach. Możliwe jest więc, że odnośne władze podjęły decyzję o jawnych lotach, tworząc jednocześnie zasłonę dymną na skalę międzynarodową. Systematyczne niepokojenie i upokarzanie osób zajmujących się obserwacją UFO oraz brak efektów oficjalnych dochodzeń na temat nie zidentyfikowanych obiektów latających mogły być więc specjalnie wybraną metodą tuszowania całej sprawy.

Teoria ta mogłaby wyjaśnić także takie środki represyjne, jakie wprowadziła dyrektywa szefów połączonych sztabów armii amerykańskiej z grudnia 1953 roku. Uznała ona za przestępstwo, ścigane z mocy ustawy o zwalczaniu szpiegostwa, ujawnianie bez zezwolenia informacji o spotkaniach z UFO. Przestępstwo to zagrożone było karą więzienia od jednego roku do dziesięciu lat lub grzywną w wysokości 10 tysięcy dolarów. Powyższa teoria może także wyjaśnić, co stało się z jedyną naukową próbą określenia rozmiaru i możliwości UFO, oraz kwestię, czy były one sterowane przez inteligentne istoty.

Zakładając, że te podobne do spodków maszyny zostały zbudowane przez człowieka, musimy odpowiedzieć na następne istotne pytania. Czy współczesna wiedza umożliwia zbudowanie samolotu o niezwykłych możliwościach technicznych, podobnego do zaobserwowanych UFO. Czy pozwala osiągnąć tak niezwykły wygląd, o jakim mówi się w odniesieniu do członków załóg UFO?

W książce *Ufology* [Ufologia] James M. McCampbell szczegółowo omawia cechy, które sprawiają, że UFO mogą osiągać taką szybkość i mieć takie możliwości, o których jest mowa w różnych relacjach. Zdaniem McCampbella, UFO prawdopodobnie wykorzystują zaawansowane technologicznie formy napędu odrzutowego, które w tej chwili na ziemi istnieją tylko na deskach projektantów. Mogą na przykład stosować rakiety jonowe, w których wydalany strumień składa się z jonów (elektrycznie naładowanych cząstek) doprowadzanych do ogromnej prędkości przez pola elektryczne. UFO może być także rakietą, wykorzystującą fuzję nuklearną. Taką rakietę napędza nieustanna eksplozja bomb wodorowych. Być może obce pojazdy wykorzystują tarcze antygrawitacyjne — prawdopodobnie w połączeniu z jedną z powyższych form napędu odrzutowego.

Jonizacja powietrza, której towarzyszy elektryczne wyładowanie, może wywoływać rozjarzone światło, tak fascynujące świadków spotkań z UFO. Z kolei tarcza antygrawitacyjna może tłumaczyć brak turbulencji i huk wywoływany przez przelatujące UFO, a także wytrzymywanie przez załogę gwałtownych zmian prędkości i kierunku.

McCampbell twierdzi, że UFO zużywa przy starcie tyle energii, co wybuch bomby atomowej. Podczas startu korpus maszyny rozgrzałby się do około 85 tysięcy stopni Celsjusza i wywołał intensywną radioaktywność na ziemi i w atmosferze — chyba że użyto by tarczy antygrawitacyjnej. Ona zaś sprawiłaby, że obiekt byłby całkowicie pozbawiony masy. UFO potrzebowałoby niewielkiej ilości energii do osiągnięcia niezwykłego przyspieszenia. Potwierdzałoby to zdolność UFO do znikania w mgnieniu oka, gwałtownego zatrzymywania się w miejscu, unoszenia się w powietrzu i wykonywania skrętów pod kątem prostym.

W tym kontekście należy zauważyć, że w 1965 roku tylko w Stanach Zjednoczonych rozpoczęto 46 jawnych projektów dotyczących grawitacji. Projektami tymi zajmowały się: lotnictwo wojskowe, marynarka, wojska lądowe, NASA, Komisja Energii Atomowej i Narodowa Fundacja Naukowa. Ponieważ były to projekty jawne, możemy przyjąć, że potajemnie prowadzono i nadal prawdopodobnie prowadzi się nawet większą liczbę bardziej zaawansowanych projektów, zarówno dotyczących antygrawitacji, jak i różnych wspomnianych już form napędu odrzutowego.

Innym tajemniczym aspektem zjawiska UFO jest częstotliwość, z jaką UFO materializowało się na fotografiach wykonanych przez ludzi, którzy wcale nie szukali takich obiektów. W połączeniu z faktem, że satelity wywiadowcze nigdy nie widziały UFO (przynajmniej tak się twierdzi w oficjalnych dokumentach), skłoniło to niektórych naukowców do wysunięcia hipotezy, że potrafią one stać się niewidzialne.

Przez wiele lat cywilne i wojskowe placówki prowadziły idące w tym kierunku doświadczenia. Są na to dowody. Twierdzono bowiem, że słynny „filadelfijski eksperyment" przeprowadzony w 1943 roku (w którym — jak się twierdzi — doszło do dematerializacji okrętu wojennego marynarki USA, a potem jego ponownej materializacji w innym miejscu) był częścią takiego projektu. Jednakże z tą sensacyjną sprawą wiązało się wiele wątpliwości, które tylko pomogły wprowadzić zamieszanie w kwestii udziału rządu w tego typu doświadczeniach.

Tyle o możliwościach UFO, widywanych przez obserwatorów ze znacznej odległości. Ale jak traktować dowody przedstawione przez świadków, którzy twierdzą, że mieli bliski kontakt ze statkiem i jego załogą?

Dziwnym, ale jednak wspólnym elementem relacji o bezpośrednich kontaktach jest wyraźny brak oporu ze strony danej osoby. Osoby utrzymujące, że miały bliski kontakt z załogą UFO, często opisują, iż były przyciągane w stronę obcych i musiały wykonywać ich polecenia — nawet jeśli obcy nic nie mówili. Wspólnym elementem tych relacji jest uczucie oddalenia, nierzeczywistości oraz oddzielenia się od samego siebie. Zwykle, po zastosowaniu siły, ofiary są „pacyfikowane" lub „hipnotyzowane" różnymi metodami — strumieniem światła, przyciśnięciem do szyi metalowych przedmiotów, położeniem rąk przez obcego na ofierze, ruchem ręki bądź dziwnymi dźwiękami. Jednak żadna z tych metod nie jest czymś nadzwyczajnym w świetle współczesnej wiedzy.

Gwałtowna reakcja na światło

Eksperymenty dotyczące fal mózgowych pokazały, że zarówno światło, jak i dźwięk mogą wywoływać zaburzenia umysłowe i fizyczne u całkowicie normalnych ludzi. Na przykład migotanie światła z częstotliwością od 8 do 12 cykli na sekundę, bliską częstotliwości mózgowych fal alfa, może wywołać niezwykle agresywną reakcję u każdej osoby, która poddana zostanie takiemu oddziaływaniu. Wśród tych reakcji mogą być: drżenie kończyn, omdlenia, światełka w głowie lub utrata przytomności. Możliwe jest więc, że „strumień światła" opisywany przez wiele osób, drga z tak wyjątkową częstotliwością, że wpływa na podstawowy rytm pracy mózgu i w rezultacie wywołuje halucynacje lub hipnozę bądź oba zjawiska jednocześnie.

Faktem jest także to, że infradźwięki, które mają częstotliwość tuż poniżej granicy słyszalności ludzkiego ucha (stąd też niepewność osób, z którymi UFO nawiązało kontakt, co do tego, czy coś „słyszały" lub „czuły") mogą w równym stopniu, co migotanie światła, oddziaływać na ludzi. Niektóre dźwięki o niskiej częstotliwości prowadzą nie tylko do zmian w pracy mózgu, lecz także do ostrych zmian fizycznych, takich jak poważne migreny (na które zwykle skarżą się osoby, które miały kontakt z UFO) i chwilowy paraliż kończyn.

Niekiedy osoby takie informują, że obcy uciskali im szyje dłońmi lub dotykali ich metalowymi przedmiotami. Osoby te traciły świadomość lub przez jakiś czas pozbawione były własnej woli. Może to być po prostu standardowa forma hipnozy znana jako „technika momentalna" lub jako „procedura tętnicy szyjnej". Polega ona na uciskaniu naczyń krwionośnych w pobliżu ucha, co utrudnia przepływ krwi do mózgu, a to z kolei sprawia, że dana osoba traci orientację i staje się podatna na hipnozę.

Sugerowano także, iż postępy w prostetyce, systemach cybernetycznych maszyn antropomorficznych (CAMS, robotach-humanoidach) oraz inżynierii cybernetycznej i genetycznej doprowadziły do osiągnięć technicznych, które utrzymuje się w tajemnicy. Tymi wynalazkami mogą być zaawansowane pod względem technicznym, podobne do dysków maszyny, sterowane przez zaprogramowanych lub zdalnie sterowanych cyborgów — na wpół ludzi, na wpół roboty.

Hipoteza ta wcale nie musi być opowieścią z przyszłości, jak się to wydaje na pierwszy rzut oka. Wśród wielu potencjalnych projektów związanych z długotrwałymi lotami kosmicznymi i badaniami Księżyca oraz Marsa, pisarz David Rorvik wymienia stworzenie cyborga, który byłby znacznie bardziej sprawny i z pewnością bardziej efektywny, niż współcześni nam astronauci. Ponieważ projektowane płuca cyborga nie byłyby tak wielkie, jak ludzkie a krew w nich sztucznie chłodzona, to usta i nos stałyby się u niego zbyteczne. Przy braku ust, chemiczne i skondensowane pożywienie podlegałoby nieustannemu przetwarzaniu przez obieg krwi cyborga, dostarczając mu w ten sposób niezbędnego zasobu energii i chroniąc go, natomiast resztki używane byłyby do produkcji nowego pożywienia. Komunikowanie się z cyborgiem odbywałoby się wyłącznie drogą radiową, a sygnały powstawałyby bezpośrednio w jego strunach głosowych.

Jeśli taki eksperyment już miał miejsce w jakimkolwiek z supertajnych ośrodków badawczych na świecie, to przerażająco realistyczne bliskie spotkania z UFO mogły być w rzeczywistości nie kontaktami z istotami pozaziemskimi, lecz z cybernetycznie zmodyfikowanymi ludźmi. Niewykluczone więc, że spora ilość spotkań z UFO mogła rzeczywiście mieć swoje źródła na naszej planecie.

SPOTKANIA Z UFO NAD WODĄ

Istnieje wiele relacji o domniemanych UFO, które lądowały na wodzie, wyłaniały się z niej lub rozbijały o jej powierzchnię. Trzy opisane poniżej zdarzenia rozegrały się na wybrzeżu Brazylii.

Szczególnie intrygujący rodzaj relacji dotyczących UFO opisuje obiekty wyłaniające się z wody lub w niej znikające. W relacjach tych najczęściej chodzi o morze. Doskonałą dokumentację jednego z tych incydentów stanowi seria zdjęć wykonana w 1979 roku na Wyspach Kanaryjskich. Niektórzy autorzy artykułów na ten temat zasugerowali nawet, że w pobliżu tych wysp znajdują się olbrzymie bazy UFO ukryte pod powierzchnią oceanu. Ale z braku konkretnych dowodów możemy jedynie traktować ten pogląd jako czystą hipotezę.

Natomiast wszystkie opisane poniżej wypadki rozegrały się na przestrzeni 300 kilometrów na wybrzeżu Brazylii, na południe od Rio de Janeiro, chociaż były oddzielone w czasie. Każdy z nich obserwowany był przez wielu świadków i pojawiały się w nim dziwne statki powietrzne.

Wśród tych spotkań jedynie tak zwaną sprawę Santosa można wyjaśnić w sposób konwencjonalny. Skoro jednak świadkowie, jak twierdzą, rzeczywiście widzieli jakieś obiekty, to dziwne się wydaje, że władze nie potrafiły zlokalizować wraku na miejscu katastrofy.

W niedzielę 27 czerwca 1970 roku Aristeu Machado i jego pięć córek bawili się na werandzie swojego domu przy Avenida Niemeyer 318 w Rio de Janeiro. Widzieli z niej ulicę prowadzącą wzdłuż oceanu. Towarzyszył im przyjaciel i sąsiad, funkcjonariusz federalnej policji brazylijskiej, João Aguiar.

Ich służąca, Maria Nazaré, przygotowywała w kuchni lunch. W pewnej chwili zapytała o godzinę. Była 11.38. Mniej więcej dwie minuty później, João Aguiar spojrzał w stronę morza i zwrócił uwagę pozostałym na „łódź motorową spadający do wody". Kiedy obiekt opadał, woda rozbryzgnęła się na wszystkie strony.

Szybko zapomniano o lunchu i zabawie. Rodzinę i jej przyjaciela pochłonęła bez reszty obserwacja „łodzi motorowej". Widzieli dwóch „urlopowiczów" na pokładzie statku. Postacie sprawiały wrażenie, jakby rękoma dawały sygnały. W oświadczeniu przekazanym doktorowi Walterowi Buhlerowi, który badał tę sprawę, Aguiar podkreślił, że na pokładzie na pewno były dwie postacie ubrane w „lśniące stroje, miały także coś na głowach". Statek pomalowany był na szary metaliczny kolor, miał 5–6 metrów długości i przezroczystą kopułę. Zauważono pewną dziwną jego cechę: ani przez chwilę obiekt się nie kołysał, co zwykle czynią łodzie, które znajdą się na wzburzonych falach.

João Aguiar pobiegł do pobliskiego hotelu „Mar" i zadzwonił po portową policję. Funkcjonariusze obiecali wysłać pomoc załodze „łodzi motorowej". Aguiar wrócił do domu Machadów i przyłączył się do nich na werandzie. Nie było go około 30 minut.

Sekwencja błysków

Krótko po powrocie Aguiary obiekt — wyraźnie widać teraz było, że ma kształt dysku — wystartował. Przez około 300 metrów ślizgał się po powierzchni wody, tworząc przed dziobem falę. Wzniósł się w powietrze i wykonał szybko zwrot w kierunku południowo-wschodnim. Dopiero wtedy świadkowie uświadomili sobie, że to nie jest łódź motorowa, lecz raczej obiekt wyglądający jak latający spodek. Ze spodniej części korpusu wysunął się sześciokątny element. Rozbłysły na nim światła — najpierw zielone, potem żółte, a w końcu czerwone.

Kiedy obiekt znalazł się w powietrzu, okazało się, że jest raczej przezroczysty, a nie, jak się najpierw wydawało, w kolorze aluminium. Maria Nazaré wyraźnie dostrzegła dwie postacie siedzące w jego wnętrzu. Choć z ulicy prowadzącej wzdłuż oceanu prawie nie było słychać szumu samochodów, świadek nie usłyszała żadnego dźwięku dochodzącego od strony obiektu.

Na powierzchni morza, w miejscu, gdzie przez chwilę utrzymywało się UFO, Maria Nazaré zauważyła teraz biały obiekt w kształcie pierścienia, mniej więcej rozmiarów ludzkiego ciała. Nagle pierścień pogrążył się w wodzie, a potem wyłonił się z niej, od niego zaś oddzieliła się żółta owalna część. Oceniono, że jej przekątna wynosiła około 40 centymetrów, a obiekt wystawał około 20 centymetrów nad powierzchnię wody. Przez mniej więcej trzy minuty nie zmieniał położenia, a potem ruszył w kierunku brzegu, dłuższą osią skierowany w stronę świadka. Zielony kołnierz z tyłu obiektu oddzielił się od głównego korpusu i utrzymywał za nim w odległości jednego metra. Po około 15 minutach żółty owal znajdował się jakieś

120 metrów od brzegu. Wykonał wtedy skręt pod kątem prostym w lewą stronę i skierował się na plażę w Gávea — dokładnie pod prąd, płynący wtedy w tym rejonie.

Biały pierścień znikał wielokrotnie, lecz kiedy ponownie stawał się widoczny, ciągle podążał w stronę plaży w Gávea, jakby chciał się połączyć z żółtym obiektem.

Tymczasem na miejsce, w którym zatrzymało się UFO, przybyła motorówką policja z Fort Copacabana. Zjawiła się mniej więcej w dwadzieścia minut po telefonie João Aguiara. Załoga musiała więc widzieć start UFO. Dokładnie w miejscu, w którym pozostał pierścień, łódź policyjna zatrzymała się i policjanci wciągnęli na pokład dziwny czerwony cylindryczny obiekt, a potem z dużą szybkością odpłynęli w kierunku swojej bazy.

Policja nie wydała żadnego oświadczenia na temat tego, co widzieli i znaleźli funkcjonariusze. I chociaż 28 czerwca 1970 roku informację o tym wydarzeniu opublikował dziennik „Diário de Notícias", nie zjawił się żaden inny świadek, który mógłby ją potwierdzić.

10 stycznia 1958 roku kapitan Chrysólogo Rocha i jego żona siedzieli na werandzie domu, z którego widać było morze w okolicach Kurytyby, kiedy nagle ze zdumieniem ujrzeli nieznaną „wyspę". Kapitan skierował lornetkę na ten kawałek lądu i zdumiony zobaczył, że się powiększa. Okrzykiem zaalarmował inne osoby znajdujące się wewnątrz domu. Błyskawicznie do siedzącej na werandzie pary dołączyło osiem osób. Wszyscy byli świadkami dziwnego zjawiska.

Dwupoziomowy statek

„Wyspa" składała się z dwóch części — jedna znajdowała się w morzu, a druga była zawieszona nad wodą. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, obie części znikły z pola widzenia. Zaraz potem pojawił się parowiec, który przepłynął bardzo blisko miejsca, w którym widziano obiekty. Piętnaście minut później, już po odpłynięciu statku, dziesięciu obserwatorów dostrzegło, jak obiekty znów wyłoniły się z morza.

Świadkowie zauważyli, że górna i dolna część tajemniczego obiektu była połączona wieloma jasnymi cylindrami czy też rurami. W górę i w dół cylindrów poruszały się bez ładu i składu małe obiekty — niczym paciorki naszyjnika. To drugie pojawienie się obiektu trwało kilka minut. Potem obie części połączyły się, obiekt zaczął się zanurzać i w końcu zniknął pod wodą.

Jeden ze świadków, żona innego oficera armii, zadzwoniła do koszar Forte dos Andrades w Guarajá. Szybko ogłoszono alarm w bazie lotniczej. Natychmiast wysłano samolot zwiadowczy, który miał sprawdzić, co się dzieje. Gdy dotarł on na miejsce wydarzeń, po dziwnym obiekcie nie było już ani śladu.

Mętne wody

31 października 1963 roku ośmioletnia Rute de Souza bawiła się niedaleko swojego domu w Iguape, na południowy zachód od Santos, gdy usłyszała niezwykły huk, który narastał z każdą chwilą. Rozejrzała się wokół i dostrzegła srebrzysty obiekt, który obniżał się w powietrzu i kierował w stronę pobliskiej rzeki. Przeleciawszy nad domem Rute, UFO zderzyło się z czubkiem palmy. Zaczęło kręcić się i chybotać w powietrzu. Potem wpadło do rzeki, blisko drugiego brzegu.

Dziewczynka pobiegła do domu, gdzie napotkała matkę, która zaniepokojona hałasem, pospieszyła w stronę rzeki. Za nią podążał wujek Rute, Raul de Souza, który pracował niecałe sto metrów od domu. Cała trójka stanęła jak wryta, zafascynowana tym, co się działo na powierzchni rzeki. W miejscu zatonięcia obiektu, woda zaczęła się gotować. Potem nastąpiła erupcja zmąconej wody, a następnie samego błota.

Rute i jej rodzina nie byli jedynymi świadkami. Na drugim brzegu cały ten spektakl obserwowało kilku wędkarzy. Jeden z nich, Japończyk o nazwisku Tetsuo Ioshigawa, zdał potem przedstawicielom władz, badającym to zdarzenie, i reporterom dokładną relację o tym, co się wydarzyło. Oszacował, że obiekt przypominający kształtem miednicę miał około 7,5 metra średnicy. Znajdował się na wysokości nie więcej niż 6 metrów nad ziemią, gdy zderzył się z czubkiem palmy. Przypuszczano, że w wyniku zderzenia obiekt musiał ulec awarii.

Niektórzy sugerowali, że wrak „latającego spodka" wbił się w błotniste dno rzeki, lecz nurkowie nie odnaleźli niczego na głębokości 5 metrów. Przeszukano ten teren także za pomocą wykrywaczy min, lecz także i w ten sposób nie udało się zlokalizować obiektu.

W „Bulletin of the Aerial Phenomena Research Organisation" (APRO) Jim i Coral Lorenzon napisali, że kształt UFO opisany w relacjach z tego incydentu sugeruje, iż mógł to być pojazd załogowy. Jeśli rzeczywiście tak było, załoga mogła naprawić statek i odlecieć z miejsca wypadku.

SYMBOLE NA NIEBIE

Wiele osób głęboko wierzy, że UFO pochodzą spoza Ziemi. Psycholog Carl Jung wysunął jednak hipotezę, że prawdziwe źródła UFO mogą tkwić w głębiach ludzkiej podświadomości.

Nie zidentyfikowane obiekty latające fascynowały Carla Gustawa Junga, geniusza psychologii, który rozwinął tezę o „nieświadomości zbiorowej". Wydawały mu się one doskonałym przykładem, wspierającym jego główne doktryny psychologiczne. W 1959 roku opublikował krótką rozprawę pod tytułem *Flying Saucers* [Latające spodki].

Jung był pionierem psychologii. Większość swych prac opierał na teorii archetypów — niezwykle istotnych symboli, motywów lub postaci, które mają niemal takie samo znaczenie dla wszystkich ludzi, niezależnie od miejsca zamieszkania. Twierdził, że symbole te potrafią spontanicznie wyłaniać się z głębi nieświadomości i zamanifestować się w każdym człowieku, wywołując znaczne reperkusje w sferze uczuć i wyobraźni.

Próbując zrozumieć ich naturę i implikacje, Jung uporządkował zdumiewający zestaw analogii zaczerpniętych z tych obszarów ludzkiej działalności, w których rządzi to, co „nie jest racjonalne" — religii i mitologii, starożytnych i prymitywnych obrzędów, systemów okultystycznych, takich jak alchemia i astrologia. Jednocześnie, aby udowodnić, że takie archetypy są nadal żywe i mocno zakorzenione w psychice współczesnego człowieka, ukazał, w jaki sposób pojawiają się one w snach pacjentów oraz w dziełach sztuki, folklorze i popularnych mitach XX wieku.

Na przykład ośmioletnia córka przyjaciela Junga miała serię snów, w których, jak sądził Jung, pojawiały się niezwykle plastyczne wizerunki z dawnych epok. W jednym ze snów ukazywał się podobny do węża, uzbrojony w rogi potwór. Jung zidentyfikował go jako węża z rogami, który występował w szesnastowiecznej literaturze alchemicznej. W tym samym śnie Bóg „nadchodził z czterech krańców" — prawdopodobnie świata, chociaż dziewczynka nie wypowiadała się tu jasno. Jung odniósł to do idei poczwórnej boskości, poprzedzającej tezę o Świętej Trójcy, ale niemal zapomnianej po XVII wieku. Dziewczynka, jak uważał Jung, korzystała z „biblioteki" symboli — archetypów, do których każdy ma dostęp dzięki zbiorowej nieświadomości.

Jung sądził, że do tych archetypów należy dysk, którego współczesną odmianą jest UFO. Początkowo nie rozważał kwestii, czy to, co widywane jest na niebie, znajduje się tam rzeczywiście. Oczywiście, ludzie wierzą, że widzą UFO, podobnie jak wierzą w inne „niepatologiczne" wizje, takie jak anioły z Mons. Wielu żołnierzy donosiło, że widzieli takie istoty w czasie gwałtownych walk towarzyszących wycofywaniu się wojsk brytyjskich spod Mons w 1914 roku. To pouczająca analogia, bo choć to postacie wyimaginowane, anielscy wojownicy byli realnymi zjawami w umysłach żołnierzy, którzy znajdowali się w niezwykłym stanie emocjonalnym, wywołanym okrucieństwami wojny.

Wizje zbiorowe

Jung twierdził, że grupy ludzi ogarnięte takimi emocjami, skłonne są ulegać zbiorowym wizjom. Wizje te będą projekcjami — jest to słowo o kluczowym znaczeniu — przyjmującymi formę pewnej odpowiedzi na ich emocjonalne potrzeby.

Mówiąc krótko, współczesny człowiek w różny sposób „poszukuje duszy". To poszukiwanie, ze wszystkimi towarzyszącymi napięciami, koszmarami i rozpaczą, prowadzi często do zbiorowych projekcji, których rezultatem są wizje, pogłoski, masowa panika lub dziwaczne wierzenia. To właśnie w nich Jung widział proces formowania się mitu (podtytuł jego książki *Flying Saucers* brzmi: „Współczesny mit o rzeczach widywanych na niebie").

Jung sugeruje więc, że UFO są projekcjami mitów. Mogą być kolejnym zwiastunem pewnych współczesnych doniosłych przewrotów w zbiorowej psychice rodzaju ludzkiego. Interesujące jest, że niektórym transformacjom, do jakich dochodziło na przestrzeni wieków, towarzyszył napływ — w religii, sztuce i literaturze — najbardziej dominujących i wpływowych archetypów. A latające dyski, czy też spodki, jak mówił o nich Jung, są nowoczesnymi wizjami być może najpotężniejszego ze wszystkich archetypów — nazwanego przez Junga „mandalą".

Słowo to pochodzi z sanskrytu. Sztuka i religia Hindusów pełna jest takich symboli. Lecz mandale występują dosłownie wszędzie — od rysunków współczesnych dzieci po starożytne kamienne kręgi, od obrączek w uroczystym obrzędzie zaślubin w kościołach chrześcijańskich po kręgi dantejskiego *Piekła* i w bazgraninie na marginesach dokumentów zapracowanych biuralistów. Mandala to zasadniczo zwykły krąg, chociaż istnieje wiele jego odmian. Może zawierać także wiele ważnych dodatków jak centralne jądro bądź kwadrat; mogą w nim występować inne koncentrycznie położone koła. Oznacza zakończenie, całość, jedność.

To znów kieruje naszą uwagę na współczesnego człowieka. Żyjemy w zdezintegrowanym świecie — podzielonym jak umysł schizofrenika, w którym nie zachodzi niemal komunikacja pomiędzy jego częściami, gdzie rozwinięta technika podtrzymuje wprawdzie nasze życie, ale jednocześnie zagraża mu bezpośrednią zagładą. Ciemne irracjonalne impulsy ludzkiej natury, które odrzucał rozum, i które, jak wierzono w XVIII i XIX wieku, zniknęły ostatecznie dzięki postępowi cywilizacyjnemu, w XX wieku powróciły i zatriumfowały. My też jesteśmy podzieleni wewnętrznie aż do końca naszych dni. Wartości materialne zapewniły nam wysoki standard życia — ale zdewaluowały wszystkie obszary „nieracjonalne" — emocje, instynkty, wyobraźnię, impulsy religijne itp. Chrześcijański — z nazwy — świat nie potrafi już czerpać siły ze swojej religijnej tradycji. Mówiąc słowami Carla Gustawa Junga: „Nasze mity stały się niemowami, nie potrafią udzielić żadnej odpowiedzi".

Jung nie twierdzi, że jego pogląd o chorym świecie jest czymś oczywistym. Liczy się efekt — dysocjacje wywołują napięcia, choroby i potężne deformacje obszarów nieracjonalnych, które zostały podzielone i zdegradowane. Umysł ulegający dysocjacji domaga się leczenia, którego efektem ma być ponowne połączenie jego części w jedną całość. To za sprawą tej nieświadomości współczesny człowiek, który tęskni, jest nieszczęśliwy i ma chorą duszę, dokonuje wszędzie projekcji mandali, także na niebie.

Jung uważał, że niektóre spotkania z UFO lub marzenia senne na ich temat mogą nieść ze sobą elementy seksualnej symboliki. Lecz o wiele bardziej istotne dla Junga były wyjątkowe elementy mandali UFO, które, jak uważał, są odmianą archetypu, niezwykle pasującą do naszych czasów. Czyż w naszym stechnicyzowanym wieku mógłby istnieć bardziej odpowiedni obraz uzdrawiającej całości niż tajemnicza latająca maszyna, fragment niebiańskiej maszynerii?

Jung opisał także kilka sytuacji, w których różne osoby twierdziły, że miały bliskie spotkania z UFO, a nawet były unoszone do góry i zabierane na krótko w przestrzeń przez łagodne i podobne do bogów istoty. Nie wierzył nigdy w te opowieści. Pisał, że w takich wypadkach tęsknota za pełnią przyjęła bardziej precyzyjną i spersonalizowaną formę pragnienia i marzenia o Zbawicielu — lepszej od człowieka istocie, pojawiającej się, aby nam pomóc odnaleźć ulgę i lekarstwo, których sami nie potrafimy znaleźć.

Wizje w burzliwych czasach

W tej części swojej analizy Jung wskazał, że „rzeczy widziane na niebie" istniały przez wiele wieków, zanim w XX wieku przyjęły formę tajemniczych statków kosmicznych. Nienaturalnie poruszające się latające kule i dyski pojawiają się w zapiskach o dziwnych wizjach i niewytłumaczalnych zjawiskach widywanych w burzliwych czasach.

Jung wskazał, że bez znaczenia jest to, czy rzeczywiście na niebie coś się pojawiło. Jeśli UFO nie istnieją w obiektywnej rzeczywistości, wówczas mogą być zdefiniowane jako projekcja całego kompleksu wcześniej opisanych emocji. A nawet jeśli istnieją, to i tak mogą być uważane za projekcję — podobną do innych nieświadomie przez nas dokonywanych projekcji olbrzymiego zasobu symbolizmu, z całą potęgą archetypów, na wiele rzeczy lub osób znajdujących się w naszym otoczeniu (takich jak klejnoty lub broń, gwiazdy filmowe czy politycy).

W swoich ostatnich analizach Jung nie wykluczył do końca ewentualności istnienia obiektywnej fizycznej bazy dla „symbolicznych pogłosek" o UFO. Możemy odrzucać jako sny lub halucynacje niektóre fantazyjne opowieści o podróżach w kosmos w towarzystwie wysokich, ubranych w ceremonialne szaty istot, które obiecują zbawić świat. Lecz ekrany radarów i kamery nie śnią ani nie mają halucynacji. Jung doskonale zdawał sobie sprawę z istnienia podbudowanych solidnymi dowodami przypadków, w których obrazy zarejestrowane na ekranie radaru i fotografie zdawały się potwierdzać istnienie UFO. Jung pisał: „Albo psychiczne projekcie odbijają echo radaru, albo też pojawienie się realnych obiektów stwarza okazję do projekcji mitów".

Oczywiście Jung ironizował. Nie wierzył, żeby psychiczna projekcja mogła oddziaływać na ekrany radarów. Warto bliżej przyjrzeć się temu poglądowi, chociażby dlatego, że w mediach i wśród innych obrońców racjonalnego *status quo* niezmiennie utrzymuje się pragnienie, by wykorzystać każdą nadarzającą się okazję do oczernienia Junga jako łatwowiernego dziwaka o dzikich oczach, pogrążonego w tym, co Freud pogardliwie nazywał „czarnym błotem okultyzmu". Krytycy Junga konsekwentnie przekręcali wyniki jego badań na temat alchemii, astrologii i „irracjonalności". Taka postawa musiała prowadzić nieuchronnie także do błędnej interpretacji tego, co Jung mówił o latających spodkach.

Natomiast Jung był zawsze otwarty na niezwykle obszerny materiał, który mógł wnieść wkład do jego rozumienia ludzkiej nieświadomości. Zanalizował symboliczny kontekst, w jakim jest mowa o UFO. Zauważył, że w nieustannie rosnącej liczbie doniesień na temat UFO i badań nad nimi istnieje ważna grupa „danych", które miałyby tylko wtedy sens, gdyby na niebie pojawiały się realne obiekty, nawet, jeśli ci, co je widzieli, błędnie je interpretowali.

Po opublikowaniu książki o latających spodkach, Jung utrzymywał żywy kontakt z jedną ze swoich bratanic w Szwajcarii, również zainteresowaną UFO. Jak twierdzi Gordon Creighton z „Flying Saucer Review", z upływem lat Jung coraz bardziej zdecydowanie wychodził poza pogląd, że UFO mogą być jedynie symboliczną projekcją silnego archetypu. Niezależnie od tego, co mogą z tego uczynić nasze nieświadome pragnienia i jaki efekt wywierają na głębię naszej psychiki, Jung był coraz bardziej przekonany, że za tym zjawiskiem kryje się coś realnego.

Jung nie uważał siebie za proroka, lecz za psychologa i naukowca-obserwatora. Historia obfituje jednak w przykłady, że naukowiec dzięki obiektywnym studiom i obserwacjom dostrzega prawdę, z której jego krótkowzroczni współcześni, nie sprawdziwszy nawet wyników, nieustannie kpią. Poglądy Junga o UFO mogą się okazać pewnego dnia kolejnym takim przykładem.

DWA

ELEKTRYZUJĄCE DOŚWIADCZENIA

Jedną z osobliwości historii związanych z UFO jest ciąg wydarzeń, w których wiele incydentów ma miejsce wśród małej społeczności i to w ciągu zaledwie kilku dni.

Wydaje się, że opisane poniżej bliskie spotkania z UFO, do których doszło w południowo-wschodniej części Wielkiej Brytanii łączy miejsce i czas. Jest w tym jednak coś bardzo dziwnego i niewytłumaczalnego, co sugeruje, że gdybyśmy odnaleźli brakujące ogniwo, zrozumielibyśmy być może przesłanie tych, którzy stoją za zjawiskiem UFO i być może próbują nam coś zakomunikować.

Pierwsze zdarzenie miało miejsce w niedzielę 14 września 1965 roku około pierwszej w nocy. Paul Green, dwudziestodziewięcioletni inżynier, jechał motocyklem na południe drogą numer B1025, łączącą Colchester i West Mersea w Essex. Wracał do domu od swojej narzeczonej. Motocykl spisywał się doskonale, pokonywał trasę z prędkością 70 kilometrów na godzinę.

Green minął wieś Langenhoe i zbliżał się do Pete Tye Common, gdzie wyprzedził motorowerzystę. Około minuty później, gdy dojeżdżał do Langenhoe Hall, usłyszał nagle wysoki buczący dźwięk po swojej lewej stronie, na wschodzie. Kiedy dźwięk stał się głośniejszy, podniósł wzrok spodziewając się ujrzeć nadlatujący samolot, lecz zobaczył jedynie niewielki punkt niebieskiego światła, znajdujący się 8 kilometrów na wschód, mniej więcej nad miastem Brightlingsea.

Głośne światło

Paul Green dostrzegł, że światło mruga, a potem nabiera mocy, zaczyna pulsować i rusza w jego kierunku. Błyskawicznie przybrało większe rozmiary. Jednocześnie narastało buczenie. Kiedy obiekt znalazł się nad Langenhoe Marsh, silnik motocykla Paula zaczął się krztusić i prychać. Po wielu nieudanych próbach wyrównania obrotów, silnik zgasł. Wygasły też światła motocykla. Dziwne błyskające niebieskie światło znajdowało się już w odległości około 2 kilometrów od Paula, po wschodniej stronie drogi.

Bacznie obserwując niezwykle jasne światło, Paul spostrzegł, że otacza ono olbrzymi obiekt, który przypominał ogromną obracającą się pokrywę. Wyglądał jak wielki zbiornik na gaz z kopułą w górnej części. Błyski niebieskiego światła wydobywały się z wnętrza kopuły. Poruszający się w kierunku Paula obiekt zatrzymał się w pewnym momencie i zaczął obniżać. Pochylił w jego kierunku dolną część. Przy zewnętrznej jego krawędzi znajdowało się wiele okrągłych obiektów równomiernie od siebie oddalonych, co wywołało u Paula wrażenie, jakby obserwował „wyścig świecących kul”.

Paul Green zeskoczył z motocykla i mimowolnie zrobił kilka kroków w stronę obiektu, szybko jednak, chwiejąc się, stanął. Później powiedział: „Czułem się jak zaczarowany, nie mogłem się ruszać ani mówić, jakby mnie sparaliżowało. Pulsujące niebieskie światło stało się tak intensywne, że aż bolały mnie oczy, migało w rytm bicia mojego serca. Nagle światło uderzyło mnie w klatkę piersiową. Odczuwałem mrowienie, podobne do porażenia prądem przy dotknięciu elektrycznego pastucha”.

W końcu buczenie ustało, a UFO oddaliło się w kierunku domów w Wick. Mniej więcej w tym czasie nadjechał z hałasem motorower, który Paul wcześniej wyprzedził. Pojazd stanął. Jadący nim chłopak w skórzanej kurtce zeskoczył z siodełka i jak zamurowany wpatrywał się w pulsujące światła. Paul nie miał czasu z nim porozmawiać.

„Głowa zaczęła mi pulsować — relacjonował później — czułem się, jakby zaciskano wokół niej obręcz. Ogromnym wysiłkiem zmusiłem się do wykonania kroku, chwyciłem motocykl i próbowałem go uruchomić”. Kiedy rozpędził maszynę, silnik zaczął pracować. Paul wskoczył na siodełko i spiesznie odjechał do domu. Po krótkiej jeździe, wysokie żywopłoty ukryły go przed tą „rzeczą”, lecz nadal widział błękitną poświatę na niebie.

Na nieszczęście Paul był tak przerażony tym spotkaniem i przykrymi fizjologicznymi następstwami, że nawet nie pomyślał, aby zamienić kilka słów z chłopakiem na motorowerze. W ten sposób stracona została szansa uzyskania dowodu potwierdzającego wydarzenia tamtej nocy.

Paul Green przyjechał do domu o drugiej w nocy. Obudził swoją ciężko schorowaną matkę i opowiedział jej o całym zdarzeniu. Rankiem jego włosy i ubranie były tak naelektryzowane, że bez przerwy wydawały trzaski.

Potężne pole magnetyczne

Dwa tygodnie po tym przerażającym przeżyciu, jeden z regularnych „dochodzeniowców” z „Flying Saucer Review”, doktor Bernard Finch, przeprowadził rozmowę z Paulem Greenem. Finch był przekonany, że opowieść Paula była prawdziwa. „Opisał objawy, które występują tylko pod wpływem działania potężnego pola magnetycznego na ludzki organizm” — stwierdził doktor. Wysunął tezę, że jeśli to pole było wystarczająco silne, mogło wytworzyć rodzaj światła nie znany współczesnej nauce.

Ciąg dalszy tej historii jest równie interesujący. Kilka dni po tym zdarzeniu Paul rozmawiał o nim z przyjacielem, który mieszkał w Shrub End, około 8 kilometrów na północny zachód od Langenhoe. Przyjaciel powiedział Paulowi, że mniej więcej w tym czasie, kiedy Paul widział UFO, był w domu i nagle jego pies zaczął szczekać. Otworzył drzwi, żeby wypuścić psa na dwór, i zobaczył silne niebieskie światło szybko przelatujące nad jego domem w kierunku północno-zachodnim.

Sześć dni później, w odległości około 30 kilometrów od miejsca bliskiego spotkania z UFO pod Langenhoe, zdarzył się inny dziwny incydent. Dwudziestopięcioletni Geoffrey Maskey zatrzymał swój samochód na drodze do Felixstowe, znanej jako Walton Avenue. Towarzyszyli mu dwaj przyjaciele, Michael Johnson i Mavis Fordyce. Było w pół do jedenastej wieczorem, gdy nie mówiąc ani słowa, Michael nagle otworzył drzwi auta, wysiadł i zniknął w ciemnościach. Po kilku minutach czekający na niego przyjaciele usłyszeli głośne, ostre bzyczenie.

Mavis zaniepokoił się, Geoff zaś wyglądał przez okno próbując odnaleźć źródło tego dźwięku. Ujrzał rozjarzony pomarańczowy owalny obiekt liczący około 6 metrów długości, który znajdował się około 30 metrów nad drogą. Pomarańczowa poświata zalewała wszystko w najbliższej okolicy.

Porażająca siła

Obiekt, ciągle bucząc, zniknął za drzewami. Geoff zawołał Michaela, a ponieważ nie usłyszał głosu kolegi, ruszył w drugą stronę drogi i znów go zawołał. Nagle, Michael pojawił się, przedzierając przez żywopłot. Trzymał się za szyję i pocierał oczy. Dwaj przyjaciele myśleli, że się wygłupia. Ale Michael nagle upadł na drogę. Kiedy Geoff podbiegł do niego, stwierdził, że Michael stracił przytomność. Przyjaciele wciągnęli go do samochodu i zawieźli do szpitala w Felixstowe, gdzie Michael odzyskał przytomność. Lekarz uznał, że był to silny szok. Na szyi Michael miał ślady poparzeń, a pod prawym uchem guza. Na wszelki wypadek przewieziono go do szpitala w Ipswich. Geoffowi Maskeyowi pozwolono się z nim zobaczyć dopiero następnego dnia po południu, kiedy wypuszczono go ze szpitala. Michael opowiedział wtedy o dziwnej sile, która wyciągnęła go z samochodu, i o człowieku w płomieniach, który wskazywał na niego.

Godne uwagi jest to, że jeśli rzeczywiście była tam jakaś siła zdolna do wyciągnięcia człowieka z samochodu (czy też, co bardziej prawdopodobne, do wydania mu telepatycznie nakazu opuszczenia wozu), to z pewnością działała ona na zasadzie selekcji; ani Mavis, ani Geoff nie znaleźli się pod jej wpływem.

Zajście opisał „Ipswich Evening Standard", twierdząc, że lekarze w szpitalu w Felixstowe mówili żartobliwie o Marsjanach i skłonni byli traktować historię opowiedzianą przez Geoffa i Mavisa jako świetną opowiastkę. Sugerowano, że trzej mężczyźni wzięli płomienie z lokalnej wytwórni propanu za UFO. Świadkowie zdecydowanie zaprzeczyli temu twierdzeniu.

Kiedy zastanowimy się nad spotkaniem w Langenhoe, musimy dojść do przekonania, że tamtej nocy w Felixstowe zdarzyło się coś dziwnego. Istota tego wydarzenia pozostaje jednakże tajemnicą.

SKRĘCAJĄCE PROMIENIE

W dwóch przedstawionych w tym rozdziale zdarzeniach w Australii i Francji mowa jest o tym, że UFO potrafią zginać promienie światła. Umiejętność ta podważa znane nam prawa fizyki.

Przyzwyczajeni do konwencjonalnej fizyki nowicjusze ufologii kręcą głową z niedowierzaniem, gdy docierają do nich relacje o niezwykłych zdarzeniach, do jakich czasami dochodzi podczas spotkań z UFO. Wśród najpoważniejszych relacji są doniesienia o promieniach światła, które błyskawicznie się zatrzymują lub wykonują gwałtowny skręt, mimo że nic ich nie pochłania, nie załamuje ani też nie odbija. W dwóch przedstawionych tutaj zdarzeniach światło reflektorów zachowywało się w równie nieprawdopodobny sposób.

12 kwietnia 1966 roku „Daily Express" opublikował informację o trzydziestoośmioletnim Ronaldzie Sullivanie. Jechał on swoim samochodem w księżycową noc w okolicach Bendigo w południowej Australii. Nagle zauważył, że w zagadkowy sposób światła jego reflektorów skręciły w prawo. W oświadczeniu dla policji w Maryborough, niedaleko Melbourne, stwierdził, że uniknął wypadku z największą trudnością i kiedy się zatrzymał, zobaczył na polu po drugiej stronie drogi „rozrzedzone światła" we wszystkich kolorach tęczy. Pokazowi świateł towarzyszyło pojawienie się obiektu, który wzniósł się pionowo nad ziemię do wysokości około trzech metrów, a potem zniknął.

Kiedy Sullivan powrócił kilka dni później na miejsce tego zdarzenia, dowiedział się, że poprzedniego wieczora inny motocyklista, Gary Turner, zginął w wypadku w tym samym miejscu. Policja w trakcie dochodzenia odkryła na świeżo zaoranym polu, w odległości około 20 metrów od płotu, koliste zagłębienie o średnicy 1,5 metra, liczące od 5 do 13 centymetrów głębokości. Policjanci uznali Sullivana — szanowanego biznesmena — za w pełni wiarygodnego świadka. W raporcie zapisali, że zapewnił ich, iż nie wierzy w UFO.

Na tym kończył się tekst w „Daily Express". Nawiązująca do niego depesza agencji Associated Press była bardziej szczegółowa. Spotkanie Sullivana z UFO nastąpiło 4 kwietnia 1966 roku, powrócił na to miejsce

8 kwietnia, i to wtedy dowiedział się o tragicznym wypadku, do którego doszło 7 kwietnia. W informacji opublikowanej w „Melbourne Herald" jest mowa o tym, że Sullivan pojechał do pobliskiego Wycheproof, gdzie przed pójściem na policję skontrolował reflektory, które, jak się okazało, były w znakomitym stanie. Ujawniono także, że incydent ze skręceniem świateł reflektorów i tragiczny wypadek wydarzyły się na prostym odcinku drogi między Bendigo i St Arnaud, 15 kilometrów na wschód od Bealiba, małej mieściny położonej prawie 210 kilometrów na północny zachód od Melbourne.

Dostępne informacje skłaniały do wysunięcia hipotezy na temat tego, czy skręt świateł reflektorów spowodowany został przez przypadkowe wjechanie samochodu Sullivana w pole oddziaływania UFO, czy też, jeśli incydenty z 4 i 7 kwietnia miały ze sobą jakiś związek, był wynikiem celowej akcji, wrogiego działania — ludzi lub obcych.

Kapryśne refleksy

W komentarzu zamieszczonym we „Flying Saucer Review" naukowiec Stephen L. Smith ubolewał nad brakiem ważnych szczegółów, takich jak opis samochodu Sullivana, głównie mechanizmu nachylenia żarówek zastosowanego w reflektorach i ich dokładnej pozycji, gdy doszło do skrętu promieni. Wskazał na trzy ewentualne wyjaśnienia: że promienie skręciły już przy żarówkach; iż skręt nastąpił gdzieś dalej wzdłuż snopu światła lub że pod wpływem iluzji lub halucynacji Sullivanowi wydało się, iż światła reflektorów skręciły.

Smith napisał, że jego koledzy z grupy dochodzeniowej na Uniwersytecie w Cambridge wysunęli hipotezę na temat tego, w jaki sposób może dojść do wywołania iluzji z powodu wygaszenia części promienia reflektora z lewej strony, „ze względu na rozbieżność wywołującego wrażenie, jakby skręcał w prawo, a to z powodu refleksu wywołanego brakiem cząsteczek kurzu, w których zwykle widoczne są promienie reflektorów".

Istnieją również inne wytłumaczenia. Jeśli powodem tego zjawiska były halucynacje, to być może zostały one spontanicznie wywołane w mózgu świadka. A może spowodowane zostały jakimś działaniem zewnętrznym, na przykład polem oddziaływania emanującym z obiektu, który Sullivan obserwował?

Drugie zdarzenie, którym bliżej się zajmiemy, wydarzyło się 12 sierpnia 1972 roku około 10 kilometrów na północ od Cluny we wschodniej Francji. Poprzedniego dnia wiele osób w różnym wieku — najliczniej reprezentowana była młodzież — zebrało się w protestanckim klasztorze w Taize na obchody święta zorganizowanego przez jego założyciela, ojca Rogera Schutza.

Wydarzenia, które rozegrały się w Taize we wczesnych godzinach rannych 12 sierpnia 1972 roku, zostały zrelacjonowane żandarmerii w Cluny, a potem francuskiej organizacji zajmującej się UFO, Lumiéres dans la Nuit, która przeprowadziła własne śledztwo, nadzorowane przez dyrektora szkoły nazwiskiem Tyrode. Według relacji przedstawionej żandarmerii, grupa 35 młodych ludzi zebrała się na dyskusję w wiejskim teatrze pod gołym niebem, między namiotami gości tuż obok górskiego grzbietu, na którym stał także budynek wspólnoty. Od zachodu budynek spoglądał na łagodnie opadającą dolinę, grzbiet górski zwany La Cras i wznoszące się wyżej za nim szczyty. Niebo było zachmurzone i wkrótce zaczęło mżyć.

Z miejsca, na którym zebrana była prowadząca poważną dyskusję młodzież, w stronę doliny schodziło duże zaorane pole. Około drugiej nad ranem Renata, dziewczyna pochodząca z Sardynii, pokazała F. Tantotowi z Macon, młodemu chłopakowi z Dijon i pewnemu włoskiemu studentowi „spadającą" gwiazdę. Zanim jednak inni się odwrócili, powiedziała im, że gwiazda „wylądowała". W ciągu kilku chwil wszyscy zebrani w teatrze dostrzegli obiekt, jak się im zdawało, stojący na zboczu La Cras zwrócony w ich stronę i znajdujący się na tej samej wysokości co oni. Wszyscy obecni usłyszeli także gwizd, kiedy UFO zaczęło zbliżać się w ich stronę. Zobaczyli również, że z lewej strony jego manewry ograniczało pole zboża (na jego jasnym tle UFO wydawało się ciemne), a z prawej olbrzymie drzewo stojące na grzbiecie wzgórza. UFO, jak to określono, swoimi rozmiarami przewyższało autokar.

Wszyscy świadkowie zobaczyli teraz, że w UFO zapłonęło siedem żółtych świateł umieszczonych w jednym rzędzie, a potem dwa pomarańczowe po lewej stronie. Następnie pięć żółtych świateł zaczęło emitować promienie, które stopniowo rozszerzały się ku ziemi. Po lewej stronie nad promieniami można było zauważyć dwie kopuły. Niektórzy świadkowie odnieśli wrażenie, że snopy światła stanowiły podpory, na których wspierał się obiekt. Wydawało się, jakby były wykonane z mocnego tworzywa. W tym momencie niektórzy świadkowie poczuli mrowienie w palcach i kolanach.

Gdy promienie światła dotarły do gruntu, z tyłu obiektu po prawej stronie zauważono snop czerwonych iskier, które szybko wygasły, a w miejscu, w którym się pojawiły, widać teraz było trzy małe dyski; każdy z nich miał dwa czerwone punkty świetlne. Zaczęły one wirować wokół głównego obiektu i trwało to aż do końca tego niecodziennego spotkania.

Tajemnicze błyski

Około trzeciej nad ranem czworo pierwszych świadków zdecydowało się przyjrzeć z bliska obiektowi. Uzbrojeni w pochodnie wyruszyli przez pole, obserwowani przez pozostałe trzydzieści osób zebranych w teatrze. Zeznali potem, że główne promienie obracały się wokół poszczególnych pionowych osi. Nagle drugi promień z lewej strony stał się jaśniejszy, a deszcz czerwonych cząstek wypełnił przestrzeń wokół czwórki śmiałków i pokrył ziemię. Potem pojawił się szereg iluminatorów w białym świetle, które zniknęło po dwudziestu minutach, gdy olbrzymi promień światła po lewej stronie obiektu zaczął błyskać.

Nieustraszona czwórka dotarła już do połowy pola i wtedy zorientowała się, że ma przed sobą ciemny, przypominający stóg siana kształt, wysokości 5–6 metrów, wokół którego w chaotyczny sposób poruszał się punkt czerwonego światła. Świadkom zdawało się, że przed tym obiektem dostrzegają żywopłot wysokości 3 metrów, i to w miejscu, gdzie jak wiedzieli, nie było żadnego żywopłotu. Kiedy machnęli zapaloną pochodnią w kierunku obiektu, promień nagle obrócił się pionowo w górę około 50 centymetrów od żywopłotu, rozproszył się i wkrótce zniknął w powietrzu.

Późniejsze próby oświetlenia obiektu za pomocą wszystkich pochodni, jakimi dysponowali świadkowie, skończyły się w ten sam sposób, zaniepokojona czwórka zaś chciała wracać do swoich kolegów. Kiedy jednak światła UFO nagle zgasły, po to, by za chwilę rozbłysnąć ponownie, a trzy dyski zniknęły w centralnym obiekcie, Tantot machnął swoją pochodnią w tamtym kierunku. Jakby w odpowiedzi, podniósł się największy z promieni światła emitowany przez UFO, tak że bezpośrednio oświetlał świadków. Oślepieni i czując napływ ciepła, podnieśli ręce, aby osłonić oczy. Tymczasem UFO zaczęło się nagle oddalać, przyspieszając, w stronę Cluny. Była 4.40 rano, gdy statek ostatecznie zniknął z zasięgu wzroku osób zebranych w Taize.

SZALONA NOC W MAINE

Oczy, które zabarwiają się na pomarańczowo, dokładne badania medyczne przeprowadzone przez obcych i późniejsze groźby — to wszystko zdarzyło się podczas zdumiewającej wieczornej przejażdżki dwóch Amerykanów.

Pewnego dnia dwóch „mężczyzn w czerni" odwiedziło doktora Herberta Hopkinsa, lekarza mieszkającego w stanie Maine, zajmującego się w wolnych chwilach zbieraniem informacji na temat spotkań z UFO. Ta dziwna para odwiedziła potem także syna i synową doktora. Sprawa, którą zajmował się wówczas doktor Hopkins, należała do najdziwniejszych wydarzeń, z jakimi się zetknął. Dotyczyła ona dwóch młodych Amerykanów.

Pewnej nocy, gdy przez wiele godzin obserwowali unoszące się w powietrzu UFO, obaj doświadczyli dziwnego zniekształcenia rzeczywistości. Pod wpływem hipnozy Hopkins wydobył później z jednego ze świadków wspomnienia. Człowiek ów został zabrany na pokład statku kosmicznego obcych i poddany badaniom medycznym — takim, o jakich często jest mowa w tak wielu doniesieniach o kontaktach z UFO.

Zjawiska paranormalne, do których wtedy doszło, przypominały zdarzenia, o jakich donoszono przy okazji innych spotkań z UFO. Obu świadkom jakby ktoś podpowiadał, gdzie mają się udać na spotkanie. Zdawało się im, że w tym dziwnym wydarzeniu uczestniczą również zwierzęta z pobliskiej farmy — krowy, kaczki i gęsi. Psychiczny aspekt całej sprawy zbadał doktor Bernard Schwarz, lecz jego wysiłków nie uwieńczył sukces.

Świadkowie byli przerażeni tym zdarzeniem — do tego stopnia, że wzięli za UFO gwiazdy i planety widoczne na nocnym niebie. Obaj mężczyźni byli szczerzy, a ufolodzy nie potrafili wyjaśnić wydarzeń tej szalonej nocy, które tutaj opisujemy.

W październiku 1978 roku, liczący wówczas dwadzieścia jeden lat David Stephens i jego osiemnastoletni przyjaciel wspólnie mieszkali w przyczepie campingowej w miejscowości Norway, w stanie Maine w USA. Obaj początkowo chcieli zachować anonimowość, ale nazwisko Stephensa zostało potem ujawnione w jednym z amerykańskich czasopism poświęconych UFO. Jednak tożsamość jego przyjaciela nie została podana, tak więc tutaj nazwiemy go „Paulem". Znali się zaledwie kilka tygodni. Zdumiało ich to, że w przeszłości obu zdarzały się podobne paranormalne doświadczenia.

David i Paul pracowali na nocną zmianę — David w zakładach przetwórstwa drobiu, Paul w przędzalni — co wyjaśnia, dlaczego obaj byli na nogach jeszcze przed świtem 27 października. Około trzeciej nad ranem słuchali muzyki, gdy usłyszeli dźwięk przypominający eksplozję. Pospieszyli na zewnątrz, lecz nie zobaczyli niczego niezwykłego. Kiedy tak stali, David uznał, że noc świetnie się nadaje na przejażdżkę. Paul zaproponował, żeby pojechali nad pobliskie jezioro Thompson. Ruszyli więc na południe drogą numer 26. Mieli zamiar jechać aż do punktu odległego o około 3 kilometry na wschód od miasteczka Oxford. Chcieli pojechać skrótem do samego Oxfordu, a potem dalej na południe wzdłuż jeziora.

Błyskawiczna podróż

Jednak z ich zamiarów nic nie wyszło. Jak podali w późniejszych oświadczeniach, samochód wbrew ich woli zjechał w prawo na boczną drogę, mimo że Paul z całej siły trzymał kierownicę. Boczna droga prowadziła bezpośrednio do Oxfordu i miała około 8 kilometrów długości. Jazda przebiegała niezwykle gładko i pokonali tę odległość bardzo szybko, w niespełna dwie minuty. Oznacza to, że musieli jechać z prędkością około 240 kilometrów na godzinę.

Po przejechaniu przez Oxford, kontynuowali jazdę wschodnim brzegiem jeziora Thompson, gdzie zauważyli, że krowy na mijanych polach potrząsały głowami to w jedną, to w drugą stronę. Chwilę potem ujrzeli dwa promienie białego światła docierające tu z pola kukurydzy przylegającego do drogi. Spodziewając się nadjeżdżającej ciężarówki, Paul zwolnił. Ku ich zaskoczeniu, źródło światła podniosło się znad drogi. Paul zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Opuścili szyby, spodziewając się, że zobaczą helikopter. Ale nie słyszeli żadnego dźwięku. Ujrzeli natomiast cylindryczny obiekt wznoszący się za drzewami, które ograniczały pole. Otaczały go kolorowe światła, które zgasły, gdy obiekt wzniósł się ponad drzewa.

Zaniepokojeni mężczyźni włączyli silnik i pospiesznie odjechali, zamykając przy tym okna i blokując drzwi. Jadąc na południe, zauważyli

snop niezwykle jasnego światła, lecz nie pamiętali, co się z nimi dalej stało aż do chwili, gdy ocknęli się w samochodzie zaparkowanym na drodze odchodzącej od asfaltowej jezdni, po której jechali, i blisko pola kukurydzy, przy którym doszło do pierwszego spotkania. Okna samochodu były teraz lekko otwarte, drzwi odblokowane. Mężczyźni dokonali niepokojącego odkrycia: David zobaczył, że oczy Paula były pomarańczowe, Paul stwierdził to samo zjawisko u Davida, z wyjątkiem czarnych źrenic.

Choć UFO było nadal widoczne na tle nieba, David i Paul zdecydowali się pojechać do miasteczka West Poland. Tam zawrócili i przejechali tę samą trasę, którą właśnie pokonali. Zanim przejechali 3 kilometry, UFO zniknęło. Zawrócili więc znowu i pojechali na południe. Nagle, pod wpływem niejasnego impulsu, Paul skręcił z zaplanowanej trasy na żwirową drogę, prowadzącą do stawu o nazwie Tripp Pond. Kiedy zawrócili, zobaczyli cylindryczny obiekt wznoszący się około 30 stopni nad horyzontem i znajdujący się w odległości około 135–180 metrów od nich.

Silnik samochodu przestał w tym momencie pracować i nie udało się go ponownie uruchomić. Potem obiekt zaczął poruszać się w górę i w dół, i przyjął pozycję około 80 stopni nad horyzontem na południowym wschodzie, w odległości mniej więcej 450 metrów.

Akrobatyczny pokaz

David i Paul siedzieli już przez około 45 minut w unieruchomionym samochodzie, gdy pojawiły się dwa podobne do dysków obiekty. Miały czerwone, zielone i niebieskie światła. Każdy z nich rozmiarem odpowiadał mniej więcej jednej czwartej wielkości głównego obiektu. Dyski wykonały potem akrobatyczny pokaz, opadając gwałtownym ruchem, ślizgając się po powierzchni Tripp Pond i wznosząc się szybko, „jakby wspinały się po schodach".

Podczas tego pokazu świadkowie odnieśli wrażenie, że staw, który w rzeczywistości znajdował się w odległości 800 metrów, był od nich tylko 70 metrów i miał wielkość oceanu. Wydawało się im, że akrobacje odbywają się nad wyspą, lecz w Tripp Pond nie było żadnej wyspy.

Nad wodą zaczęła się tworzyć mgła. Zbliżyła się do samochodu i całkowicie go zakryła. Cylindryczny obiekt był nadal widoczny. Radio w samochodzie nagle zaczęło działać — słychać było prognozę pogody, zapowiadającą pogodny i słoneczny dzień.

O 6.30 Paul ponownie spróbował włączyć silnik. Tym razem się udało i przed siódmą rano dojechali do domu rodziny Davida w Oxfordzie. Z późniejszych uwag Davida widać, że doświadczenie, które było ich udziałem, miało w sobie coś ze snu, a każdemu niewielkiemu nawet zdarzeniu, wydawało się towarzyszyć złowieszcze znaczenie: „Dziwaczne było to, że gdy ten wielki obiekt wzniósł się prosto do góry, chmury zdawały się podążać za nim. Po prostu wystartował, a w tym czasie nie przejechał obok nas żaden samochód. Nie widzieliśmy nikogo, żadnego zwierzęcia czy ptaka... po prostu nikogo! Kiedy chmura się rozwiała, przeleciały dwie kaczki, a potem dwie gęsi i znowu dwie kaczki. Latały parami. Zauważyliśmy, że krowy też zbierają się parami".

Obaj mężczyźni wrócili, co było zaskakujące, nad Tripp Pond 28 października o czwartej po południu. Wówczas wokół nich zaczęło padać coś, co wyglądało jak płatki śniegu, a we wszystkich kierunkach przelatywały ze świstem dziwne sześciany i kule.

Rankiem następnego dnia David Stephens był sam w przyczepie. Nagle usłyszał mocne pukanie do drzwi. Gdy je otworzył, stanął twarzą w twarz z potężnie zbudowanym mężczyzną, który miał krótko obcięte włosy, okulary przeciwsłoneczne i ciemnoniebieskie ubranie. Spytał Davida, czy to on widział latający spodek. Kiedy David potwierdził, obcy powiedział: „Lepiej trzymaj język za zębami, jeśli nie chcesz napytać sobie biedy". Potem pobiegł za sąsiedni budynek i nigdy więcej się nie pojawił.

Stracony czas

Rodzina Stephensów poinformowała o spotkaniu z UFO szeryfa hrabstwa Androscoggin i gazetę „Lewiston Daily Sun". Po wstępnym dochodzeniu, Shirley Fickett, zajmująca się badaniami nad UFO, 11 listopada nagrała na taśmę wywiady z obu świadkami. Interesował ją „stracony czas", po tym jak potężny snop światła uderzył w samochód i spowodował utratę przytomności u obu mężczyzn. Chciała, żeby świadkowie zostali przesłuchani po poddaniu się hipnozie i dowiedziała się, że doktor Herbert Hopkins używał czasami hipnozy w leczeniu swoich pacjentów. Traktując to jako naukową przygodę, doktor Hopkins oferował bezpłatnie swoje usługi.

David Stephens miał być przepytany jako pierwszy. Obecni byli jego rodzicie, Fickett i Paul. Później jednak Paul odmówił uczestnictwa w dalszych sesjach i całkowicie wycofał się z dochodzenia. Od grudnia 1975 roku do marca 1976 przeprowadzono osiem seansów hipnotycznych. Pod hipnozą David opowiedział, jak stał obok samochodu, po tym jak promień światła uderzył w wóz. Miał wrażenie, że stoi na „unoszącej się ku górze podłodze" i obserwował przez okno, jak samochód, z siedzącym w środku Paulem, ześlizguje się na bok. Sam znajdował się w pomieszczeniu z zaokrąglonymi ścianami.

Początkowo był sam, lecz po chwili przyłączyła się do niego jakaś istota, która nie była człowiekiem, ale miała ręce i stopy. Dłonie miały po trzy połączone błoną palce i kciuk. Głowa podobna była do grzyba, oczy wielkie białe i skośne, a nos mały; nie widać było ust. Istota nosiła luźną czarną szatę. Porozumiewała się z Davidem, którego imię skądś znała, nie głosem, lecz przez „fale mózgowe".

Próbki krwi

Davida wzięto potem do innego pomieszczenia, w którym znajdowały się cztery podobne istoty. Pomieszczenie przypominało salę operacyjną. Spod prawego łokcia pobrano mu krew — w ilości wystarczającej do wypełnienia dwóch strzykawek. Kiedy obce istoty próbowały nakłonić go do położenia się na stole operacyjnym i poddaniu dalszym badaniom medycznym, David wpadł w szał i uderzył jednego z obcych. Istoty nie odpowiedziały przemocą i w końcu David ustąpił. Rozebrano go i całego dokładnie zbadano za pomocą urządzenia podobnego do pudełka. Istoty starały się być wobec niego przyjazne. Kiedy David wreszcie wrócił do samochodu, Paul sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie był świadomy, że go nie było.

Podczas ostatniego seansu hipnotycznego David popadł w głęboki emocjonalny konflikt, kiedy spytano go o oświadczenie złożone przez obcych, w którym zapowiedzieli oni swój powrót. Zaniechano dalszego wypytywania go na ten temat, ponieważ wyraźnie sprawiało mu przykrość.

SWOISTA LOGIKA

Czy obcy potrzebują wody lub prądu do napędzania swoich statków?

Jedno z najciekawszych doniesień, które znajdują się w aktach dotyczących spotkań z UFO, składa się z nie powiązanych ze sobą informacji o lądowaniu nie zidentyfikowanych obiektów latających na rzekach i jeziorach. Statki te miały tankować ogromne ilości wody. Przedstawimy dwa takie zdarzenia, które dzieli zarówno czas, jak i znaczna odległość. Pierwszy wydarzył się w Japonii, drugi na północy Włoch. W obu wypadkach ilość wody pobrana przez UFO świadczy, że nie była ona przeznaczona jedynie do analiz naukowych; więc do czego? Czy mamy uwierzyć, że UFO są napędzane lub chłodzone wodą lub że ich załogi potrzebują wody do picia lub gotowania?

Trzecie zdarzenie należy do najbardziej zdumiewających spośród tych, o których donoszono z Japonii. Tylko, że w czasie tego zdarzenia nie zaobserwowano żadnego UFO.

Kilka lat temu, do magazynu „Flying Saucer Review" nadeszła ekscytująca relacja o przypadkowym spotkaniu z UFO, które pobierało wodę. Nadesłał ją japoński badacz UFO Jun-Ichi Takanashi z Osaki. Twierdzono w niej także, że niewyraźnie zaobserwowano jakieś humanoidalne istoty. Zdarzenie to nastąpiło w lipcu 1973 roku w Tomakomai, małym przemysłowym miasteczku na południowym skraju wyspy Hokkaido, najbardziej na północ wysuniętej wyspy Japonii. Świadkiem tego zdarzenia był student, dwudziestoletni Masaaki Kudou. Przyjechał do domu na wakacje. Żeby sobie dorobić, podjął pracę nocnego stróża w składzie drzewa.

Po objechaniu samochodem całego terenu, Kudou wrócił na miejsce, z którego mógł obserwować cały teren oraz rozciągającą się za nim zatokę. Usiadł wygodnie, żeby posłuchać radia, zapalił papierosa i odprężył się. Noc była spokojna, gwiazdy doskonale widoczne.

Nagle zobaczył na niebie smugę światła, szczególną „spadającą gwiazdę", która nagle zatrzymała się w locie, znikła, i znów pojawiła. Pozostając w jednym miejscu, światło rozszerzało się i kurczyło z ogromną szybkością. Powiększyło się do wielkości piłki baseballowej. Popędziło przed siebie, a Kudou, czując zawrót głowy, próbował podążyć za nim wzrokiem.

Kiedy światło zaczęło opadać ku morzu, młody student zaniepokoił się, zwłaszcza gdy zatrzymało się w pobliżu odległej cementowni i zaczęło wysyłać w kierunku północnym pulsujące zielone światło.

Następnie obiekt kontynuował opadanie w kierunku morza, tym razem po łuku, aż znalazł się dość blisko studenta. Zatrzymał się mniej więcej na wysokości 20 metrów nad powierzchnią morza. Kudou ze zdumieniem zauważył, jak z obiektu wyłania się przezroczysta rura i opuszcza się do wody. W trakcie tego słychać było łagodny dźwięk — *min-min-min-min* — a tonacja dźwięku obniżała się wraz z opuszczaniem się tuby. Kiedy rura dotknęła wody, jej dolna krawędź rozjarzyła się i zaczęło się wsysanie wody do unoszącego się w górze obiektu.

Moment grozy

Masaaki Kudou zastanawiał się, czy to wszystko przypadkiem mu się nie śni lub też, czy wyobraźnia nie płata mu figla. Na mniej więcej minutę opuścił wzrok, a kiedy znów spojrzał, operacja wsysania wody dobiegła już końca, gdyż tuba została wyciągnięta z wody. Zauważył ten fakt dopiero wtedy, gdy unoszące się UFO ruszyło niebezpiecznie w jego kierunku. Przestraszył się, że zostanie zaatakowany.

Obiekt zajął pozycję około 50 metrów nad samochodem Kudou, który pochylił się do przodu i podniósł wzrok do góry, żeby obserwować obiekt. Powiedział potem, że powierzchnia obiektu była gładka jak powierzchnia piłeczki ping-pongowej i emitowała białą poświatę. Wszystko wokół samochodu było oświetlone jak w dzień. Na obwodzie kulistego obiektu zobaczył okna. W jednym z nich dostrzegł niewyraźny zarys postaci podobnej do człowieka. W innym oknie po prawej stronie zauważył dwie dalsze takie same istoty.

Kudou nadal czuł przymus spoglądania w górę i ulegając mu, dostrzegł na niebie nad samochodem trzy lub cztery nowo przybyłe jarzące się obiekty, podobne bliźniaczo do pierwszego. Pojawił się także wielki ciemnobrązowy obiekt, który wyglądał jak „trzy zbiorniki na benzynę połączone ze sobą dłuższymi bokami". Obiekt unosił się w powietrzu nie wydając najmniejszego dźwięku.

Nagle ten niezwykły pokaz dobiegł końca. Rozjarzone kule szybko zmieniły pozycję i zniknęły w jednym końcu wielkich „jak zbiorniki na benzynę" obiektów. Te wystrzeliły w kierunku północy. Świadek siedział bez ruchu, kompletnie sparaliżowany. Z wolna uświadomił sobie, że z radia płyną pozbawione znaczenia dźwięki, a on sam cierpi na ból głowy. Potem ustalił, że całe przerażające zdarzenie trwało zaledwie 12 minut.

Inny incydent, także związany z wodą, zdarzył się o trzeciej nad ranem 25 lipca 1952, gdy rybak Carlo Rossi przechodził brzegiem rzeki Serchio naprzeciwko San Pietro a Vico w Lucca, na północy Włoch.

Zaintrygowany pojawieniem się niezwykłego światła, dobiegającego z niewidocznego miejsca na płynącej dołem rzece, wspiął się na wysoki brzeg i spojrzał w dół. Zobaczył ogromny kulisty statek o przezroczystej kopule na szczycie i z płytką wieżyczką poniżej, z której wystawały trzy nogi, utrzymując korpus statku nad wodą. Widać było także drabinę i długą tubę, przez którą statek najwyraźniej pobierał wodę. Nagle w górnej części wieżyczki otworzył się iluminator i Carlo zobaczył wyglądającą z niego postać. Wskazała ona na rybaka, który zszedł w dół nasypu. Nad jego głową przeleciał zielony promień. Rybak rzucił się w dół. Kilka sekund później, spoglądając w górę zobaczył statek wznoszący się nad nasypem i odlatujący z dużą szybkością w stronę Viareggio.

Inni obcy nie wykazują jednak żadnego zainteresowania wodą, lecz motywy ich działania są nie mniej tajemnicze. Pewne szczególnie niepokojące zdarzenie miało miejsce wieczorem 3 października 1978 roku. Hideichi Amano jechał drogą prowadzącą po zboczu góry w pobliżu miasta Sayama w Japonii. Towarzyszyła mu dwuletnia córka, Juri. Była 8.30 wieczorem. Amano, właściciel baru szybkiej obsługi był także zapalonym radioamatorem. Prowadził samochód tak, by bez przeszkód móc przez radio rozmawiać ze swoim bratem, mieszkającym w innej części kraju.

Przerażające reakcje

Po pogawędce z bratem i kilku miejscowych telefonach, Amano szykował się do zjazdu z góry, gdy nagle we wnętrzu samochodu zrobiło się bardzo jasno. Światło dziesięciokrotnie silniejsze od dziennego emanowało ze świetlówki, którą zainstalował w samochodzie. Zauważył, że światło ograniczało się tylko do wnętrza pojazdu i nie przechodziło przez okno. Juri, która przed chwilą stała na fotelu pasażera obok niego, teraz leżała przerażona, a z jej ust wydobywała się piana. W tej samej chwili, uświadomił sobie, że przez przednią szybę przechodzi promień pomarańczowego światła, które spoczywa na jego brzuchu. Zobaczył, że światło dobiega z jakiegoś punktu na niebie. Jego niepokój zamienił się w przerażenie, gdy poczuł, że coś metalowego przyciska się do jego prawej skroni.

Amano spojrzał w bok i spostrzegł nieziemskiego humanoida z podobnym do fajki urządzeniem w ustach. To właśnie urządzenie przyciskał do czoła Amano. Z rury dobiegał nieustający szmer, podobny do dźwięku, jaki wydaje taśma odtwarzana ze zbyt dużą prędkością. Czy humanoid czytał fale mózgowe Amano? A może pozyskiwał w ten sposób pewną formę elektryczności?

Według świadka, stwór miał okrągłą twarz, lecz pozbawiony był szyi. Miał dwoje szpiczastych uszu, dwoje małych nieruchomych oczu, które jarzyły się niebieskawobiałą barwą. Na czole widać było trójkątne wgłębienie. W ustach trzymał fajkę. Brakowało mu nosa.

Przerażony radioamator próbował włączyć silnik, żeby uciec z tego miejsca, ale silnik nie reagował, podobnie zresztą jak reflektory. Po czterech, pięciu minutach, stwór zniknął. Zniknęło też pomarańczowe światło i wszystko wróciło do normy. Wciąż pozostający pod wrażeniem tego, co się stało, Amano popędził z dużą szybkością w dół zbocza, a kiedy zjechał niżej, przypomniał sobie o swojej córce. Kiedy zatrzymał samochód, dziecko podniosło się i poprosiło go o trochę wody.

O całym zdarzeniu usłyszeli pracownicy pewnego programu telewizyjnego. Zaproszono Amano na seans hipnozy, podczas którego, przy włączonej kamerze, zadawano mu pytania. Uzyskano wówczas od niego informację, że humanoid kazał mu powrócić o określonym czasie na miejsce tego spotkania. Żeby uniknąć najazdu ciekawskich, informacji tej nie ujawniono widzom. Badacz UFO Jun-Ichi Takanashi nie bardzo jednak wierzył w efekty hipnotycznej sesji, ponieważ „hipnotyzer zbyt ostro domagał się dodatkowych informacji". Podejrzewał nawet, że pomysł drugiego spotkania z humanoidem zrodził się w podświadomości świadka. Fakt, że nigdy nie poinformowano o drugim spotkaniu, dodaje temu argumentowi dodatkowej wagi. Jednak mimo tych zastrzeżeń, Takanashi uważa to spotkanie, w formie w jakiej przedstawiono je w oryginalnej relacji, za „najdziwniejsze, do jakiego doszło kiedykolwiek w Japonii".

ODWIECZNE ZAGADKI

Stoimy w obliczu niedocieczonych, niekiedy straszliwych tajemnic...

Przekład: Andrzej Kaniewski

WPROWADZENIE

Jedną z najbardziej zdumiewających zagadek, na temat których nieustanny spór toczą nie tylko teologowie, lecz także naukowcy i laicy, jest kwestia, czy wizerunek na słynnym całunie turyńskim to rzeczywiście odbicie twarzy samego Chrystusa. A może to tylko obraz — umieszczony tam przez średniowiecznego dowcipnisia, który postanowił stworzyć fałszywy wizerunek, żeby wywołać zamieszanie wśród potomnych?

Z religijnymi doświadczeniami związanych jest wiele zagadek. Co wywołuje zjawisko stygmatów, polegające na tym, że u „wybranych" osób samoistnie otwierają się rany przypominające obrażenia, jakie odniósł Chrystus na krzyżu? Ojciec Pio to tylko jedna z takich osób. Przez pewien czas niemal codziennie leciała mu krew z klatki piersiowej, rąk, stóp i boku. Krwawienia były najbardziej obfite od każdego czwartku do soboty. Blizny naznaczyły jego ciało. Kilkakrotnie bliski był śmierci z powodu utraty znacznej ilości krwi.

A co się stało z panteonem bogów, do których modlili się niegdyś Grecy i Rzymianie, uznający te bóstwa za realne istoty? A może bogowie byli tylko tworem wyobraźni starożytnych? Albo, jak sądzą niektórzy, gośćmi z kosmosu, którzy odwiedzili na krótko Ziemię?

W tej książce przyjrzymy się niektórym największym światowym zagadkom oraz wielu innym zastanawiającym kwestiom. Gdzie znajdują się zaginione kontynenty: Atlantyda, Lemuria i Mu? Jak wyglądało na nich życie?

W jaki sposób te kontynenty znikły? W jakim celu budowano piramidy w starożytnym Egipcie? Czy istnieją wiarygodne dowody na istnienie duchów? Takie tajemnice stanowią doskonałą podstawę do przemyśleń — można się o tym przekonać, czytając tę książkę.

ZMIERZCH BOGÓW

Bogowie i boginie, którzy zamieszkiwali świat w starożytności, dzisiaj nie dają nam żadnych znaków. Dlaczego więc byli tak realni w oczach naszych przodków, a są tak odlegli dla nas?

Większość naszych przedchrześcijańskich przodków wierzyła, że boski duch przenika całą naturę. Bogowie zamieszkujący starożytny świat kontrolowali wszystko — Słońce, Księżyc i gwiazdy, góry, wiatry i rzeki. Na Bliskim Wschodzie wierzono wówczas, że wielka rodzina bogów nieustannie kontroluje życie człowieka.

Starożytny Sumer (którego południowa część znajduje się dzisiaj na terenie Iraku) był jedną z najwcześniejszych kultur urbanistycznych. Jej początki sięgają co najmniej 5000 roku przed naszą erą. Sumerowie wierzyli, że bogowie są właścicielami miast, a człowiek został stworzony wyłącznie po to, żeby uwolnić bogów od nudnej pracy. Ludzie byli niewolniczą siłą, wykonującą takie codzienne obowiązki, jak prace irygacyjne, uprawa roli i budownictwo.

Sumerowie wierzyli także, że świątynie są domami bogów. Umieszczali w nich wizerunki lokalnych bóstw. Budowle te były centrami gospodarczymi. Do świątyń Sumerowie przynosili w ofierze bogom znaczną część tego, co wyprodukowali — zboże, daktyle, mięso i piwo. Kapłani byli sługami boskiej arystokracji. Do ich obowiązków należało ubieranie, mycie, konserwacja posągów i „karmienie" bóstw. W zamian za to bogowie wydawali polecenia dotyczące prowadzenia interesów i wyznaczali królów jako swoich zastępców. Jeśli zachodziła taka potrzeba, w uroczystych procesjach przenoszono bogów na spotkania z bóstwami z innych miast. Podczas tych spotkań bogowie prowadzili poważne dyskusje.

Rządy bogów na Bliskim Wschodzie tłumaczono tym, że jest to sposób na utrzymanie władzy przez kapłanów, którzy wykorzystywali naiwność swoich rodaków. Kapłani twierdzili, że nagrodą za biedę i poddaństwo w życiu doczesnym będzie życie wieczne w lepszym świecie. Lecz chociaż to wyjaśnienie można przyjąć w odniesieniu do Sumerów, to nie wystarcza ono, jeśli chodzi o zachowania Babilończyków. Uważali oni, że po śmierci człowieka jego cień egzystuje w ponurym podziemnym świecie. Ten los nie miał żadnego związku z osiągnięciami danej osoby w życiu doczesnym. W tym kontekście trudno zaakceptować pogląd, że kapłani z premedytacją wykorzystywali zaufanie innych warstw społeczeństwa.

Starożytni Egipcjanie, Fenicjanie i Grecy zawarli podobne umowy ze swoimi bogami. Znaczną część produktu narodowego tych starożytnych cywilizacji przeznaczano na utrzymanie kwater i zaspokajanie codziennych potrzeb bóstw. Świadczą o tym piramidy. Każda z nich przeznaczona była na grobowiec faraona, który ją zbudował — a faraonów uważano za wcielenia bogów. Świadczą o tym także wspaniałe budowle, takie jak Partenon i inne świątynie na Akropolu w Atenach. Starożytni, którzy stworzyli te budowle — wiele z nich mimo upływu tysięcy lat i kiepskiego stanu, w jakim się dziś znajdują, nadal wzbudza grozę — wierzyli głęboko, że ich bogowie istnieją naprawdę. Wiarę tę podtrzymywali hojnymi darami dla bóstw.

Wiele starożytnych cywilizacji czciło prawie identyczne bóstwa; różniły się one tylko imionami. Większość bogów zamieszkiwała niebo. Swoją pozycję osiągnęli pokonując dawne bóstwa. Dzięki temu zapewnili sobie też panowanie nad zjawiskami naturalnymi, takimi jak błyskawice.

Bliźniacze wyrocznie

Ważne znaczenie ma fakt, że w starożytności mieszkańcy basenu Morza Śródziemnego mieli powszechną świadomość wspólnych korzeni swoich religii. Wyrocznia Zeusa w Dodonie w północnej Grecji i wyrocznia egipskiego boga Amuna na pustyni libijskiej spełniały identyczne funkcje. Były przecież wyroczniami bardzo podobnych bóstw. Z pism żyjącego w V wieku przed naszą erą greckiego podróżnika i historyka Herodota dowiadujemy się, że te dwie wyrocznie utrzymywały ze sobą kontakt za pośrednictwem gołębi pocztowych. Kapłani obu bogów publicznie uznali, że wyrocznie mają wspólne pochodzenie, chociaż różnili się w kwestii, jak do tego doszło.

Wprawdzie te podobieństwa można wytłumaczyć rozprzestrzenianiem się kultury, jednak nie jest to argument wystarczający. Pozwala on wyjaśnić podobieństwo form (wspólne symbole, kult wyroczni, rytuały stosowane w świątyniach), lecz nie pokazuje sił, które doprowadziły do powstania w starożytności politeistycznych religii.

A co sądzić o podobieństwach między bóstwami basenu Morza Śródziemnego i bogami prekolumbijskiej Ameryki? Kasta kapłańska w Nowym Świecie stanowiła podobnie jak w Starym Świecie najwyższy szczebel ekonomicznej i społecznej struktury. Ofiary z ludzi, regularnie składane na piramidach Azteków w Meksyku, wyrażały pragnienie zadowolenia bogów, którzy byli bardziej okrutni niż nawet znani z brutalności bogowie starożytnego Sumeru.

W starożytnych kultach na terenie dzisiejszego Meksyku, podobnie jak w religiach Bliskiego Wschodu i Grecji czczono przede wszystkim bóstwa planetarne. Najwyższy bóg Azteków, Quetzalcóatl, pod wieloma względami przypomina Dionizosa i Siwę. Był bogiem-bohaterem, którego śmierć i zmartwychwstanie dają wiernym obietnice odnowionego życia. Najbardziej podobna do Quetzalcóatla była jednak babilońska bogini Isztar. Jej greckim odpowiednik stanowiła Afrodyta. Isztar i Quetzalcóatl były bóstwami-wojownikami i czczono je pod postacią smoka i planety Wenus.

Mity babilońskie i meksykańskie w podobny sposób przedstawiają śmierć obu bóstw, ich pobyt w podziemnym świecie, późniejsze zmartwychwstanie i powrót do nieba pod postacią jutrzenki. Najłatwiej wyjaśnić te podobieństwa tym, że wprawdzie powstały one niezależnie od siebie, ale ich podstawą były obserwacje planety Wenus. Przez długi czas nie widać jej z Ziemi, jakby „zeszła do podziemnego świata".

Wojna bogów

Bardziej ponury wizerunek planet przedstawił w swoich pracach zbuntowany naukowiec i pisarz Immanuel Wielikowski. Pogląd Wielikowskiego na temat globalnych katastrof w ciągu ostatnich kilku tysięcy lat oparty jest na zgodności mitów całego starożytnego świata. Legendy na całym świecie opowiadają te same historie o cudach na niebie i pojawieniu się olbrzymich ciał niebieskich podobnych do komety, po których spadał niszczący wszystko deszcz kamieni i ognia, następowały katastrofalne w skutkach trzęsienia ziemi i przypływy oceanów. Jak podkreśla Wielikowski: „Historie te opowiadane są w różny sposób w różnych częściach globu, lecz ich temat jest zawsze ten sam". Jak wskazał Wielikowski, w centrum światowych mitologii znajduje się „teomachia" — wojna bogów.

Wielikowski twierdzi, że bogowie byli w rzeczywistości planetami, które w dawnych czasach przechodziły poważne zmiany. Na przykład na Jowiszu doszło do gigantycznej eksplozji. Przesuwając się zbyt blisko Ziemi to ciało niebieskie spowodowało rozdzielenie się Morza Czerwonego, plagi egipskie i upadek Jerycha. Wenus zaś powstała z komety.

Może to wyjaśniać, dlaczego Jowisz i Wenus oraz ich greckie odpowiedniki, Zeus i Afrodyta, zajmowały znacznie ważniejszą pozycję w starożytnych panteonach niż bogowie Słońca i Księżyca, mimo że odpowiadające tym bogom ciała niebieskie świecą mocniej niż te dwie planety.

Brytyjscy astronomowie Victor Clube i Bill Napier twierdzili, że teorie Wielikowskiego o „złym" zachowaniu planet są błędne ze względu na prawa dynamiki. Ale akceptują jego teorię wielkich katastrof i twierdzą, że ich przyczyną były komety. Niezależnie od tego, gdzie leży prawda, powinniśmy przyjąć, że realne zagrożenia płynące z nieba wywoływały u starożytnych poczucie lęku przed bogami-planetami.

Mamy więc do czynienia z wieloma teoriami, które starają się wyjaśnić początki i podobieństwo panteonów starożytnego świata: rozprzestrzenianie kulturowe oryginalnych, pochodzących z najdawniejszych czasów religii, kult planet i lęk przed kosmicznymi katastrofami, spowodowanymi przez ciała niebieskie, oraz kult sił natury.

Należy także rozważyć różne „spektralne" zjawiska, takie jak UFO czy spotkania z ludem z bajek. Można też spojrzeć na greckich bogów jak na inteligentne siły, które działały w starożytnym świecie jako poltergeisty, funkcjonujące gdzieś między sferą materialnej egzystencji a czysto psychologiczną rzeczywistością.

Niezbyt zadowalające jest wyjaśnianie powstawania religii czynnikami paranormalnymi. Są one same w sobie bardzo tajemnicze. Czy więc istnieje jedno wytłumaczenie, które byłoby przynajmniej częściowo zrozumiałe dla laików? Czy znamy mechanizm, który mógłby przekształcać różnego rodzaju bodźce — wspomnienia o niezwykłych przywódcach, czy działaniu sił przyrody — i zamieniać ich w bogów?

Z sugestią, że właśnie taki mechanizm jest odpowiedzialny za te zmiany, wystąpił amerykański psycholog Julian Jaynes. Opierając się na współczesnej wiedzy o budowie mózgu, w trafny sposób wyjaśnił poglądy starożytnych. Doskonale wiadomo, że lewa i prawa półkula mózgu kontrolują różne aspekty ludzkiego zachowania. Lewa półkula zwykle zajmuje się językiem, matematyką i funkcjami analitycznymi. Prawa odpowiada za zdolności przestrzenne i jest w większym stopniu zaangażowana w sferę uczuć niż lewa. Twierdzi się, że odpowiada zwykle za działalność intuicyjną i artystyczną. I rzeczywiście, u schizofreników i niektórych epileptyków występuje dostrzegalny brak współdziałania między obu półkulami. W schizofrenii lewa strona mózgu może być źródłem informacji, które po przejściu przez prawą półkulę są interpretowane jako głosy innych ludzi lub przyjmują formę halucynacji.

Badającego religijną i epicką literaturę starożytnych Jaynesa uderzyło podobieństwo procesów myślowych naszych przodków i współczesnych nam schizofreników.

Na przykład w *Iliadzie*, słynnym epickim poemacie Homera o wojnie trojańskiej, bohaterowie nigdy nie podejmują decyzji na własną rękę. Nigdy nie siadają i nie rozważają problemu: rozwiązanie nadchodzi bezpośrednio od boga. Nawet w samym środku bitwy, wojenne dzieło Achillesa przerywa pojawienie się bogini wojny Ateny, która każe zająć mu się jednym z wrogów. Czy jest to rzeczywisty opis zachowań ludzi w tamtych czasach — zachowań, które dzisiaj potraktowalibyśmy jako schizofreniczne lub będące wynikiem inspiracji?

Teorię Jaynesa można zastosować do szerokiej gamy zjawisk, które powszechnie występowały w starożytności: głosy słyszane przez starożytnych proroków, muzy, które inspirowały poetów, lub rozkazy wydawane przez nagrobne wizerunki. Wszystko to można uznać za wytwory umysłów działających jak u schizofreników lub, jak określa to Jaynes, „bikameralnych" (dwukomorowych). Termin ten odnosi się do dwóch połówek czy też komór mózgu. Jaynes wyraził przekonanie, że ten bikameralny aspekt ludzkiego umysłu zaczął zanikać gdzieś między 1500 a 700 rokiem przed naszą erą, być może w wyniku żywiołowych katastrof. Dopiero po tym okresie rozwinęła się świadomość taka, jaką dziś znamy.

Bóstwa mogły więc być powoływane do życia w wyniku bikameralnej aktywności umysłów. Jeśli rzeczywiście tak było, to wówczas łatwo zrozumieć, dlaczego starożytni stworzyli, a potem rozpieszczali swoich bożków. Nie ma natomiast powodów, by przypuszczać, że robili to z naiwności lub głupoty.

Teoria Jaynesa wyjaśnia także, dlaczego starożytni bogowie byli tak „ludzcy" w swoim zachowaniu. Możemy także zrozumieć, dlaczego przez wiele tysięcy lat bogowie zachowali wpływ na umysły Sumerów, Babilończyków, Egipcjan, Azteków i Greków — przez tak długi czas, przez jaki nasi nieco schizofreniczni przodkowie słyszeli ich głosy. Dzisiejsze zjawiska bikameralne — religijna ekstaza, mówienie w różnych językach, proroctwa lub opętanie przez duchy — mogą być nawet postrzegane w tym świetle jako łabędzi śpiew bogów, pulsowanie „boskiej" aktywności w ludzkiej psychice, obecnie znacznie bardziej rozwiniętej niż u naszych politeistycznych przodków przed trzema tysiącleciami.

UKRYTA TWARZ FULCANELLEGO

Kim był ten nieuchwytny mistrz? Podobno alchemikiem, któremu udało się odkryć tajemnicę wiecznego życia.

Nazwisko Fulcanellego od ponad pół wieku pojawia się we współczesnej literaturze okultystycznej oraz różnego rodzaju spekulacjach. Do dziś tajemnicą pozostaje prawdziwe nazwisko owego dwudziestowiecznego alchemika znanego pod tym pseudonimem. Legenda Fulcanellego zrodziła się na początku lat dwudziestych, gdy do paryskich okultystów i alchemików zaczęły docierać okrężną drogą intrygujące wieści o wielkim mistrzu pracującym potajemnie w ich środowisku. Pochodziły one głównie od niejakiego Eugene'a Canselieta. Ten dwudziestoletni uczuciowy szczupły mężczyzna znany był jako zapalony alchemik. W rozpowszechnianiu tych wieści współzawodniczył z nim nie odstępujący go na krok towarzysz i przyjaciel, zubożały artysta i ilustrator, o dwadzieścia dwa lata starszy od Canselieta, Jean-Julien Champagne. Wynajmowali przylegające do siebie mieszkania na szóstym piętrze zrujnowanego domu przy rue de Rochechouart 59 na Montrmartrze. Wkrótce skupił się wokół nich krąg okultystów. Często widywano obu mężczyzn w największych bibliotekach miasta — takich jak Arsenal, Sainte Genevieve, Mazarin i Biblioteka Narodowa — ślęczących nad książkami i rękopisami.

Do osób, które znajdowały się poza tą nieformalną grupą badawczą, docierały informacje, że mistrz Fulcanelli był starszym dystyngowanym bogatym i niezwykle wykształconym szlachcicem lub potomkiem szlachetnego rodu. Mówiono, że jest geniuszem uprawiającym alchemię. Zapewniano, że był o krok od dokonania „Wielkiego Dzieła" — stworzenia kamienia filozoficznego i eliksiru życia, który mógł w nieskończoność przedłużać życie. Może nawet już tego dokonał.

Prawdziwe nazwisko mistrza pozostawało jednak nie znane. Tylko nielicznym dane było go spotkać — wyjątkami byli Champagne i Canseliet. Niektórzy zaczęli nawet powątpiewać, czy mistrz w ogóle istnieje.

Nagle jesienią 1926 roku pojawiły się dowody na jego istnienie — lub przynajmniej pewnej osoby, mogącej za niego uchodzić. Znalazły się one w interesującej książce *Le Mystère des Cathedrales* [Tajemnica katedr], opublikowanej w luksusowej edycji w nakładzie zaledwie 300 egzemplarzy. Podtytuł książki brzmiał: *An Esoteric Interpretation of the Hermetic Symbol of the Great Work* [Ezoteryczna interpretacja hermetycznego symbolu wielkiego dzieła]. Przedmowę napisał Eugene Canseliet, liczący wówczas zaledwie dwadzieścia sześć lat. Książka zawierała 36 ilustracji, w tym dwie kolorowe. Ich twórcą był Champagne. Uważano, że autorem tekstu był Fulcanelli. W książce wyjaśniano, że symbole zawarte w gotyckich katedrach i innych budynkach w Europie to w rzeczywistości zaszyfrowane instrukcje alchemicznych tajemnic. Pogląd ten wyrażali, choć w sposób zakamuflowany, autorzy wcześniejszych prac o ezoteryce. Wśród okultystów książka wywołała pewną sensację.

W przedmowie młody Canseliet dał do zrozumienia, że jego mistrz, Fulcanelli — nazwisko to jest fonetycznie zbliżone do Wulkana, boga-kowala, oraz Heliosa powożącego rydwanem Słońca — otrzymał kamień filozoficzny, tym samym uległ tajemniczemu przekształceniu i został oświecony, a potem zniknął. Canseliet napisał: „Zniknął, kiedy wybiła fatalna godzina, kiedy dokonał się Znak... Fulcanellego już nie ma. Możemy jednak się pocieszyć, że pozostały jego myśli, ciepłe i żywe, umieszczone na zawsze na tych stronach".

Tajemnica długowieczności

Zrozumiałe jest — zwłaszcza ze względu na ogromną wiedzę i niezwykłe umiejętności Fulcanellego — że okultyści gorączkowo spekulowali na temat jego tożsamości. Pojawiły się nawet sugestie, że był członkiem dawnego francuskiego rodu królewskiego, Walezjuszy. Wymarli oni w 1589 roku po zgonie Henryka III. Wiadomo jednak było, że niektórzy członkowie rodu poważnie zajmowali się magią i mistycyzmem. Ponadto Małgorzata z Nawarry, córka Henryka II i żona Henryka IV, żyła do roku 1615. Co więcej, jednym z jej wielu kochanków był interesujący się ezoteryką Francis Bacon. Małgorzata rozwiodła się w roku 1599. W jej herbie był magiczny pentagram. Na każdym z jego pięciu końców znajdowała się litera łacińskiego słowa *salus*, co oznacza „zdrowie". Czy Fulcanelli, o którym mówiono, że jest arystokratą, mógł być potomkiem Walezjuszy? Czy łacińskie motto wskazywało, że przekazano mu pewne ważne tajemnice alchemii dotyczące długowieczności? Były przynajmniej takie możliwości.

Były też inne, wiarygodne przesłanki dotyczące prawdziwego nazwiska Fulcanellego. Niektórzy twierdzą, że był nim sprzedawca okultystycznych książek Pierre Dujols, który wraz z żoną prowadził księgarnię na rue de Rennes w Paryżu. Ale Dujols znany był z tego, że zajmował się jedynie spekulacjami na temat alchemii, pisząc pod pseudonimem Magophon. Wydaje się nieprawdopodobne, by ukrywał się za dwoma pseudonimami. Inna hipoteza sugerowała, że Fulcanellim był pisarz J. H. Rosny starszy. Ale życie tego pisarza było zbyt znane opinii publicznej, by ta teoria mogła zostać powszechnie zaakceptowana.

W owym czasie było w Paryżu trzech praktykujących alchemików. Ukrywali się oni pod pseudonimami: Auriger, Faugerons i dr Jaubert. Przeciwko tezie, że któryś z nich mógłby być Fulcanellim przemawiały mniej więcej takie same argumenty, co w wypadku Dujolsa-Magophona: po co używać więcej niż jednego pseudonimu?

Wreszcie, byli także Eugene Canseliet i Jean-Julien Champagne, bezpośrednio powiązani z książką Fulcanellego. Obaj też twierdzili, że osobiście znają mistrza alchemii.

Argumenty przeciwko uznaniu Canselieta za mistrza były mniej lub bardziej oczywiste: był zdecydowanie za młody, aby mógł zdobyć odpowiednią erudycję i tak wielką wiedzę, jaka została zaprezentowana w *Le Mystère des Cathedrales*. Badania nad stylem jego wstępu do książki wykazały, że różni się on zdecydowanie od tekstu. Różnicę tę widać wyraźnie także w późniejszych pismach Canselieta.

Champagne, przynajmniej do pewnego stopnia, wydawał się bardziej odpowiednim kandydatem. Był starszy i bardziej doświadczony. Dzięki swojej pracy artysty zwiedził wiele katedr, zamków i innych ciekawych monumentów przenikniętych symbolizmem, który Fulcanelli badał i zinterpretował szczegółowo jako klucz do „Wielkiego Dzieła".

Z drugiej strony, Champagne był znanym samochwałą, żartownisiem, kalamburzystą. Nie stronił od kieliszka. Czasami przedstawiał się jako Fulcanelli, ale jego zachowanie dalekie było od wymagań, jakie stawiała tradycyjna uroczysta przysięga składana przez adepta alchemii. Przyrzekał on, że zachowa w tajemnicy swoje nazwisko i pozwoli mówić za siebie swoim dziełom.

Dwa przykłady złośliwego poczucia humoru Champagne'a wystarczają, żeby ukazać przepaść między jego sposobem myślenia a eleganckim umysłem autora *Le Mystère des Cathedrales*. Pewnego razu Champagne przekonał naiwnego młodego zwolennika alchemii, że powinien zakupić znaczną ilość węgla niezbędnego do podtrzymywania odpowiedniej temperatury w jego alchemicznym piecu. Naiwny młodzieniec taszczył worek za workiem do swojego mieszkania na poddaszu, aż w końcu niemal zabrakło miejsca na posłanie. Champagne zakomunikował wówczas niedoszłemu alchemikowi, że dążenie do wiedzy alchemicznej może być daremne i niebezpieczne. Zostawił go z mieszkaniem zawalonym węglem i, co wielce prawdopodobne, z pustym portfelem.

Inny starannie przemyślany figiel Champagne'a polegał na sfałszowaniu listu do wydawcy „Mercure de France". Nadawcą listu był rzekomo Paul le Cour, redaktor i wydawca pisma „Atlantis". Fałszywy le Cour nalegał na stworzenie funduszu finansowanego przez subskrybentów „Mercure", przeznaczonego na budowę pomnika ku czci ofiar legendarnego zaginionego kontynentu. Miał to być niezatapialny grobowiec umieszczony pośrodku Morza Sargassowego. Champagne musiał nieźle się ubawić, gdy prawdziwy le Cour otrzymał pełną oburzenia odpowiedź wydawcy „Mercure". Jakby dla ukoronowania tego wszystkiego, Champagne'a zabiła w końcu niepohamowana skłonność do absyntu. W 1932 roku artysta zmarł w wieku zaledwie pięćdziesięciu pięciu lat z powodu gangreny (jeszcze przed śmiercią odpadły mu palce u stóp). W długiej i ciężkiej chorobie, z powodu której nie opuszczał swojego poddasza w sześciopiętrowej kamienicy, pielęgnował go Canseliet.

Zaledwie trzy lata przed śmiercią Champagne'a ukazało się drugie dzieło tajemniczego Fulcanellego. Nosiło tytuł *Les Demeures Philosophales* [Wywody filozofów]. Wydano je w dwóch tomach, które liczyły w sumie dwa razy więcej stron niż jego pierwsza książka. Tak jak w tamtej pracy, także w nowym dziele zajmował się interpretacją architektonicznych osiągnięć, takich jak sufit pokryty ornamentami występujący w domach i zamkach budowanych od XII do XV wieku. Ornamenty te miały być zakodowanymi informacjami o tajemnicach alchemii.

Ukazanie się tej książki zainspirowało inną teorię na temat rzekomej tożsamości Fulcanellego. Na ostatniej stronie okładki znajdował się herb Dom Roberta Jolliveta, żyjącego w XIII wieku opata Mont Saint Michel, znanego z głębokiego zainteresowania alchemią. Według tej teorii, nazwisko Jollivet miało wskazywać, że żyjący wówczas niejaki F. Jolivet Castelot był w rzeczywistości Fulcanellim. Mniej więcej od 1914 roku

Jolivet Castelot był prezesem Francuskiego Stowarzyszenia Alchemików, a także prominentnym członkiem Zakonu Kabalistycznego Różokrzyżowców. Między 1896 a 1935 rokiem opublikował wiele prac na temat nauk hermetycznych, alchemii i spagiryki — sztuki produkowania specjalnych mikstur przy zastosowaniu zasad alchemii. Ale nie czynił specjalnej tajemnicy z tego, że jest raczej „archimistą" niż alchemistą — to znaczy badaczem, który próbuje za pomocą tradycyjnej chemii osiągnąć transmutację.

Na ostatniej stronie oryginalnego wydania *Le Mystère des Cathedrales* znajdowała się jeszcze dziwniejsza tarcza herbowa. Jako pierwszy zwrócił na nią uwagę badacz okultyzmu Robert Ambelain, który w latach trzydziestych przeprowadził jedno z najbardziej dociekliwych dochodzeń, próbując ustalić prawdziwą tożsamość Fulcanellego. Wśród wielu domniemanych śladów, Ambelain wskazał na łacińskie motto nad tarczą *uber campa agna*, którego fonetyczna wymowa zbliżona była do wymowy nazwiska Huberta Champagne'a. Ambelain twierdził, że Hubert to drugie imię Jeana-Juliena Champagne'a. Zauważył także, że pseudonim „Fulcanelli" jest anagramem *l'écu finale* (ostatniej tarczy), pośrednio wskazującym na wygląd i motto herbu. Jednakże Eugene Canseliet zdecydowanie zaprzeczał, jakoby Champagne, czy też ktokolwiek inny, miał być Fulcanellim. Twierdził ponadto, że Hubert wcale nie było imieniem artysty — chociaż przez czysty przypadek takie imię nosił jego dziadek ze strony matki. Zapewniał także, iż ten przeklęty herb bez jego zgody i wiedzy został włączony przez Champagne'a do pierwszego wydania dzieła mistrza Fulcanellego. Po prostu był to kolejny żarcik artysty.

Canseliet, który utrzymywał, że jest jedynym żyjącym uczniem Fulcanellego, twierdził także, iż napis na grobie Champagne'a, wraz z dokonanym z premedytacją przez artystę sfałszowanym podpisem Fulcanellego, były kolejnymi próbami oszustwa lub wprowadzenia w błąd opinii publicznej.

Tymczasem inny rzekomy podpis Fulcanellego pojawił się na ręcznie wypisanej dedykacji oryginalnego wydania *Le Mystère de Cathedrales*, które Champagne dał okultyście Julesowi Boucherowi. Egzemplarz podpisany był A. H. S. Fulcanelli — takie same inicjały widniały na łacińskim motcie na nagrobku Champagne'a w Arnouvilles-les-Gonesses. Interesujące jest to, że w *Manual of Magic* [Podręcznik magii] Julesa Bouchera jest dedykacja autora: „Mojemu Mistrzowi Fulcanellemu".

Mimo argumentów świadczących przeciwko przyjętej teorii, Ambelain doszedł do wniosku, że Champagne około trzech lat przed swoją straszną śmiercią wynalazł kamień filozoficzny — kamień zamieniający podstawowe metale w złoto i pozwalający wytworzyć eliksir życia.

Lecz jeśli Ambelain ma rację, jak wyjaśnić przedwczesną śmierć Champagne'a z powodu pijaństwa w wieku zaledwie pięćdziesięciu pięciu lat? Wiele osób twierdziło, że Fulcanelli odniósł sukces w transmutacji, w dokonaniu „Wielkiego Dzieła" i że pozostał wśród żywych, co by znaczyło, że ma obecnie ponad sto czterdzieści lat!

MANUSKRYPT PEŁEN TAJEMNIC

Przez stulecia naukowcy próbowali rozwiązać tajemnice niewielkiej, pięknie ilustrowanej księgi znanej jako manuskrypt Voynicha.

Pod koniec 1912 roku nowojorski antykwariusz Wilfred M. Voynich powrócił do swojego rodzinnego miasta z podróży po Europie. Przywiózł ze sobą mały starannie opakowany manuskrypt. Miał okładki z grubego welinu (lub pergaminu), które przy grzbiecie oderwały się od 204 welinowych kartek. Voynich ustalił, że w tomie brakowało 28 stron. Książka miała rozmiary 15 na 22 centymetry. Tekst spisany ciasnym ciągłym pismem, czarnym atramentem, był zilustrowany ponad 400 miniaturami utrzymanymi w kolorze krwistej czerwieni, niebieskim, żółtym, brązowym oraz mocnej zieleni.

Ilustracje pokazywały dziwne zwoje przypominające jelita, nagie kobiety, konstelacje gwiazd oraz setki dziwnie wyglądających roślin. Welin, charakter pisma i znana historia manuskryptu wskazywały, że pochodził on ze średniowiecza. Ponieważ wymieniano w nim wiele gatunków roślin, mógł być czymś w rodzaju herbarza — księgą, na poły naukową, na poły magiczną, pokazującą medyczne i mistyczne właściwości roślin i sposób, w jaki można z nich przyrządzać mikstury i wywary. Było to jednak tylko przypuszczenie, gdyż manuskrypt spisano w języku, którego Voynich nie potrafił odszyfrować. Chociaż tekst można było łatwo podzielić na wyrazy, które wydawały się mniej więcej zrozumiałe, całość nie miała żadnego sensu. Voynich przypuszczał, że napisany był albo w mało znanym języku czy dialekcie, albo szyfrem.

Chociaż Voynich nie był kryptologiem (specjalistą wyszkolonym w łamaniu szyfrów), wiedział co nieco o symbolizmie, choć nie była to wiedza naukowa. Jego teściem był profesor George Boole, angielski matematyk, jeden z pierwszych, którzy używali symboli matematycznych dla wyrażenia procesów logicznych. W uznaniu dla jego prac na temat nowoczesnej logiki symbolicznej przyjęto go w poczet członków Towarzystwa Królewskiego. Voynich wiedział także o istnieniu dowodów sugerujących, że autorem tej dziwnej pracy był Roger Bacon, francuski mnich żyjący w XIII wieku, który łączył studia filozoficzne, matematyczne i fizyki stosowanej z alchemią. Być może 600 lat przed Boolem, Baconowi udało się wynaleźć system logiki symbolicznej. A może po prostu zastosował szyfr, żeby ukryć wyniki swoich badań na temat kamienia filozoficznego i eliksiru życia, unikając w ten sposób oskarżeń o praktykowanie czarnej magii, które w średniowieczu często prowadziły do śmierci na stosie.

Pod wpływem tych intrygujących rozważań, Voynich zaczął sondować świat akademicki w poszukiwaniu rozwiązania. Wykonał dziesiątki kopii manuskryptu i rozesłał je do wszystkich specjalistów z prośbą o pomoc w jego odszyfrowaniu. Do każdej kopii dołączył relację o losach książki.

Wynikało z niej, że kupił manuskrypt na początku 1912 roku, ale nie podał za jaką cenę. Po raz pierwszy natknął się na niego w bibliotece Mondragone College, w szkole jezuickiej we Frascati we Włoszech. Zanim manuskrypt tam trafił prawdopodobnie przez prawie 250 lat spoczywał w archiwum jezuickiego Collegium Romanum. Złożył go tam znany siedemnastowieczny jezuicki badacz i kryptograf Athanasius Kircher, który przez długi czas, ale bez powodzenia, próbował przeniknąć jego tajemnice.

Według listu datowanego 19 sierpnia 1666 roku, Kircher otrzymał książkę od swojego byłego ucznia, Joannesa Marcusa Marciego, rektora Uniwersytetu w Pradze. Została ona umieszczona w zbiorach biblioteki władcy Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego Rudolfa II i znajdowała w niej aż do jego śmierci w 1612 roku. Rudolf zezwolił jezuitom rządzić w części swojego imperium — na Węgrzech, w Austrii, Czechach i na Morawach. Wolał poświęcać swój czas naukom i paranaukom, takim jak alchemia. Szczególnie interesował się botaniką i astronomią. Założył starannie pielęgnowany ogród botaniczny i zbudował w pobliżu Pragi obserwatorium astronomiczne dla żyjącego na emigracji duńskiego astronoma Tycho Brahe i jego asystenta Johannesa Keplera, który opublikował później słynne „tablice rudolfowskie" nazwane tak ku czci jego byłego patrona.

Rudolf najbardziej interesował się jednak alchemią. Spędził mnóstwo czasu i wydał znaczne sumy na zbudowanie laboratorium alchemicznego, do którego zapraszał alchemików z całej Europy. Jednym z nich był Johannes de Tepenecz. Później odkryto jego nazwisko na marginesie manuskryptu Voynicha. Inny, znacznie sławniejszy alchemik doktor John Dee w latach 1584–1588 był tajnym agentem królowej Elżbiety I na dworze cesarza Rudolfa. Wydaje się prawdopodobne, że to właśnie Dee przywiózł ten manuskrypt do Pragi.

Dee przetrwał więzienie, do którego wtrącono go za panowania królowej Marii w 1555 roku pod zarzutem uprawiania czarów, a potem został faworytem jej przyrodniej siostry Elżbiety. Doświadczenia na ciałach zmarłych, które przeprowadzał ze swoim asystentem Edwardem Kelleyem, miały posmak bezczeszczenia zwłok. Posiadł głęboką teoretyczną i praktyczną wiedzę na temat alchemii. Znał się także na astronomii, matematyce, geografii i nawigacji. Jednak ten uczony miał przede wszystkim inklinacje szpiegowskie. Eksperymentował z wymyślaniem szyfrów, a na polecenie swojego szefa lorda Burghleya studiował już istniejące szyfry. Dee głęboko podziwiał prace Rogera Bacona i zgromadził wiele jego manuskryptów. Łączyło go wiele z franciszkańskim mnichem, na przykład obu intrygowało sekretne pismo. Prawdopodobnie to doktor Dee pokazał Rudolfowi II manuskrypt Voynicha, mówiąc mu, że to praca Rogera Bacona. Sir Thomas Browne — twórca terminu „kryptografia" — twierdził, że syn doktora Dee, Arthur, rozmawiał z nim o „książce zawierającej hieroglify, nad którą jego ojciec spędził wiele czasu", lecz nic mu nie wiadomo o tym, aby ją ukończył.

Takie było tło problemu, które Voynich przedstawił światu akademickiemu w 1912 roku. Wywołał on wzburzenie wśród najznamienitszych europejskich i amerykańskich badaczy, gdyż, mimo że grupy liter i „słów" na pierwszy rzut oka wyglądały prosto, to wcale takie nie były. Filolodzy szukali na próżno jakiegokolwiek śladu znanego języka. Stosowali wszystkie znane metody służące do odczytywania zapomnianych języków — bez skutku. Z tekstem zmierzyli się analitycy kryptologii — na przykład specjalista z Biblioteki Narodowej w Paryżu, który zajmował się piętnastowiecznymi szyframi alchemików — i dali za wygraną. W 1917 roku manuskryptem zainteresowała się sekcja deszyfracji Wydziału Wywiadu Wojskowego Stanów Zjednoczonych.

Kierował nią wyróżniający się młody dyrektor Herbert Osborne Yardley, który później stał się znaną postacią w świecie kryptografów. Jego równie znakomitym zastępcą był kapitan John M. Manly, doktor filozofii, a przed wojną dziekan wydziału anglistyki na Uniwersytecie w Chicago. W 1917 roku Manly pracował nad tak zwanym kryptogramem Witzkego, liczącym 424 litery szyfrem, który złamał w ciągu trzech dni, dzięki czemu zdemaskował Lothara Witzke, niemieckiego tajnego agenta działającego w Meksyku. Jednak po długim zmaganiu się z manuskryptem Voynicha, Manley wraz ze swoim szefem Yardleyem, także się poddali. Stwierdzili, że „jest najbardziej tajemniczym manuskryptem na świecie".

Zdjęcia towarzyszące tekstowi były równie zastanawiające. Podczas ich odszyfrowywania oczywistą procedurą było wykorzystanie botaników. Mieli oni zidentyfikować rośliny przedstawione na rycinach. Następnie użyto by nazw roślin do rozszyfrowania towarzyszących im podpisów. Problem w tym, że większość roślin i krzewów nie istniała w rzeczywistości, a ich rzekome nazwy nie pomogły kryptografom. Astronomowie sądzili, że rozpoznają takie drogowskazy na niebie, jak Alpha Tauri, mgławica Andromedy czy Hiady, ale potem się zgubili w plątaninie wyimaginowanych galaktyk. Znawcy Bacona studiowali manuskrypt pilnie bacząc na to, co robi konkurencja. Natomiast profesorowie anatomii na Harvardzie bez powodzenia próbowali doszukać się sensu w fizjologicznych diagramach.

Dla pewnego człowieka manuskrypt Voynicha stał się prawdziwą obsesją. Profesor William Romaine Newbold, filozof i znawca historii średniowiecza z Uniwersytetu w Pensylwanii, a także lingwista i, jak Manly, kryptograf, zaoferował swoje usługi Departamentowi Marynarki USA. W 1919 roku rozpoczął pracę nad tekstem. Jego badania były niezwykle kompleksowe. Rozpoczął od zbadania pisma za pomocą szkła powiększającego. Ogłosił, że odkrył drugi tekst, mikroskopijnej wielkości, wpleciony w pismo. Jak sądził była to jakaś forma stenografii. Po użyciu technik deszyfrujących, ogłosił, że udało mu się zredukować szyfr do składającego się z 17 liter łacińskiego klucza. Za jego pomocą przebił się przez sześć kolejnych „tłumaczeń". Jedno prowadziło do drugiego, a te do następnego i tak dalej. Potem sporządził „anagram" szóstego tłumaczenia i odczytał ostateczny „odkryty tekst", czyli sporządzone po łacinie rozwiązanie.

Pod mikroskopem

W kwietniu 1921 roku Newbold zwołał w Filadelfii spotkanie Amerykańskiego Towarzystwa Filozoficznego i ogłosił tymczasowe wyniki swoich badań. Wywołały one zdumienie i zrobiły ogromne wrażenie na zgromadzonych. Newbold ogłosił, że twórcą manuskryptu był Roger Bacon. Mnich zaszyfrował tekst, żeby uniknąć oskarżenia o „oryginalność" w myśleniu. Za tą tezą przemawia fakt, że Bacona uznaje się za wynalazcę szkła powiększającego. Rozważał także możliwość skonstruowania mikroskopu i teleskopu na długo przed ich wynalezieniem. Jak twierdził profesor Newbold, Bacon zbudował składany mikroskop, którego używał do badania komórek drobnoustrojów, nie zapłodnionego i zapłodnionego jaja oraz innych form życia organicznego. Zbudował także potężny zwierciadlany teleskop, dzięki któremu odkrył nie znane wcześniej konstelacje.

Przez następne pięć lat, aż do swojej śmierci w 1926 roku, Newbold kontynuował badanie manuskryptu Voynicha. Współpracował przy tym blisko z kolegą po fachu i przyjacielem Rolandem Grubb Kentem, który w 1928 roku ostatecznie zredagował pracę Voynicha i wydał ją pod tytułem *The Cipher of Roger Bacon* [Szyfr Rogera Bacona].

John Manly nieustannie interesował się postępem prac Newbolda. Dzięki publikacji wspomnianej książki zapoznał się z metodami profesora i przetestował je. Szczerze go podziwiał, tym większe było jego rozczarowanie wynikami pracy uczonego. Po sprawdzeniu własnych rezultatów, opublikował w 1931 roku w magazynie „Speculum" rozsądną, liczącą 47 stron, analizę. W artykule tym wykazał, że praca nieżyjącego już profesora była całkowicie bezwartościowa.

Najważniejsza obiekcja Manly'ego — i patrząc na to z perspektywy czasu zupełnie oczywista — dotyczyła procesu „anagramowania", przez który Newbold doszedł do ostatecznego łacińskiego tekstu. Manly wskazał, że z dowolnej linijki tekstu można było stworzyć wiele anagramów, co otwierało drogę do wielu znaczeń. W ten sposób Newbold złamał kardynalną zasadę, iż dla danego fragmentu szyfru dopuszczalne jest tylko jedno rozwiązanie. W tworzenie anagramów bawiono się już w starożytności. Na przykład pozdrowienie przekazane przez anioła Dziewicy Maryi w Objawieniu — *Ave Maria, gratia plena, Dominus tecum* — przez długi czas było źródłem anagramów dla pobożnych uczonych. Ta linijka tekstu zawiera zaledwie 31 liter, a pewien eksperymentator stworzył z niej 3100 anagramów prozą i akrostychami, inny zaś 1500 pentametrów i heksametrów.

Nieustanne wyzwanie

Stosując porównania, Newbold „zanagramował" rzekome dzieło Bacona w bloki po 55 lub 110 liter — sprawiając, że możliwe stały się tysiące wersji tłumaczeń. Ale czy Newbold w ogóle był na właściwym tropie? — zastanawiał się Manly. Podczas badania tekstu za pomocą szkła powiększającego nie udało mu się znaleźć „stenograficznych znaków", które widział Newbold. Stwierdził tylko, że welin z upływem lat połamał

się i uległ innym uszkodzeniom. Oryginalne pisane tuszem litery popękały, przez co wyglądały jak bazgroły pełne dziwnych zawijasów.

Esej kończył się zdecydowaną opinią Manly'ego: „Nie wiemy, kiedy manuskrypt został spisany ani gdzie, ani też, jaki język stanowił podstawę szyfru. Gdy zostaną zastosowane właściwe hipotezy, szyfr może okazać się prosty i łatwy".

Przez kilka lat po bezlitosnym ujawnieniu błędów Newbolda przez Manly'ego wokół manuskryptu panowała cisza. Prywatnie jednak wielu kryptografów pracowało nad manuskryptem, który słusznie traktowali jako swoje największe wyzwanie. W 1943 roku pewien prawnik w Nowym Jorku pospieszył się ze swoim rozwiązaniem, publikując zniekształcony łaciński tekst, który był zwykłym bełkotem. Dwa lata później znany specjalista od chorób nowotworowych, doktor Leonell C. Strong, czując być może, że cieszy się w medycynie wystarczającym szacunkiem, by przetrwać najbardziej nawet zaciekłe ataki środowiska akademickiego, ogłosił, że przetłumaczył wiele fragmentów manuskryptu dotyczących medycyny.

Strong twierdził, że ich autorem był nie Bacon, lecz Roger Ascham, żyjący niemal współcześnie z doktorem Johnem Dee, nauczycielem i prywatnym sekretarzem młodej królowej Elżbiety I. Jak wielu uczonych w ówczesnych czasach, Ascham miał wszechstronne zainteresowania. Opublikował wiele przekładów dzieł klasyków, traktat o edukacji oraz podręcznik wyjaśniający znaczenie i broniący odchodzącego w zapomnienie łucznictwa.

Według doktora Stronga, jeden z fragmentów tekstu Aschama opisywał formułę antykoncepcji, która, jak udowodnił doktor Strong, była skuteczna. Doktor nie zdradził jednak swoich metod odszyfrowywania, mówiąc jedynie, że był to „podwójnie odwrotny system arytmetycznego postępu wyrażany za pomocą zwielokrotnionego alfabetu". Nie wyjaśnił także, dlaczego Ascham, głęboko wierzący i dyskretny naukowiec, miałby zajmować się antykoncepcją. Na dodatek specjaliści obalili wiele twierdzeń doktora Stronga na temat stylu Aschama.

Najwięcej wysiłku w rozszyfrowanie tekstu włożono w 1944 roku, dzięki staraniom dawnego kolegi profesora Manly'ego, kapitana Williama F. Friedmana ze Służb Łączności Sił Lądowych, który pomógł obalić teorię Newbolda. Kapitan Friedman wydelegował do odkrycia tajemnicy manuskryptu część swojego zespołu ekspertów, pracujących wówczas w Waszyngtonie. Zajmowali się oni tekstem poza swoimi zwykłymi obowiązkami. Zredukowali go do serii symboli, którymi zajęły się maszyny liczące. Przerwali pracę, gdy wojna dobiegła końca. Osiągnęli jednak ciekawy rezultat. Pokazali bowiem, że pewne słowa i zwroty w manuskrypcie powtarzały się częściej niż te z języka potocznego. Nadało to sprawie dodatkowego niezwykłego wymiaru, gdyż przy wszystkich znanych szyfrach stosuje się odwrotną zasadę.

Teoria, która miała wspierać tę hipotezę, głosiła, że rzeczywiście był to herbarz, tak jak początkowo sugerowano, a powtórzenia to wzory chemiczne — często przytaczane, podobnie jak we współczesnych podręcznikach medycyny.

Po śmierci Wilfreda Voynicha w 1930 roku jego spadkobierczynią została jego żona, Ethel Lillian. Już w 1897 roku opublikowała romantyczną powieść o ruchu Młodej Italii, zatytułowaną *The Gadfly* [Lot trzmiela], która stała się światowym bestsellerem, zwłaszcza w porewolucyjnej Rosji. Przed śmiercią autorki sprzedano tam 2,5 miliona egzemplarzy tej książki. Wdowa po Voynichu nie była zainteresowana kontrowersjami dotyczącymi manuskryptu, umieściła go więc w swoim depozycie w Guaranty Trust Company w Nowym Jorku. Gdy w 1960 roku zmarła w wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat, jej spadkobierca wystawił na aukcję wszystkie ruchomości. Manuskrypt kupił inny nowojorski antykwariusz, Hans P. Kraus.

Powiedział wówczas prasie, że nabył go w przekonaniu, iż „manuskrypt zawiera wiadomości, które mogły zapewnić nowe informacje o dziejach człowieka. W chwili, gdy ktoś będzie potrafił je odczytać, książka stanie się warta milion dolarów".

W 1969 roku Hans P. Kraus przekazał księgę bibliotece Uniwersytetu Yale, gdzie znajduje się do dziś, strzegąc swoich sekretów.

TWARZ CHRYSTUSA?

Czy wizerunek widoczny na całunie turyńskim został stworzony przez ciało samego Chrystusa, czy też jest to po prostu malowidło — a może nawet fotografia — wykonana przez średniowiecznego fałszerza?

W okresie wypraw krzyżowych i tuż po ich zakończeniu żebrzący mnisi wędrowali po Europie, sprzedając przedmioty, które — jak mówili — pochodziły z Ziemi Świętej. Były to rzekomo pamiątki z wczesnych lat istnienia Kościoła. Wśród nich znajdowały się kości dłoni świętego Piotra, strzały, które zabiły świętego Sebastiana, fragmenty sukni Maryi Dziewicy i kawałeczki wyschniętego chleba z Ostatniej Wieczerzy. Z czasem pojawiło się tak wiele relikwii, że stało się to przedmiotem żartów. Tacy reformatorzy, jak Marcin Luter czy Jan Kalwin, zyskali dodatkowe argumenty dla swoich tez. Mówi się, że w kościołach we Włoszech, Hiszpanii i na południu Francji znajduje się tyle drzazg z prawdziwego krzyża, iż można by z nich zrobić spory lasek.

Fałszywe relikwie wywoływały zaniepokojenie najwyższych dostojników Kościoła rzymskokatolickiego. Pod koniec XIX wieku Watykan wydał proklamację, w której ogłosił, że żadna relikwia, „choćby najbardziej święta" nie może być traktowana jako autentyczna, jeśli nie potwierdzają tego jednoznaczne dowody. Edykt wydano w odpowiedzi na zapewnienia francuskiego naukowca i agnostyka doktora Yvesa Delage'a, który ogłosił, że święty całun turyński był prawdziwym całunem Chrystusa. Autor tej opinii uważał, że nauka powinna wkroczyć tam, gdzie kończy się wiara. W ciągu ostatnich osiemdziesięciu lat podjęto wiele poważnych prób rozwikłania tajemnicy całunu. Ich kulminacją był w październiku 1978 roku projekt badań nad całunem turyńskim. W ciągu pięciu dni 40 naukowców używających najnowocześniejszej aparatury poddało tkaninę dokładnym testom. Wkrótce stało się jasne, że chociaż projekt odpowiada na pewne pytania, stawia także nowe.

Święty całun turyński to prostokątna sztuka płótna o rozmiarach 4 na 1 metr. Na jego powierzchni widoczny jest słaby, żółtawobrązowy odcisk nagiego ciała brodatego mężczyzny. Na wizerunku, zwłaszcza w okolicy głowy, przy nadgarstkach, stopach i na lewym boku widnieją także ciemniejsze plamy, prawdopodobnie ślady krwi. Widoczny jest także przód i tył postaci. Płótno na czubku głowy przyciśnięte było prawdopodobnie czymś w rodzaju wieńca.

Pierwsza niejasna wzmianka o całunie pojawiła się w 1203 roku. Wojskowy kronikarz Robert de Clari napisał wtedy, że rok wcześniej podczas plądrowania Konstantynopola przez chrześcijańskich rycerzy, uczestników czwartej krucjaty, widział całun, który „skrywał ciało naszego Pana". Na nieszczęście, jak podał kronikarz, płótno zaginęło w czasie zamieszek. Dopiero sto pięćdziesiąt lat później pojawiła się pierwsza wiarygodna wzmianka o istnieniu całunu turyńskiego, a wszystkie przesłanki wskazywały, że chodzi tu o to samo płótno, które widział de Clari. Jego właścicielem był pozbawiony skrupułów rycerz Geoffrey de Charney, pan francuskiego miasta Liré.

Do 1389 roku relikwia stała się tak sławna, że rycerz postanowił wystawić ją na pokaz i pobierać za to opłaty. Posunięcie to wywołało powszechną zazdrość, gdyż w ówczesnej epoce popularne relikwie były w cenie, a finansowy dochód z dobrej relikwii mógł być bardzo znaczny. Nie wiadomo, czy to za sprawą zazdrości, czy też z wyższych pobudek biskup Troyes złożył na Charneya skargę u przebywającego w Awinionie papieża Klemensa VII. To zażalenie stało się podstawą zarzutu wysuwanego do dziś pod adresem całunu — iż w rzeczywistości był on fałszerstwem, dziełem artysty, „zręcznie namalowanym, co wyznał artysta, który go wykonał".

Papież Klemens uznał jednak, że oskarżenia biskupa nie mają podstaw. Zezwolił więc na dalsze wystawianie całunu. Przyznał, że może on się stać przedmiotem kultu, choć wcale nie musi być autentyczną relikwią.

Całun przyciągał pielgrzymów przez kolejne sześćdziesiąt lat. W 1453 roku wnuczka Geoffreya, Marguerite de Charney, oddała całun — czy też, co bardziej prawdopodobne, sprzedała — Louisowi, księciu Savoy. De Charneyowie pokazywali całun w skromnej oprawie, lecz Louis, czy to z pobożności, czy raczej, aby samego siebie postawić w lepszym świetle, umieścił płótno w srebrnej ramie i zbudował dla niego specjalną kaplicę, Sainte Chapelle, w swojej stolicy — Chambéry.

Jednak w 1532 roku w Sainte Chapelle wybuchł pożar, który niemal całkowicie zniszczył kaplicę. Mimo że szybko ugaszono ogień, żar stopił srebrną ramę, a krople gorącego metalu wypaliły sporo dziur w płótnie. Uszkodzenia te starannie zacerowano. Ślady po pożarze i użytej do jego gaszenia wodzie okazały się pomocne badającym płótno w 1978 roku.

W 1578 roku całun odbył swoją ostatnią podróż. Przez Alpy dotarł do Piemontu, gdzie w Turynie znajdował się pałac księcia Savoy. Umieszczono go w katedrze, obok apartamentów królewskich. W tym miejscu pozostaje do dziś. Płótno opuściło katedrę w czasie II wojny światowej, gdy przeniesiono je do piwnic.

Od samego początku w licznych doniesieniach na temat całunu pewni obserwatorzy odnajdywali w wizerunku widocznym na płótnie coś niedobrego. Na przykład papież Klemens, uważał, że gdyby to było fałszerstwo, dalekie od „starannego namalowania", jak głosił biskup z Troyes, to raczej kiepskiej jakości. Wielki niemiecki artysta Albrecht Dürer, który zbadał płótno na początku XVI wieku, nie ukrywał swojej niepewności. Wykonał wiele szkiców, lecz czuł, że chociaż anatomiczne proporcje wizerunku na całunie były właściwe, jego model musiał być „zdeformowany".

Jednak dopiero w 1898 roku całun ujawnił swój pierwszy dziwny sekret, gdy wyjęto go ze srebrnej skrzyni z zamiarem wystawienia go — co czyniono niezwykle rzadko — na pokaz. Turyński fotograf Secondo Pia otrzymał zezwolenie na wykonanie pierwszych fotografii całunu. Gdy wywołał swoje zdjęcia ukazały się na nich doskonale uformowane rysy mężczyzny. Wydawało się, że całun był fotograficznym negatywem. Później Pia przyznał, że kiedy uświadomił sobie ten stan rzeczy, zaszokowany wypuścił z rąk płytkę ze zdjęciem.

Skutki tego odkrycia nie zostały zmarnowane dzięki doktorowi Yvesowi Delage, znanemu fizykowi, zoologowi i członkowi Francuskiej Akademii Nauk. Postanowił on wyjaśnić, w jaki sposób fotograficzny wizerunek pojawił się na płótnie pięćset lat przed wynalezieniem fotografii. Nie kierowała nim jednak bezinteresowność. Doktor Delage był agnostykiem, wrogo nastawionym do katolicyzmu. Nie zamierzał pozwolić na to, by Kościół ogłosił, że przyczyną powstania wizerunku na całunie jest działanie sił nadnaturalnych.

Przez trzy lata wraz z utalentowanym młodym biologiem, Paulem Josephem Vignonem, badał wizerunek i eksperymentował z różnymi metodami jego reprodukowania. Najpierw zatrudnili artystów, którzy namalowali postać z całunu używając znanych w średniowieczu barwników. Chcieli w ten sposób wyjaśnić teorię głoszącą, że z upływem lat „malowidło" mogło wyblaknąć w taki sposób, iż ciemniejsze obszary stały się jasne, tworząc w ten sposób negatywowy wizerunek. Jednak żaden z tych eksperymentów nie zakończył się sukcesem.

Tradycje pogrzebowe

Następnie Delage i Vignon przyjęli hipotezę, że płótno było rzeczywiście czyimś całunem. Utkano je, stosując splot włókien znany i używany w Palestynie aż do V wieku naszej ery. W IV wieku Rzymianie zakazali ukrzyżowań, a więc mężczyzna, którego wizerunek znajdował się na całunie, musiał ponieść śmierć wcześniej.

Zauważyli także, że jak głosi Biblia, Chrystus został pospiesznie pochowany w piątek, żeby zdążyć przed szabasem. Ciało zostało namaszczone, ale go nie umyto. Najpopularniejszymi maściami używanymi wówczas w Palestynie była mirra i aloes. Vignon wiedział, że pot wydzielający się z martwego ciała wytwarza substancję zwaną mocznikiem, który rozkładając się wytwarza pary amoniaku. Prowadził więc doświadczenia z amoniakiem i ubraniami „uwrażliwionymi" mirrą i aloesem. Udało mu się w ten sposób wytworzyć podobne jak na całunie brązowawe plamy.

Delage uważał, że to właśnie stanowi odpowiedź na zagadkę. Ale prezentując w 1902 roku swoje osiągnięcia Akademii Nauk, poszedł krok dalej. Wyraził przekonanie, że był to rzeczywiście całun Chrystusa. Wskazał, że z jednej strony istnieje biblijny przekaz o mężczyźnie, który został ukrzyżowany w sposób odbiegający od przyjętych norm: wychłostano go, przybito do krzyża, włożono mu cierniową koronę i w końcu przebito dzidą lewy bok. Istnieje także płótno, pochodzące najwyraźniej z Palestyny, ukazujące wizerunek mężczyzny, któremu zadano takie same tortury i który zginął taką samą śmiercią, jaką według Biblii poniósł Chrystus. Delage dodał, że ten wniosek nie wpływa w żaden sposób na jego antyreligijną postawę. Traktuje całun jako historyczny dowód.

W tym punkcie Delage mógł mieć rację. Lecz złożona głównie z katolików Akademia Nauk nerwowo zareagowała na te wnioski

i odrzuciła wyniki badań Yvesa Delage'a. Najnowsze badania wskazują na jeszcze bardziej interesującą teorię. Całun może być nie tylko prawdziwym fotograficznym wizerunkiem, stworzonym stulecia przed przyjętą powszechnie datą wynalezienia fotografii, lecz także — według innych opinii, wyrażanych na przykład przez Lynna Picknetta — fotograficznym autoportretem Leonarda da Vinci, stworzonym dla potomnych, by udawał fałszywy całun Chrystusa.

ZAGADKA PIRAMID

Przez ponad czterdzieści wieków egipskie piramidy są przedmiotem rozważań. Jak zbudowano te enigmatyczne monumenty, a przede wszystkim — w jakim celu?

Piramidy są symbolem Egiptu — starożytnej cywilizacji tego kraju, niezwykle złożonej i wspaniałej w swej potędze. Każda z piramid to potężny pomnik ludzkich umiejętności, postawiony na pustyni. Ich proste kształty są w jakiś sposób ambiwalentne, zdumiewające i tajemnicze.

Egipskie piramidy są ogromne. Oglądane na zwykłym diagramie lub jako modele, wyglądają jak proste figury geometryczne. Mają cztery boki, spiczaste zwieńczenie i przejścia prowadzące do ukrytej w ich wnętrzu komory. Lecz kiedy staniemy pod taką piramidą i wzniesiemy wzrok do jej szczytu, a nasze myśli poszybują swobodnie, wówczas odniesiemy wrażenie, że pół świata stanowią kamienie, a drugie pół — niebo. Kiedy zaś wejdziemy do jej wnętrza, łatwo będziemy mogli się zgubić w krętych i wilgotnych korytarzach.

Piramidy nadal skrywają wiele tajemnic. Możemy tylko zgadywać, dlaczego Egipcjanie je postawili i snuć rozważania na temat zastosowanych przy ich budowie technik. Nie potrafimy udzielić definitywnych odpowiedzi, ponieważ nie przetrwały żadne relacje z tamtych wieków. Jedyny prawdziwy przekaz stanowią same piramidy.

Pierwsza piramida, a jest to piramida schodkowa faraona Dżesera, została zbudowana w czasach Trzeciej Dynastii, około 2650 roku przed naszą erą. Nadal dominuje nad horyzontem miejscowości Sakkara, 15 kilometrów na południe od Kairu. Wyobraźmy sobie wrażenie, jakie wywołała, gdy ją zbudowano! Mieszkańcy Memphis, ówczesnej stolicy Egiptu, zapewne często kierowali wzrok ku wzgórzom na zachodzie, które stanowiły granicę pustyni. Widniał tam monument wystawiony ich zmarłemu władcy. Sześć poziomów piramidy wznosiło się na wysokość 60 metrów. Pierwsza piramida jest także ważnym przykładem eksperymentowania z kamieniem — wcześniejsze grobowce wykonywano z glinianych cegieł.

U podstawy piramidy Dżesera znajduje się jednopiętrowy grobowiec z kamienia, z komorą grobową wpuszczoną na głębokość około 30 metrów w skałę. Budowniczowie zaczęli potem go poszerzać, ale zanim prace nad tym poziomem dobiegły końca, wpadli na pomysł, od którego rozpoczęła się epoka piramid — dodali trzy kolejne warstwy, czyniąc z budowli czteroschodkową piramidę. Ale nawet wtedy nie zaprzestali swojej pracy. Poszerzyli podstawę i dodali dwa kolejne stopnie. Prawdopodobnie ta schodkowa piramida symbolizuje schody prowadzące zmarłego faraona ku gwiazdom.

Trudno także zinterpretować rzeźby wokół piramidy. Czy budynki i dziedzińce były miejscem królewskich i religijnych ceremonii za życia Dżesera? Może stanowiły siedzibę kapłanów i pielgrzymów, którzy podtrzymywali kult zmarłego faraona. A może były areną, na której duch Dżesera dokonywał cudów? Późniejsze piramidy stanowiły standardowy jednolity kompleks budowli. W jego skład wchodziła piramida, świątynia pogrzebowa lub plac ofiarny, zbudowany przy jej wschodniej ścianie, oraz grobla, która łączyła ją ze świątynią w dolinie Nilu.

Następcy Dżesera porzucili rozpoczęte prace nad trzema piramidami schodkowymi. W Maidûm, położonym około 65 kilometrów od Kairu, rozpoczęli budowę pierwszej prawdziwej piramidy o gładkiej powierzchni. Dziś z Maidûm pozostały jedynie ruiny. Szczyt piramidy wznosi się na wysokość około 75 metrów z rumowiska skalnego, które kiedyś było częścią piramidy. Zaczęto ją budować jako piramidę schodkową, a potem jej boki stawiano tak, by stanowiły jednolitą płaszczyznę. Niestety, rozległa podstawa spoczywała na piasku, a nie na skale, co spowodowało, że piramida się zawaliła, prawdopodobnie jeszcze zanim ją dokończono.

Budowniczowie wyciągnęli wnioski z tego eksperymentu. Następny faraon, Sneferu, pierwszy władca z Czwartej Dynastii (która rządziła od około 2500 r. przed naszą erą do 2400 r. przed naszą erą), zbudował dwie solidne piramidy w Dashûr na południe od Sakkary. Potem postawiono trzy piramidy w Gizie: wielką piramidę Cheopsa, noszącego egipskie imię Khufu, towarzyszącą jej ogromną piramidę, zbudowaną przez Chephrena/Khafre, i najmniejszą, którą postawił Myceriuns/Menkaure. Wielka Piramida jest niezwykła, ponieważ ma korytarze i komory ukryte głęboko we wnętrzu. Pozostałe piramidy mają pojedynczy korytarz prowadzący w dół do małej komory na poziomie gruntu lub wpuszczonej w skałę. Wielka Piramida stanowi także szczytowe osiągnięcie w budowie tego typu obiektów, dosłownie i w przenośni. Początkowo miała 146 metrów wysokości, a każdy z jej boków liczył u podstawy 231 metrów. Chociaż wygładzone bloki z jej boków zostały w średniowieczu wyjęte i użyte do budowy domów w Kairze, to i tak jej dzisiejsza wysokość wynosi 137 metrów. Nikt później nie zbudował tak wysokiej piramidy, żadnej też nie wykonano z taką starannością.

Po Gizie władcy z Piątej i Szóstej Dynastii zbudowali piramidy w Sakkarze i w pobliskiej Abu-Sir. Nawet w najlepiej zbudowanej piramidzie, wewnętrzne kamienie są niedbale obrobione, a w zbudowanych później trzon składał się z niewielkich kamieni łączonych mułem z Nilu. Kiedy późniejsze pokolenia zdrapały wapienną pokrywę, trzon rozpadł się.

Pod koniec Szóstej Dynastii, około 2180 roku przed naszą erą, Egipt rozpadł się na wiele skłóconych ze sobą prowincji. Nikt nie interesował się jego monumentami. Kraj ponownie został zjednoczony pod rządami Jedenastej i Dwunastej Dynastii. W tym okresie, to jest od 2000 do 1750 roku przed naszą erą, władcy znów wznosili piramidy. Liczyły one niespełna połowę wysokości Wielkiej Piramidy, a budowano je niezbyt starannie. Niekiedy wewnętrzny trzon składał się z główne z cegieł z mułu, utrzymywanych na miejscu za pomocą ścianek wzmacniających. Były to ostatnie zbudowane piramidy. Późniejsi królowie woleli budować rozległe świątynie, które za ich życia świadczyły o potędze władcy, oraz ukryte w ziemi grobowce, które miały zapewnić im bezpieczeństwo po śmierci.

Giza i Wielka Piramida Cheopsa zdają się kryć w sobie wszystkie tajemnice związane z budową piramid i skłaniają do wielu pytań. W jakim celu wybudowano Wielką Piramidę? Wydaje się oczywiste, że był to grobowiec. Znajduje się w niej bowiem komora grobowa zwana Komorą Królewską. Nie dysponujemy jednak informacjami potwierdzającymi, że pochowano w niej faraona. Ostatnim korytarzem prowadzącym bezpośrednio do Komory Królewskiej jest wspaniała Wielka Galeria, licząca 47,5 metra długości, 8,5 metra wysokości i 2 metry szerokości u podstawy. Wznosi się tu ona pod kątem 26 stopni. Być może urzędnicy przygotowujący rytuał pogrzebowy Cheopsa planowali, że ostatnia uroczysta procesja przejdzie po tej pochylni, lecz nie stanowi to jeszcze odpowiedzi na nurtujące pytanie: dlaczego korytarz prowadzący do Wielkiej Galerii jest tak niski, że każdy, kto by nim przechodził, musiałby zgiąć się w pół.

Dlaczego Wielką Galerię zbudowano akurat w tym miejscu? Starożytni Egipcjanie budowali piramidy na skarpie nad Nilem, gdzie znajdowały się wszystkie groby królewskie, prawdopodobnie dlatego, że brzeg ten zamykał od zachodu horyzont. Sylwetki piramid widziane z Memphis wznosiły się

na tle zachodzącego słońca, z którym łączono los duchów zmarłych władców.

Problem południków

Niektórzy badacze wysunęli z czasem pogląd, że być może o budowie piramid w tym miejscu zdecydowały jeszcze inne powody. Według tych teorii, które szczegółowo przedstawił profesor Livio Catullo Stecchini w książce autorstwa Petera Tompkinsa *The Secrect of the Great Pyramid* [Tajemnica Wielkiej Piramidy], starożytni Egipcjanie dysponowali prawdopodobnie znacznie bardziej rozwiniętą wiedzą geograficzną i kosmologiczną, niż się powszechnie sądzi. Stecchini twierdzi, że Egipcjanie wiedzieli, iż Ziemia jest okrągła i potrafili obliczyć położenie jakiegoś miejsca w stopniach długości i szerokości geograficznej.

Profesor Stacchini uważa także, że Egipcjanie wykonali plany swojego kraju, by zademonstrować tę wiedzę, ustalając granice, położenie miast i ważniejszych świątyń w miejscach istotnych ze względu na szerokość i długość geograficzną i w odległościach mierzonych w okrągłych liczbach. Długość Egiptu wyniosła w ten sposób 1 500 000 królewskich łokci (łokieć odpowiadał mniej więcej długości męskiego przedramienia). To założenie było tak ważne, że jak twierdzi Stacchini, inni władcy lokowali swoje centra władzy w miejscach wybranych ze względu na ich odległość od głównego południka przebiegającego przez Egipt i pod odpowiednim do niego kątem.

To nie wszystko. Wielka Piramida wydaje się zawierać także inne przesłania. Stecchini i inni badacze twierdzą, że stosunek jej wysokości do podstawy daje liczbę *pi*, czyli stosunek obwodu okręgu do jego średnicy. Podobnie mówi się, że przy budowie Wielkiej Piramidy został zastosowany „złoty podział", który dzieli prostą tak, że stosunek krótszej części do dłuższej równa się stosunkowi dłuższej części do całości. Wiele stuleci później, „złoty podział" odkrywał ważną rolę w klasycznej architekturze greckiej, gdyż pozwalał na uzyskanie szczególnie harmonijnych proporcji budowli. Jednak, jeśli chodzi o Wielką Piramidę, obliczenia oparte na zasadzie „złotego podziału" sprawiłyby, że powierzchnia każdego jej boku byłaby równa jej wysokości. Współczesne pomiary oryginalnej wysokości Wielkiej Piramidy nie są wystarczająco dokładne, aby raz na zawsze rozwiązać tę zagadkę.

Najdokładniejsze pomiary Wielkiej Piramidy wykonał w 1925 roku James Humphrey Cole, któremu udało się ustalić oryginalną pozycję rogów piramidy, mimo że narożne bloki już dawno zniknęły. Błąd w obliczeniach boków był mniejszy niż 3,8 cm. Opublikowane przez niego wymiary boków prezentowały się następująco: bok północny — 230,253 metry; południowy 230,454 metrów; wschodni — 230,391; zachodni — 230,357. Różnica między najdłuższym a najkrótszym bokiem wyniosła więc zaledwie 20,1 centymetrów. Cole ustalił także, że „najgorzej" ustawiony bok znajdował się zaledwie jedną dziesiątą stopnia od północy geograficznej.

Według większości szacunków budowa Wielkiej Piramidy trwała od dwudziestu do trzydziestu lat. Stale pracowało przy niej od 4 do 10 tysięcy ludzi, do których doliczyć trzeba setki robotników w kamieniołomach. W ciągu trzech do czterech miesięcy pod koniec lata, gdy wylewał Nil, 100 tysięcy ludzi transportowało zapasy kamienia na miejsce budowy na przyszły rok i wznosiło gotowe bloki na poziom budowy. Większość z kiepskiej jakości kamieni przeznaczonych na trzon pochodziła z pobliskich kamieniołomów — sfinks został wyrzeźbiony z pokładu twardej skały pozostawionej w jednym z nich — lecz granit do wyłożenia wewnętrznych komór pochodził z terenów leżących w górze Nilu, a doskonały wapień na okładzinę kamieni — z kamieniołomów w Turze, wydrążonych we wzgórzach Muqattam, które leżą po drugiej stronie rzeki na wschód od Kairu.

W 1833 roku archeolog, sir Flinders Petrie opisał przypuszczalną organizację pracy owych stu tysięcy ludzi. Grupa zdolna do ciągnięcia bloku przeciętnej wielkości — 11,3 metrów sześciennych, czyli około 2,5 tony — złożona była mniej więcej z ośmiu mężczyzn. Każda z tych grup, jak twierdzi Petri, w ciągu trzech miesięcy pracy transportowała 10 bloków. Dwa tygodnie potrzebne były na przesunięcie ich po rampie w kamieniołomach, dzień lub dwa dobrego wiatru na przewiezienie na drugi brzeg rzeki oraz sześć tygodni na przesunięcie ich po rampie do piramidy. Potem przez cztery tygodnie wnosili bloki na ich miejsce w piramidzie. Na każdym etapie ciągnęli bloki podkładając drewniane płozy. Przed płozy wylewano szlam i wodę, żeby umożliwić im poślizg.

Konstrukcja z bloków

Przez wiele lat inżynierowie interesujący się egiptologią zastanawiali się nad metodami konstrukcyjnymi, które Egipcjanie mogli stosować przy budowie piramid. Jeden z nich zasugerował nawet, że budowniczowie instalowali proste dźwigi na różnych poziomach piramidy, z długimi linami do podnoszenia bloków, biegnącymi przez szereg kołowrotków do gigantycznego kabestanu na ziemi (inni jednak twierdzą, że Egipcjanie nie znali kołowrotków). Francuski architekt August Choisy uważał, że Egipcjanie mogli używać bliźniaczych dźwigni do podnoszenia bloków w górę, a następnie zsuwali je bokiem na wyższe poziomy. Inni znowu stale powracali do poglądu o stosowaniu grubej belki opartej na filarze liczącym około 2 metrów wysokości. Ześlizgując blok z krótszego ramienia takiej belki, które mogło mieć około metra, i zawieszając dla przeciwwagi głazy na drugim ramieniu, które mogło mieć do 4,5 metra długości, robotnicy mogli podnosić w górę bloki i opierać je na płozach lub innych podporach. Jeden z inżynierów, którzy w ostatnich latach opowiadają się za tym rozwiązaniem, norweski architekt okrętowy Olaf Tellefsen, przedstawił teorię „bezpośredniego ataku", sugerującą, że grupy po 25 do 30 mężczyzn popychały załadowane sanie po posmarowanych pochylniach ustawionych dokładnie naprzeciw pochylających się przednich powierzchni piramid.

Wiele osób sugerowało także, że Egipcjanie mogli transportować kamienne bloki po rampach z cegieł z mułu. Malowidło w jednym z grobowców pokazuje wykorzystywanie rampy przy budowie kolumn w świątyni. Szczątki ramp znaleziono w pobliżu kilku piramid. Do naszych czasów zachował się papirus z obliczeniami określającymi liczbę cegieł potrzebnych do zbudowania rampy długości 336 metrów i szerokości 27,5 metrów, prowadzącej na wysokość 30,5 metrów. Jest jednak różnica między skromną rampą tej wielkości i rampą kilkukrotnie dłuższą, która byłaby potrzebna przy budowie Wielkiej Piramidy. Niektórzy sądzą, że Egipcjanie używali ramp biegnących wokół piramidy, nawet jeśli nie zapewniały one wystarczającego bezpieczeństwa przy wnoszeniu wielkich bloków.

Niektórzy arabscy historycy zapewniają swoich czytelników, że starożytni Egipcjanie kładli na blokach skalnych magiczne talizmany, dzięki czemu z łatwością przesuwano je z miejsca na miejsce. Ale sir Flinders Petrie wysunął także sugestię, że mogli używać podobnych do sań kamiennych bloków wspartych na zakrzywionych płozach. Według niego układali skałę na czymś w rodzaju huśtawki i bujali ją w przód i w tył. Potem pod każdy koniec wsuwali cienkie deski, pchając skałę tak, żeby nadal się bujała. W ten sposób, blok skalny stopniowo „wspinał się" do góry. John Fitchen, emerytowany profesor sztuk pięknych na Colgate

University w Nowym Jorku uzupełnił ten pomysł sugerując, że budowniczowie celowo zamienili w klatkę schodową część boku nie dokończonej piramidy. Potem grupy robotników podnosiły stopniowo lewarkiem bloki skalne.

Szkoda, że nie odnaleziono ani jednego opisu sposobu budowania piramid przez Egipcjan. Być może miał to być sekret, który chcieli zachować dla siebie. Według Kurta Mendelssohna, autora książki *The Riddle of the Pyramids* [Zagadka piramid], dla Egipcjan największe znaczenie miało to, że budowa piramid była spektakularnym i wspólnym zadaniem dla ogromnych rzesz ludzkich, które chcieli utrzymać razem. Kiedy zakończono tworzenie scentralizowanego państwa, zaprzestano takich budów na wielką skalę.

ZJAWY NA ŚRODKU OCEANÓW

Ci, którzy utrzymują, że widzieli Latającego Holendra, mają słuszne powody do obawy — takim spotkaniom niemal zawsze towarzyszą śmierć i katastrofy.

Opowieść o Latającym Holendrze jest jedną z najsławniejszych i być może najstarszych legend związanych z morzem. Krąży ona co najmniej od pięciuset lat, ale prawdopodobnie powstała na wiele lat przed narodzinami Chrystusa. Opowieść ta z grubsza wygląda następująco: ogarnięty szaleństwem holenderski kapitan (termin Latający Holender odnosi się w rzeczywistości do kapitana, a nie do statku) rzucił wyzwanie Bogu, narażając się na jego gniew. Z tego powodu został potępiony i musi wiecznie pływać po oceanach, przynosząc śmierć każdemu, kto ujrzał jego statek-widmo. Legenda ta zainspirowała wielu pisarzy — ale nie jest to jedynie fikcja, ponura morska opowieść, którą chciano przestraszyć łatwowierne szczury lądowe w nabrzeżnych barach. Statek widmo widywano wielokrotnie — o trzech takich spotkaniach donoszono w XX wieku. Władze wielu państw twierdziły, że u źródła legendy o Latającym Holendrze leży prawdziwe zdarzenie, chociaż panowały poważne rozbieżności co do jego przebiegu. Sprawę gmatwa dodatkowo fakt, że istnieje wiele wersji tej opowieści, w których kapitan statku nosi nazwisko Vanderdecken, Van Demien, Van Straaten i tym podobne.

Prawdopodobnie najlepiej znaną wersją opowieści o Latającym Holendrze jest opowieść o kapitanie nazwiskiem Vanderdecken, który płynął wokół Przylądka Dobrej Nadziei. Szalejący sztorm porwał jego statek. Przerażeni pasażerowie błagali Vanderdeckena, żeby znalazł jakiś bezpieczny port albo przynajmniej zrzucił żagle i próbował wypłynąć ze sztormu. Ale obłąkany kapitan wyśmiał ich błagania i rzuciwszy się do steru, zaczął śpiewać bluźniercze pieśni.

Duch chwały

Zachowanie kapitana zaalarmowało także załogę. Próbowała ona przejąć kontrolę nad statkiem, ale próba buntu została uśmierzona, gdy Vanderdecken wyrzucił za burtę jego przywódcę, sprawiając, że przerażeni pasażerowie i załoga zaczęli błagać Boga o litość. W odpowiedzi na modlitwy, burzowe chmury rozstąpiły się, a rozjarzone światło skąpało dziobówkę, ukazując wspaniałą postać, o której niektórzy mówili, że był to Duch Święty, a inni twierdzili, że to sam Bóg.

Postać stanęła naprzeciw Vanderdeckena i powiedziała mu, że z powodu jego upodobania do dręczenia innych, będzie od tej chwili skazany na wieczne żeglowanie po oceanach, zawsze w czasie sztormu i przyniesie śmierć wszystkim, którzy go zobaczą. Jego pożywieniem będzie rozgrzane do czerwoności żelazo, a pragnienie ugasi żółcią; jedynym towarzyszem zostanie chłopiec okrętowy, któremu z głowy wyrosną rogi. Wszystko to wydaje się bardzo nieuczciwe wobec biednego chłopaka, który w całej historii nie odegrał przecież poważniejszej roli i prawdopodobnie tak samo bał się Vanderdeckena, jak reszta załogi. Rzuciwszy klątwę, zjawa zniknęła, a wraz z nią pasażerowie i załoga. Vanderdecken i nieszczęsny chłopiec okrętowy zostali pozostawieni swojemu losowi.

Ponure początki

Ta opowieść o Latającym Holendrze mogła rzeczywiście powstać na podstawie autentycznych wydarzeń. Panują jednak znaczne rozbieżności co do tego, jakie to było wydarzenie. Sugeruje się nawet, że opowieść wywodzi się z norweskiej sagi o Stote, wikingu, który ukradł pierścień bogom i później został znaleziony jego szkielet w szacie z ognia, siedzący na głównym maszcie czarnego statku-widma. Inni wierzą, że legenda wywodzi się z przygód Bartholomeu Diaza (ok. 1450–1500), portugalskiego szypra, który w 1488 roku odkrył Przylądek Dobrej Nadziei. Odwaga, jaką Diaz wykazał się jako kapitan, skłoniła jego biografa, Luisa de Camoisa, do przypisania mu nadnaturalnych cech.

Inni badacze natrafili na opowieść z XVI wieku o dwóch holenderskich statkach handlowych, których załogi widziały wrak statku uznanego za zaginiony na Pacyfiku. Uważają oni, że z tej historii wywodzi się legenda o Latającym Holendrze. Inna teoria głosi, że opowieść oparta jest na legendzie o Niemcu nazwiskiem von Felkenberg, który zagrał w kości o swoją duszę z diabłem i przegrał. Podobna holenderska legenda opowiada o niejakim kapitanie van Straatenie.

Pakt z diabłem

Istnieją także inne legendy. Bernard Fokke, szyper *Libera Nos*, znany był z odbywania bardzo szybkich podróży. Ci, którzy zazdrościli mu niezwykłych umiejętności nawigacyjnych twierdzili, że zawarł on pakt z diabłem. Wiarę w to ułatwiała niezwykła brzydota i gwałtowny temperament Fokke'a. Pewnego dnia wyruszył w podróż, z której już nie powrócił. Szeptano wówczas, że diabeł upomniał się w końcu o swoją zapłatę.

Niewykluczone, że legenda o Latającym Holendrze narodziła się w wyniku prawdziwego zdarzenia — chociaż to wyjaśnienie jest zapewne znacznie bardziej prozaiczne niż opowieść o diable domagającym się ludzkiej duszy. Wielokrotnie zdarzało się, że załogi przez pomyłkę porzucały statki, gdyż sądziły, iż wkrótce one zatoną. Na skutek tych decyzji, statki dniami, tygodniami, miesiącami, a nawet latami utrzymywały się na wodzie, pchane kaprysami wiatru i przypływów. Najsłynniejszym z takich statków jest *Mary Celeste*, którą znaleziono porzuconą przez załogę na północnym Atlantyku w 1872 roku. Inna godna uwagi historia związana jest z kliperem przewożącym wełnę, *Marlborough*, który zaginął w 1890 roku podczas podróży z Australii do Wielkiej Brytanii; dwadzieścia trzy lata później odnaleziono go u wybrzeży Chile. Ale nawet jeśli w opowieści o *Marlborough* jest sporo przesady, to łatwo możemy sobie wyobrazić, jaki miała ona wpływ na przesądnych marynarzy, żeglujących po nie znanych wodach, gdy nagle z mgły wyłaniał się opuszczony statek.

Historia *Latającego Holendra* zainspirowała także wielu pisarzy i poetów. Amerykański poeta Henry Wadsworth Longfellow (1807–1882) pisał o nim w *The Phantom Ship* [Statek widmo], zawartym w jego dziele *Birds of Passage* [Ptaki wędrowne]. Edward Fitzball napisał melodramat *Latający Holender*, a Francuz August Jal w *Scènes de la Vie Maritime* [Sceny z życia na morzu] zaprezentował najbardziej znaną wersję tej legendy. Liryczny poeta niemiecki, Heinrich Heine (1797–1856), zainspirowany albo melodramatem Fizballa, albo też anonimową opowieścią — *Message Home* [Dom misyjny] Vanderdeckena w „Edinburgh Magazine" — opisał statek-widmo w *Memoiren des Herrn von Schabelwopski*. Te z kolei zainspirowały stworzoną z rozmachem operę Richarda Wagnera *Der Fliegende Hollander* [Latający Holender], w której Vanderdecken może co siedem lat zejść na ląd, by poszukać kobiety, której miłość wybawi go od wiecznej kary.

Innymi znanymi pisarzami, którzy wykorzystali ten temat, byli m.in. Frederick Marryat (*The Phantom Ship* [Statek widmo], 1839) oraz sir Walter Scott (*Rokeby*, 1813).

Jednakże Latający Holender to coś więcej niż tylko legenda czy literacka fikcja. W ciągu stuleci wiele osób twierdziło, że widziało statek-widmo. Jedna z najwcześniejszych relacji pochodzi z 1702 roku. Zapisana jest w *Magnalia Christi Americana*, historii Kościoła w Nowej Anglii, spisanej przez Cottona Mathera, płodnego pisarza i znanego purytańskiego pastora. Trudno jednak, jeśli w ogóle jest to możliwe, udowodnić, że się widziało ów statek-widmo i dlatego relacje te należy odrzucić, chociaż niechętnie, jako miraże, halucynacje lub wizje wywołane nadużywaniem alkoholu.

Królewskie spotkanie

Jedna z relacji jest szczególnie wyjątkowa. W 1881 roku o spotkaniu z Latającym Holendrem poinformował książę Jerzy, późniejszy król Jerzy V, i jego starszy brat książę Albert Wiktor, książę Clarence — ten sam książę Clarence, którego dzisiaj podejrzewa się, że mógł być niesławnym Kubą Rozpruwaczem. Opis zdarzenia miał się znajdować w księdze pokładowej *HMS Baccante*. W rzeczywistości tak nie było. Pochodzi raczej z opowieści zatytułowanej *The Cruise of Her Majesty's Ship Baccante* [Rejs „Baccante", okrętu Jej Królewskiej Mości], przedstawiającej podróż książąt na pokładzie tego statku i spisanej przez Johna H. Daltona na podstawie zapisków w ich prywatnych dziennikach, listach i notatnikach. W czasie tego spotkania książęta znajdowali się na pokładzie innego statku floty królewskiej, *Inconstant*. Zostali tu przewiezieni, gdy *Baccante* nagle zaczął mieć kłopoty ze sterem. W relacji czytamy: „11 czerwca 1881 roku. O czwartej nad ranem Latający Holender przeciął nasz kurs od strony dziobu. Zobaczyliśmy dziwne czerwone światło, które oświetlało maszty, drzewce i żagle brygu oddalonego o jakieś 200 metrów. Statek przepływał od strony dziobu po naszej prawej burcie. Pierwszy dostrzegł go obserwator na dziobówce. Zobaczył go także wyraźnie oficer pełniący wachtę na mostku. Widział go również podchorąży na nadbudówce, którego natychmiast wysłano do dziobówki, ale gdy tam dotarł, po statku nie było już śladu ani w pobliżu, ani też dalej na horyzoncie. Noc była pogodna, morze spokojne. Bryg widziało w sumie trzynaście osób, ale nie wiadomo, czy był to Van Demien i jego *Latający Holender*, czy cokolwiek innego.

Tourmaline i *Cleopatra*, które żeglowały po naszej sterburcie, spytały sygnałami świetlnymi, czy widzieliśmy dziwne czerwone światło.

O 10.45 marynarz, który dziś rano jako pierwszy zobaczył *Latającego Holendra*, spadł z bocianiego gniazda na fokmaszcie i roztrzaskał się na pokładzie. O 16.15 pochowaliśmy go w morzu. Był dobrym marynarzem i jednym z najbardziej obiecujących młodych ludzi na statku. Każdy odczuwał żal z powodu tej straty. Kiedy przypłynęliśmy do następnego portu, przebywający tam admirał także się zmartwił wiadomością o tym wypadku.

Trzynaście osób na pokładzie *Inconstant* oraz bliżej nieokreślona liczba ludzi na pokładzie *Tourmaline* i *Cleopatry* widziała zjawę, chociaż nie wiadomo, czy był to *Latający Holender* czy jakaś inna zjawa. Lecz zgodnie z legendą, po tym spotkaniu pojawiła się śmierć.

Terror nazistów

Jednym z najbardziej nieoczekiwanych źródeł donoszących o *Latającym Holendrze* była relacja admirała Karla Dönitza, głównodowodzącego niemieckiej floty wojennej, a przez krótki czas, także następcy Adolfa Hitlera. Admirał podobno widział ten statek-widmo płynąc na wschód od Suezu. Później twierdził, że jego ludzie otwarcie przyznawali, iż woleliby stanąć naprzeciw zjednoczonych sił floty alianckiej, niż jeszcze raz doświadczyć przerażenia, jakie wywołał w nich *Latający Holender*.

Latający Holender nie jest jedynym widmem spotykanym na morzach. Na przykład w 1949 roku oceniano, że istnieje ponad sto „dobrze udokumentowanych" statków straszących u północno-wschodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych.

Najsłynniejszym statkiem-widmem w USA jest prawdopodobnie *Palatine*, uwieczniony w dobrze znanym wierszu Johna Greenleafa Whittiera. Zgodnie z legendą w 1752 roku sztorm rzucił *Palatine* na skały u wybrzeży Block Island — Rhode Island, a rybacy podpalili wrak. Jedna z pasażerek uwięziona we wraku, spłonęła żywcem. Od tej chwili wiele razy widziano widmo płonącego statku.

Trudno zaprzeczyć, że coś — co nazywano „światłem Palatine" — było regularnie widywane u wybrzeży wyspy, chociaż dalsze dochodzenie w tej sprawie ujawniało, że taki statek nigdy nie rozbił się przy Block

Island. Dokładne badania pokazały jednak, że czternaście lat wcześniej, w 1738 roku, inny statek — *Princess Augusta* — przewożący 350 uchodźców z Dolnego i Górnego Palatynatu w Niemczech, rozbił się na skałach na północnym wybrzeżu Block Island, w okolicznościach podobnych pod pewnym względem do tych, jakie towarzyszyły katastrofie *Palatine*. Nie ma raczej wątpliwości, że to zdarzenie posłużyło za inspirację do powstania legendy. Tylko jeden element losu *Princessy Augusty* różni się od legendy o *Palatine*: *Princessa Augusta* prawie zatonęła i nie została podpalona. Jeśli więc statek widywany tak często u wybrzeży Block Island jest rzeczywiście widmem *Princessy Augusty*, to dlaczego stoi w płomieniach?

W rozrzedzonym powietrzu

Innym dobrze znanym statkiem-widmem jest *Goblin* o czarnych żaglach, którego wielokrotnie widywali mieszkańcy Porthcurno Cove w pobliżu St Leven w Kornwalii, leżącej w południowo-zachodniej Wielkiej Brytanii. Widziano, jak zjawa kierowała się w stronę brzegu, a potem prześlizgiwała się po lądzie, aż wreszcie znikała w rozrzedzonym powietrzu.

Czym są te statki-widma, te morskie zjawy? Można tu stawiać te same pytania, wysuwać hipotezy i formułować te same teorie, jak wtedy, gdy mamy do czynienia z wszelkimi innymi zjawami. Lecz *Latający Holender* różni się od wielu opowieści o duchach i ludowych przypowieści, gdyż liczne relacje o spotkaniu z tym statkiem pochodzą z wielu części świata. Jeśli jednak statek ten nie istnieje, to co właściwie widzieli książęta znajdujący się na pokładzie *Inconstant*? Może nigdy się tego nie dowiemy i może tak właśnie jest lepiej. Skoro spotkaniu z *Latającym Holendrem* towarzyszą śmierć i katastrofy, chyba będzie mądrzej nie szukać zbyt gorliwie wyjaśnienia tej tajemnicy.

RANY CHRYSTUSA?

Co wywołuje stygmaty? Czy są one wynikiem rozmyślania o męce Chrystusa przez świętą osobę? A może to stan chorobowy czy nawet jakaś forma histerii?

Interesujące zjawisko stygmatów — tajemniczego pojawiania się ran przypominających te odniesione przez Chrystusa na krzyżu — występuje niemal wyłącznie wśród osób wyznających wiarę rzymskokatolicką. Rejestry kościelne zwierają więc wszelkie istotne informacje niezbędne dla badaczy tego zjawiska. Nie można jednak uznać, że Kościół jest obiektywny w tej sprawie, gdyż uwzględnia pojawianie się zarówno „boskich", jak i „diabelskich" stygmatów, uzależnionych z jednej strony od świętości lub z drugiej od indywidualnego stygmatyka. Stosuje się jednakże konsekwentnie jedno kryterium: stygmatycy, którzy wykorzystują swoje rany, by zyskać sławę lub bogactwo, uznawani są za „diabolicznych".

Jeśli takie ostentacyjne pokazywanie ran jest rzeczywiście czynnikiem określającym „boskie" lub „diabelskie" pochodzenie stygmatów, to Elżbieta z Herkenrode powinna była zostać potępiona już dawno temu. Ta żyjąca w XIII wieku zakonnica spędziła większość życia w niemal nieustannym transie, odtwarzając co dwadzieścia cztery godziny całą Pasję, często portretując Chrystusa i wielu z jego dręczycieli. Mnich Thurston, historyk Kościoła rzymskokatolickiego, opierając się na ówczesnych relacjach, tak opisał te sceny:

„Prawą ręką chwyta przód własnej sukni, sama rzuca się w prawo. Potem chwytając się lewą ręką, w przeciwną stronę. Innym razem, wyciąga ramię i wznosi groźnie pięść, zadaje sobie cios w szczękę tak potężny, że całe ciało zatacza się i chwieje".

Najwyraźniej zakonnica przedstawiała sceny i doświadczenia, jakich doznawała w swoich wizjach. W odpowiednich momentach na jej ciele pojawiały się ślady biczowania i te od „cierniowej korony", a także stygmaty broczące krwią.

Ciosy zadawane samemu sobie

Nie wszystkie stygmaty pojawiają się w taki sam sposób. Domenica Lazarri (zmarła w 1848 roku) i angielska stygmatyczka Teresa Higginson (której „błogosławiona śmierć" nadeszła 50 lat później) okładały się bez litości pięściami. Ciosy, jakie zadawała sobie Domenika były tak głośne, że słychać je było na ulicy, Teresa zaś wierzyła, że jej biczowaniem się kierował diabeł. Czczona powszechnie mistyczka i stygmatyczka święta Maria Magdalena de Pazzi bez wątpienia motywowana była przez ekstatyczne zjednoczenie z Bogiem, które inspirowało jej pisma. Mało budujące było jednak jej upodobanie, z jakim nawoływała swoje przełożone, by ją chłostały, i z jakim sama chłostała nowicjuszki. Można zrozumieć zakłopotanie, z jakim ojciec Thurston opisywał to zjawisko. Pisał on:

„Jest wiele przykładów stygmatyzmu, w których niewątpliwie mamy do czynienia z oszustwem i w których wiele szczegółów wskazuje raczej na chorobę niż stanowi demonstrację boskich atrybutów, które łączymy z ideą cudu".

Sceptycznie nastawieni naukowcy często wolą odrzucić relacje o stygmatach oraz świadectwa świadków jako efekty oszustwa, złudzenia lub pobożnych życzeń. Wielu wierzy, że „kompleks stygmatów" koresponduje z pewnymi stanami psychoneurotycznymi, zwłaszcza histerią. Dla większości ludzi — w tym dla większości katolickich teologów — termin ten kojarzy się z niezwykle podnieconym neuropatą lub człowiekiem niespełna rozumu, patologicznym kłamcą, który ulega napadom złego humoru i emocjom, w czasie których pokazuje, że wszystko chce robić tak, jak mu się podoba.

Jeśli nazwiemy kogoś histerykiem, to z pewnością uzna to za obelgę. Kliniczne znaczenie tego terminu jest jednakże zupełnie inne. Do XX wieku uważano histerię za chorobę wyłącznie kobiecą (termin histeria wywodzi się z greckiego słowa oznaczającego łono). Psychiatrzy zajmujący się skutkami wielkich stresów, jakie przeżywają żołnierze w okopach, odkryli, że mężczyźni też mogą wykazywać objawy histerii. Mówi się nawet o istnieniu histerycznego typu osobowego.

Objawy histerii

Taka osoba pozwala sobie na dramatyczne i przesadne zachowanie powszechnie łączone z histerią, lecz jej symptomy mogą wystąpić u każdego, kto przeżywa jakiś stres, szczególne emocje lub wewnętrzny konflikt. Może to się też objawić u osób, które znajdą się w niebezpieczeństwie. Istnieją relacje o żołnierzach, którzy podczas akcji nagle zostali dotknięci niewytłumaczalnym paraliżem lub utratą wzroku. Testy pokazały, że żołnierze nie symulowali — symptomy były wystarczająco wyraźne — a przyczyną była histeria. Taki żołnierz nie chce już brać udziału w walce. Ale dzięki wyszkoleniu oraz z obawy przed uznaniem go za zdrajcę, nie poddaje się strachowi i nie ucieka. Jego mózg rozwiązuje ten konflikt zamiast niego, powodując, że ciało odmawia posłuszeństwa.

Istnieją również wypadki, w których objawy — wywołane na przykład pod wpływem hipnozy — okazały się dosłownym tłumaczeniem potocznych codziennych powiedzonek. „Nie mogę dalej iść" może zostać „przetłumaczone" przez mózg jako ułomność na tle histerycznym; „Nie wytrzymam tego dłużej" — doprowadzić do ślepoty, a „co za ból w karku" wywołać odpowiednie objawy fizyczne. Twierdzi się, że niektóre rzekome święte manifestacje — takie jak pojawianie się podobnej do obrączki pręgi lub nacięcia wokół palca zakonnicy (czy też jak się mówi „oblubienicy Chrystusa") — może być również formą histerii.

Większość psychologów zgadza się, że objawów histerii nie można łączyć ani z normalnym życiem, ani z życiem na najwyższym poziomie świętości. Teorie dotyczące histerii nie wyjaśniają powstawania stygmatów, jak obawia się wielu zwolenników chrześcijaństwa, ale potrafią dobrze opisać mechanizm tego dziwnego zjawiska.

Ciągle jeszcze większość wyznawców religii rzymskokatolickiej traktuje „histeryczne" wyjaśnienie powstawania stygmatów jako obrazę i bluźnierstwo, wskazując, że tacy stygmatycy jak święty Gemma Galgani, ojciec Pio lub święta Teresa z Ávili nie okazywali nadmiernych emocji. Ale jeśli przyjrzymy się bliżej życiu takich „spokojnych" stygmatyków, okaże się, że często ujawniają się historie o tajemniczych chorobach i niezwykłej psychicznej wrażliwości. Osoby te nierzadko cierpiały na tajemnicze choroby, na przykład na czasową utratę wzroku, paroksyzmy, paraliż, ślepotę. Wielu z nich chorowało także na gruźlicę, która w zaawansowanym stadium wywołuje podatność na sugestie. Co ciekawe, wizje, których doświadczają stygmatycy często również oznaczają koniec ich tajemniczej choroby. Wielu z nich zachowuje się jak szamani (lub czarownicy) z prymitywnych ludów: wpadają w trans, mają wizje, ujawniają zdolności do uzdrawiania, lewitują, prorokują, a nawet stają się odporni na ogień. Niektórzy ujawnili wielość osobowości — jak na przykład Teresa

Higginson, Constante Mary Castreca (mniszka żyjąca w XVII wieku we Włoszech), matka Beatrycze Maria od Jezusa i Teresa Neumann, która również mówiła językami. Stygmaty mogą być w Kościele katolickim ekwiwalentem szamanizmu. Ale jeśli nawet tak jest, to wielość osobowości jest obecnie uznawana za symptom histerii i być może wiele „talentów" ujawnionych przez takich ludzi, w tym stygmaty, mają taką samą przyczynę.

Krwawienie w ekstazie

Teresa Neumann, żyjąca w Bawarii stygmatyczka, którą za jej życia (1898–1962) zbadało wielu lekarzy oraz badaczy zjawisk paranormalnych, krwawiła z ran w każdy czwartek lub piątek, doświadczając religijnej ekstazy. W 1925 roku w cudowny sposób została wyleczona ze ślepoty i paraliżu, po beatyfikacji świętej Teresy z Lisieux. Wkrótce potem zaczęły się pierwsze krwawienia.

Budząc się z głębokiego snu, nagle siadała i wyciągała ręce. Kiedy wykonywała te ruchy, z jej na wpół zamkniętych oczu zaczynały płynąć zabarwione krwią łzy, które spływały po wychudzonych policzkach, aż zakrzepły na jej twarzy. Przy każdej okazji w myślach odtwarzała całe ukrzyżowanie. Podczas medytacji stygmaty ukazywały się na jej rękach, stopach i czole. Sceptycy uważali, że mogą to być rany zadane przez nią własnoręcznie, lecz wielu świadków wyrażało przekonanie, że były to rzeczywiście rany Chrystusa.

Wśród innych przyczyn pojawiania się stygmatów wymienia się podatność na sugestię. Rany świętej Weroniki Giuliani (która zmarła w 1727 roku) otwierały się i krwawiły na rozkaz jej spowiednika. Podobnie było z belgijską stygmatyczką Louise Lateau i innymi osobami. Mogły one być przywołane do porządku ze szczytów uniesienia na rozkaz swoich przełożonych. Rana, jaką miała w boku Anne Catherine Emmerich, przypominała niezwykły krucyfiks w kształcie litery Y znajdujący się w kościele w Coesfeld w Niemczech, gdzie jako dziecko uprawiała medytacje. Ślady po biczu zaś na ciele świętej Gemmy Galgani były dokładnie takie jak na jej ulubionym krucyfiksie.

Ten subiektywizm znajdujący odbicie w kształtach stygmatów i wielka różnorodność ich form wskazują, że przyczyną ich może być histeria. Rany miały różnorodny wygląd — od zwykłych zaczerwienionych plam do śladów w kształcie krzyża oraz okrągłych, owalnych lub kwadratowych

dziur na rękach. „Łebki gwoździ" pojawiały się na grzbiecie dłoni lub podbiciu stóp, a nawet podeszwach. Podobne różnice występowały, jeśli chodzi o rany z boku ciała, zależnie od tego, jak sobie stygmatycy wyobrażali ukrzyżowanie Chrystusa. Być może jakieś znaczenie ma to, że nie znamy przykładów ran na przegubach, a jak sugerują niektórzy badacze, ślady po takich ranach widoczne są na całunie turyńskim. Ponieważ obecnie wiedza na ten temat wśród wiernych jest dość powszechna, nie wyklucza się, że w przyszłości u stygmatyków mogą występować rany także na przegubach.

Święte udręczenie

Od jesieni 1911 roku aż do 1968 najsłynniejszy stygmatyk XX wieku, ojciec Pio, krwawił regularnie z rąk i stóp. Rany te były niezmiernie bolesne. Jego poranione dłonie trzeba było bandażować i okrywać rękawicami. Buty zaś — przechowywane obecnie jako relikwie — musiały być specjalnie powiększane, żeby mogły pomieścić grube opatrunki.

W liście z 8 grudnia 1911 roku do ojca Benedetto, swojego duchowego przewodnika, ojciec Pio napisał, opisując swoje schorzenie: „Wczoraj wieczorem coś się ze mną stało, czego nie potrafię ani wyjaśnić, ani zrozumieć. Pośrodku moich dłoni pojawiły się czerwone znaki, wielkości drobnej monety. W środku czerwonych znaków odczuwałem bardzo ostry ból [...] Czasami przy ołtarzu czułem, jakby moje całe ciało płonęło [...] zdawało mi się, że podpalono mi twarz".

20 września 1918 roku, tuż po uroczystościach związanych ze świętym Franciszkiem (który także był stygmatykiem), ojciec Pio — samotnie pogrążony w modlitwie w kaplicy we wsi San Giovanni Rotondo — doświadczył ran, które miały stanowić jego znak do końca jego dni. Krew nigdy nie przestała z nich lecieć, ale nigdy nie powstało zakażenie. Stygmaty pojawiły się na jego rękach, klatce piersiowej i plecach oraz obu stopach. Na klatce piersiowej znajdowała się rana przypominająca odwrócony krzyż. Intrygujące było to, że krwawił najobficiej od czwartku wieczorem do soboty. Zawsze obawiał się, że może umrzeć z powodu wykrwawienia się.

Tego niezwykłego człowieka, znanego także z jego proroctw, zdolności uzdrawiania oraz umiejętności bilokacji (przebywania w dwóch miejscach jednocześnie) odwiedzały tysiące pielgrzymów. Watykan zdecydowanie zabronił mu jednak pisania o swoich stygmatach i opuszczania klasztoru.

Zabroniono mu nawet publicznego odprawiania mszy i wysłuchiwania spowiedzi. Jednak datki od gości umożliwiły mu zbudowanie wspaniałego szpitala tuż obok klasztoru.

Ci, którzy znali dobrze ojca Pio, byli aż nadto świadomi rozmiarów jego cierpienia. Największą udrękę sprawiały mu jednak wypowiedzi tych, którzy twierdzili, że stygmaty były w rzeczywistości ranami zadawanymi sobie przez samego ojca Pio.

Wielokrotnie podejmowano próby powtórzenia stygmatów pod wpływem hipnozy. Jedynym rezultatem było krótkotrwałe skaleczenie skóry lub sporadyczne krwawienie. Efekty te bledną w porównaniu z dramatycznymi bólami, jakby od wbijanych gwoździ i obfitymi krwawieniami „prawdziwych" stygmatów, które opierały się normalnemu procesowi leczenia i towarzyszyły stygmatykom przez większość ich życia. Poza religijnym kontekstem, gdzie nie istnieje potrzeba, aby stygmaty były wzorowane na tych, które miał ukrzyżowany Chrystus, znanych jest wiele rodzajów zjawisk paranormalnych, a nawet psychologicznych, w trakcie których rozwijają się spontaniczne zmiany na ciele lub uszkodzenia skóry. Wystąpiło to u Eleonory Zugun, słynnej ofiary poltergeista. Na jej skórze pojawiały się pręgi, ślady po ukąszeniach, a nawet litery, gdyż wierzyła że atakuje ją diabeł, którego widziała tylko ona. Sprawą tą zajął się w latach dwudziestych naszego wieku Harry Price.

W wielu, jeśli nie we wszystkich, przypadkach przyczyny powstawania stygmatów leżały w podświadomości stygmatyków. Z czasem być może zrozumiemy procesy, jakie wtedy zachodziły. Lecz w tym wypadku nie miały one w sobie nic cudownego, co dla wierzących mogłoby być trudne do zniesienia.

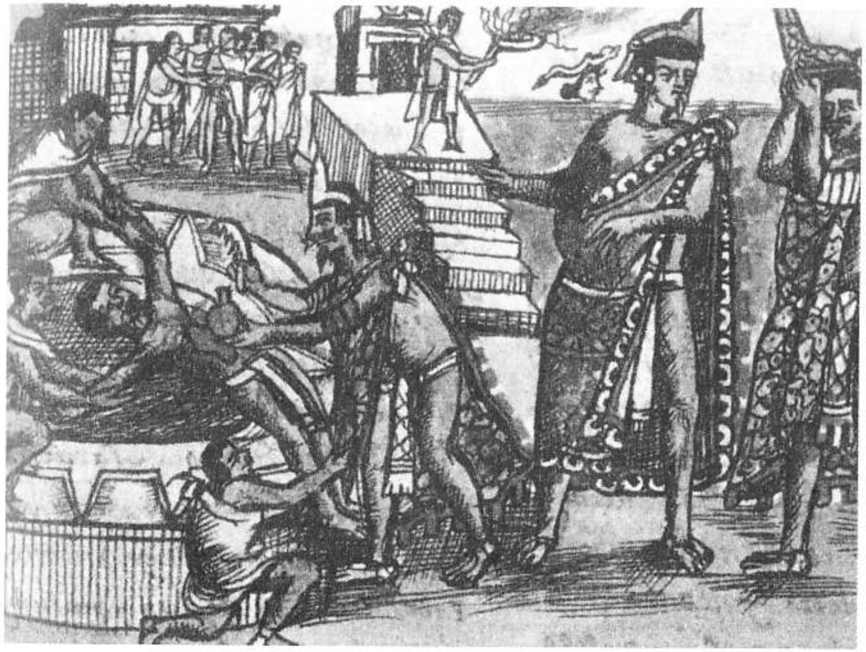

Powyższa szesnastowieczna rycina przedstawia składanie ofiar z ludzi przez Azteków. Z ciała ofiary wyrywano bijące jeszcze serce i składano w ofierze bogu wojny. Na s. 91 zastanawiamy się nad odpowiedzią na pytanie: jeśli tacy bogowie kiedyś istnieli, to gdzie są dzisiaj?

Widoczny w tym laboratorium mężczyzna to F. Jolivet Castelot, który w swoim życiu pełnił m.in. funkcję prezesa Francuskiego Towarzystwa Alchemicznego. Prawdopodobnie to on był Fulcanellim, legendarnym okultystą, o którym mówiono, że odkrył sekret długowieczności. Więcej na temat jego poszukiwań eliksiru życia przeczytacie na s. 96.

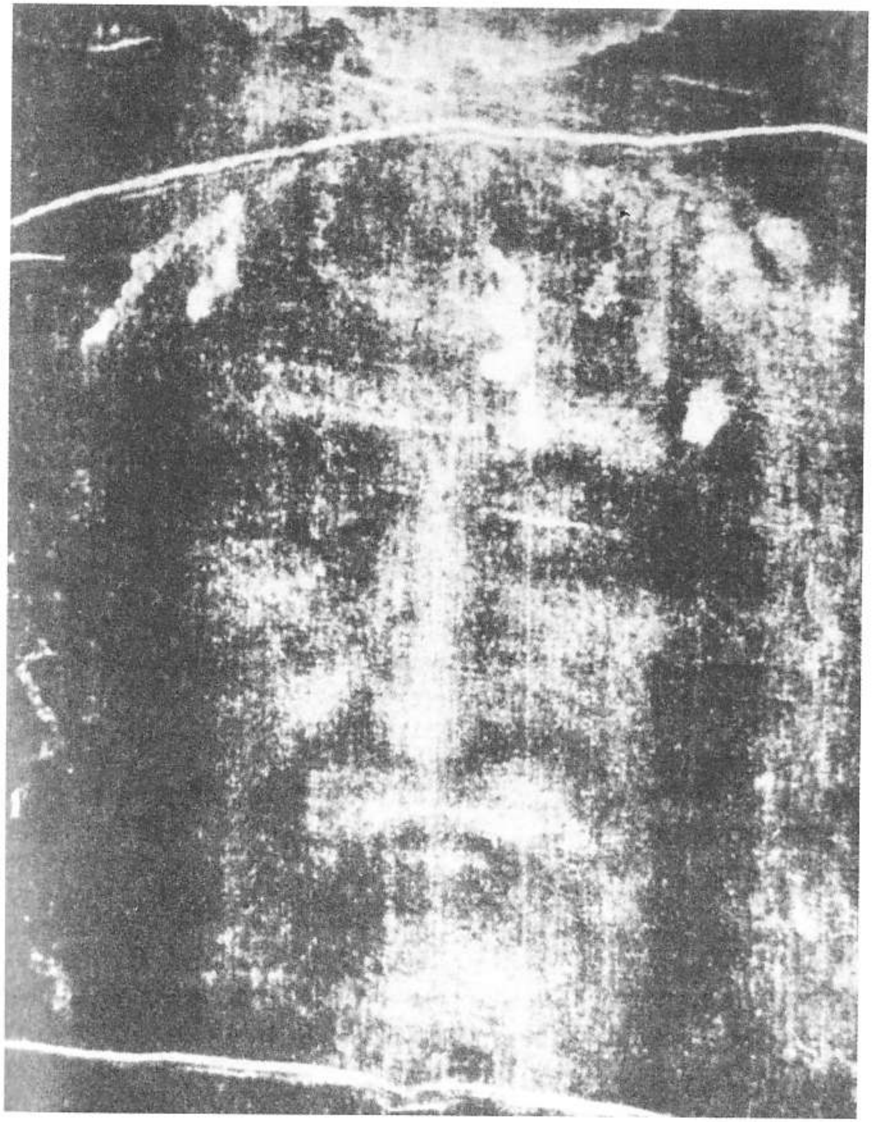

Na fotografii twarzy z całunu turyńskiego są widoczne wyraźne ślady wokół czoła, które pozostawiła — jak twierdzą niektórzy — korona cierniowa. Na s. 96 zastanawiamy się, czy jest to rzeczywiście twarz Chrystusa.

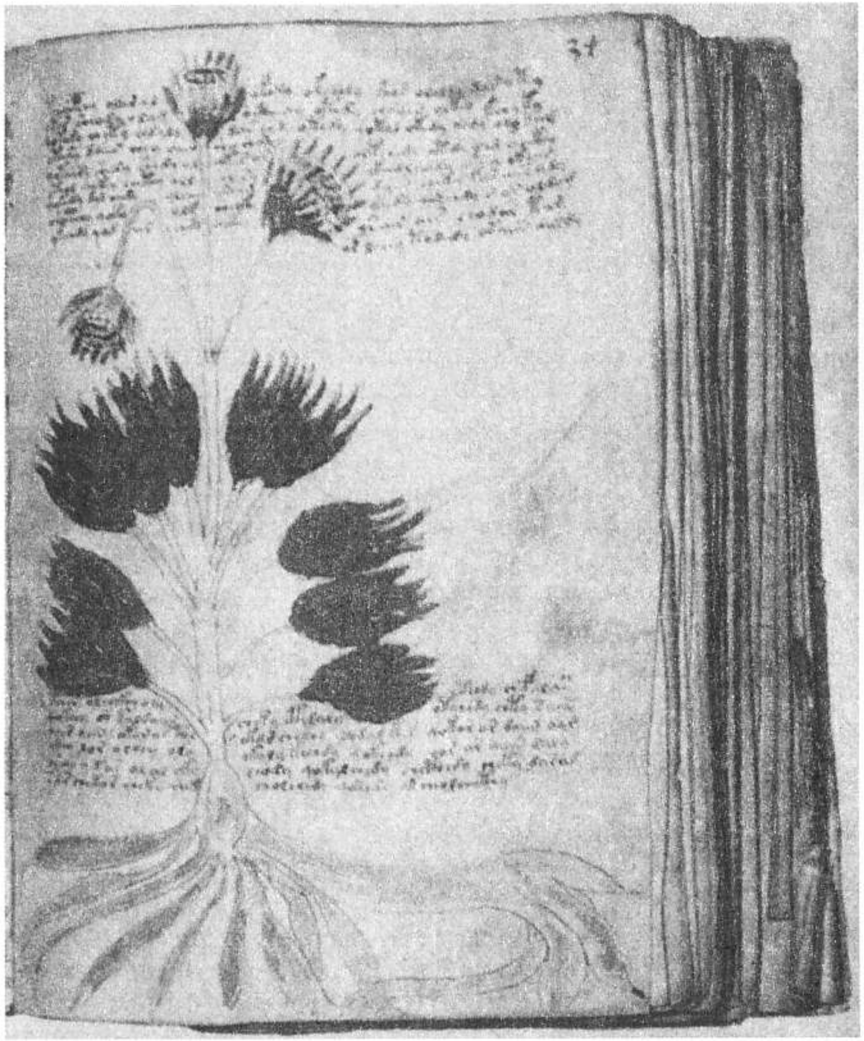

Widoczna na tym rysunku strona pochodzi z najbardziej tajemniczego manuskryptu na świecie. Od 1912 roku, gdy nabył go antykwariusz M. W. Voynich, eksperci stosowali różne metody nowoczesnej kryptologii, próbując odkryć tajemnice tego dzieła. Na s. 102 znajdziecie relację z ich niezwykłej pracy.

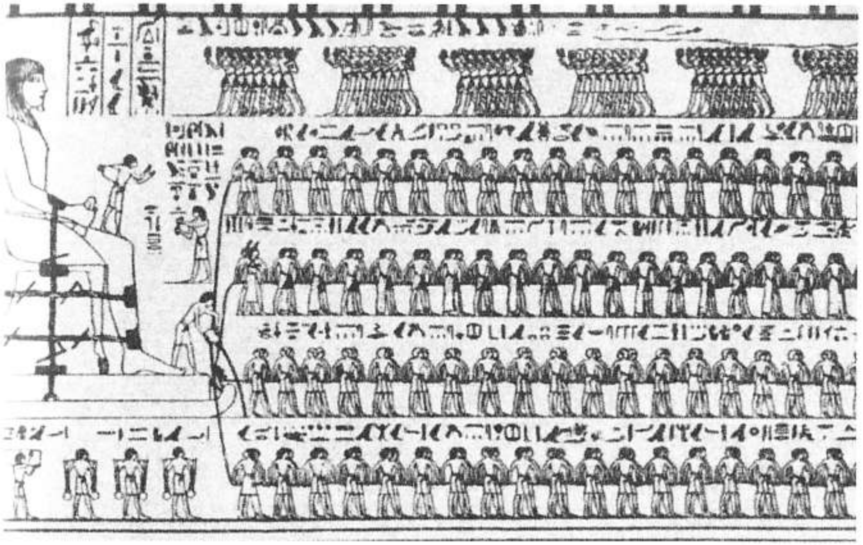

Na s. 114 przedstawiamy dokumenty wspierające tezę, że kamienie do budowy piramid transportowane były na drewnianych płozach. Taką metodę transportu ukazuje powyższa ilustracja. Około 150 mężczyzn ciągnie gigantyczny posąg siedzącego mężczyzny. Zwróćmy uwagę na nadzorcę dyktującego tempo, który stoi na kolanach posągu, oraz na mężczyznę wylewającego oliwę z dzbana pod płozy.

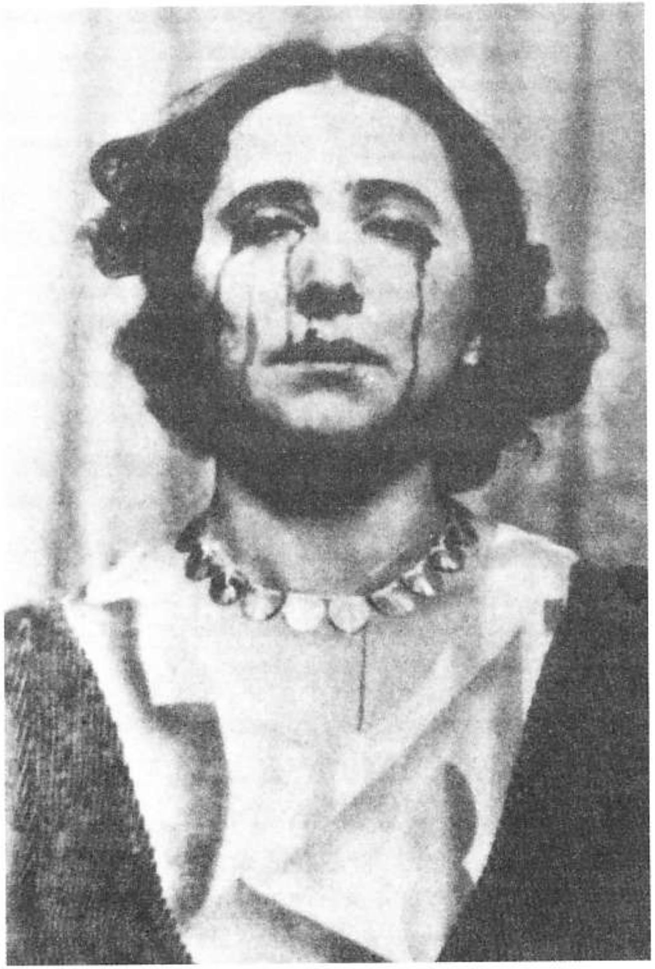

Płakanie krwią zamiast łzami jest zjawiskiem równie tajemniczym, jak nagłe pojawianie się stygmatów, które widać u postaci na następnej stronie.

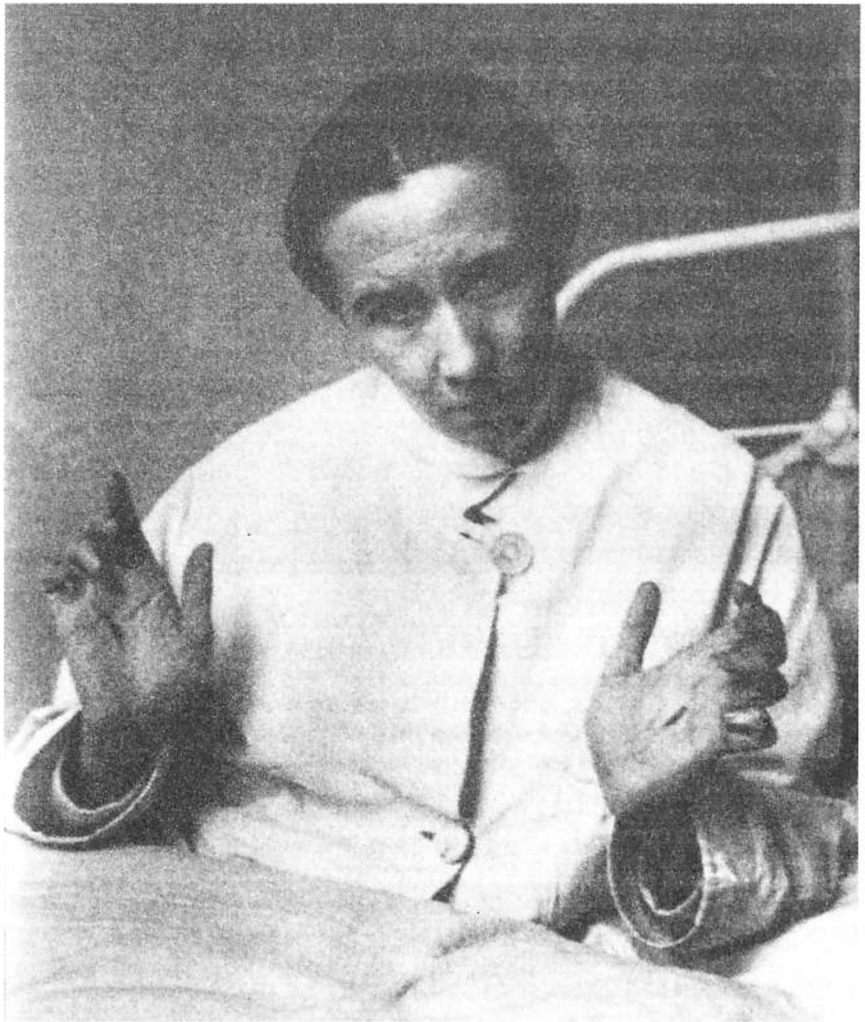

Stygmaty, które widać na powyższej fotografii, pojawiły się podczas Wielkiego Tygodnia. Kobieta ta krwawiła obficie nie tylko z dłoni, ale także z boku. Na s. 127 piszemy o tym ciekawym zjawisku.

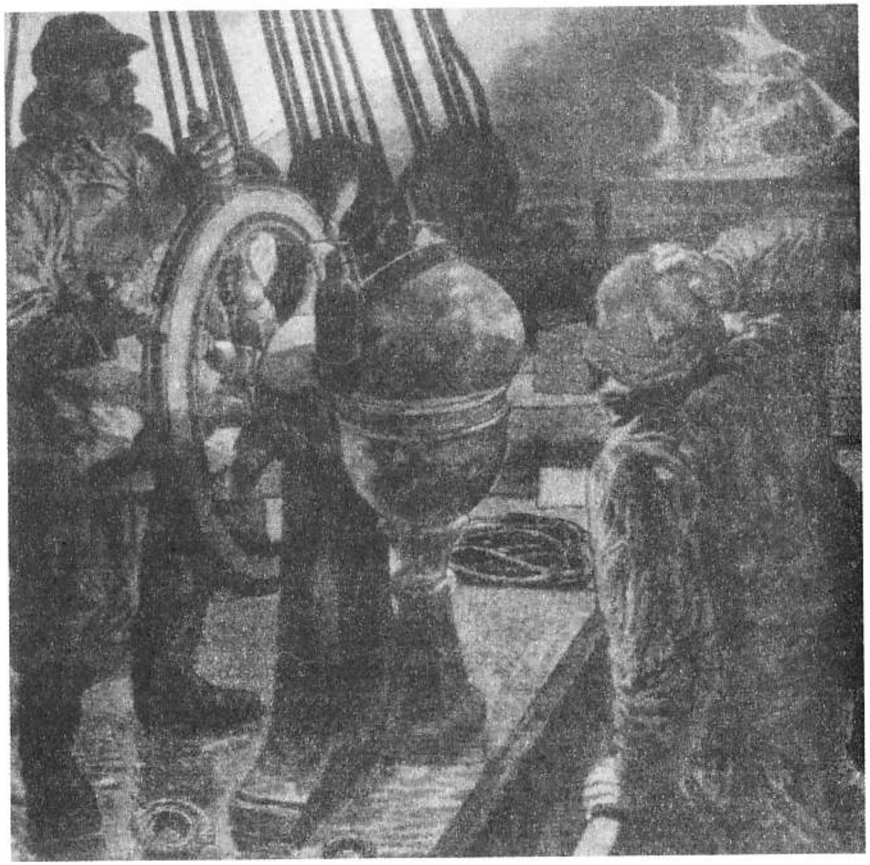

Statki-widma widywano dość często w minionych stuleciach. Takie zdarzenie przedstawia powyższa ilustracja. Ale zaledwie 50 lat temu w ciągu zaledwie jednego roku poinformowano o ponad stu takich zdarzeniach u wschodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych. Przeczytacie o nich na s. 121.

Ta figurka z brązu jest jedną z dwóch najstarszych rzeźb na świecie. Przedstawia ona Moo, królową Mu, zaginionego kontynentu, o którym możecie przeczytać na s. 150.

Zarówno kobieta, jak i pies widoczne na tej fotografii są przypuszczalnie zjawami utrwalonymi na filmie. Na sąsiedniej stronie widzicie inny przykład „zdjęcia ducha" z widocznymi zwierzętami.

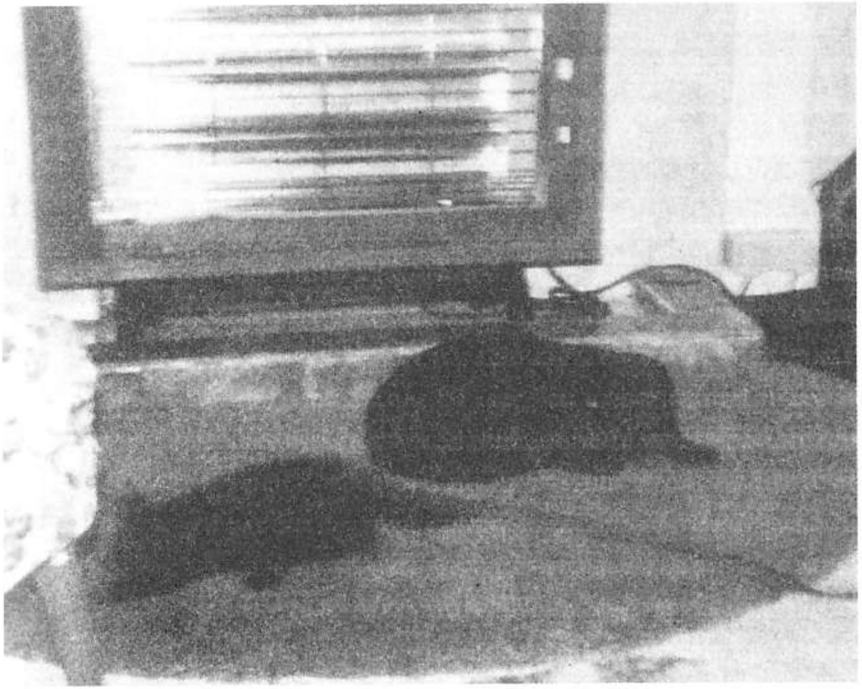

Na tej fotografii widać domowego kota i tajemniczą zjawę, niewidoczną dla osoby robiącej zdjęcie. Kot z uwagą obserwuje „ducha". O takich „niezwykłych dodatkach w postaci zwierząt" piszemy na s. 162.

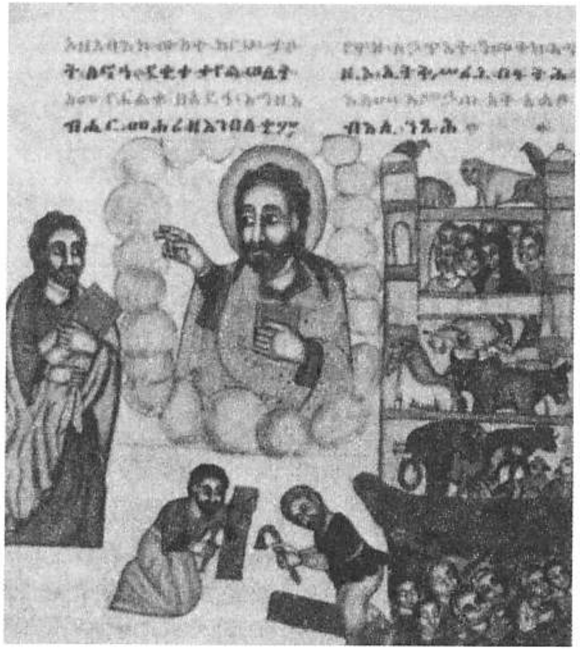

Niektórzy wierzą, że kult Słońca — taki jak kult boga-Słońca Ra w starożytnym Egipcie, przedstawiony na powyższej rycinie — jest pozostałością religii z zaginionej Atlantydy. Biblijna opowieść o Potopie, zilustrowana w koptyjskim manuskrypcie (*poniżej*) czasami interpretowana jest jako mgliste wspomnienie o zatopieniu Atlantydy. Więcej na ten temat znajdziecie na s. 145.

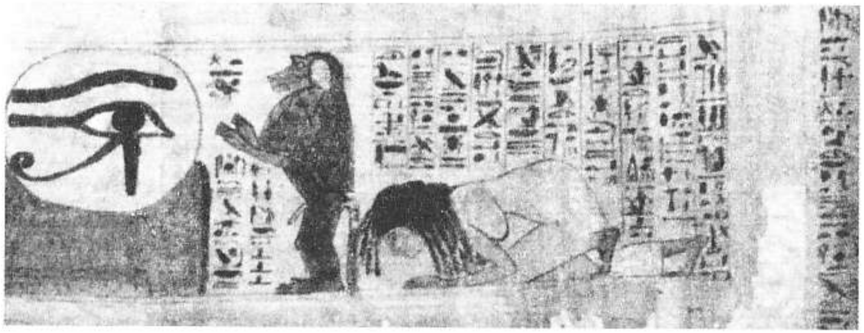

GDZIE BYŁA ATLANTYDA?

Czy magiczna wyspa Atlantyda w ogóle kiedykolwiek istniała? Współczesne badania sugerują, że mogło tak być — choć niekoniecznie znajdowała się tam, gdzie umiejscowił ją Platon, twórca opowieści o Atlantydzie.

Podczas sympozjum zorganizowanego przez Departament Studiów Klasycznych na Uniwersytecie Indiana w kwietniu 1975 roku, zatytułowanym „Atlantyda: Fakt czy fikcja?", zebrali się eksperci z wielu dziedzin, od historii starożytnej po geologię, by podjąć próbę wyjaśnienia raz na zawsze problemu Atlantydy. W opinii wielu osób, zadanie to się powiodło, gdyż udowodnili, że licząca sobie 2300 lat opowieść Platona była wytworem jego wyobraźni.

Jednak końcowe wystąpienie profesora Edwina Ramage'a, redaktora książki z materiałami z konferencji, nie zawierało żadnych ostatecznych wniosków. „Nikt nie przedstawił dotąd satysfakcjonującego rozwiązania tego problemu — jeśli w ogóle jest tu jakiś problem", napisał profesor. Od tego czasu pojawiło się wiele nowych teorii i nowych książek.

To, że zainteresowanie zaginionym kontynentem przetrwało, zawdzięczamy w znacznej mierze bestsellerowi Ignatiusa Donnelly'ego *Atlantis: The Antediluvian World* [Atlantyda, świat przed potopem]. Na początku książki, wznawianej około pięćdziesięciu razy zanim została ponownie przejrzana w roku 1950, Donnelly wysuwa „wiele jasnych i nowych propozycji", określając je w następujący sposób:

1. Kiedyś na Oceanie Atlantyckim, naprzeciwko wejścia do Morza Śródziemnego, istniała olbrzymia wyspa, pozostałość kontynentu Atlantyckiego, znanego w świecie starożytnym jako Atlantyda.

2. Opis tej wyspy przedstawiony przez Platona nie jest wcale, jak przez długi czas przypuszczano, fikcją, lecz prawdziwą historią.

3. To właśnie na Atlantydzie człowiek wyszedł ze stanu barbarzyństwa do cywilizacji.

4. Z upływem wieków, mieszkańcy Atlantydy stali się licznym i potężnym narodem, którego przedstawiciele przeniknęli na wybrzeża Zatoki Meksykańskiej, Missisipi, Amazonki, Pacyfiku w Ameryce

Południowej, Morza Śródziemnego, zachodniej Europy i Afryki, Bałtyku, Morza Czarnego oraz Morza Kaspijskiego, co sprawia, że zostały one zamieszkane przez cywilizowane narody.

5. Był to prawdziwy przedpotopowy świat — rajski ogród, ogrody Hesperyd, Pola Elizejskie, Ogrody Alcinusa, Mezomfalos, Olimp w Grecji, Asgard czy Avalon z *Edd* (średniowiecznych poematów islandzkich); centrum tradycji starożytnych narodów — reprezentujące uniwersalną pamięć o wielkim kraju, gdzie ludzkość żyła przez wieki w pokoju i szczęściu.

6. Bogowie i boginie starożytnych Greków, Fenicjan, Hindusów i Skandynawów byli po prostu królami, królowymi i bohaterami Atlantydy. Przypisywane im w mitologiach czyny były pomieszanymi wspomnieniami prawdziwych historycznych wydarzeń.

7. Mitologie Egiptu i Peru przedstawiają oryginalną religię Atlantydy, kult Słońca.

8. Najstarszą kolonią stworzoną przez Atlantydów był prawdopodobnie Egipt, którego cywilizacja została odtworzona z tej na Atlantydzie.

9. Narzędzia epoki brązu wprowadzone w Europie pochodziły z Atlantydy. Atlantydzi jako pierwsi wyprodukowali także żelazo.

10. Alfabet fenicki, protoplasta wszystkich alfabetów, wywodził się z alfabetu Atlantydy. Przeszedł on także z Atlantydy do Majów, żyjących w Ameryce Środkowej.

11. Atlantyda była miejscem pochodzenia narodów aryjskich lub indoeuropejskich oraz semickich, a prawdopodobnie także turańskich.

12. Atlantyda zniknęła w wyniku wielkiego kataklizmu, podczas którego wyspę wraz z niemal wszystkimi jej mieszkańcami zalał ocean.

13. Tylko niewielka grupa mieszkańców uratowała się na statkach i tratwach, przekazując narodom na wschodzie i zachodzie informację o straszliwej katastrofie. Wieść ta przetrwała do naszych czasów w legendach o Potopie w Starym i Nowym Świecie.

Donnelly wykorzystał oryginalny tekst Platona, rozbudował go w całkiem nową historię człowieka i rozwiązał wiele problemów nękających dzisiaj ludzkość. „Nowa, śmiała wizja" Donnelly'ego zapoczątkowała prawdziwy zalew książek na temat Atlantydy, od okultystycznych po „buntownicze naukowe", które nieprzerwanie wychodzą spod pras drukarskich.

Lecz twierdzenia Donnelly'ego opierają się często na fałszywych lub niekompletnych informacjach, jak z satysfakcją stwierdzają naukowcy. Jednakże ich własne twierdzenia często także wywołują wątpliwości. Każdy poszukiwacz prawdy o Atlantydzie powinien więc zignorować obie strony i powrócić do opowieści Platona. Jeśli nawet bowiem jest ona pełna sprzeczności i literackich wtrętów stosowanych w celu propagandowym lub dydaktycznym, może, jak twierdzą niektórzy akademicy, ukrywać gdzieś prawdę.

Tak postępując, możemy wyróżnić dwóch faworytów pretendujących do tytułu „odnalezionej Atlantydy": cywilizację ze wschodniego obszaru Morza Śródziemnego, której centrum była Kreta lub Tera, i północną Europę, łącznie ze Skandynawią.

W 1969 roku pewną sensację wywołała książka Jamesa Mavora *Voyage to Atlantis* [Podróż do Atlantydy]. Przedstawiono w niej twierdzenia greckich naukowców — doktora Angelosa Galanopoulosa i profesora Spyridona Marinatosa, że Atlantyda była w rzeczywistości cywilizacją minojską, która została zniszczona przez wybuch wulkanu na wyspie Tera około 1500 roku przed naszą erą.

Określenie „minojska" nadał starożytnej cywilizacji kreteńskiej brytyjski archeolog sir Arthur Evans, który w 1900 roku rozpoczął na Krecie prace wykopaliskowe. Uważał, że stanowiła ona inspirację dla greckiego mitu o Minosie, synu Zeusa i królu Krety, który trzymał potwora o głowie byka, Minotaura, uwięzionego w labiryncie. W Knossos Evans odkrył ruiny wspaniałego pałacu, w którym była arena do walki byków. W reliefach i freskach, które ozdabiały pałac, oraz w malowidłach na wielu wyrobach garncarskich, które zostały odnalezione w ruinach, widniały wizerunki polowania na byki i walki byków, prowadzone przez młodych ludzi uzbrojonych jedynie w kije i liny z pętlą na końcu.

Według Platona, na Atlantydzie także występował kult byków. Co cztery, pięć lat dziesięciu królów na wyspie musiało bez broni stawić czoło bykom, schwytać jednego i złożyć go na ołtarzu ofiarnym.

Zanik cywilizacji

Przed 1500 rokiem przed naszą erą Kreta była centrum potężnego morskiego imperium, które jednak w ciągu niezwykle krótkiego czasu upadło. Na całej Krecie zniszczeniu uległy świątynie i inne budynki. Porzucone lub zniszczone zostały zamorskie kolonie i faktorie minojskie. Nastąpiły także gwałtowne zmiany w sztuce, a jakość wyrobów garncarskich wyraźnie się pogorszyła. Duża część mieszkańców Krety przeniosła się na zachodnią część wyspy. Wkrótce też centrum władzy politycznej w rejonie Morza Egejskiego przesunęło się z Krety do Myken w Grecji kontynentalnej.

Marinatos i Galanopoulos twierdzą, że to załamanie minojskiej cywilizacji mógł spowodować wybuch na Terze, o którym wiadomo, że wydarzył się około 1500 roku przed naszą erą. Fale wywołane wybuchem zatopiły wiele miast na wybrzeżu Morza Egejskiego. Pyły wulkaniczne, które się osadziły w warstwie grubej prawdopodobnie na 50 centymetrów, zniszczyły na wiele lat pola uprawne i zboża. Marinatos i Galanopoulos twierdzili także, że Tera była w rzeczywistości miejskim centrum cywilizacji minojskiej, a nie, jak powszechnie uważano, wysuniętą placówką.

Twierdzenie, że cywilizacja minojska to Atlantyda, było pod wieloma względami wiarygodne i nadal obstają przy nim ci nieliczni naukowcy, którzy nadal wykazują zainteresowanie tym tematem. Jednak Mavor i jego zwolennicy będą musieli jeszcze dokonać zręcznych zwrotów w nauce, aby udowodnić prawdziwość swoich twierdzeń.

Czy więc minojska cywilizacja rzeczywiście pasuje do platońskiego opisu Atlantydy, jak utrzymuje Mavor? Przeciwnikiem takiego poglądu był niemiecki naukowiec, dr Jürgen Spanuth, który oskarżył jego zwolenników o „poważny błąd logiczny". „Ani Tera, ani Kreta nie leżą na Atlantyku — stwierdził — żadna z wysp nie leży u ujścia wielkiej rzeki, żadna nie została zalana i pochłonięta przez morze [...] W rzeczywistości ten wielki przełom w archeologii jest zaledwie bańką mydlaną, która pękła dawno temu".

W swojej książce *Atlantis of the North* [Atlantyda Północy] Spanuth próbuje udowodnić, że Atlantyda znajdowała się na zatopionej wyspie w pobliżu Helgolandu, leżącej na północny zachód od wybrzeży Niemiec. Jego zdaniem była ona w epoce brązu poprzednikiem cywilizacji wikingów, którzy opanowali północną Europę i Skandynawię na obszarze znanym jako Atland.

Spanuth, chociaż prezentuje dość przekonujące dowody, sam nagina fakty do własnych potrzeb — co przecież tak ostro potępiał u innych, umieszczając Atlantydę na Morzu Północnym zamiast na Atlantyku. Robert Scrutton postąpił identycznie opisując Atlantydę w *The Other Atlantis* [Inna Atlantyda] i *The Secrets of Lost Atland* [Tajemnice zagubionej Atlantydy]. On również opowiada się za tezą, że Atlantyda była poprzedniczką cywilizacji wikingów.

Wszystkie te podejmowane ostatnio próby zlokalizowania Atlantydy i udowodnienia, że znajdowała się właśnie tam, zasługują na pewien szacunek za przychylenie się do idei, że opowieść Platona była oparta na faktach. Wszyscy jej zwolennicy zmieniali jednak tę opowieść tak, by pasowała do historycznych wydarzeń. Niewykluczone więc, że prawdziwy kontynent ukryty jest dokładnie tam, gdzie umiejscowił go Platon — na zachód od Gibraltaru. Ten olbrzymi ląd zniknął pod powierzchnią morza prawie 12 tysięcy lat temu w wyniku kataklizmu.

ZAGINIONY KONTYNENT MU

Naukowcy twierdzą, że na Pacyfiku istniało kiedyś królestwo Mu, które było dosłownie rajem na ziemi. Czy mógł tam się znajdować biblijny rajski ogród?

W 1926 roku James Churchward, mieszkający w Indiach Anglik, opublikował rezultaty swoich prowadzonych przez całe życie badań. Jego książka *The Lost Continent of Mu* [Zaginiony kontynent Mu] zaczyna się następująco:

„Ogród Rajski nie znajdował się w Azji, lecz na zatopionym obecnie kontynencie na Oceanie Spokojnym. Biblijna opowieść o stworzeniu świata — poemat o siedmiu dniach i nocach — nie pochodzi od ludów znad Nilu lub z Doliny Eufratu, lecz ze znajdującego się teraz pod powierzchnią morza kontynentu Mu — ojczyzny człowieka".

Churchward ujawnił następnie, że odnalazł obszerne zapiski, które mówią, że:

„Ten dziwny kraj liczył 64 miliony mieszkańców, którzy 50 tysięcy lat temu rozwinęli cywilizację przewyższającą naszą pod wieloma względami. Dokumenty opisują stworzenie człowieka w tajemniczej krainie Mu".

Nieco ekscentryczny Churchward nie był jednak pierwszym, który odkrył historię zatopionego kontynentu Mu. W 1864 roku francuski naukowiec, opat Charles-Etienne Brasseur de Bourbourg, opublikował rozprawę o cywilizacji Majów i ich niezwykłą księgę. Po jej przetłumaczeniu uznał, że opowiada ona o krainie, którą najpierw zniszczył wybuch wulkanu, a potem pochłonął ocean.

Chociaż wywody Brasseura spotkały się wówczas ze znacznym zainteresowaniem, dziś wiemy, że jego tłumaczenie było całkowicie błędne. Autorem rozprawy naukowej, którą odkrył w bibliotece Akademii Historycznej w Madrycie był w rzeczywistości Diego De Landa, hiszpański biskup prowincji Jukatan. Biskup odpowiedzialny był za jeden z najbardziej przerażających aktów kulturowego wandalizmu — całkowicie zniszczył obszerną literaturę Majów, oszczędzając tylko trzy księgi.

Ironia losu sprawiła, że tuż po tym, jak De Landa pozbył się tych unikatowych dzieł literackich, sam zaczął się interesować kulturą Majów

i próbował nauczyć się ich pisma — skomplikowanego systemu hieroglificznego. Skompilował alfabet Majów, który włączył do swojego traktatu naukowego *Account of the Affairs of Yucatan* [Informacja o sprawach półwyspu Jukatan]. To właśnie ten alfabet — oraz swoją wybujałą wyobraźnię — wykorzystał Brasseur przy „tłumaczeniu" *Troana Codex*, stanowiącego jedną z dwóch części *Tro-Cortesianus Codex*, który przechowywany jest w Madrycie (dwie inne księgi, które uniknęły zagłady z rąk De Landy znajdują się w Dreźnie i Paryżu).

Do dziś odczytano zaledwie jedną trzecią hieroglifów Majów, ale wiemy już wystarczająco wiele, by stwierdzić z całkowitą pewnością, że *Troana Codex* mówi o astrologii, a nie o wybuchu wulkanu.

W czasie tłumaczenia tej księgi Brasseur stanął przed pewną zagadką. Nie mógł objaśnić dwóch specyficznych liter, które występowały w manuskrypcie Majów i wykazywały znaczące podobieństwo do „M" i „U" w alfabecie De Landy. Połączył więc je, aby nadać nazwę rzekomo zatopionej przez morze krainie — Mu. I chociaż jego pedantyczna praca została zdyskredytowana, nazwa nadana wyspie przez Brasseura przetrwała.

Następny rozdział w historii zaginionego kontynentu napisał rodak Brasseura, cieszący się pewną sławą fizyk i archeolog, Augustus Le Plongeon. Jego teorię również zainspirowali Majowie.

Le Plongeon jako pierwszy prowadził wykopaliska w ruinach na Jukatanie. Spędził na tym półwyspie wiele lat wraz ze swoją amerykańską żoną, Alice. Dokonał nawet własnego „przekładu" *Troana Codex*. Inspirowały go przy tym zarówno praca Brasseura, jak i własna interpretacja ściennych malowideł w zrujnowanym mieście Chichen Itza.

W ten sposób powstała barwna opowieść o życiu na Mu. Dwaj książęta z Mu, Coh i Aac, rywalizowali ze sobą o rękę swojej siostry Moo, królowej Mu. Zwyciężył książę Coh, ale został zamordowany przez swojego zazdrosnego brata, który przejął potem rządy w kraju. W apogeum tego kazirodczego dramatu, Mu zaczął tonąć. Lecz księżnej Moo udało się uciec. Dotarła do Egiptu, gdzie zbudowała posąg sfinksa, będący pomnikiem na cześć Coh. Pod imieniem Izis stworzyła egipską cywilizację.

Według Le Plongeona, wielu innych mieszkańców Mu zbiegło do Ameryki Południowej, na Jukatanie spisali swoją historię i zbudowali świątynie swoim przywódcom. Na potwierdzenie tej teorii, Le Plongeon wysunął tezę o podobieństwie hieroglifów Majów i Egipcjan. Poglądu tego na jego nieszczęście nie podziela większość specjalistów.

W latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku Augustus i Alice Le Plongeon przenieśli się na Brooklyn. O swoich odkryciach napisali wiele książek. Najbardziej znana z nich to *Queen Moo and the Egyptian Sphinx* [Królowa Mu i egipski sfinks], opublikowana po raz pierwszy w 1896 roku. Le Plongeon twierdzi, że w czasie wykopalisk odnalazł kamienną urnę ze zwęglonymi wnętrznościami księcia Coha.

Według Le Plongeona, w jego przekładzie *Troana Codex*, Mu:

„Po dwóch wstrząsach [...] nagle w ciągu nocy zniknęła, wulkaniczne siły nieustannie wstrząsały jej basenem. To spowodowało, że ląd tonął i pojawiał się nad powierzchnią morza w różnych miejscach. W końcu powierzchnia pękła i dziesięć krajów zostało rozrzuconych w wielu kierunkach. Niezdolne do stawiania oporu siłom wstrząsów zatonęły wraz ze swoimi 64 milionami mieszkańców".

Zarówno Brasseur, jak Le Plongeon wierzyli, że Mu i Atlantyda to jeden i ten sam kontynent, który umiejscawiali na wschód od Ameryki Środkowej, w pobliżu Zatoki Meksykańskiej i Morza Karaibskiego. Inni teoretycy starali się umiejscowić Atlantydę na Oceanie Atlantyckim, lecz jeśli kiedykolwiek ocean pochłonął jakiś kontynent, to najlepszym kandydatem byłby bez wątpienia Pacyfik. Poza wszystkim, jest to największy ocean na ziemi, liczy 176 milionów kilometrów kwadratowych. Jest dwukrotnie większy od Atlantyku.

Tajne archiwa

Pierwszym człowiekiem, który umiejscowił zaginiony kontynent na Pacyfiku, był Francuz Louis Jacolliot. Głoszone przez niego teorie nie były tak niezwykłe, jak poglądy Jamesa Churchwarda, który korzystając z różnych źródeł połączył w całość historię o Mu. Najważniejszymi źródłami były dwa komplety zapisanych tablic. Utrzymywał, że pierwszą odnalazł w Indiach — czy też w Tybecie, w zależności od tego, którą z jego książek wybierzemy jako źródło) w świątyni, w której badał płaskorzeźby. Przez pierwsze dwa lata kapłani uczyli Churchwarda odczytywania inskrypcji na ścianach, które, jak wierzył, spisane były w pierwotnym języku ludzkości.

Podczas tego okresu studiów kapłani ujawnili, że w tajnych archiwach świątyni znajdują się starożytne tablice. Churchward przekonał kapłanów, żeby otworzyli dla niego archiwa i pozwolili mu zbadać tablice. Spisane zostały w tym samym języku, który badał, i jak mówi Churchward, opowiadały o stworzeniu Ziemi i pojawieniu się człowieka na kontynencie Mu. Nadał im nazwę tablic z Nacaal.

Drugi komplet tablic — które, jak uważał, rzucały więcej światła na kontynent Mu — stanowił zbiór 2500 kamiennych przedmiotów odnalezionych w Meksyku przez amerykańskiego inżyniera Williama Nivena. Wykonane zostały one przez Azteków i inne starożytne ludy Meksyku. I chociaż nikt nie znalazł na nich nic wartego odszyfrowania, Churchward twierdził, że znajdują się na nich symbole pochodzące z Mu i że podobnie jak tablice z Nacaal, zawierają wyciągi ze świętych pism o kontynencie Mu.

Na podstawie tych i innych badań Churchward opisał w szczegółach historię zaginionego kontynentu.

Według niego, kontynent zamieszkiwało dziesięć plemion, którymi rządziła rada i imperator, znany jako Ra Mu. Kontynent pokrywały bujne pastwiska i pola uprawne. Dodał, że góry nie dźwignęły się jeszcze z wnętrza ziemi. Były tu rzeki i lesiste wzgórza, kolorowe motyle i kolibry oraz wielkie mastodonty i słonie.

Mu zamieszkiwało wiele ras — ludzi o żółtej, brązowej i czarnej skórze, lecz Churchward twierdził, że dominującą rasą byli biali, niezwykle przystojni ludzie, o jasnej — białej lub oliwkowej — karnacji, wielkich łagodnych ciemnych oczach i gładkich czarnych włosach.

Według Churchwarda był to z pewnością kontynent idylliczny. W chłodne wieczory statki spacerowe zapełnione były ustrojonymi w klejnoty mężczyznami i kobietami, radującymi się ze sprzyjającego im losu. Lecz — jak brzmi dalej opowieść — wszystko, co dobre, musi mieć kiedyś swój koniec. Południową częścią Mu wstrząsnęły nagle trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów. Zniszczeniu uległo wiele miast, a kontynent zalały wielkie fale przypływu. Ci, którzy przeżyli, odbudowali swoje domy i życie potoczyło się swoim torem. Ostateczna zagłada została jednak tylko przesunięta w czasie. Kiedy nadeszła, wiele pokoleń później, zginęli niemal wszyscy mieszkańcy Mu.

Opowieść Churchwarda o zagładzie Mu czyta się jak relację naocznego świadka. Cały kontynent „dźwigał się i zataczał jak fale oceanu", a potem „przy grzmocie gromów, skazany na zagładę ląd zatonął. Pogrążał się coraz bardziej w czeluściach piekieł — był płonącym zbiornikiem".

Niezależnie od tego, jak bardzo wzruszająca wydaje się historia Mu, nie możemy z całą pewnością stwierdzić, że ten kontynent w ogóle istniał. Mimo to utrzymuje się wiara w jego istnienie. Żeby ta legenda umarła na zawsze, trzeba z pewnością wylać na nią znacznie więcej zimnej wody niż jest w Pacyfiku.

LEGENDA O LEMURII

Kolejnym bajkowym rzekomo zaginionym kontynentem jest Lemuria. W XIX wieku naturaliści prowadzili poważne prace poszukiwawcze. Czy jednak w ogóle istniały jakieś dowody potwierdzające istnienie tego kontynentu? Dlaczego wielu znanych okultystów zafascynowała rasa, która rzekomo posiada niewidzialnych potomków w Kalifornii?

Legenda o Lemurii jest chyba najbardziej absurdalna ze wszystkich przekazów o zaginionych kontynentach, mimo że jej początki wywodzą się z całkiem poważnych rozważań naukowych.

Hipotezę o zaginionym kontynencie wysunięto, by wyjaśnić zwyczaje lemurów — podobnych do małp ssaków, daleko spokrewnionych z człowiekiem, na które natknięto się w krajach położonych w basenie Oceanu Indyjskiego. Problem polegał na tym, że niektóre z tych państw dzieliła taka odległość, iż wydawało się niemożliwością, aby takie małe zwierzątka mogły dotrzeć do nich przez szerokie przestrzenie oceanu.

W 1859 roku Karol Darwin opublikował *O powstawaniu gatunków*. Wkrótce między zwolennikami ewolucji a tymi, którzy wierzyli, że Bóg mógł rozmieścić gatunki wedle swego upodobania, wybuchł gorący spór.

Tacy ludzie, jak niemiecki naturalista Ernst Heinrich Haeckel (1834–1919), byli nie tylko entuzjastycznymi wyznawcami wiary w zaginiony kontynent zwany Lemurią (od nazwy ssaków, które zainspirowały tę teorię), lecz gotowi byli także uwierzyć, że kontynent ten był „kolebką cywilizacji". Haeckel pisał:

„Wiele okoliczności (zwłaszcza historycznych faktów) sugerujących, iż pierwotnym domem człowieka był kontynent zatopiony obecnie pod powierzchnią Oceanu Indyjskiego, który rozciągał się wzdłuż południowych wybrzeży Azji, w jej dzisiejszym kształcie (i prawdopodobnie był z nią bezpośrednio połączony), na wschód aż po Dalekie Indie i wyspy Sunda; na zachód do Madagaskaru i południowo-wschodnich wybrzeży Afryki.

Wspomnieliśmy już, że wiele faktów dotyczących geograficznego rozmieszczenia zwierząt i roślin czyni bardzo prawdopodobnym istnienie takiego południowoindyjskiego kontynentu [...] Przyjmując, że Lemuria była pierwotnym domem człowieka, niezwykle ułatwiamy wyjaśnienie geograficznego rozprzestrzenienia się rodzaju ludzkiego za sprawą migracji".

Los okazał się jednak dla Haeckela niełaskawy. Czas i nowe teorie dostarczyły bardziej wiarygodnych wyjaśnień pochodzenia człowieka i rozprzestrzenienia się lemurów. Powinny były także pogrzebać Lemurię, ale mniej więcej w tym samym okresie okultyści podczepili się do „zagubionego kontynentu" — podobnie jak robili to z Atlantydą bądź Mu — a rozważania naukowe zostały odrzucone. Zaczęła pojawiać się coraz większa liczba rzekomych dowodów na potwierdzenie istnienia tego kontynentu.

W 1888 roku teoria o istnieniu Lemurii zyskała mocne poparcie największej ówczesnej okultystki — madame Heleny Bławatskiej, postawnej i zagadkowej kobiety, założycielki Towarzystwa Teozoficznego. W tym samym roku Bławatska opublikowała książkę *Doktryna tajemna* prezentującą jej filozofię i zawierającą rzekomo pradawną wiedzę, przekazaną jej, jak twierdziła, przez Braterstwo Mahatmów, ugrupowanie eterycznych istot, które rządziły z Tybetu światem.

Książka madame Bławatskiej była rzekomo oparta na starożytnym dziele, *Księdze Dzyan*, którą, jak twierdziła, Mahatmowie pokazali jej w trakcie jej astralnych wizyt. Księga została spisana na Atlantydzie, w zapomnianym już języku Senzar, i była związana z historią Atlantydy i Lemurii.

Doktryna tajemna została napisana po angielsku, lecz nie wpłynęło to na lepsze jej zrozumienie. Pokazuje to poniższy przykład:

„Po gwałtownych bólach, wyrzuciła swoją starą Trójcę i założyła nową Siódmą Skórę, i stanęła w swojej pierwszej [...] Koło przekręciło się kolejnych 300 milionów razy. Stworzyło Rupasów: miękkie Kamienie, które twardniały, twarde Rośliny, które miękły. Widzialne z niewidzialnego, insekty i małe pokrzywy..."

Według Mahatmów, przeznaczeniem Ziemi było mieć siedem „podstawowych" ras. Pierwsza rasa była niewidzialna, a druga widzialna. Trzecią byli Lemurianie, potężne małpoludy, pozbawione mózgu. Następni to Atlantydzi, którzy byli w pełni ludźmi, lecz zostali zniszczeni przez czarną magię. My jesteśmy piątą „podstawową" rasą. Szósta wywiedzie się od nas i powróci na Lemurię, gdzie będzie prowadziła swój żywot. Kiedy pojawi się siódma i ostatnia rasa „podstawowa", życie — jak rzekomo powiedzieli Helenie Bławatskiej Mahatmowie — opuści Ziemię i rozkwitnie ponownie na Merkurym.

Jaskiniowcy

Jeszcze bardziej zdumiewające jest to, że moc okultystyczna madame Bławatskiej mogła rzekomo przywrócić życie na zaginionym kontynencie — Lemurii. Niektórzy z jej mieszkańców mieli po cztery ręce, inni — oko z tyłu głowy, które sprawiało, że doświadczali parapsychicznych wizji. Nie odczuwali potrzeby komunikowania się ze sobą za pomocą słów, gdyż w tym celu posługiwali się telepatią. Według Bławatskiej, Lemurianie żyli w jaskiniach lub dziurach wydrążonych w ziemi, a ich kontynent zajmował większą część południowej półkuli. Rozciągał się od podnóża Himalajów aż nieco poza krąg polarny. Gdy ponad 40 milionów lat temu Lemuria została zalana przez fale oceanu, niektórzy z jej mieszkańców przeżyli katastrofę i stali się pierwotnymi mieszkańcami Australii — aborygenami.

Według innego teozofa, W. Scotta-Elliota, Manus — którzy nadzorują wszechświat — wybrali Lemurię na miejsce ewolucji trzeciej „podstawowej" rasy. Lecz rezultatem ich pierwszej próby stworzenia człowieka było zaledwie powstanie galaretowanych istot. Z czasem jednak ciała Lemurian stwardniały i rozwinęły szkieletową konstrukcję, dzięki czemu mogli oni przyjąć postawę wyprostowaną.

Na podstawie tych relacji można by sądzić, że Lemuria znajdowała się jedynie w centrum zainteresowania okultystów lub ludzi naiwnych. Jednakże w latach dwudziestych naszego stulecia sprawa zaginionego kontynentu nabrała większego rozgłosu.

Człowiekiem, który mimowolnie rozpropagował Lemurię, był pisarz Frederick Spencer Oliver. Napisał powieść okultystyczną, w której pewien Chińczyk, Quong, opisany został jako mistrz żyjący na Mount Shasta w północnej Kalifornii. Tutaj mędrzec utworzył wspólnotę, by zachować arkana wiedzy starożytnych — w tym Lemurian. Powieść niewątpliwie została zainspirowana przez innego pisarza i reportera, Edwarda Lansera. 22 maja 1932 roku Lanser opublikował sensacyjny artykuł w „Los Angeles Times Star". Stwierdził w nim, że na zboczach Mount Shasta mieszkają potomkowie rasy, która niegdyś żyła na Lemurii.

Nieustraszony reporter wyruszył ku Mount Shasta na poszukiwanie Lemurian. Dotarł do małego miasteczka Weed i rozmawiał z wieloma osobami, które twierdziły, że widziały dziwne światła i wiedziały o istnieniu mistycznej wioski. Jednak żadna z tych osób nigdy w niej nie była — a jeśli ktoś do niej dotarł, nigdy nie powrócił. Lanser twierdził jednak, że odnalazł eksperta znającego osiedle Lemurian — profesora Edgara Lucina Larkina. Posługując się urządzeniem o wielkiej mocy zobaczył wspaniałą świątynię, pokrytą marmurem i onyksem, która dorównywała pięknem świątyniom Majów. Lemuriane trzymali się swojego kręgu, chociaż mieszkańcy Weed czasami ich widywali. Byli wysocy, nastawieni pokojowo, mieli szlachetną postawę i krótko obcięte włosy. Nosili nieskazitelnie białe szaty.

Czytelnicy „Los Angeles Times Star" musieli podejrzewać, że opowieść Lansera zawiera więcej fikcji niż faktów. Kiedy później zbadano tę sprawę, okazało się, że profesor Larkin nie był „znakomitym naukowcem", jak twierdził Lanser. W rzeczywistości był okultystą, który kierował Mount Lowe Obserwatory w Kalifornii, stanowiącym pewną turystyczną atrakcję. Na dodatek zmarł w 1924 roku, osiem lat przed opublikowaniem niewiarygodnej opowieści Edwarda Lansera.

KONTAKTY ZE ZWIERZĘTAMI

Czy mamy paranormalny wpływ na inteligencję naszych czworonożnych ulubieńców? I czy w zamian otrzymujemy od nich nieoczekiwane korzyści? Wydaje się, że wiele możemy zyskać na kontaktach ze zwierzętami.

Lord Gardenstone, szkocki sędzia żyjący w XVIII wieku, bardzo lubił świnie, a zwłaszcza jedną. Każdą chwilę wolną od sędziowskich zajęć spędzał w towarzystwie ulubionej maciory. Zwierzę chodziło za nim niczym pies.

Jak informuje *The Dictionary of National Biography*, pewnego ranka, w porze, kiedy sędzia zwykle jeszcze leżał w łóżku, do Gardenstone'a zawitał gość. Pojawił się w pogrążonej w półmroku sypialni sędziego i potknął się o ogromnych rozmiarów obiekt, który wydobył z siebie przerażające chrząknięcie. Na to lord Gardenstone powiedział: — To tylko maciora, biedaczka, okryłem ją spodniami, żeby nie zmarzła w nocy.

Inne źródło stwierdza jednak, że lord Gardenstone udzielił innego wyjaśnienia, dlaczego co noc pozwala swojej ulubionej maciorze używać swoich ubrań jako posłania. Ogrzewała je, a on lubił w zimne poranki zakładać ciepłe ubranie.

Nie ma powodu wątpić w prawdziwość obu wyjaśnień. Bez wątpienia był to jakiś układ, na którym korzystały obie strony. Świnia była zadowolona z wygodnego posłania, a sędzia cieszył się, że może zakładać ciepłe spodnie. Takie uzupełnianie się jest typowe dla stosunków między większością domowych ulubieńców a ich właścicielami; zyskują na nich obie strony. Oczywiście pod warunkiem, że ulubieńcy to ssaki lub ptaki. Trudno określić korzyści uzyskiwane przez każdą stronę, jeśli ulubieniec jest istotą niezwykłą — na przykład olbrzymim afrykańskim karaluchem.

Niektóre z korzyści wynikających ze stosunku właściciel–ulubione zwierzę są oczywiste, jeśli mamy do czynienia ze zwykłymi domowymi zwierzętami, takimi jak pies czy kot. Zwierzę obdarzane jest ciepłem, otrzymuje pożywienie, ma zapewnioną opiekę w czasie choroby, okazuje mu się uczucie i tak dalej. Zwierzę zaś okazuje właścicielowi podziw, zwłaszcza gdy jest to pies (który może traktować właściciela jako przywódcę stada — jako dosłownie „najwyższego psa"). Właściciel ma zapewnione towarzystwo i — co jest niezwykle ważne ze względów psychologicznych — poczucie, że jest komuś potrzebny, że jest kimś najważniejszym w fizycznym i psychicznym życiu członka innego gatunku.

Z kontaktów z domowymi zwierzętami ludzie wynoszą również znacznie mniej oczywiste korzyści. Badaniach naukowe wykazały, jak ważny jest udział domowych ulubieńców w uspokajaniu, pocieszaniu swoich właścicieli i przywracaniu zaufania osobom, które są nieszczęśliwe, chore psychicznie lub fizycznie albo ulegają stresom.

Nie jest chyba zaskakujące, że właściciele zwierząt domowych w mniejszym stopniu ulegają lękom i depresjom niż osoby mieszkające bez takiego przyjaciela. Można powiedzieć, że właściciel zwierzęcia musi zadbać o dobro innej istoty u swego boku, i dlatego w mniejszym stopniu oddaje się własnym problemom. Badania wykazały, że posiadanie zwierzęcia-przyjaciela może pomagać przy takich schorzeniach, jak na przykład choroby serca.

Właściciele zwierząt żyją dłużej

Zespół amerykańskich badaczy z Uniwersytetu Pensylwanii i Wydziału Nauk Medycznych z Brooklyn College w Nowym Jorku przeprowadził badania wśród 92 pacjentów przebywających w szpitalu z powodu choroby serca, wieńcówki. Wśród tych 92 pacjentów, 53 trzymało w domu jakieś zwierzę. Podczas pobytu w szpitalu wyrażali zaniepokojenie losem swoich ulubieńców, a kiedy poczuli się wystarczająco dobrze, codziennie telefonowali do przyjaciół lub członków rodziny opiekujących się ich ulubieńcami. Niektórzy z tych pacjentów tak niepokoili się o swojego kota czy psa, że regularnie „rozmawiali" przez telefon ze swoim zwierzakiem.

Można by sądzić, że troska o zwierzęta wywoła dodatkowy stres u pacjentów z wieńcówką i utrudni ich powrót do zdrowia. Badania wykazały jednak odwrotny efekt. Spośród 53 właścicieli zwierząt, nie mniej niż 50 (94%) nadal żyło w rok po opuszczeniu szpitala. Spośród 39 osób, które nie posiadały zwierząt, tylko 17 (43%) pozostało przy życiu po upływie takiego samego czasu.

Te liczby mogłyby wskazywać na to, że przez jakiś kaprys losu grupa pacjentów, którzy nie mieli zwierząt domowych, była przeciętnie bardziej chora od pozostałych. Badania wykazały jednak, że wcale tak nie było i że wyższy procent żyjących był niezależny od stanu zdrowia.

Nawet zwierzęta niezdolne biologicznie do takich samych interakcji z ludźmi wydają się wytwarzać te same korzystne efekty, jak to wykazał przeprowadzony przez Amerykanów eksperyment z tropikalną rybą. Osoby uczestniczące w eksperymencie posadzono przed pustą ścianą. Polecono im, żeby nic nie robiły, tylko patrzyły na ścianę. Zmierzono im ciśnienie krwi, zarówno skurczowe (mierzone gdy serce się kurczy), jak i rozkurczowe (gdy się rozkurcza). Następnie osoby te posadzono przed zbiornikiem z tropikalną rybą. Kiedy osoby te obserwowały rybę, ciśnienie ich krwi, skurczowe i rozkurczowe, spadło. Największy spadek zaobserwowano u osób, u których ciśnienie — w stosunku do ich wieku i wagi — było wysokie. Szczególnie interesujący był fakt, że spadek ciśnienia był stosunkowo duży, dorównujący spadkowi osiąganemu przez biologiczne sprzężenie zwrotne (technika, w której dana osoba uczy się kontrolować pewne funkcje organizmu) lub przez przedłużone stosowanie takich technik relaksacyjnych jak medytacje.

Zwierzęta spokrewnione z człowiekiem, które były traktowane jak „członkowie rodziny" — koty, psy czy czasami bardziej niezwykłe, jak na przykład świnia lorda Gardenstone'a — także wyczuwają, kiedy ich właściciele są chorzy lub zmartwieni.

Tej wrażliwości na stan, w jakim znajduje się dana osoba, ze względu na jej naturę, nie da się zmierzyć w warunkach laboratoryjnych. Wielu właścicieli zwierząt przekonanych jest jednak, że taka świadomość rzeczywiście istnieje. Mają oni pod ręką wiele anegdot na temat własnych doświadczeń w tym zakresie. Na przykład osoby cierpiące na gwałtowne zmiany nastrojów informują, że ich koty i psy natychmiast naśladują ich zachowanie. Czasami taka świadomość stanu duchowego właściciela jest przypisywana „zwierzęcej telepatii", której elementem jest rozpoznawanie przez zwierzę znaczenia sygnałów nieświadomie wysyłanych przez człowieka przez dotyk, zapach czy zachowanie.

Spora grupa poważnych badaczy zjawisk paranormalnych doszła do wniosku, że anegdotyczne opowieści właścicieli zwierząt mogą mieć pewną wartość. J. B. Rhine, być może najbardziej znany parapsycholog, napisał: „Liczba przypadków (pozazmysłowego postrzegania u zwierząt) jest wystarczająco duża, by sugerować, że zwierzęta mogą w jakiś sposób znaleźć się pod wpływem okoliczności, których nie są w stanie sobie uświadomić za pomocą żadnych odbieranych zmysłami znaków i których, jak można by sądzić, nie zrozumiałyby w ludzkich kategoriach".

Doktor Karlis Osis, który przez pewien czas pracował w parapsychologicznym laboratorium Rhine'a, przedstawił istotne statystycznie rezultaty kontrolowanych testów pozazmysłowego postrzegania u zwierząt, które przeprowadził na kotach. Jednak zdaniem doktora Osisa, koty są jeszcze trudniejszym obiektem eksperymentów niż ludzie. Osiągają bardzo dobre rezultaty, gdy mają do czynienia z badaczem, którego lubią. Ale jeśli go nie lubią — rezultaty te są odpowiednio gorsze.

Należy przyznać, że to, co niektórzy właściciele zwierząt mówią na temat pozazmysłowych zdolności swoich ulubieńców, przez większość z nas uznane by było za fantazję. Psy okazujące zdolności medium, koty obdarzone rzekomo darem uzdrawiania psychiki, konie z widoczną aureolą — wszystko to jest opisane w bardziej oderwanej od życia literaturze spirytystycznej.

Czy możliwe jest, aby pole morfogenetyczne — niewidzialne pole, które otacza i nadaje kształt formom żywym oraz wpływa na ich zachowanie — wykryte przez biologa Ruperta Sheldrake'a, przekraczało bariery istniejące między gatunkami? Czy inteligencja zwierząt może powiększać się w wyniku obcowania z ludźmi, ich panami i towarzyszami?

NIEZWYKŁE WIZERUNKI ZWIERZĄT

Na niektórych wykonanych przez amatorów i zawodowców fotografiach duchów widać zjawy kotów, psów i innych zwierząt, które wydają pojawiać się z innego wymiaru.

Większość fotografii duchów, na których pojawiają się „dodatki" w postaci zwierząt wykonali przypadkowo amatorzy. Nie ukrywali potem swojego zdumienia, gdy na filmach zobaczyli osobliwe dodatkowe wizerunki. Zwykle udawało się im rozpoznać tożsamość tych nieoczekiwanych duchów.

Interesującym przykładem takiej fotografii jest zdjęcie wykonane w sierpniu 1925 roku w Clarens w Szwajcarii przez majora Wilmota Allistone'a. Na pierwszy rzut oka wydaje się ono nieco źle skomponowanym zdjęciem rodzinnym. Kiedy jednak przyjrzymy mu się uważniej, okaże się ono niezwykle godnym uwagi zdjęciem ducha. Major był zdumiony i zaintrygowany, gdy odkrył, że na odbitce widoczny jest słaby wizerunek na wpół przezroczystego kota, usadowionego nad prawą ręką jego syna, obok pluszowego zwierzaka, którego dziecko trzyma w lewej ręce. W chwili wykonywania fotografii, dziecko nie miało przy sobie żadnego kotka. Majora zdumiał fakt, że widmowy kot bardzo przypominał ulubione zwierzątko jego syna, które zdechło kilka dni wcześniej, gdyż zostało poturbowane przez bernardyna.

Eksperci szczegółowo zbadali później negatyw i odbitki tego fascynującego zdjęcia; skorzystali nawet z mikroskopu stereoskopowego. Nigdy nie wyjaśniono, w jaki sposób na zdjęciu pojawił się nieżyjący kot.

Innym przykładem, z pewnych względów nawet bardziej osobliwym, jest zdjęcie przekazane w 1927 roku Brytyjskiemu Kolegium Nauk Parapsychologicznych. Jest to fotografia wykonana przez niejaką panią Filson. Przedstawia lady Hehir i jej irlandzką wilczycę Tarę. Zdjęcie to jednak nie było taką sobie zwykłą fotografią. Tym, co jest w tej sprawie wyjątkowe, to nie półprzezroczyste widmo zmarłej osoby, lecz bardzo wyraźna głowa szczeniaka. Co ciekawe, znajduje się ona przy ogonie wilczycy. Pani Filson i lady Hehir rozpoznały w tym umiejscowionym w złym miejscu „dodatku" Kathala, teriera, często bawiącego się z wilczycą. Szczeniak zdechł w sierpniu 1926 roku, mniej więcej sześć tygodni przed wykonaniem tego zdjęcia.

W podpisanym oświadczeniu przekazanym do Kolegium, lady Hehir oświadczyła: „Jestem przekonana, że szczeniak często przebywa w jednym pokoju z Tarą i ze mną, gdy suka łagodnie mruczy do czegoś, co najwyraźniej widzi".

Każdy, kto ma w domu jakieś zwierzę, prędzej czy później zaobserwuje, że widzi ono coś, czego nie może dostrzec ludzkie oko. Sprawą dyskusyjną jest to, czy są to duchy, nieziemskie istoty, czy innego rodzaju stworzenia. Pewna niezwykła fotografia pokazuje jednak domowe zwierzę obserwujące formę niewidzialną dla fotografa wykonującego zdjęcie. Miało to być zwykłe zdjęcie kota o imieniu Monet, wykonane przez jego właściciela Alfreda Hollidge'a w 1974 roku. Rodzina Hollidge'ów miała tylko jedno zwierzątko. W chwili wykonywania zdjęcia w domu z całą pewnością nie było żadnego innego kota. Na wywołanym negatywie widać jednak ciemne zwierzę przebiegające przed Monetem — małego kotka lub dużego szczura, za którym ciągnęło się coś osobliwie długiego, podobnego do ogona. Trudno ustalić z całą pewnością, co widział Hollidge, gdyż negatywy oddał do wywołania dopiero po kilku miesiącach. Zmarł, zanim wróciły one z laboratorium. Nigdy więc nie widział odbitek. Jest jednak więcej niż prawdopodobne, że zwróciłby uwagę, gdyby w czasie robienia zdjęć pojawiło się coś szczególnego i na pewno chciałby szybko zobaczyć odbitki z dziwnym intruzem. Być może najbardziej interesujące w tej fotografii ducha było to, że Monet wydaje się obserwować coś w miejscu, w którym na fotografii widoczne jest dodatkowe zwierzę.

Wiele fotografii duchów z dodatkiem w postaci zwierząt zostało wykonanych przez profesjonalistów. Na przykład, znany amerykański fotograf duchów Edward Wyllie wykonał zdjęcie, na którym pojawiły się duchy kobiety i psa. Zrobił je w 1897 roku w Los Angeles dla J. Wade Cunninghama, który później przesłał długie sprawozdanie z tego wydarzenia angielskiemu dziennikarzowi i spirytyście Williamowi T. Steadowi.

Według Cunninghama, medium często opowiadało mu o pięknej kobiecie, która czasami pojawiała się w jego obecności. Duchowi kobiety czasami towarzyszył pies, który szczekał i skakał z radości na dźwięk głosu Cunninghama. Pewnego dnia medium spytało ducha kobiety, czy gotowa byłaby przyprowadzić psa i pozwolić się z nim sfotografować. Wyllie, nie mając pojęcia, czego się od niego oczekuje, otrzymał zlecenie wykonania zdjęcia ducha. Na odbitce widać piękną kobietę i psa, w którym Cunningham rozpoznał swojego psa, którego posiadał wiele lat wcześniej.

Pobożne życzenia

Medium i fotograf duchów, Anglik William Hope, rzadko wykonywał zdjęcia w plenerze. Przebywając na wakacjach w Exmouth w Devonie w 1924 roku wykonał kilka zdjęć swojej asystentki, pani Buxton oraz jej rodziny na stopniu ich mieszkalnej przyczepy. Odbitki zblakły już, lecz nadal można zobaczyć na nich wiele ciekawych dodatków. Postać pani Buxton zamazana jest przez chmurę ektoplazmy, a nad nią otulony mgłą widoczny jest wizerunek twarzy jej syna, który zmarł rok wcześniej. Później przyznała, że kiedy wykonywano to zdjęcie, pragnęła, by „był on razem ze wszystkimi".

Po prawej stronie obok głowy syna widoczna jest głowa konia lub kucyka. Z ogromnym podnieceniem rodzina rozpoznała w niej białego kucyka o imieniu Tommy, który należał do syna pani Buxton. Kucyk zdechł na krótko przed śmiercią chłopca. Trzeci „dodatek" jest już trudniej dostrzec. Nałożony jest na kamizelkę pana Buxtona. Jest to wizerunek starego mężczyzny. Buxton stwierdził, że jest to portret jego zmarłego brata.

Pogarszająca się jakość zdjęcia Hope'a przypomina o tym, iż z jakiegoś tajemniczego powodu tylko nieliczne fotografie duchów przetrwały upływ czasu. Szkoda na przykład, że nie zachowało się zdjęcie wykonane w latach osiemdziesiątych XIX wieku przez mało znanego fotografa duchów doktora Stanbury.

Zdjęcia duchów

Niejaka pani Cabell miała poprzednio dwa psy — starego o śmiesznym imieniu Sekretarz Stanton i drugiego, ciemnobrązowego o imieniu Fanny. Psy żyły ze sobą w wielkiej przyjaźni. Zdechły w późnym wieku, a ich śmierć dzieliło zaledwie kilka godzin. Mniej więcej cztery lata po ich odejściu, pani Cabell spędzała wakacje w Onset Bay w stanie Massachusetts. Została tam zaproszona na seans spirytystyczny.

W trakcie wieczoru medium zaobserwowało w parapsychicznym planie „małego pieska" skaczącego wokół pani Cabell. Kiedy obejrzało obróżkę, znalazło na niej imię „Fanny". Pani Cabell była oczywiście bardzo podekscytowana. Z zainteresowaniem przyjęła propozycję odwiedzenia doktora Stanbury'ego, który przebywał niedaleko, i spytania go o to, czy nie zrobiłby zdjęcia jej dawnej ulubienicy. Pani Cabell pojawienie się jej ulubieńców — chociażby na kliszy fotograficznej — sprawiło wielką przyjemność.

Czasami w pokoju, w którym odbywa się seans spirytystyczny, widać także inne zwierzęta. Coś w rodzaju małpy pojawiło się na fotografii słynnego polskiego medium, Franciszka Kluski, którego sfotografowano także z unoszącym się nad nim przypominającym sowę ptakiem. Całkowicie zagadkowe jest zdjęcie podobnego do nietoperza stwora widocznego nad chmurą ektoplazmy na zdjęciu wykonanym w 1921 roku przez Staveleya Bulforda, członka Brytyjskiego Kolegium Nauk Parapsychologicznych.

Chociaż wielu fotografów duchów próbowało umyślnie uchwycić kamerą duchy ludzi, niewielu tylko podejmowało świadome wysiłki w celu sfotografowania zwierzęcych duchów. Być może dlatego takie zwierzęce „dodatki" występują nadzwyczaj rzadko.

TAJEMNICE WIELKICH JEZIOR

Czy zniknięcie wielu statków i samolotów na Wielkich Jeziorach w Ameryce Północnej może być wynikiem działania złowieszczych sił? A może istnieje prostsze wyjaśnienie?

Wśród wszystkich paranormalnych — i zwykle wymykających się wyjaśnieniu — zjawisk, które wydarzyły się wokół Wielkich Jezior Ameryki Północnej, zaobserwowano regularnie powtarzającą się jedną osobliwość. Były to tak zwane „Trzy Siostry" — trio gigantycznych fal, które przesuwały się z niszczącą wszystko siłą, niespodziewanie i bez ostrzeżenia, po cichej powierzchni jezior. Miejscowi Indianie ze szczepu Chippewa wierzyli, że zjawisko to spowodowane było przez ruchy olbrzymiego jesiotra. Współcześni mieszkańcy tamtych stron określają je mianem *Seiche* — wymawiane jest to jako „sesh" i wywodzi się z używanej w Szwajcarii formy języka francuskiego, gdyż zjawisko to występuje także na Jeziorze Genewskim.

26 czerwca 1954 roku fala *Seiche* uderzyła w brzeg jeziora Michigan między Whiting w stanie Indiana a Wakegan w stanie Illinois. Zniszczeniu uległo wiele domów. Fale porwały 50 osób, 8 z nich utonęło. Większość ofiar łowiła ryby blisko brzegu. Ci, którzy przeżyli, opowiadali, że nic nie świadczyło o nadchodzącej katastrofie. W pewnej chwili pojawiła się trzymetrowa fala, która na nich runęła.

W książce *The Great Lakes Triangle* [Trójkąt Wielkich Jezior] Jay Gourley opisuje jak taka fala zaskoczyła i zatopiła na Jeziorze Górnym statek *James E. Davidson*, transportowiec do przewozu zboża, o wyporności 6 ton. „Jaka siła kryła się za tą dziwną, niszczącą falą? — pyta Gourley. — Skąd przybyła? Jaką miała moc? W jaki sposób była tak dokładnie wymierzona, że posłała na dno pełnomorski statek?"

Są to rzeczywiście fascynujące pytania. Jednak z wyjątkiem tego, że jak wnioskuje Gourley fala była „kierowana" przez jakąś inteligentną siłę, na pozostałe pytania odpowiedzieli meteorolodzy, chociaż nawet oni nie potrafią wyjaśnić, jakie dokładnie siły fizyczne wywołują fale *Seiche*.

Mówiąc ogólnie, są to długie fale, które występują we względnie płytkich wodach jeziora, zatoki lub przystani, chociaż czasami potrafią przemierzać Ocean Atlantycki, wznosząc się na względnie płytkich obszarach szelfów kontynentalnych. Ich wysokość waha się od 8–12 centymetrów do ponad 10 metrów. Mogą rodzić się pod wpływem działania wielu zakłóceń atmosferycznych, wiatrów, a nawet niewielkich ruchów sejsmicznych w basenie samego jeziora.

Chociaż Wielkie Jeziora zajmują rozległy obszar, są zaskakująco płytkie. Ich głębokość waha się od 60 do 180 metrów. Tylko Jezioro Górne liczy miejscami 400 metrów głębokości. Ta ich niewielka głębokość sprawia, że silne wiatry mogą błyskawicznie wzburzyć spokojną powierzchnię jezior i zamienić ją w potężne i niszczące wody, przypominające sztormowe fale na Atlantyku. Latem trudno przewidzieć, kiedy mogą pojawić się takie fale. Jednak zimą występują zgodnie ze schematem, który rzadko się zmienia. W listopadzie jeziora, zanim zamarzną, są smagane gwałtownymi wiatrami, którym towarzyszą spienione fale. Żegluga możliwa jest tylko w pobliżu wybrzeża, gdy swoją pracę wykonają lodołamacze. W kwietniu, kiedy lody topnieją, pojawiają się sztormowe fale. Dopiero potem przez pół roku można żeglować po głębszych wodach.

Ryzykowne wody

Biorąc pod uwagę powstawanie fal *Seiche* i regularne sztormy na Wielkich Jeziorach, łatwiej zrozumieć znikanie statków, do jakiego czasami dochodzi na tych wodach. W nawigacji, niezależnie od tego, czy chodzi o żaglowiec, czy statek motorowy, ideałem jest utrzymywanie dziobu w kierunku wiatru. W czasie niepogody jest to najbezpieczniejszy kurs, jaki może obrać żaglowiec. Dwoma najniebezpieczniejszymi momentami żeglowania są: „popychanie" i „dochodzenie". W pierwszym, wiatr wieje od rufy — to znaczy od steru. W drugim — wiatr wieje z boku statku, co powoduje, że ma on tendencję do kładzenia się na burtę. Na zamkniętych wodach, takich jak Wielkie Jeziora, fale zwykle podążają w tym samym kierunku co wiatr, sprawiając, że żeglowanie po tych wodach jest podwójnie ryzykowne. Natomiast, gdy statek o napędzie motorowym wystawia na fale swoją pokładnicę, przepływanie między falami będzie niebezpieczne. Jeśli podążająca za nim fala będzie szybsza od statku, w pewnym momencie załamie się nad jego rufą i wywróci go. To samo stanie się, gdy statek ustawi się dziobem do załamującej się fali.

Są to, oczywiście, pewne uogólnienia. Nawigacja to skomplikowana sprawa, lecz te przykłady pozwalają zrozumieć, co mogło się stać z wieloma statkami, o których tajemniczym zniknięciu wspominają Gourley oraz Hugh F. Cochrane w swojej *Gateway to Oblivion* [Brama do niepamięci].

Dwie amerykańskie fregaty *Scourge* i *Hamilton*, które w 1812 roku przewróciły się i zatonęły w drodze z Jeziora Ontario do Niagary, wykazują wszelkie oznaki, że otrzymały cios od fali *Seiche*. Żeglowały przy pięknej pogodzie i lekkim wietrze, prawdopodobnie więc miały rozpięte najwyższe prostokątne żagle — marsel i royals. Lecz wiele małych łodzi zostało zalanych i przewróconych przez falę od pokładnicy. Sir Francis Chichester informował, że właśnie to mu się przytrafiło na *Gypsy Moth IV* w czasie podróży wokół przylądka Horn. Rozciągnięte płótno na masztach obu fregat uniemożliwiło statkom powrót o własnych siłach do właściwej pozycji i dlatego zatonęły.

Jeśli chodzi o holownik *Sachem*, który zatonął do góry dnem przy dobrej pogodzie niedaleko Buffalo w 1950 roku, to najbardziej prawdopodobną przyczyną katastrofy była fala od dziobu. Znaleziono go na dnie jeziora. Przyrząd sterujący ustawiony był na „stop". Okna na mostku były rozbite. Prawdopodobnie pełniący wachtę oficer, gdy zobaczył pędzące na niego „Trzy Siostry", wydał maszynowni komendę „zatrzymać silniki". Chwilę potem fale wywróciły holownik i pociągnęły go na dno, rozbijając jednocześnie okna na mostku. Możliwe, że gdyby oficer nakazał dać „całą naprzód", *Sachem* przetrwałby uderzenie tak wielkich ilości wody.

Zaginięcie samolotów nad Wielkimi Jeziorami stanie się równie zrozumiałe, gdy powiążemy je z lokalnie panującymi kiepskimi warunkami pogodowymi. Zapadające nagle mgły, marznące bardzo szybko w zimowe miesiące, zawsze były efektem panujących tu szczególnych warunków atmosferycznych. Paul Cena, zawodowy pilot latający regularnie w rejonie Wielkich Jezior, zamieścił w 1982 roku w czasopiśmie „Skeptical Inquirer" następującą relację:

„Pilot przelatujący w lekkim samolocie nad tak wielkim obszarem wody, jakim jest choćby jedno z Wielkich Jezior, robi głupstwo [...] nawet jeśli rzadko dochodzi do awarii silnika, to gdy się ona zdarzy, pilot musi wylądować na wodzie. W samolocie nie wyposażonym w pływaki, jest to

co najmniej niebezpieczne. Podczas szkolenia kazano mi latać wokół jeziora, a nie przelatywać nad nim".

Stwierdzono, że przy dobrej pogodzie lekki samolot utrzymuje się na wodzie przeciętnie przez 30 sekund. Lecz jeśli fale są wzburzone, czas przed zatonięciem samolotu ulega poważnemu skróceniu. Uszkodzony samolot opadający w nie kontrolowanym locie, zatonie oczywiście natychmiast. Cochrane wspomina dwa przypadki odnalezienia lekkich samolotów z odłamanymi skrzydłami — lecz to wcale nie musi być tak bardzo groźne ani nawet istotne. Wielu pilotów latających wokół Wielkich Jezior informuje o bliskich spotkaniach ze stadami dużych ptaków, takich jak na przykład kanadyjskie dzikie gęsi zamieszkujące wybrzeża jezior. Zderzenie lecącego z maksymalną prędkością samolotu z ptakami może spowodować poważne uszkodzenie cienkiej metalowej powłoki małego samolotu.

Kłopoty nie kończą się, nawet jeśli pilotowi uda się wyskoczyć ze spadochronem lub wykonać lądowanie awaryjne. Znaczna część wybrzeża jest niedostępna i dzika. W wielkim pasie gąszczu na północnym wybrzeżu Jeziora Górnego, o powierzchni około 116 tysięcy kilometrów kwadratowych, co roku ginie około 100 osób. Większość z nich to myśliwi lub wędkarze. Liczbę ofiar powiększają żeglarze z małych jachtów oraz piloci, którzy musieli porzucić swoje maszyny.

Cochrane i Gourley wspominają o samolotach, które w tajemniczy sposób znikały na kilka minut przed osiągnięciem celu, nie wysyłając żadnych sygnałów, że mają problemy. Jeśli jednak przyjrzymy się bliżej faktom, znajdziemy łatwe rozwiązanie tych zagadek. W jednym z wydań pisma „Plane and Pilot" stwierdzono, że „większość [...] fatalnych w skutkach przypadków utraty prędkości lub wpadnięcia w korkociąg zdarza się przy takim rodzaju lotu, przy którym szanse odzyskania kontroli nad samolotem równe są zeru" innymi słowy, gdy samolot okrąża lotnisko oczekując na pozwolenie do lądowania. Niedoświadczony pilot może — co jest rzeczą niedopuszczalną — w takiej sytuacji gwałtownie zmniejszyć szybkość swojego samolotu i spowodować, że wpadnie on w korkociąg.

„Inną przyczyną wypadków" — pisze Paul Cena — „jest prosty błąd pilota, który może zbytnio wierzyć w swoje umiejętności. Wiele wypadków zdarza się, gdy pilot nie zwróci uwagi na prognozę pogody lub gdy nie obeznany z urządzeniami pokładowymi, będzie musiał lecieć posługując się nimi. Błąd pilota nie pozostawia żadnych dowodów".

Gourley, Cochrane, J. Allen Hynek i Jacques Vallée w napisanej wspólnie książce *The Edge of Reality* [Brzeg rzeczywistości], przytaczają historię amerykańskiego odrzutowca F-94 Starfire z lipca 1954 roku. Jego obaj piloci musieli skakać ze spadochronem, gdy ich kokpit „się przegrzał", kiedy ścigali coś, co ich zdaniem było UFO. Donald Keyhoe pisze w książce *Aliens from Space* [Obcy z kosmosu]: „F-94 Starfire rzucił się do przodu [...] kiedy stała się widoczna rozżarzona, podobna do dysku maszyna, zaczął się zbliżać [...] nagle żar jak w piecu wypełnił oba kokpity".

To tyle, jeśli chodzi o najsławniejszą opowieść o UFO nad Wielkimi Jeziorami. Ale co z innymi wypadkami, o których piszą Gourley i Cochrane? Nie wdając się w szczegółowe rozważania, możemy stwierdzić, że w większości z nich wystąpiło kilka wspólnych czynników: widziano światła, zwykle na przemian czerwone, zielone i białe lub złote. Jednakże czasami przyjmowały one formę czerwonych lub białych kul, które przybliżały się i bladły, a kiedy oglądano je przez lornetki, okazywało się, że są w parach. Większość z nich widziano w listopadzie nad wodą.

Każdy samolot musi mieć włączone światła nawigacyjne — czerwone światło po lewej stronie, zielone — po prawej. Białe lub złote musi znajdować się na ogonie lub kadłubie. Kiedy mały samolot widziany jest nad jeziorem w ciemną noc, a jego światła odbijają się w wodzie, nie trzeba mieć zbyt wybujałej wyobraźni, żeby uznać go za UFO. Lecz kiedy para świateł przybliża się i blednie — wyjaśnienie musi być nieco bardziej skomplikowane. Światła nawigacyjne nie zmieniają bowiem swojej intensywności.

Na początku lat siedemdziesiątych w pobliżu Joplin w stanie Missouri na obszarze „trójstanu", badano sprawę „widmowych świateł". Widziane przez lornetki widma występowały parami. Łagodnie zbliżały się do obserwatora i gasły. Często towarzyszyły im pary mniejszych czerwonych świateł. Po dokładnym zbadaniu sprawy, okazało się, że były to światła na szosie Creek River, znajdującej się w odległości nieco ponad 30 kilometrów. Załamywały się z powodu kaprysów pogody na powierzchni rzeki Spring, dopływu Arkansas. A więc, nie było w nich nic tajemniczego.

Właściwie każdy przypadek UFO powinien być rozpatrywany oddzielnie i badany na podstawie wszelkich dostępnych dowodów. Jest bardzo prawdopodobne, że to, co wydarzyło się w Joplin, może — zakładając, że pogoda płata podobne figle — powtarzać się nad Wielkimi Jeziorami. Nagle opadające mgły mogą igrać ze światłem księżyca i wywołać takie wrażenia jak te w relacji z „widzeń", do jakich doszło przed wynalezieniem reflektorów samochodowych. Natura obdarzyła jeziora: Górne, Michigan, Erie, Huron i Ontario dziwną atmosferą. Tymczasem prawdopodobieństwo, że utworzą one nowy tajemniczy obszar, na którym działać będą siły podobne do tych, jakie występują w Trójkącie Bermudzkim, jednym wydaje się niewielkie, a innym — znaczne.

ŚMIERĆ I POZA ŚMIERCIĄ

Życie wieczne: mit, czy nadzieja człowieka?

Przekład: Anna Zamęcka

WPROWADZENIE

Dla każdego z nas, bez względu na to, gdzie mieszkamy i jak żyjemy, jedyną pewnością w życiu jest śmierć. Jednak nikt nie wie na pewno, czy za tą granicą czeka na nas inny świat. Z konieczności zatem, przekonania o istnieniu życia pozagrobowego zawsze należały do sfery wierzeń religijnych.

Niekiedy słyszymy o ludziach, którzy doświadczają bliskości śmierci — człowiek na krótko umiera, wracając zaś do życia pamięta to, czego doznał „po tamtej stronie". W tych doświadczeniach powtarzają się pewne stałe elementy, których nie sposób zbagatelizować, jako że mogą one stanowić wiarogodny dowód na wędrówkę duszy.

Czasem również dochodzą nas wieści o mediach, które potrafią nawiązywać kontakt z umarłymi, bytującymi w świecie duchowym. Trzeba przyznać, że praktyki niektórych mediów wzbudzają poważne podejrzenia, wielu zaś udowodniono oszustwo. Faktem jednak jest, iż często przekazują oni także wiadomości o zmarłych i ich rodzinach, których nie mogliby zdobyć inną drogą, jak tylko przez telepatyczną łączność z żyjącymi albo przez jakiś kontakt ze światem zmarłych, którego jak dotąd naukowo nie potrafimy wyjaśnić.

Istnieje przekonanie, że pewni wyjątkowo utalentowani spirytyści potrafią na seansach wywoływać materializacje zmarłych albo duchy przewodnie, które pomagają im nawiązywać więź z tymi, którzy odeszli na tamten świat.

Czy zatem po śmierci wszyscy się spotkamy? Czy naszym przeznaczeniem jest reinkarnacja, czyli szereg wcieleń do całkiem nowego życia na Ziemi? Proponujemy Czytelnikom lekturę, dzięki której będą mogli zrozumieć, dlaczego tak powszechna jest wiara, że śmierć to wcale nie koniec, ale nowy wspaniały początek.

PEWNOŚĆ OSTATECZNA

Co naprawdę wiemy o śmierci? Na temat tego, czego wszyscy doświadczymy na końcu swojego ziemskiego żywota, panuje wielka rozmaitość poglądów.

Co się dzieje, gdy umieramy? Nic? Ogarnia nas nieskończona błogość? Wkraczamy w życie wieczne? Albo przeistaczamy się w „coś" nieokreślonego i nieuchwytnego? Materialiści i ateiści odrzekliby bez wątpienia, że wówczas następuje „wielkie nic". Postrzegają oni życie jako proces czysto biologiczny, uważają więc, że osobowość umiera wraz z ustaniem funkcji życiowych organizmu, tak jak kończy się działanie urządzenia po wyczerpaniu baterii zapewniającej dopływ prądu elektrycznego. Wedle nich życie po prostu nie ma prawa „odejść gdzie indziej".

Racjonaliści ci często podkreślają, że odwieczna wiara w życie pozagrobowe nie jest niczym innym jak tylko odbiciem równie odwiecznego lęku przed śmiercią i zapomnieniem. Od zarania dziejów bowiem to, czego nie da się ogarnąć umysłem, ludzie wypierali ze świadomości albo przesłaniali rytuałami i infantylnym optymizmem. Takie postępowanie materialiści uznają za nieuczciwość intelektualną; musimy stawić czoło rzeczywistości — powiadają — to zaś oznacza uznanie faktu, że jedyną pewną rzeczą w życiu każdego człowieka jest jego własna śmierć.

Cóż to jest „idea wiecznego życia"? Niemal wszyscy kapłani głosili, że po śmierci cielesnej człowiek trwa w takiej czy innej formie. Jak się zdaje, bez obawy popełnienia błędu można stwierdzić, że im bardziej wyrafinowane formy osiąga jakaś religia, tym wyraźniej rysuje przed wiernymi perspektywę życia wiecznego — czy to w jakimś raju, czy to wśród piekielnych męczarni.

Jeśli racja leży po stronie materialistów, to nie ma powodu, by podejmować jakiekolwiek dalsze badania. Ale jeśli prawdę mówią wyznawcy religii, to każdy człowiek staje wobec problemu, jak zapewnić sobie zbawienie. Tak czy inaczej, każde przekonanie dotyczące życia po życiu z konieczności musi pozostać kwestią wiary, a czy to właśnie nasz pogląd jest słuszny, dowiemy się zapewne dopiero w chwili własnej śmierci.

A jeśli żadna z tych ortodoksyjnych koncepcji nie przystaje do rzeczywistości? Jeśli „coś" — jakaś nieuchwytna iskra życia albo ślad ludzkiej osobowości — ostaje się po śmierci i przeistacza w byt nowego rodzaju i nie dzieje się to gwoli nagrody czy kary za ziemskie uczynki, ale na mocy jakiegoś powszechnego naturalnego prawa?

Dziś wśród badaczy sfery nadzmysłowej panuje przekonanie, że wszelkie dowody ostatecznie wskazują na to, iż po śmierci „coś" jeszcze egzystuje; niekoniecznie musi to trwać długo ani stanowić całą osobowość zmarłego. Niektórzy sądzą, że elementy systemu pamięci i cechy osobowości zmarłego trwają jeszcze przez pewien czas po jego śmierci, dzięki czemu oddzielone od powłoki cielesnej „ja" może być rozpoznane przez żyjących bliskich, później jednak prawdopodobnie ostatecznie się rozpraszają.

Obiektywna analiza domniemanych dowodów na przetrwanie po śmierci stanowi główny cel działań Towarzystwa Badań Parapsychologicznych (ang. Society for Psychical Research, w skrócie SPR) założonego w Londynie w 1882 roku. Do powstania owego Towarzystwa prawdopodobnie by nie doszło, gdyby nie wypadki, których doświadczyło pokolenie starsze od pokolenia jego założycieli. Z kolei te właśnie wypadki nie zdarzyłyby się, gdyby w epoce renesansu nie dokonała się gwałtowna emancypacja ludzkiej myśli.

W miarę poszerzania się horyzontów nauki, stanowisko materialistów zyskiwało coraz solidniejsze fundamenty. W połowie XIX stulecia „myśliciel" był w powszechnym odczuciu człowiekiem, który uwolnił się z więzów wszelkich „przesądów". Natomiast przedstawiciele światopoglądu religijnego, czując napór przeciwnych idei, w odruchu obronnym zamykali się na wszelkie fakty, które mogłyby zachwiać ich pozycją. Na ironię zakrawa fakt, że dziś z kolei bardzo podobnie zachowują się niektórzy naukowcy, gdy stają w obliczu bezsprzecznych dowodów na istnienie tak zwanych zjawisk paranormalnych.

Narodziny spirytyzmu

W obliczu zaciekłego racjonalizmu niesłychanie wzrosło zapotrzebowanie na takie przejawy rzeczywistości duchowej, które poddałyby się naocznej obserwacji. Toteż gdy w 1848 roku dom Foxów w Hydesville, w stanie Nowy Jork, stał się areną działań poltergeistów, poruszenie opinii publicznej sięgnęło zenitu. Oto wreszcie pojawił się długo oczekiwany „dowód", iż duch nie podlega śmierci — odtrutka na jad tępego materializmu. W ten sposób narodził się spirytyzm, który rychło stał się ważnym ruchem w kręgu kultury zachodniej.

Spirytyści żywią przekonanie, że dzięki sile swojej wiary uzyskują pewne dowody na życie po śmierci. Zdobywają je zwłaszcza podczas seansów, kiedy to, jak twierdzą, nikt inny tylko duchy przenoszą ciężkie stoły, grają na instrumentach muzycznych, dokonują aportów; zmarli rozmawiają, i to swoim własnym rozpoznawalnym głosem, z żyjącymi krewnymi i przyjaciółmi o zdarzeniach im tylko i uczestnikom seansu znanych, niekiedy zaś nawet materializują się.

Brytyjskie Towarzystwo Badań Parapsychologicznych zostało założone w atmosferze napięcia między krańcowymi przeciwieństwami. Wśród założycieli znalazła się grupa brytyjskich intelektualistów, dla których nie do przyjęcia było nieprzejednane stanowisko zarówno zwolenników, jak i sceptyków istnienia życia po życiu. Było dla nich oczywiste, że niezwykłe zjawiska już zbyt długo czekają na obiektywne ujęcie naukowe. Materiał badawczy zgromadzony przez Towarzystwo oraz podobne grupy działające w innych krajach dostarcza najpewniejszych tropów poważnym badaczom szukającym odpowiedzi na niepokojące pytanie — co się z nami dzieje po śmierci?

Ogromną ilość „materiału dowodowego" zebranego od 1882 roku można podzielić na następujące grupy: zjawy, różnego rodzaju kontakty nawiązywane za pośrednictwem mediów, korespondencja krzyżowa, pojawianie się nieoczekiwanych duchów-informatorów, widywane przez konających zjawiskowe istoty przyjaźnie witające ich u progu tamtego świata, doświadczenia ludzi przechodzących śmierć kliniczną, doznania bycia poza ciałem, testy z zamkami szyfrowymi, umowy między przyjaciółmi, że kto pierwszy przeniesie się na tamten świat, da drugiemu znać, czy istnieje życie po śmierci, dowody na reinkarnację, głosy rejestrowane na urządzeniach elektronicznych.

Do pierwszych ważnych dokonań Towarzystwa należało sporządzenie wykazu halucynacji. Zgromadzono 17 tysięcy pozytywnych odpowiedzi na ankietę dotyczącą doświadczania halucynacji, z których — po wyczerpaniu wszelkich możliwych wyjaśnień — około 8 procent uznano za doznania autentyczne. Z kolei tę ostatnią grupę poddali wnikliwemu badaniu najwybitniejsi członkowie Towarzystwa; wyniki tych badań stały się podstawą dwutomowego opracowania, *Apparitions of the Living* [Widma żyjących] oraz *Human Personality and its Survival of Physical Death* [Osobowość człowieka i jej przetrwanie po fizycznej śmierci]. W drugiej części dzieła przedstawiono historie ludzi, których zjawy podobno widziano dwanaście godzin po stwierdzeniu ich zgonu. Badacze przyjęli możliwość, iż rzekome zjawy mogły być efektem przeniesienia myśli dopiero co zmarłego człowieka na jego żyjących przyjaciół i krewnych; manifestacja myśli zmarłego zostałaby przesunięta w czasie aż do momentu zaistnienia odpowiednich do tego warunków. Nawet gdyby w istocie tak było, wiele z tych wypadków nadal można uważać za dowody na przynajmniej krótkotrwałe przetrwanie osoby po śmierci fizycznej.

Podróże astralne

Większość parapsychologów, uznających dowody na istnienie zjaw, zgadza się co do tego, że przenoszenie myśli — którym to terminem obejmuje się, obok myśli, również uczucia, wyobrażenia wizualne i słuchowe oraz takie, które dziś określa się pojęciem postrzegania pozazmysłowego (ang. *extrasensory perception*, w skrócie ESP) — leży w zakresie możliwości przynajmniej niektórych umysłów ludzkich i może wytłumaczyć zjawy ludzi żyjących. Wydaje się, że fenomen ów potwierdzają również ludzie utrzymujący, iż potrafią swoje myśli ukierunkować w ten sposób, by złożyć „astralną wizytę" znajomym, czyli podróżować daleko poza granice własnego ciała. Podczas tych nietypowych odwiedzin nie tylko widzą wnętrza, do których przenoszą się mentalnie, ale też dokładnie opisują zmiany, na przykład w umeblowaniu, o których wcześniej nic nie wiedzieli. Co więcej, często się zdarza, że gospodarze widzą na własne oczy astralnych gości, a niekiedy nawet obcy ludzie, przypadkowo się tam znajdujący, potrafią ich dokładnie opisać.

Niemniej, jakieś 6 albo 7 procent zjaw odnotowanych w dokumentacji Towarzystwa pojawiło się w czasie stanowczo zbyt odległym od momentu zgonu, by tłumaczyć je jako opóźnione komunikaty telepatyczne. Niewielka liczba takich wypadków pozostała, gdy po gruntownej analizie odrzucono wszelkie inne możliwości, takie jak złośliwe żarty, egzaltacja i branie marzeń za rzeczywistość przez opuszczonych bliskich, pomyłki i tym podobne ewentualności.

Co interesujące, owe wypadki uznane za manifestacje zjaw czy duchów zmarłych wykazywały kilka wspólnych cech. Niekiedy zjawa przekazywała informacje wcześniej nie znane. Kiedy indziej pojawienie się ducha wyraźnie wiązało się ze ściśle określonym celem. Zdarzało się też, że zjawa przedstawiała kogoś nie znanego temu, komu się ukazywała; później jednak ów człowiek rozpoznawał zmarłego na przykład na fotografii albo portrecie po jakichś charakterystycznych cechach, o których w chwili nawiedzenia nie miał pojęcia. Kiedy indziej znowu różni ludzie — zupełnie niezależnie — widzieli tę samą zjawę w różnym czasie.

Niektórzy badacze zjawisk paranormalnych sądzą nawet, że jedynie te wypadki, kiedy przybycie zjawy służy jakiemuś szczególnemu celowi, można uznać za istotne dowody na krótkotrwałe przetrwanie śmierci. Mógłby wówczas działać — twierdzą — mechanizm podobny do wspomnienia, które trwa o wiele dłużej niż wywołujący je bodziec; pragnienie szybkiego przekazania komuś jakiejś wiadomości może po śmierci fizycznej osoby, która to pragnienie odczuwała, trwać tak długo, aż się spełni — spełniwszy się, również umiera.

Od pierwszych lat istnienia Towarzystwa Badań Parapsychologicznych wielu wnikliwych naukowców rozpatrywało dowody rzekomego przetrwania po śmierci. Niektórzy wierzyli, że śmierć kładzie ostateczny kres naszemu życiu, inni byli przeciwnego zdania. Żaden z nich jednak nie oparł swoich przekonań wyłącznie na relacjach o nawiedzeniu przez zjawy.

Równie skrupulatnej analizie Towarzystwo poddało również osiągnięcia mediów — albo, jak się ich trafniej nazywa, sensytywów. Są to ludzie (znacznie częściej kobiety niż mężczyźni) obdarzeni niezwykłymi talentami, które wykorzystują na rozmaite sposoby. Ze względu na specyficzny charakter ich zdolności, wyróżnia się dwie zasadnicze grupy sensytywów — „mentalnych" i „fizycznych".

Gdy sensytyw mentalny pogrąża się w transie, wchodzi weń inna istota (nazywana często „duchem opanowującym" albo „duchem przewodnim") i przemawia przez jego usta, często całkowicie obcym głosem, niekiedy wpływa nawet na jego wygląd zewnętrzny. W takiej sytuacji na przykład Europejka może z wyglądu i głosu na krótko upodobnić się do chińskiego starca.

Za pośrednictwem sensytywa duch może ponoć również sprowadzić inne duchy, które dają się poznać po odmiennym brzmieniu głosu, gestykulacji albo dzięki temu, że komuś ze zgromadzonych na seansie przekazują poufne informacje, których nikt inny nie mógł znać. Zwłaszcza ten ostatni fakt może być traktowany jako niezbity dowód, choć trzeba przyznać, że ci, którzy pragną wierzyć, prawdopodobnie będą to czynili bez względu na okoliczności. Jednak tego rodzaju sensytywi często przejawiają niezwykłe umiejętności jasnowidzenia i jasnosłyszenia oraz dają dowody, że mają dostęp do innych form postrzegania pozazmysłowego. Niekiedy komunikują się ze światem nadzmysłowym za pomocą specjalnej deseczki zwanej planszetą, innym razem o tej więzi świadczą rysunki wykonywane w stylu wielkich mistrzów malarstwa albo zapisy nutowe sprawiające wrażenie, jakby wyszły spod ręki któregoś z wielkich kompozytorów.

Innym typem sensytywa jest medium wywołujące „bezpośrednie głosy". Jego działanie nie wymaga wejścia w trans; polega ono na tym, że wokół medium rozlegają się rozmaite głosy, męskie i żeńskie, przemawiające z różnymi akcentami, a niekiedy nawet w obcych niezrozumiałych językach.

Folgowanie zachciankom

Uzyskiwane w taki sposób kontakty z zaświatami ogromnie różniły się jakościowo, ale wiele z nich dawało informacje o banalnych i wręcz zdumiewająco przyziemnych sprawach. W pierwszych latach spirytyzmu często sobie pokpiwano, że najwyraźniej duchy swoje życie po życiu spędzają ćmiąc papierosy i sącząc whisky. Jednak tego rodzaju „materialistyczne" dowody stanowią potwierdzenie dla nauk głoszonych przez niektóre wschodnie religie, że w pierwszym okresie po śmierci ego zmarłego przebywa w królestwie iluzji, gdzie może dać upust swoim najdzikszym kaprysom.

Niektóre komunikaty pochodzące z zaświatów niejednokrotnie charakteryzują się wysokim poziomem etycznym i literackim. Jednak gdy się prosi wprost o jednoznaczną odpowiedź, co nas czeka po drugiej stronie, istoty z tamtego świata twierdzą (i być może nie jest to pozbawione głębszego sensu), że bytowanie duchowe nie poddaje się żadnemu opisowi. Niekiedy jednak zdarza się, że duchy wykazują większą otwartość; wówczas z ich przekazów wyłania się niezwykle spójny obraz życia w zaświatach.

Do mediów „fizycznych" zaliczamy te, w których obecności — bez względu na to, czy wchodzą one w stan transu czy nie — dochodzi do zjawisk fizycznych, na przykład ze stołu, przy którym siedzą uczestnicy seansu, albo z rozmaitych miejsc pokoju rozlegają się donośne stukania. Czasem wydają się one rozmyślnie wystukiwanym szyfrem, jakby ktoś usiłował przekazać jakąś wiadomość. Równie często występują zjawiska telekinetyczne (masywne przedmioty przesuwają się jakby pod wpływem działania niewidocznej osoby), lewitacja sensytywów albo przedmiotów, niewidzialne dłonie grające na instrumentach muzycznych oraz materializacje form duchowych.

Niestety krótka historia spirytyzmu obfituje w fałszerstwa. Mimo to znamy wiele wypadków zjawisk paranormalnych wywołanych przez media, które wymykają się wszelkim racjonalnym wyjaśnieniom.

CZY ŚMIERĆ JEST SNEM?

Jeśli, jak sądzą niektórzy, umysł jest zaledwie cieniem mózgu, to świadomość nie może przetrwać śmierci. Mimo to powszechnie wierzy się w życie pozagrobowe. Czy jest to uzasadnione?

Od zarania dziejów niemal cała ludzkość przyjmowała za pewnik, że po śmierci cielesnej jakaś cząstka człowieka nadal żyje. W wielu społeczeństwach uważa się, że zmarli przodkowie żyją jako cienie w świecie podziemnym, z którym, w snach albo stanach transowych, potrafią się kontaktować szamani. Nieprzeliczone rzesze mieszkańców Wschodu wierzą, że po śmierci ciała istota osobowości żyje nadal i powraca do świata materialnego w innym ciele, przez ponowne narodziny, czyli reinkarnację. Również dla wyznawców islamu i chrześcijan było oczywiste, że od żarliwości wiary i postępowania w ziemskim życiu zależy, jaki los spotka ich po śmierci.

Pogląd krańcowo przeciwny wyznają zwolennicy filozofii materialistycznej. Gwałtownie zaprzeczają, jakoby jakaś cząstka świadomości człowieka mogła przetrwać śmierć fizyczną. Utrzymują, iż umysł jest niczym więcej jak tylko funkcją aktywności mózgu, jego bladym cieniem. Wobec tego wszelkie działania mentalne muszą się definitywnie zakończyć wraz z zatrzymaniem pracy mózgu w chwili zgonu. A jednak, choć rzesze gruntownie wykształconych ludzi w to wierzą, owa materialistyczna teoria nie ma u swoich źródeł żadnej przekonującej logicznej czy naukowej przesłanki.

Jeśli jednak rzecz ma się zgoła inaczej, niż sądzą materialiści i jakiś rodzaj ludzkiej obecności trwa po śmierci ciała, to co to właściwie jest? Zwyczajowa odpowiedź brzmi, że to dusza żyje nadal. Ale czym jest dusza? Być może tym, co zazwyczaj zwiemy umysłem. Jeśli tak, to w jaki sposób może istnieć umysł pozbawiony ciała fizycznego? Tak dalece utożsamiamy życie w ogóle z życiem organizmu fizycznego, że wyobrażenie sobie trwania bez wymiaru fizycznego graniczy z niemożliwością. Nie mamy przecież wątpliwości, że po śmierci nasze ciała fizyczne ulegają rozkładowi.

Odpowiedź na te pytania podsuwa nam doświadczenie marzeń sennych. W snach odwiedzamy najrozmaitsze miejsca, uczestniczymy w najróżniejszych sytuacjach. Widzimy i słyszymy, co się dzieje, rozmawiamy z ludźmi i poruszamy się. A tymczasem nasze prawdziwe ciało leży uśpione w łóżku. Toteż ciało, którym dysponujemy w czasie marzeń sennych, nie może być naszym organizmem; musi to być jakieś inne ciało, które możemy tu nazwać „ciałem śnionym". W marzeniu owo śnione ciało, podobnie jak nasz organizm fizyczny w życiu na jawie, traktujemy jako coś najzupełniej naturalnego i wydaje się nam ono rzeczywiste. Zazwyczaj dopiero po przebudzeniu zdajemy sobie sprawę, że śniliśmy i że świat oraz nasze ciało z marzenia sennego nie były w rzeczywistości tym, co moglibyśmy uznać za fizyczną obecność.

Żeby się obudzić, musimy mieć żywe fizyczne ciało. Po śmierci, rzecz jasna, nie spełniamy już tego warunku. Ale być może nadal wówczas trwamy w jakiegoś rodzaju śnie, z którego nie jesteśmy w stanie się obudzić. W owym stanie ciało śnione uznamy za prawdziwe, równie prawdziwy wyda nam się doświadczany świat, ale wszystko to nie będzie fizyczne — przynajmniej nie w większym stopniu niż nasze zwykłe senne marzenia.

Analiza świadomych snów

Fascynujące możliwości poznania natury świata marzeń sennych dają świadome sny, w czasie których śniący uprzytamnia sobie, że śni. Zdarzają się one stosunkowo rzadko, ale wielu ludzi od czasu do czasu miewa takie doznania. Na przykład, gdy się im śnią koszmary, dociera do nich, że okropności, których doświadczają, to tylko sen. Jednak świadome sny przydarzają się niektórym ludziom dość regularnie, a nawet specjalnie je oni analizują. Stwierdzili, że świat doświadczany w świadomych snach jest zazwyczaj bardziej realny i jednolity aniżeli ten, który znają ze zwykłych marzeń sennych, a nawet, że prawie się on nie różni od świata jawy. Zasadnicza różnica polega tu na tym, że w świadomym śnie mogą robić wszystko, co im się podoba, iść, dokądkolwiek zapragną — wystarczy, że tak postanowią.

Kilkoro ludzi opisało, jak, świadomie marząc we śnie, w rzeczywistości widzieli siebie samych uśpionych w łóżku. W takim wypadku ośrodek świadomości, znajdujący się w śnionym ciele, zdaje się bezpośrednio i wyraźnie doświadczany jako część oddzielona od ciała fizycznego.

Niezwykle intrygujący jest fakt, że tego rodzaju stany przeżywane w świadomym śnie wydają się niemal tożsame z doznaniami związanymi z byciem poza ciałem. W dzieciństwie stan bycia poza ciałem nie jest niczym niezwykłym, w życiu dorosłym zaś zdarza się w sytuacjach krytycznych — na przykład w bliskości śmierci. Niektórzy ludzie, podobnie jak w świadomym śnieniu, rozwijali umiejętności podróżowania poza ciało zgodnie z własną wolą. Co więcej, ci, którzy potrafią zarówno śnić świadomie, jak i wychodzić poza własne ciało, stwierdzili, iż są to stany niemal identyczne. Jedyną różnicą jest ta, że stan bycia poza ciałem osiąga się inaczej: przez sny albo bezpośrednio ze stanu jawy. Można z tego wywnioskować, że ośrodek świadomości w snach, czyli śnione ciało, i ośrodek świadomości oddzielony od ciała fizycznego w doświadczeniach przebywania poza ciałem może mieć ten sam charakter.

Tego rodzaju doświadczenia faktycznie mogą dowodzić, że po śmierci fizycznej istota ludzka nadal prowadzi jakiś rodzaj egzystencji. Istnieje wiele opisów doznań ludzi, którzy otarłszy się o śmierć, znaleźli się poza własnym ciałem fizycznym i na przykład spoglądali nań z góry, spod sufitu szpitalnego pokoju. Innymi słowy, owe opisy doznań na progu śmierci dotyczą stanu bycia poza ciałem, kiedy to świadomość jest oddzielona od ciała fizycznego, tak jak się to dzieje w innych doświadczeniach poza ciałem i w wyrazistych snach. Nie ma żadnej logicznej przesłanki, która wskazywałaby, że świadomość nie ma prawa dalej istnieć w oddzieleniu od materialnego ciała, nawet jeśli uległo już ono rozkładowi. Ponieważ jak dotąd nauka nie osiągnęła jeszcze takiego poziomu, aby stawiać hipotezy, jaki charakter może mieć ów ośrodek świadomości, to — ściśle mówiąc — z naukowego punktu widzenia nie da się tej hipotezy zakwestionować.

Nieskończone możliwości

Jeśli przyjmiemy, że tak się rzeczy mają — należy zapytać, jaki rodzaj życia jest możliwy po śmierci. Znów pomocne mogą być indywidualne doświadczenia z niefizycznego świata marzeń sennych. Rodzaj naszych snów zależy od naszych wspomnień, nadziei, lęków, pragnień, przekonań — słowem, od niepowtarzalnej osobowości, obejmującej również nieświadomość. Istnieją dowody, że w snach możemy być również bardziej niż zwykle otwarci na telepatyczne komunikaty od innych, na prekognicyjne wizje przyszłości. Jak zwykłe sny odbijają naszą osobowość i zależą od naszych działań i przekonań wyrażanych na jawie, tak świat, do którego wkraczamy po śmierci, wydaje się również odzwierciedlać nasze czyny i myśli z życia w fizycznym ciele. Niektórzy mogą doświadczać stanu jakby półsennej kontynuacji swojego życia, takiego, jakie wiedli przed śmiercią. Drudzy mogą przeżywać najbardziej fantastyczne przygody albo cierpieć wskutek powracających koszmarów, uwięzieni w pewnego rodzaju piekle, które wytworzył ich własny umysł. Jeszcze inni doświadczają rajskich rozkoszy, wyczarowanych przez ich własne wyobrażenia. Muzułmanie na przykład pragnęliby się znaleźć w zielonych ogrodach ozdobionych fontannami, w otoczeniu tancerek i sług, by zażywać radości opisanych w literaturze islamskiej. Katolicy spotkają się u bram niebios ze świętym Piotrem. Jedyne, co ogranicza możliwości, to ułomność naszej wyobraźni.

Z tamtej strony

Ale jeśli to wyobraźnia włada życiem pozagrobowym, to wówczas automatycznie utknęlibyśmy w zamkniętym świecie osobistych fantazji, niezdolni do połączenia się z innymi. Choć z braku ciała fizycznego normalny kontakt za pośrednictwem zmysłów nie jest już możliwy, bezpośrednie porozumiewanie się drogą telepatii jest dostępne zarówno w świecie zmarłych, jak i między zmarłymi a żywymi. Niektóre komunikaty „z tamtej strony" wychwycone przez media obcujące z duchami mogą być z tym zjawiskiem związane.

Istnieje jeszcze inna możliwość — że osobowość zmarłego ponownie wchodzi w ciało fizyczne i wówczas znów się on budzi do życia w ziemskiej rzeczywistości. To opanowanie ciała żyjącego człowieka może odpowiadać zjawisku tradycyjnie zwanemu „opętaniem". Jeśli jednak owa żyjąca w zaświatach osobowość zawładnęła płodem albo niemowlęciem, wówczas następuje to, co w wielu wyznaniach uznaje się za reinkarnację.

Poza tymi możliwościami istnieje jeszcze taka, że — jak przekonują niektórzy — osobowość, wiodąc po śmierci życie na granicy snu, otwiera się na duchowe oddziaływania spoza ludzkiego umysłu i wyobraźni. Podobnie jak na tym świecie, tego rodzaju wpływ może pobudzać osobowość do coraz większego rozwoju, do szerszego otwierania się na prawdy duchowe.

Wszystko to jednak nieodwołalnie zostaje tylko w sferze domysłów. Sami przekonamy się o tym dopiero wtedy, gdy umrzemy. Ale nawet wówczas małe jest prawdopodobieństwo, że zyskamy obiektywny ogląd, niezależny od naszych przekonań i oczekiwań. Wszystko wskazuje, że to, co nas spotka, zależy wprost od naszej dzisiejszej postawy. Zwłaszcza możliwość pogłębiania rozwoju duchowego wydaje się uwarunkowana naszą gotowością do tego. Czy może być zatem tak, że jeśli zamkniemy nasze umysły na wszystko, co je przekracza, to równocześnie nieodwołalnie skażemy się na uwięzienie w naszych dzisiejszych lękach i ograniczeniach?

WĘDRÓWKA DUSZY

Czy po śmierci dusza nadal żyje? Jeśli tak, to czy idzie ona do nieba, do piekła, czyśćca, czy zgoła gdzie indziej, na nieznaną płaszczyznę bytowania?

Nawet ludzie wierzący w jakiś rodzaj życia pozagrobowego często odnoszą się podejrzliwie do wiadomości pochodzących rzekomo „z tamtej strony". Być może jest rzeczą całkiem naturalną uznawać tego rodzaju doniesienia za owoc myślenia życzeniowego albo nieuzasadnionych nadziei i lęków. Dlatego większość ludzi nie uświadamia sobie, że istnieje ogromna liczba relacji, sporządzonych przez ludzi, którzy odeszli już z tego świata i opisują tamten. Jeśli na chwilę porzucimy swoją nieufność, to z owych relacji wyłoni się nie tylko świadectwo na istnienie życia pozagrobowego, ale również zaskakująco zgodny opis, co to właściwie znaczy być umarłym.

Oczywiście nie ma sposobu, by owe przekazy poddać weryfikacji, a wszechstronne badanie ich bez uprzedzeń wcale nie jest łatwym zadaniem. Podstawową sprawą musi być zapoznanie się z dowodami: kim są świadkowie, zarówno ci, którzy z zaświatów wysyłają informacje, jak i żyjący ich odbiorcy.

Znakomitym świadkiem była swojego czasu pani Winifreda Coombe-Tennant, znana w kręgach parapsychologicznych pod nazwiskiem Willett. Jako jedna z pierwszych kobiet w Anglii piastowała godność sędziego pokoju i była delegatką do Ligi Narodów. Organizowała także seanse, podczas których nawiązywała kontakt z zaświatami; wśród rozmaitych dowodów zebranych przez Towarzystwo Badań Parapsychologicznych należą one do najdonioślejszych. Po jej śmierci Geraldine Cummins odebrała, przez pisanie automatyczne, wiele informacji, które miały jakoby pochodzić od uwolnionego z cielesnej powłoki ducha pani Coombe-Tennant. Wiele z nich dotyczyło jej życia pozagrobowego. O tajemnicy „wielości ja" rzekła: „Istota ludzka składa się z wielu pojedynczych „ja" tworzących całą osobę, która jest całością — jak suma części w arytmetyce [...] Zjednoczeni jesteśmy dopiero na najwyższym poziomie, na płaszczyźnie duchowej".

Jak się wydaje, umieranie nie jest, czego większość ludzi najbardziej się boi, gwałtownym i bolesnym wydarzeniem, jest to raczej stan przemiany świadomości. Dowody wskazują, iż po śmierci znacznie trudniej, niż byśmy przypuszczali, pozbyć się starego ziemskiego „ja". Nasze indywidualne ograniczenia trwają, dopóki ich sami nie przekroczymy. Sam fakt śmierci nie zmienia nas, raczej daje nam specyficzną okazję do tego, byśmy sami siebie wreszcie zmienili.

W przekazach z zaświatów życie po śmierci często jest opisywane jako wędrówka przez siedem sfer; każda z nich ma bardziej subtelny charakter niż wcześniejsza i wzmaga siły duchowe podróżnika. Siedem sfer, inaczej zwanych, „pomieszczeniami" albo „zajazdami" na tej drodze, zasadniczo przedstawia poziomy świadomości. Wyższy szczebel można osiągnąć wyłącznie na drodze pogłębiania i doskonalenia moralnego aspektu własnej istoty. W procesie tym pomagają nauczyciele, którzy osiągnęli wyższy poziom rozwoju moralnego i wykroczyli, by tak rzec, poza możliwości pojmowania tych dopiero przybywających do zaświatów. Nauczyciele owi na jakiś czas przystosowują się do poziomu swoich uczniów, by mogli być przez nich zrozumiani. Musimy sobie uprzytomnić, że po śmierci życie trwa dalej i jest nieustannym uczeniem się.

Ponowne narodziny

Bardzo wielu „informatorów zza grobu" opisuje sam proces umierania jako wolny od cierpienia i napawający spokojem, nawet jeśli w ostatnich godzinach życia ciało fizyczne okazuje wszelkie zewnętrzne oznaki bólu i udręki. Powiadają oni często, że owo cierpienie, które widzą postronni, do samych konających nie dociera. Śmierć bowiem polega na stopniowym wycofywaniu się, któremu zazwyczaj przemiennie towarzyszą okresy snu i utraty świadomości. Później następuje „przebudzenie", kiedy to witają ich wcześniej zmarli ukochani krewni i przyjaciele, a także inni, znajomi i nie znani, którzy, jak się prędko okazuje, wiedzą o nich wszystko, znają nawet najtajniejsze aspekty ich osobowości. W ławie sędziowskiej nie zasiadają anioły, ale znacznie wyżej rozwinięte istoty.

Doświadczenia owe dalekie są od jednolitości i jest to ze wszech miar naturalne, ponieważ na ich charakter wpływają stare wzorce działania i myślenia. Ów pierwszy poziom doświadczenia przybiera formę dokładnie, ze wszelkimi szczegółami, taką, jaką my sami mu nadamy. Wszyscy informatorzy zgadzają się co do tego, że wyobraźnia jest rzeczą najważniejszą; wystarczy o czymś pomyśleć, aby to się stało. Niekiedy nazywa się ów pierwszy poziom „ideoplastycznym", co oznaczałoby stwarzanie bytów samymi myślami. Zdarza się, że niektórzy odtwarzają wokół siebie swoje ziemskie otoczenie, domostwo wraz z całym dobytkiem, którego nie chcą opuszczać. Zasadniczym faktem dla zrozumienia tego poziomu jest to, że odpowiadająca mu materia ma znacznie subtelniejszą strukturę, niezwykle podatną na wpływ myśli. Zdarzało się nawet, że ludzie, którzy nie wierzyli w życie pozagrobowe, nie potrafili sobie uprzytomnić, że już umarli.

Ochoczy debiutanci przybywający na ten obszar — zwany w zaświatowym przekazie otrzymanym od Frederica Myersa „krainą lata" — mogą stworzyć to, czego najgoręcej w ziemskim życiu pragnęli. Ale owego obszaru nie można brać za „niebiosa", jak to podkreślają bardziej oświeceni informatorzy z zaświatów. W owej „krainie lata" z czasem staje się oczywiste, że te marzenia nie mają nic wspólnego z mądrością, że brak im walorów duchowych, stopniowo ukazują się w innym świetle i wówczas widać, jak są egocentryczne i przyziemne. Ostatecznie uprzytamniamy sobie, że szukamy czegoś więcej niż tylko nie kończących się wakacji w ciepłych krajach. W wielu przekazach podkreśla się, że „kraina lata" służy temu, by jej mieszkańcy pojęli, iż większość tego, co w życiu wysoko cenili, w gruncie rzeczy jest całkiem bezwartościowe.

Ale w jakim świecie znajdziemy się po śmierci, jeśli nasze życie wypełniała egocentryczna krzątanina wokół własnych korzyści albo jeśli spotkała nas gwałtowna śmierć, bo padliśmy ofiarą zbrodni? Podobnie jak w „krainie lata", tak i tu nasze otoczenie odzwierciedla nas samych — mizeria naszej duszy przeobraża się w straszliwą „rzeczywistość". W wielu relacjach jest mowa o ciemnościach, groźnych pustkowiach i mieszkaniu we wstrętnych norach. To jest „kraina zimy".

Takim duchem, owładniętym bezgranicznym egocentryzmem niejednokrotnie miota gniew, jest on zbulwersowany własnym losem. Inne duchy znajdujące się w podobnym położeniu nie mogą przyjść mu z pomocą, bo wszyscy są zamknięci w skorupie egotyzmu. Skądinąd jeszcze bardziej pożałowania godny jest fakt, że owe egoistyczne duchy zazwyczaj odnoszą się z pogardą do tych, którzy wkraczają do ich świata z wyższych obszarów wolności albo pragną, powodowani chęcią niesienia pomocy, uczyć ich, jak mogą zmienić swoją dolę.

Mimo to nie byłoby łatwo znaleźć człowieka, który doznał ostatecznego pohańbienia, a każdy z nieszczęśników przebywających w zimowej krainie znajduje się tam tylko tak długo, jak długo wzbrania się dać posłuch innej, wyższej i lepszej części siebie samego. Te jednostki nie trafiły tam „za karę", ich cierpienia wypływają jedynie z ich własnej natury, którą same stworzyły; całkowicie w zasięgu ich możliwości leży dokonanie zmiany.

Ci, których stan pozornej szczęśliwości w „krainie lata" przestał satysfakcjonować, wchodzą do „pierwszego nieba". Tutaj, we wspólnocie złożonej z istot, które również pragną służyć pomocą innym, można rozwijać wolne od egocentrycznego pierwiastka idee. Przyjemności w owym niebie wcale nie mają charakteru biernego, ale prócz dostarczenia radości dają również okazję do udoskonalenia kondycji duchowej. Ten poziom świadomości jest wyższy niż w „krainie lata" i zwie się go zazwyczaj „sądem". Informatorzy z zaświatów jednak niemal jednomyślnie twierdzą, że owego sądu nie dokonuje Bóg, ale jest on w pewnym sensie przeprowadzany samorzutnie przez „podsądnego". Zobaczyć, a później być zmuszonym do potępienia siebie samego, jest tym bardziej bolesne, że istnienia wielu przewin, które się teraz jasno widzi, uprzednio się nawet nie przeczuwało. Podobno T. E. Lawrence (Lawrence z Arabii) w zaświatach odkrył, że w doczesnym życiu w istocie postępował na poły jak mnich, na poły jak narcyzowaty pyszałek, przez co odrzucił wszelkie wartości związane ze sferą kobiecości. W rezultacie stał się parodią mężczyzny, którym mógł być. Sąd ten pokazuje, co człowiek sam z siebie uczynił i nader rzadko się zdarza, by nie było to doświadczenie dotkliwe i bolesne. Jednak rozpoznawszy stare winy, można się wznieść ponad nie i odrodzić na nowo.

Prawdziwa motywacja

Choć sądu nad samym sobą dokonuje się indywidualnie, to życzliwi towarzysze są gotowi udzielić wyjaśnienia albo wsparcia, wskazać kroki konieczne, by naprawić zło. Motywację przedstawia się jako rzecz najbardziej podstawową. Wskutek tego widzi się własne działania takimi, jakimi one naprawdę były, nie zaś jakimi je sobie ku własnej wygodzie wyobrażaliśmy. Jakichkolwiek radości czy cierpień nasze postępowanie przysparzało bliźnim, wszystkie je teraz w pełni odczuwamy. Proces ów, gdy nie ma się już działającego łagodząco ciała fizycznego, może być bardzo przykry. Dzieje się wówczas podobnie jak z silnymi uczuciami — miłością, lękiem, odrazą — doznawanymi w marzeniu sennym, gdzie występują one w postaci silnie skoncentrowanej, podczas gdy te same emocje odczuwane w codziennym życiu są tłumione przez świat zewnętrzny, jego wymagania i bodźce. Tutaj zaś nie ma niczego takiego jak „świat zewnętrzny", wszystko bowiem jest „wnętrzem".

Z fragmentarycznych przekazów, którymi dysponujemy, wynika, że na różne „poziomy" życia w zaświatach można przechodzić po kolei, z jednego na drugi i że tak właśnie najczęściej się dzieje. Niekiedy jednak uwolniony z powłoki cielesnej duch może pracować nad kilkoma zadaniami równolegle albo dowolnie przechodzić od jednego do drugiego. Zdaje się, że nie obowiązuje tam żadna reguła, do której każda osoba musiałaby się dostosować. Jak w rzeczywistości ziemskiej, tak i w zaświatach każdy człowiek jest jedyną w swoim rodzaju indywidualnością, ma specyficzne potrzeby, które w pełni się respektuje.

Niezwykle trudno jest nam sobie wyobrazić, jakie to nauki na tej płaszczyźnie pobierają duchy. Zapewne nie mają one charakteru mechanicznego ani praktycznego — przecież w zaświatach nie istnieją przedmioty materialne. Nie jest to też właściwe miejsce ani czas po temu, aby podejmować filozoficzne rozważania nad „naturą życia". Owe nauki zatem muszą się zasadzać na lekcjach natury moralnej albo duchowej — tak zresztą wielu informatorów je opisuje. Jednak najwyższy kurs rozpoczyna się dopiero wtedy, gdy uczeń jest do tego gotów.

Wyższe szczeble

Każdy z następujących po sobie poziomów, nim będziemy potrafili go właściwie ocenić, jest przed nami zamknięty. Możliwe nawet, że niektóre dusze nigdy nie wznoszą się ponad poziom zwany letnią krainą. Jednak większą dozę prawdopodobieństwa wydaje się mieć teza, iż każdy bez wyjątku osiąga wyższe poziomy, a czyni to w sobie właściwym tempie.

Owe wydarzenia — życie w letniej krainie, koszmar krainy zimowej, pierwsze niebo, dokonanie osądu życia ziemskiego — składają się na to, co zwie się światem astralnym, czyli światem naszych pragnień. Każdy z nas zaczyna teraz rozumieć, że koniecznością jest porzucić ów świat, otrząsnąć się z niego, by dostąpić wolności, która wprowadzi nas w najbardziej duchowe obszary naszej własnej istoty.

Powszechne jest przekonanie, że kolejnym doświadczeniem jest „powtórna śmierć". Każdy teraz musi stopniowo dojrzeć do tego, by zrzec się obecnych wartości — podobnie jak większość z nas niegdyś poczuła się w końcu gotowa, by w chwili śmierci otrząsnąć się z doczesnej postaci. Nasze pragnienia w świecie astralnym — bez względu na to, jak wiele z nich łączyło się z miłością bliźniego, braterskimi uczuciami i przyjaźnią — były również w gruncie rzeczy, jak zaczynamy z całą ostrością rozumieć, w przeważającej mierze skupione na naszej własnej istocie. Nawet gdy obdarzaliśmy innych miłością, to głównym motorem tego działania było uzyskanie własnej satysfakcji emocjonalnej. Teraz, dzięki ponownej śmierci, wyzwalamy się ze wszystkiego, co niegdyś mieliśmy w wysokiej cenie.

W przysłanym z zaświatów opisie własnych doświadczeń na tamtym świecie, Conan Doyle nazywa to przejście „strasznym i wspaniałym", dodając, że „powtórna śmierć obnaża człowieka z wszelkich upiększeń". Owo traumatyczne doznanie przygotowuje ucznia, odartego już ze swoich najskrytszych ambicji, do przejścia na wyższy szczebel rozwoju. Tam zacznie on odnajdywać „prawdziwą jaźń", stając się istotą pełniejszą — taką, jaką w gruncie rzeczy zawsze pragnął być.

CO SIĘ DZIEJE PO ŚMIERCI?

Najbardziej kontrowersyjną dziedziną badań paranormalnych są prawdopodobnie zjawiska fizyczne wywoływane przez media. W jakim stopniu są one prawdziwe?

Jednym z paradoksów badań paranormalnych jest fakt, że najbardziej nieodparte dowody na istnienie duchowego świata zazwyczaj przybierają formę zjawisk na wskroś fizycznych. Mogłoby się wydawać niedorzecznością, by stukania, przesuwanie stołów albo unoszenie się w powietrzu trąbek do gry były efektami działań duchów; a jednak szukanie bardziej przyziemnych przyczyn tych zdarzeń nie daje wcale przekonujących rezultatów.

Owe zjawiska fizyczne nie zachodzą w próżni, zawsze jako bezpośredni inicjator zdarzenia występuje człowiek. Do zapoczątkowania spirytyzmu w 1848 roku w Hydesville w Stanach Zjednoczonych doszło za sprawą zwykłych postukiwań, które stały się z czasem środkiem komunikacji między zmarłym domokrążcą a rodziną Foxów. W ciągu kilku lat trzy siostry Fox — Kate, Margaretta i Leah — zyskały światową sławę jako media. W tym samym czasie wielu innych ludzi odkryło, że stworzywszy odpowiednie warunki, potrafią wywoływać zjawiska fizyczne.

Na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku, w Stanach Zjednoczonych, farmer Jonathan Koons zaczął na własną rękę eksperymentować jako medium. Utrzymywał, że duchy wprost nazwały go „najpotężniejszym medium na ziemi". Postępując wedle ich wskazówek zbudował, opodal swojego domu w Ohio, drewnianą chatę specjalnie po to, by wraz z ośmiorgiem swoich dzieci — które ponoć również miały paranormalne talenty — dawać seanse spirytystyczne. Chatę ową zaopatrzył w instrumenty muzyczne i inne przedmioty, z których korzystały objawiające się duchy. Seans przypominał amatorskie przedstawienie teatralne; na widowni zasiadało około trzydziestu widzów. Gdy publiczność zajęła już miejsca, Koons gasił światła i zaczynać wygrywać na skrzypcach pieśni religijne; grał tak długo, aż niewidzialne dłonie chwytały inne instrumenty i się do niego przyłączały.

Podczas tych hałaśliwych koncertów tamburyno krążyło nad głowami publiczności, trąbki swobodnie unosiły się w powietrzu, przemawiały głosy. Specjalnie po to, by dobrze oświetlić niektóre manifestacje, duchy trzymały powleczone fosforem karty papieru. Farmer skonstruował nawet „maszynę do duchów" — wysoce skomplikowany aparat z cynku i miedzi, który, jak miały twierdzić duchy, pomaga im w koncentracji magnetycznej aury, niezbędnej do dokonywania fizycznych demonstracji. Wedle Koonsa, dzięki jego urządzeniu duchy mogły przezwyciężać prawa ciążenia i do woli przesuwać ciężkie sprzęty oraz grać na instrumentach.

Niespełna 5 kilometrów od farmy Koonsa niejaki John Tipple wraz ze swoimi dziećmi urządzał w specjalnym pawilonie bardzo podobne przedstawienia, i to nie używając „maszyny do duchów". Co ciekawe, ów pawilon wznieśli podobno również wedle wytycznych udzielonych im z zaświatów.

Jonathan Koons nigdy nie pobierał od publiczności opłat za swoje seanse, a brak również dowodów, że prezentował jedynie oszukańcze sztuczki. Jednak, mimo ówczesnej szerokiej popularności spirytyzmu, spotkał się z otwartą wrogością, zwłaszcza ze strony sąsiadów. Zgraje miejscowych zabijaków nachodziły jego dom, dzieci wracały pobite, podpalano jego pola i zabudowania gospodarcze, co zmusiło go w końcu do wyprowadzenia się. Farmer i jego rodzina z czasem stali się swoistymi misjonarzami spirytyzmu.

Zjawiskowa postać

Jeszcze inna amerykańska rodzina zasłynęła w owym czasie za sprawą podobnego „domu duchów", będącego areną niezwykłych zjawisk. Mówiono, że Davenportowie, mieszkający w Buffalo w stanie Nowy Jork, na dwa lata przed wydarzeniami w Hydesville, czyli w 1846 roku, słyszeli w swoim domu stukania i inne dziwne hałasy. Wówczas Ira Davenport miał siedem lat, jego braciszek William zaś pięć. Cztery lata później chłopcy wraz z siostrą Elisabeth zaczęli wykorzystywać, z imponującymi rezultatami, metodę wirującego stolika. Stolik się obracał, stukania się rozlegały, rękę Iry zaś prowadził podobno duch, zapisując nawet jakieś informacje. Donoszono również, że dzieci we trójkę przynajmniej raz równocześnie lewitowały. Pewnego razu Ira dostał zaszyfrowane w stukaniach polecenie, aby wziął pistolet i strzelił w róg pokoju. Chłopiec usłuchał; w chwili oddawania strzału oczom obecnych ukazało się widmo dzierżące w dłoni pistolet. Gdy zniknęło, broń upadła na podłogę.

Duchy powiedziały dzieciom, by pozwoliły się badaczom skrępować sznurami, aby udowodnić, że hałasy oraz inne zjawiska zachodzące w zaciemnionym na czas seansu pokoju naprawdę pochodzą z innego świata. Ku zadowoleniu widzów życzenie duchów spełniono, przekonując przy okazji tych sceptycznie nastawionych.

Talenty mediumiczne Davenportów nie wyróżniają się specjalnie na tle dokonań innych mediów fizycznych w drugiej połowie lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, wyjątkowymi natomiast uczyniło ich to, że postanowili swoje umiejętności przedstawić szerokiej publiczności. W tym celu bracia skonstruowali przemyślne pomieszczenie z trojgiem drzwi, które w istocie było niczym innym jak przenośnym gabinetem do prowadzenia seansów spirytystycznych. Zapraszali osoby z widowni, by zakładały im solidne więzy. Jednak gdy tylko zamknęły one za sobą drzwi zostawiając w środku Davenportów, rozpoczynały się dziwne zjawiska. Rozlegały się odgłosy uderzeń, pukania, przez okienko środkowych drzwi machały do publiczności dłonie, słychać było dźwięki muzyki. Często zapraszano również przedstawiciela publiczności do pozostania z braćmi na czas seansu wewnątrz zaciemnionego gabinetu, a gdy było już po wszystkim, media znajdowano tak samo związane, jak przed seansem.

Było to bardzo widowiskowe i emocjonujące przedstawienie, toteż gdy Davenportowie wraz ze swoim „gabinetem do seansów" ruszyli w tournée po Ameryce, żądna cudów publiczność tłumnie napływała do najlepszych sal teatralnych wynajmowanych przez braci. Wywoływali wówczas ten sam rodzaj sensacji, który na początku lat siedemdziesiątych naszego wieku wzbudził Uri Geller.

Rzecz oczywista, każdy sprawny eskapolog potrafi zdjąć więzy, ale ów fakt niekoniecznie czyni z braci oszustów. Davenportowie nigdy nie twierdzili, że są spirytystami, ale jedynie, że mają paranormalne zdolności. Toteż gdy gazeta „Boston Courier" ogłosiła, iż przyzna 500 dolarów nagrody temu, kto wywoła prawdziwe zjawisko fizyczne, bracia się zgłosili.

Ich umiejętności sprawdziła w imieniu gazety komisja profesorska złożona z wykładowców Uniwersytetu Harvarda. Irę i Williama skrępowano sznurami, które przeciągnięto przez wywiercone w ścianach ich gabinetu otwory i umocowano na zewnątrz. Jeden z profesorów, Benjamin Pierce, ulokował się w gabinecie i drzwi zamknięto.

„Boston Courier" nie uznał korzystnej dla braci wersji wydarzenia, opisanej przez ich biografa, T. L. Nicholsa. Jednak naoczny świadek, profesor Pierce nie potrafił ani jej potwierdzić, ani zdementować. Jedynym pewnym faktem było, że gdy po seansie gabinet otwarto, Ira i William siedzieli związani, szyję profesora zaś owijał sznur. Ale nawet ów widok nie przekonał redaktorów bostońskiego pisma, Davenportom pieniężnej nagrody nie przyznano.

Wrogie przyjęcie

Kontrowersje otaczające rodzeństwo z Buffalo sięgnęły zenitu w czasie ich europejskiej podróży, kiedy to spotkali się z bardzo nieprzyjaznymi reakcjami opinii publicznej. Wyjątkowo chłodno przyjęto ich w Londynie i innych angielskich miastach, a wobec trudnej sytuacji stanęli w Liverpoolu, gdzie dwóch widzów, wybranych przez publiczność do kontrolowania przebiegu seansu, założyło Irze i Williamowi bardzo skomplikowane węzły. Bracia zaprotestowali, twierdząc, że sznury utrudniają krążenie krwi; sprawę zbadał lekarz, ale nie stwierdził zagrożenia dla zdrowia. Wówczas pewien porywczy widz postanowił rozwiązać problem w ostateczny sposób i nożem przeciął węzły. W rezultacie wieczorem w mieście wybuchły zamieszki, Davenportowie zaś w pośpiechu wyjechali. Pogróżki, które otrzymywali w innych miejscowościach, skłoniły ich do wcześniejszego zakończenia tournée po Wielkiej Brytanii.

Dziś, gdy od tamtych wydarzeń minęło już ponad sto lat, nie jest możliwa ocena, czy Davenportowie naprawdę byli obdarzeni wielkim talentem mediumicznym, czy też uciekali się do oszukańczych sztuczek. Zapewne, z powodu otaczającego ich seanse teatralnego sztafażu, równie trudno było to ocenić naocznym świadkom. Jednak eksperymenty przeprowadzane z mediami fizycznymi pod dokładną kontrolą dostarczały niekiedy niezbitych dowodów na autentyczność wywoływanych przez nich zjawisk.

Jednym z pierwszych fizyków, który podjął badania nad siłami psychicznymi powodującymi stukania i poruszanie przedmiotów, był sir William Crookes. Swoje doświadczenia przeprowadził z najsłynniejszym medium, Danielem Dunglasem Home'em, przekonując się, że dysponuje on potężnymi siłami parapsychicznymi.

Do grona pierwszych badaczy tych zjawisk należy również Marc Thury, profesor fizyki i historii naturalnej na Uniwersytecie Genewskim w Szwajcarii; pewnego razu w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku był on świadkiem, jak w obecności jedenastoletniego chłopca lewitowały równocześnie dwa fortepiany. Profesor Thury wysunął hipotezę, że ludzkie ciało może wydzielać pewną substancję, którą następnie posługują się niewidoczne siły, wywołując tak zdumiewające efekty. Był to zwiastun teorii ektoplazmicznej, przyjętej potem przez wielu badaczy.

Najbardziej zagadkowy w takich zdarzeniach jest fakt, że jeśli nawet chłopiec miałby możliwość oszukiwania, to przecież nie ma sposobu, by podniósł dwa tak ciężkie przedmioty; podniesienie nawet jednego przekraczałoby przecież jego możliwości. Podobne spostrzeżenie uczynił doktor d'Oliveira Feijao, profesor chirurgii na Uniwersytecie Lizbońskim, obserwując dokonania nieprofesjonalnego medium, hrabiny Castelwitch, którą spotkał w 1913 roku. Jak później opisywał, na jej seansach „rozlegały się odgłosy uderzeń, najgłośniejsze dochodziły od przeszklonych drzwi szafy na książki. Niekiedy sprzęty samorzutnie przesuwały się po pokoju. Wędrowały ciężkie krzesła [...] duże i ciężkie książki zostały rozrzucone po podłodze (przez cały seans trzymaliśmy się za ręce)".

W czasie jednego z seansów, gdy hrabina lekko dotknęła ważącego ponad 70 kilogramów stołu, ten uniósł się na dwóch nogach; innym razem niewielki stolik, z metalowymi okuciami, został przez niewidoczne dłonie rozłupany na dwieście kawałków, które ułożyły się w stos w kącie pokoju.

Kilka lat wcześniej doktor Julian Ochorowicz, wybitny polski badacz zjawisk paranormalnych, przeprowadzał eksperymenty z młodą dziewczyną, Stanisławą Tomczyk. O dziewczynie wieść niosła, że potrafi przesuwać meble nie dotykając ich, zatrzymywać wskazówki zegarów, a nawet wpływać na koło ruletki, by wskazywało wybrane przez nią numery. Ochorowicz nie tylko obserwował lewitowanie niewielkich przedmiotów między dłońmi Tomczykówny, ale zdołał również utrwalić to zjawisko na fotografiach. Podniosły się wówczas głosy sceptyków, twierdzących, że doktor padł ofiarą oszustw dziewczyny, że podtrzymywała ona przedmioty cieniutkimi nitkami. Ochorowicz odrzekł im, że w czasie tych demonstracji przesuwał swoje dłonie między przedmiotami i palcami medium, i nie przerwało to lewitacji. Zjawisko wyjaśnił w ten sposób, że dziewczyna potrafi wysyłać z dłoni „sztywne promienie", dzięki którym osiąga takie efekty. Stanisława Tomczyk nigdy nie dawała seansów profesjonalnie. Swoje umiejętności prezentowała jedynie na potrzeby doświadczeń naukowych. Poślubiła Everarda Feildinga, jednego z czołowych i najbardziej sceptycznie nastawionych badaczy zrzeszonych w Towarzystwie Badań Parapsychologicznych.

Testy laboratoryjne

Kolejnym medium fizycznym, które zgodziło się prezentować swoje umiejętności w celach badawczych i w warunkach laboratoryjnych, była Anna Rasmussen, Dunka, która odkryła swoje niezwykłe zdolności w wieku dwunastu lat. W latach dwudziestych naszego wieku wielu naukowców dokonywało eksperymentów z jej udziałem, między innymi profesor Christian Winther z Akademii Politechnicznej w Kopenhadze. W 1928 roku przeprowadził z nią 116 seansów, na każdym doszło do jakiejś fizycznej manifestacji. Przez cały czas trwania tych seansów medium pozostawało przytomne; kobieta zwykle siedziała rozmawiając, czytając i pokrzepiając się od czasu do czasu jakąś przekąską, zachowywała całkowitą swobodę i niefrasobliwość.

Podczas gdy w Danii testowano możliwości Anny Rasmussen, w Wielkiej Brytanii ostatnie seanse w swojej krótkiej, choć burzliwej (i całkowicie nieprofesjonalnej) karierze dawało tamtejsze medium. Talenty Stelli Cranshaw, młodej podówczas pielęgniarki, odkrył badacz zjawisk parapsychicznych Harry Price, postać wielce niejednoznaczna. Gdy Stella zgodziła się poddać badaniom w jego londyńskim Narodowym Laboratorium Badań Parapsychicznych, Price przygotował pomysłowe i skomplikowane wyposażenie, w którego skład wchodził między innymi stół do przeprowadzania seansów, rzekomo wykluczający możliwość oszukiwania, oraz inne, okazale się prezentujące, urządzenia kontrolne.

Ów stół w rzeczywistości składał się z dwóch stołów umieszczonych jeden w drugim. Blat wewnętrznego stołu został wyposażony w drzwiczki zapadkowe, które można było otworzyć jedynie od dołu. Na półce między nogami tego stołu znajdowały się instrumenty muzyczne, organki i dzwonki; nogi mebla spowijała gęsta gaza. Boki każdego stołu zakrywały drewniane kraty. Dzięki temu nikt nie mógł dotknąć przedmiotów ułożonych na wewnętrznej półce.

Stella Cranshaw zasiadała przy tym stole wraz z innymi uczestnikami seansu, z których dwoje przez całe spotkanie trzymało jej dłonie i stopy. Kobieta zapadała w trans i wkrótce zaczynały się rozlegać rozmaite dźwięki, z wnętrza mebla dobiegało dzwonienie albo gra na harmonijce. Od środka otwierano zapadkowe drzwiczki w stole, a kiedy na blacie zewnętrznego stołu rozkładano chustkę, oczom zgromadzonych ukazywały się poruszające się pod nią formy, przypominające ludzkie palce.

W ocenie Harry'ego Price'a największym osiągnięciem w działalności mediumicznej Stelli Cranshaw było sprawne posługiwanie się telekinetyskopem — niezwykle czułym aparatem, który skonstruował sam Price. Składał się on z małej czerwonej żarówki, baterii i klucza telegraficznego. Gdy naciskano klucz, żarówka się zapalała. Urządzenie było tak pomyślane, by nie trzeba było używać klucza w normalny sposób — zakrywała go bańka mydlana. By zapobiec wyschnięciu bańki w czasie seansu, aparat ustawiano w cieniu lustra. Toteż gdy w obecności Stelli Cranshaw zapalało się światło, mogło się zdawać, że jest to efekt psychokinezy; gdy po seansach sprawdzano aparat, bańkę mydlaną znajdowano zawsze nietkniętą.

Testy z udziałem Stelli przeprowadzano przez pięć lat, ale mimo nadzwyczajnych zjawisk obserwowanych w czasie jej seansów, nie wykazywała ona entuzjazmu dla wywoływania zjawisk parapsychicznych. Po zamążpójściu w 1928 roku już nie dawała seansów. Inne media jednak nie ustawały w dostarczaniu tego, co miało uchodzić za namacalne dowody ich nadzwyczajnych możliwości oraz dobrych kontaktów z zaświatami.

DOWÓD NA ŻYCIE POZAGROBOWE?

W jaki sposób możemy się przekonać, czy po śmierci nadal będziemy istnieć? Czy zawsze będzie to dla nas tajemnicą? Świadectwa ludzi, którzy otrzymali wiadomości z tamtej strony jednoznacznie wskazują na istnienie życia pozagrobowego.

Członkowie Brytyjskiego Towarzystwa Badań Parapsychologicznych w pierwszych latach jego istnienia byli w tym szczęśliwym położeniu, że mogli zapewnić sobie współpracę wybitnie inteligentnych, gruntownie wykształconych sensytywów o nie uprzedzonych umysłach. Większość z nich to były kobiety, skądinąd używające, stosownie do powszechnego wówczas zwyczaju, nazwisk małżonków: pani Piper, Thompson, Leonard, Garrett oraz wiele innych.

Niektóre z tych kobiet przejawiały talenty typu „fizycznego", ale większość działała jako media mentalne. Fakt ów może być o tyle znaczący, że liczba mediów fizycznych zmniejszała się wraz z powstawaniem coraz dokładniejszych metod badania rezultatów ich działania.

Cynicy mogą tę zależność nader skwapliwie wykorzystać, twierdząc, że prawdopodobieństwo wykrycia oszustwa stało się dziś już tak wysokie, iż tylko nieliczni zdobywają się na odwagę, by prezentować fizyczne zjawiska mediumiczne. Ale przeciwny pogląd głosi, że samo instalowanie skomplikowanych urządzeń niezbędnych do przeprowadzenia badania może powstrzymać proces pojawienia się paranormalnego zjawiska, o którym wiadomo właściwie tylko tyle, iż jego mechanizm jest niezmiernie delikatny. Zdaje się również, że niekiedy zachodzi tak zwany „efekt eksperymentatora"; polega on na tym, że sceptyczne nastawienie badaczy, które tylko z trudem można nazwać obiektywnym, tłumi wszelkie działania podejmowane w czasie seansu.

Choć media, takie jak wymienione wyżej, dostarczały całkiem przekonujących informacji, to członkowie Towarzystwa toczyli spory nad fundamentalnym zagadnieniem, czy dowody na życie pozagrobowe w ogóle mogą istnieć. Jednomyślnie uznali, że przenoszenie myśli, obejmujące również przekazywanie uczuć, obrazów, dźwięków, a nawet zapachów, jest niewątpliwym faktem. Choć prawie cztery dekady musiały

jeszcze upłynąć, nim J. B. Rhine przesunął w badaniach główny nacisk ze sfery fizycznej (naukowe badanie faktów paranormalnych) na zagadnienia parapsychologii (ujmowanie zjawisk nadzmysłowych jako przejawów słabo rozpoznanej aktywności mentalnej); postrzeganie pozazmysłowe i psychokinezę już wcześniej wzięto pod uwagę jako możliwe wytłumaczenie tego, co media przedstawiały jako dowody na życie po śmierci.

Wysuwano tezę, iż postrzeganiem pozazmysłowym (ang. *extrasensory perception*, w skrócie ESP) można wyjaśnić, skąd media czerpały wiadomości, niekiedy zdumiewająco dokładne, które przekazywały uczestnikom seansów. Polegałoby to na tym, że dzięki ESP umysł ludzki może całkowicie nieświadomie „wykradać informacje" innym i łudzić się, że pochodzą one wprost od zmarłego krewnego. Natomiast PK — psychokineza, czyli „panowanie umysłu nad materią" — jest tajemniczą władzą, którą umysł ludzki sprawuje nad nieożywionymi obiektami. Wyjaśniałaby ona w kategoriach naturalnego, nawet jeśli rzadko się w ten sposób objawiającego, funkcjonowania naszego umysłu, fenomen tak zwanych wirujących stolików, wprawianych w ruch rzekomo przez duchy, i dziwnych odgłosów rozlegających się we wnętrzach, gdzie przeprowadza się seans. Sądzi się nawet, że niektórzy sensytywi potrafią odczytywać informacje (jest to *general ESP*, GESP, czyli ogólne postrzeganie pozazmysłowe) zapisane ludzką ręką, drukowane albo w jakikolwiek inny sposób utrwalone (nawet w postaci mikrofilmu) i przedstawiać je w spójnej logicznej formie. Jeśli istotnie niektóre umysły dysponują takimi umiejętnościami, to fakt ten kładzie kres wszelkim próbom udowodnienia trwania po śmierci, ponieważ jakakolwiek informacja od zmarłego — bez względu na to, jak dokładna czy poufna — teoretycznie może być uzyskana na drodze GESP.

Teozofowie największą skarbnicę wszelkiej ludzkiej wiedzy zwą kroniką Akaszy, tradycyjnie uznaje się, że kilkoro wyjątkowych ludzi miało dostęp do tych zasobów. Może być zatem, że w jakiś nie wyjaśniony sposób już wcześniej sięgnięto do tego źródła, a media, by przekonująco opisać czyjś żywot, uciekały się do podobnej metody.

Przeciw dowodom na przetrwanie po śmierci prezentowanym przez media niekiedy przytacza się również takie oto dwa potężne argumenty. Pierwszy głosi, że tak zwany duch przewodni, na którego powołują się sensytywi, może być w istocie efektem dochodzenia do głosu rozszczepionej albo zwielokrotnionej osobowości samego sensytywa. Stan taki jest rezultatem odłączenia pewnych procesów umysłowych od głównego nurtu świadomości. Jeśli owe „inne osoby" przebiją się później na powierzchnię świadomości, mogą całkiem zawładnąć człowiekiem, co jest objawem ciężkiej choroby psychicznej. W historii odnotowano nawet wypadki, kiedy to ponad tuzin zupełnie odmiennych osobowości mieściło się w jednym ciele; dochodziły one do głosu na przemian albo walczyły ze sobą o władzę.

Do tego rodzaju manifestacji dochodziło niekiedy niespodziewanie, gdy z pozoru normalnych ludzi poddawano hipnozie. Być może szczególną cechą sensytywów jest zwiększona, w porównaniu z ludźmi o bardziej praktycznych umysłach albo sceptycznie względem świata duchów nastawionych, podatność na rozwijanie wtórnych osobowości.

Wszechstronny fałszerz

Trzeba tu wziąć w rachubę jeszcze inną nadzwyczajną cechę ludzkiego umysłu, zdolność mitopoetycką, po grecku *mythopoeia*. Objawia się ona w tworzeniu mitów albo rozbudowanych historii, mających niezwykłą siłę przekonywania, które często podczas hipnotycznej regresji wyłaniają się jako „poprzednie życia". Skutkiem takiego zabiegu może być „nieświadome fałszerstwo", które u niektórych sensytywów objawia się naśladowaniem głosu, charakteru pisma, a nawet stylu utworów muzycznych albo kompozycji plastycznych (niekiedy światowej sławy) zmarłych artystów. Taki sam efekt może powstać, gdy sensytyw skorzysta z pośrednictwa umysłów innych ludzi. Być może również zdolności mitopoetyckiej należy przypisać zjawiska „mówienia językami", kiedy to pogrążeni w transie ludzie śpiewają albo płynnie przemawiają w nierozpoznawalnych językach. Teoria ta dostarcza innego wyjaśnienia dla wielu dziwnych zjawisk, które niekiedy uznawano za „dowód" istnienia życia po śmierci.

Odejściu z tego świata pierwszych członków i założycieli Towarzystwa, zwłaszcza zaś F. W. H. Myersa w 1901 roku, towarzyszyły narodziny nowego fenomenu, zwanego korespondencją krzyżową albo „składaną" (ang. *cross-correspondence*). Polega ono na tym, że dwóch lub więcej sensytywów, całkowicie niezależnych od siebie, znajdujących się w różnych miejscach, w różnym czasie odbiera fragmentaryczne informacje. Owe informacje, czytane oddzielnie zazwyczaj sprawiają wrażenie bezsensownych, dopiero ułożone razem okazują się logiczną całością. Kompletowanie tej pierwszej składanej korespondencji trwało ponad trzydzieści lat. Początki napływania informacji, następujące po zgonach tych, którzy swoje życie poświęcili głównie zgłębianiu tajemnic śmierci, wydają się wielu badaczom niezbitym dowodem jednoznacznie wskazującym na autorów owych korespondencji. Faktycznie, sprawia to wrażenie, jakby założyciele Towarzystwa umówili się na spotkanie w życiu pozagrobowym i doszli do wniosku, że jeśli wyślą „jakiś normalny komunikat, to zostanie on uznany za zwykłe przeniesienie myśli. Trzeba zatem wymyślić taką metodę kontaktowania się, której nie da się w ten sposób zinterpretować".

Faktem jest, że wcześniej żadne komunikaty, które można by łatwo przypisać przenoszeniu myśli, nie dotarły w postaci fragmentów do różnych mediów. Także ich treść, ujęta w formy poezji i obfitująca w erudycyjne klasyczne aluzje, była niezwykle charakterystyczna dla zmarłych członków Towarzystwa. Choć wiele przekazów korespondencji krzyżowej można przynajmniej w pewnej mierze tłumaczyć zjawiskiem GESP, to jednak większość badaczy uznaje, iż stanowią one najpewniejsze jak dotąd świadectwo przetrwania po śmierci. Nadto komunikaty te służą jednemu celowi, jakim jest przekonanie nas, na wszelkie możliwe sposoby, o nieprzerwanym istnieniu pewnych jednostek (zmarły Myers podobno uznał wysiłki „informacyjne" za bardzo męczące, „perspektywa wiecznego przedkładania swoich listów uwierzytelniających" bowiem wywoływała u niego ogromną frustrację). Nawet jeśli założymy autentyczność tego przekazu, to ów szeroko zakrojony i starannie przeprowadzony eksperyment nie mówi nam zgoła nic o tym, co się dzieje z nami po śmierci; dowiedzieliśmy się tyle tylko, że nadal wykorzystujemy nasz ziemski sposób myślenia oraz pewne cechy osobowości.

Przypadkowi goście

Zdarzało się, że niektóre seanse przerywały „nieproszone duchy", nie znane nikomu ze zgromadzonych, same dostarczały jednak wiadomości o sobie, które później okazywały się jak najbardziej prawdziwe. Być może to zjawisko również można wytłumaczyć ogólnym postrzeganiem pozazmysłowym (GESP). Ale dlaczego sensytyw miałby pozyskiwać informacje o kimś, kim nikt z obecnych na seansie się nie interesuje?

Tymczasem towarzyszący umierającym często mówią, że człowiek na łożu śmierci tuż przez zgonem widzi swoich zmarłych krewnych i przyjaciół, którzy przybywają, by powitać nowicjusza „po drugiej stronie". Takie doznania mogą być halucynacjami, naturalnym mechanizmem ułatwiającym żegnanie się z życiem. Ale to wyjaśnienie nie dotyczy, rzecz jasna, tych wypadków, kiedy to umierającemu, ku jego zdziwieniu, składają „wizytę" ci krewni, o których śmierci ów nic dotąd nie wiedział.

W latach sześćdziesiątych naszego wieku podjęto badania nad doświadczeniami ludzi, którzy przeżyli śmierć kliniczną, zazwyczaj na stole operacyjnym. Wszyscy oni, obojętnie, czy wierzyli w życie po śmierci, czy też nie, opowiadają o podobnych doznaniach. Zachowywali przez cały czas świadomość, gdy opuszczali swoje ciało i płynęli mrocznym tunelem, na którego końcu widać było światło. Wyłoniwszy się z owego tunelu, stawali przed promienną postacią, od której często biła zbyt intensywna jasność, by mogli ją wyraźnie widzieć. Istotę ową opisywali później, stosownie do swoich indywidualnych przekonań religijnych: na przykład ludzie z kręgu kultury zachodniej zwykle rozpoznawali w niej Chrystusa. Często również odczuwali obecność zmarłych przyjaciół i krewnych, przepełniał ich bezmierny spokój i radość. Jednak mówiono im, że ich czas jeszcze nie nadszedł i muszą wracać. Po tym spotkaniu do swojego ciała powracali z wielką niechęcią. Zastanawiające, że ludzie, którzy przeszli przez to doświadczenie, później nigdy nie boją się śmierci.

Innym dowodem, że nasze istnienie trwa w oddzieleniu od powłoki cielesnej, są doznania związane z byciem poza ciałem (ang. *out-of-the-body-experience*, w skrócie OOBE). Wielu ludziom przydarzyło się dziwne doznanie, że kołyszą się gdzieś wysoko nad swoim śpiącym albo nieprzytomnym ciałem; najczęściej dochodziło do tego w sytuacjach kryzysowych, w czasie wypadków, tortur albo gdy leżeli na stole operacyjnym. Niektórzy później zdumiewali lekarzy i pielęgniarki dokładnymi relacjami, co robili i mówili w czasie zabiegu. Inni utrzymują nawet, że potrafią opuszczać ciało wedle własnego życzenia. Stanowi to dla nich potwierdzenie, że istnieją również w wymiarze niefizycznym i że ten aspekt ich osoby przetrwa ich śmierć cielesną. Amerykanin doktor Ian Stevenson z Uniwersytetu w Wirginii wnikliwie i wszechstronnie zbadał dowody na reinkarnację. Zgromadziwszy setki świadectw o „przeszłych życiach" doszedł do wniosku, że „racjonalnie myślący człowiek [...] może wierzyć w reinkarnację, gdyż istnieją po temu wystarczające przesłanki". Jednak dla większości to przekonanie nadal będzie jedynie kwestią wiary, chociaż ma ono niezmiernie długą tradycję; najstarsze znane obrzędy pogrzebowe wskazują, że ówcześni ludzie wierzyli w życie po śmierci.

Najbardziej wyrafinowane systemy religijne świata różnią się znacznie między sobą, jeśli chodzi o określenie ostatecznego celu życia człowieka.

Hindusi i buddyści nauczają, iż jest nim ucieczka z nieszczęścia ziemskich wcieleń w mistyczną i błogą jedność z Brahmą, z Najwyższą Zasadą albo osiągnięcie Nirwany, w której jaźń roztapia się w nieskończoności. W świecie starożytnym, wśród Greków, Rzymian i Żydów rozpowszechniona była wiara, że duch zmarłego prowadzi smutną i niepełną egzystencję w krainie wiecznego cienia, w mitologii zwanej Hadesem, w doktrynie żydowskiej Szeolem. W późniejszych czasach Żydzi przyjęli ideę zmartwychwstania prawych i pobożnych, którym miało być dane obcowanie z patriarchami. Jednak nawet dziś judaizm nie mówi, że każdego czeka życie wieczne.

Wierzący czy ateiści, kultywujący wartości filozoficzne czy materialistyczne, wszyscy musimy odejść z tego świata. Dopiero wtedy dowiemy się, jak jest naprawdę.

MARTWI, ALE NIE NARUSZENI

Zjawisko nieulegania rozkładowi ciał zmarłych często daje się wytłumaczyć działaniem czynników naturalnych. Mimo to nie sposób racjonalnie wyjaśnić licznych przypadków nienaruszalności zwłok.

Rejestry świętych Kościoła katolickiego wymieniają wielkie skupiska nie ulegających zepsuciu ciał mistyków, które, by posłużyć się słowami historyka kościoła, ojca Thurstona, oparły się „zgrozie grobu". Mimo to rzymski Kościół katolicki nie ma monopolu na zwłoki, które nie poddają się rozkładowi; występują one w każdym odłamie chrześcijaństwa, a także w wielu innych religiach. Relacje uderzająco podobne do katolickich znajdujemy nawet w chińskich pismach znanych jako *Żywoty buddyjskich świętych.*

Niezwykle wymownym przykładem jest historia Hui Nenga, jednego z najsławniejszych patriarchów Ch'an (czyli Zen). Hui Neng zmarł w 712 roku n.e. i został pochowany w klasztorze Kuo-en, w prowincji Kwantung, gdzie za życia nauczał. U schyłku dynastii Sung, w 1276 roku, w czasie najazdu Mongołowie wydobyli z grobu jego zwłoki, by na własne oczy sprawdzić, czy wieści o cudownym zachowaniu jego ciała są prawdziwe. Po 564 latach od śmierci, skóra mistrza Zen pozostawała elastyczna i połyskliwa, nie nosiła żadnych oznak kurczenia się ani marszczenia. Profanatorzy nie poprzestali na tym, otworzyli ciało i ku swemu zdumieniu zobaczyli serce i wątrobę w doskonałym stanie. Zaskoczyło ich to do tego stopnia, że poniechawszy dalszych świętokradczych czynów, natychmiast opuścili chińskie ziemie.

Dowód szczególnej łaski

Zjawisko to występuje również w dzisiejszych czasach. Na przykład w 1977 roku w Espartinas w Hiszpanii otwarto grobowiec rodzinny, by złożyć w nim kolejnego zmarłego członka rodziny. Kościelny i jego pomocnicy doznali szoku, gdy zobaczyli zwłoki syna mężczyzny, którego właśnie grzebali — przetrwały one w nie naruszonym stanie cztery dekady. Chłopiec ów, José Garcia Moreno, zmarł w 1937 roku z powodu zapalenia opon mózgowych w wieku jedenastu lat; rodzina zaprzeczała, by poddano go balsamowaniu. Wkrótce cała wioska ujrzała ciało dziecka w rozpadającym się trumiennym ubranku; uznawszy, że tak szczególne wyróżnienie chłopca jest znamieniem świętości, zwrócono się do Rzymu z prośbą o kanonizację. Jednak, jak wyjaśnia ojciec Thurston, znaki takie jak stygmaty, wizje, lewitacje, zachowanie zwłok w doskonałym stanie są z punktu widzenia Kościoła mniej istotne niż wypełnione pobożnością życie i praktykowanie chrześcijańskich cnót. Z tego względu chłopiec nie dołączył do grona świętych.

Znany jest także inny wypadek z bardzo nieznacznym akcentem religijnym. W 1644 roku zmarła w wieku trzydziestu pięciu lat słynąca z urody węgierska hrabina, Zofia Bosniakowa. Dwukrotnie wychodziła za mąż, urodziła syna. Pierwszy mąż odumarł ją zaledwie rok po ślubie, gdy miała siedemnaście lat, drugi zaś, Franco Wesselenyi, awanturnik prowadzący bujne życie pozamałżeńskie, zawołany szermierz i dyplomata, sprawił, iż zamieszkała w odosobnieniu na zamku Strecno w północnej Słowacji, gdzie wiodła prosty i pobożny żywot. Podczas prac na zamku w 1689 roku otwarto jej trumnę i stwierdzono, że ciało hrabiny zachowało cały blask doczesnej urody. Miejscowa tradycja, być może niezupełnie wiarogodna, głosi, że „Pani ze Strecno", choć nie została beatyfikowana, spoczywa wystawiona na widok publiczny w kościele w Teplice-Sanov, odziana w suknię będącą dziełem jej własnych rąk. Powiada się, że mimo upływu ponad trzystu lat od śmierci, nadal wygląda pięknie.

Jeśli nie chce się tych zjawisk uznać po prostu za cud, jakie hipotezy wysuwa się najczęściej? Na początek można wykluczyć rozmaite zabiegi balsamujące, ponieważ medyczne badania nietkniętych rozkładem zwłok niezbicie wykazały, że nie zastosowano żadnych środków konserwujących ani nie usunięto wnętrzności. Z niektórych ciał, jak na przykład świętego Francisa Xaviera, wyjęto organy wewnętrzne, by je wykorzystać jako święte relikwie. W tym wypadku zresztą nienaruszoność zwłok odkryto dopiero, gdy otworzono trumnę, by pozyskać relikwie.

Joan Cruz, autorka *The Incorruptibles* [Nie ulegające zepsuciu], wyróżniła trzy kategorie zachowanych ciał: utrwalone specjalnie, zakonserwowane w wyniku zbiegu okoliczności albo w sposób naturalny oraz prawdziwie nie naruszone. Te, które zalicza się do drugiej kategorii, choć ich stan można wytłumaczyć w sposób naturalny, wcale z tego powodu nie wydają się mniej cudowne. Zarówno ojciec Thurston, jak i Joan Cruz wymieniają wiele miejsc, które słyną z właściwości konserwowania zwłok (nie zawsze jest to proces mumifikacji). Nadto Cruz pisze o naturalnej mumii, odkryciu dokonanym w górskiej pieczarze w Chile w 1954 roku.

Uważa się, że oszołomionego narkotykami chłopca zostawiono tam, by zamarzł, mniej więcej pięćset lat temu; w ten sposób złożono ofiarę bogom.

Odnaleziono również wiele ciał ludzi z epoki żelaza, które uległy doskonałej konserwacji w torfowisku, ale też mocno się odbarwiły w wyniku naturalnych procesów chemicznych. Od dawien dawna znano i wykorzystywano właściwości utrwalające alkoholu, formaldehydu, miodu, rumu, piasku, soli oraz wielu innych substancji, niektórych niezmiernie rzadko stosowanych, jak choćby guana. Jednak specjalnie utrwalone ciała nie należą do prawdziwie nie naruszonych.

Makabryczna wystawa

Niektóre okolice specjalnie wybierano na miejsca pochówków ze względu na ich naturalne uwarunkowania, dzięki którym proces rozkładu zwłok zaczynał się później i przebiegał znacznie wolniej. Kapucyńskie katakumby w Palermo i na Malcie słyną z mumii, o których pewien dziewiętnastowieczny podróżnik tak napisał: „Wszystkie są odziane w to, co nosiły za życia [...] skóra i mięśnie stały się tak suche i twarde, jak kawałki suszonej ryby. Choć wiele z nich znajduje się tam już ponad dwieście pięćdziesiąt lat, żadna jeszcze nie przeobraziła się w nagi szkielet".

W XVIII wieku wśród niemieckiej arystokracji stało się nawet modne chowanie zwłok w licowanej ołowiem krypcie katedry bremeńskiej, po tym jak odkryto zdumiewająco dobrze zachowane ciało robotnika, który w owym miejscu kilka lat wcześniej uległ nieszczęśliwemu wypadkowi.

Podobne właściwości wykazywały podziemne pomieszczenia kościoła Świętego Michana w Dublinie. W opisie kościoła sporządzonym w 1901 roku wspomina się na przykład o uderzającym widoku „wzruszającego małego dziecka, z którego pulchnych piąstek zwieszały się wyblakłe wstążki z dnia pogrzebu"; trumienka nosiła datę 1679. Jak się uważa, konserwująco działa tamtejsze niezwykle suche i wolne od pyłów powietrze. Podobne warunki panują w rosyjskiej nekropolii w Kijowie, gdzie można zobaczyć wiele wyschniętych ciał spoczywających w otwartych trumnach (dziś już przykrytych szkłem).

Natomiast w wypadku dwustupięćdziesięcioletnich zasuszonych zwłok odnalezionych w zamku Wassenburg Somersdorf w Mittelfranken w Niemczech za główny czynnik utrwalający uznano promieniowanie. Choć faktycznie w zamkowej krypcie wykryto promieniowanie o niewielkiej mocy, to nie wyjaśnia ono ani wszystkich niezwykłych przypadków zmumifikowania zwłok, ani ciał rzeczywiście nie tkniętych rozkładem.

W następnej kolejności bierze się pod uwagę dziwny naturalny proces zwany saponifikacją, czyli zmydleniem. Polega on na tym, że jak sama nazwa wskazuje, tkanki ciała pod stwardniałą zewnętrzną warstwą skóry przekształcają się w amoniakalne mydło. Ową przypominającą mydło substancję zwie się tłuszczowoskiem (Francuzi nazywają je *gras de cadavre*, czyli trupim tłuszczem). Powstaje on, gdy pochówek nastąpi w wilgotnej ziemi w pobliżu ogniska gnilnego. Nie wiadomo, dlaczego w niektórych wypadkach ten proces zachodzi, w innych zaś nie. Niejaki monsieur Thouret, który w 1785 roku nadzorował oczyszczanie cmentarza przy paryskim kościele Niewiniątek stwierdził, że wiele ciał przeszło przemianę w tłuszczowosk. Opisał je w ten sposób:

„Ciała nic nie straciły ze swojej masy. Owinięte w całuny wyglądały podobnie jak larwy ukryte w kokonach, zdawały się nietknięte rozkładem. Jedyną zmianą, jaką się zauważało, zdjąwszy z nich śmiertelne szaty, była ta, że przeobraziły się one w miękką masę czy jakąś substancję, której białość tym mocnej się rzucała w oczy, że miała za tło czarną trumnę".

Rozpoznawalne rysy

Saponifikacja jest zjawiskiem niezwykłym, ale nie należy do rzadkości, na przykład w waszyngtońskim Muzeum im. Smithsona znajduje się zsaponifikowane ciało żołnierza z okresu amerykańskiej wojny domowej. Wydaje się nawet prawdopodobne, że w części przypadków rzekomo nie naruszonych ciał w istocie doszło do przemiany w tłuszczowosk. Teorię tę potwierdza ekshumacja zmarłej w 1868 roku błogosławionej Marie de Sainte-Euphrasie Pelletier. Gdy trzydzieści pięć lat po jej śmierci otworzono ołowianą trumnę, rysy oblicza założycielki żeńskiego zakonu Dobrego Pasterza były dobrze rozpoznawalne. Lekarz obecny przy całej operacji zapisał: „Wargi były lekko rozchylone, powieki zamknięte, rzęsy zachowane w całości". Bez zdejmowania szat z ciała mógł „z łatwością stwierdzić, że klatkę piersiową, brzuch, uda i całe nogi pokrywała skóra przypominająca powłokę mumii. Pod nią znajdował się *gras de cadavre*, powstały w wyniku saponifikacji tkanek wewnętrznych".

Jednak fenomen nienaruszalności jest całkowicie niezależny od takich okoliczności jak stan ciała, warunki pochówku czy naturalny proces rozkładu. Z nie wyjaśnionych powodów jedno ciało nie poddaje się zepsuciu, podczas gdy inne w tym samym miejscu obraca się w proch.

Joan Cruz w ten oto sposób podsumowuje, jaką wartość mają tego rodzaju relikwie dla katolików: „Dla nas, którzy kochaliśmy i podziwialiśmy tych świętych, niezwykłą pociechę daje fakt, że nie odeszli od nas do wiecznego królestwa całkowicie. Ich powłoka cielesna, która wszak pewnego dnia również dostąpi chwały, nadal jest wśród nas".

Odosobnione wypadki

Jednak badacze podchodzący do tej sprawy obiektywnie nie mają takiej pewności, ponieważ znają wypadki o nie budzącej wątpliwości autentyczności, które zdarzają się poza kręgiem Kościoła katolickiego, w wielu innych kulturach świata. O jednym z nich, mającym postać typową dla kultury ludowej, doniesiono w „News of the World" z 8 maja 1977 roku. Chodziło o Nadję Mattei, która zmarła w Rzymie w 1965 roku w wieku dwóch lat. Jej matka twierdziła, że przez dwanaście lat zmarła córeczka przychodziła do niej we śnie z błaganiem, by ją wyjąć z trumny. Na początku 1977 roku lokalne władze wyraziły zgodę na ekshumację; ciało dziecka znaleziono w idealnym stanie, nie tknięte rozkładem.

Podobieństwa występujące w tych relacjach, wskazują na pewnego rodzaju archetypiczne rysy, które wykraczają poza zwykłą rzeczywistość. Pytania, które w związku z tym się nasuwają, dotykają najgłębszej istoty natury naszej cielesnej i duchowej egzystencji, a nawet natury samej rzeczywistości.

Inny przypadek, nie związany z Kościołem katolickim, wydarzył się w końcu lat osiemdziesiątych naszego wieku w starożytnym mieście Kano w północnej Nigerii. Wezwano tam wojska rządowe, by położyły kres zamieszkom wywołanym przez islamskich heretyków dowodzonych przez samozwańczego proroka Muhammadu Marwę (który był znany również pod imieniem Maitatsine). Marwa założył swoją siedzibę w Kano w latach sześćdziesiątych i od tamtego czasu zdobył podobno 10 tysięcy wyznawców. W grudniu 1980 roku napięcie między sektą a ortodoksyjnymi muzułmanami sięgnęło zenitu; doszło do starć, w których zginęło osiem tysięcy ludzi, w tej liczbie również sam Marwa.

Przywódcę sekty zrazu pochowano wprost w ziemi, w płytkim grobie, jednak po trzech tygodniach, na polecenie gubernatora, ciało ekshumowano i umieszczono w miejskiej kostnicy na warstwie lodu. Wśród ludności Kano rychło rozeszła się wieść, że ciało Marwy w cudowny sposób zachowało się nietknięte.

POWRÓT DO ŻYCIA

Mała ciężko chora dziewczynka przez kwadrans nie wykazywała oznak życia. Później opowiadała, że znalazła się w nowym świecie, wśród gwiazd, spotkała dawno zmarłych krewnych i rozmawiała z Bogiem. Tę zdumiewającą historię relacjonuje jej ojciec.

Późną jesienią 1968 roku Durdana, młodsza z moich dwóch córek, wówczas dwuipółletnia, „zmarła" na piętnaście minut. Od kilku miesięcy chorowała, a jej stan wciąż się pogarszał. Doszło nawet do tego, że pojawiły się pierwsze oznaki paraliżu, miewała także silne wymioty i okresowo traciła wzrok. W owym czasie pracowałem jako lekarz wojskowy i stacjonowałem z niewielką jednostką wysoko u stóp Himalajów. Umieściliśmy córkę w oddalonym o kilka mil szpitalu wojskowym, by wykonać badania, ale ich wyniki nic nie wyjaśniły. Powstało przypuszczenie, że mogą to być pochorobowe objawy wirusowego zapalenia opon mózgowych, które nieco wcześniej zebrało w okolicy śmiertelne żniwa wśród dzieci.

Pewnego ranka pracowałem w swoim gabinecie, gdy przybiegł ordynans z wiadomością, że wzywa mnie żona — coś złego działo się z Durdaną.

Mieszkaliśmy w obrębie jednostki, w obszernym domu, do którego przylegał mój gabinet lekarski. Ostatnia noc była dla dziecka bardzo ciężka, toteż obawiając się najgorszego pospieszyłem do domu. Moja żona stała w ogrodzie obok łóżeczka małej. Dokonałem pospiesznego badania — dziecko nie wykazywało już żadnych oznak życia. „Odeszła" — powiedziałem. Żona, z wyrazem niemal ulgi na twarzy, jako że Durdana bardzo cierpiała, delikatnie wyjęła niewielkie miękkie zawiniątko z łóżeczka i zaniosła je do domu. Regulamin wojskowy zobowiązuje w takich sytuacjach do podjęcia prób ratowania życia; jeden z moich podwładnych pobiegł po niezbędny sprzęt.

Żona zaniosła dziecko do sypialni i położyła je na moim łóżku. Po ponownym badaniu podjąłem zabiegi reanimacyjne; uczyniłem to bez przekonania, gdyż zdawałem sobie sprawę, że jest raczej nieprawdopodobne, by przyniosły jakiś skutek. Jednak w czasie tych czynności usłyszałem siebie, jak półszeptem i na poły nieświadomie powtarzam: „Wróć do nas, dziecko, wróć!"

W ostatnim odruchu żona wlała jeszcze do ust dziecka kilka kropel nikethamidu, leku pobudzającego pracę serca, który podawaliśmy Durdanie również ostatniej nocy. Cienką strużką spłynęły z nieruchomych warg i potoczyły się po policzku. Patrzyliśmy na to przejęci smutkiem i nagle, ku naszemu bezmiernemu zdumieniu, dziecko otworzyło oczy i wykrzywiając buzię z powagą rzekło, że lekarstwo było gorzkie. Ponownie zamknęła powieki. Prędko zacząłem ją badać i gdy na nią patrzyłem, zaczęły powracać oznaki życia, zrazu bardzo słabe.

Kilka dni po tym wydarzeniu, gdy Durdana już nieco doszła do siebie po swojej „śmierci", żona zaś otrząsnęła się z szoku, obydwie przebywały w ogrodzie. — Gdzie moja mała dziewczynka podziewała się wtedy, kilka dni temu? — zapytała moja żona. — Daleko, bardzo daleko, aż wśród gwiazd — padła nieoczekiwana odpowiedź. Trzeba tu dodać, że Durdana była już rozgarniętym i płynnie mówiącym dzieckiem; cokolwiek powiedziała, trzeba było traktować to poważnie, w przeciwnym razie sprawiało się jej przykrość.

— Naprawdę? — wykrzyknęła żona — i co moje kochanie tam widziało?

— Ogrody — odrzekła Durdana.

— Co widziałaś w tych ogrodach?

— Jabłka, winogrona i granaty.

— I co jeszcze?

— Były tam strumienie, biały, brązowy, niebieski i zielony.

— Czy spotkałaś tam jakichś ludzi?

— Tak, był tam mój dziadek i jego mama, i jeszcze pani, która wyglądała tak samo jak ty.

Moja żona była niezmiernie zaintrygowana.

— A co ci powiedzieli?

— Dziadek powiedział, że się cieszy z mojej wizyty, a jego mama wzięła mnie na kolana i pocałowała.

— Co się stało później?

— Później usłyszałam, jak woła mnie tato: „wróć do nas, dziecko, wróć". Powiedziałam dziadkowi, że tata mnie wołał i muszę wracać. On na to, że powinniśmy zapytać Boga. Więc poszliśmy do Boga i dziadek powiedział mu, że chcę wracać. Czy chcesz wracać? — zapytał mnie Bóg. Tak, odrzekłam, muszę wracać. Mój tatuś mnie woła. Dobrze — Bóg na to — wracaj. Szłam w dół, cały czas w dół z gwiazd prosto do łóżka taty.

To jasne, że opowieść wydała się nam bardzo interesująca. Durdana rzeczywiście „przyszła" do mojego łóżka — a było to dla niej niezwykłe miejsce, ponieważ dzieci spały i bawiły się w swoich własnych łóżkach albo w łóżku matki, nigdy zaś w moim. Kiedy Durdana odzyskała świadomość, była w takim stanie, że nie mogła wiedzieć, gdzie się znajduje. Jednak moją żonę bardziej zaciekawiła rozmowa Durdany z Wszechmocnym.

— Jaki był Bóg? — zapytała.

— Niebieski — padła zadziwiająca odpowiedź.

— Ale jak on wyglądał?

— Niebiesko.

Próbowaliśmy wtedy i później na wiele sposobów skłonić dziecko, by nam nieco bardziej szczegółowo opisało Boga, jednak Durdana powtarzała tylko, że był niebieski.

Spotkanie w gwiazdach

Niedługo potem pojechaliśmy z Durdaną do Karaczi na leczenie do kliniki neurochirurgicznej przy Jinnah Post-Graduate Medical Centre. Po skomplikowanej operacji czaszki Durdana zaczęła powoli wracać do zdrowia. Powróciłem do jednostki, żona zaś została wraz z małą rekonwalescentką w Karaczi. Podczas wizyty u jednego z moich wujów, gdy wszyscy siedzieli rozmawiając przy herbacie, nasza córeczka zaczęła wędrować po pokoju trzymając się mebli, jako że bardzo osłabiona po chorobie nie mogła jeszcze nawet stać o własnych siłach. Nagle wykrzyknęła „Mamo, mamo!" Żona podbiegła do niej. „Mamo — podekscytowana Durdana wskazywała starą fotografię stojącą na stoliku — to jest mama mojego dziadka. Spotkałam ją w gwiazdach. Wzięła mnie na kolana i pocałowała".

Durdana nie myliła się. Z tym, że moja babka zmarła na długo przed jej przyjściem na świat; zachowały się jedynie dwie fotografie babki i obydwie należały do mojego wuja. Nasza córeczka wówczas pierwszy raz w życiu była w jego domu, wykluczona jest zatem możliwość, by wcześniej widziała te zdjęcia.

Później, gdy zamieszkaliśmy w Londynie, historia Durdany wzbudziła zainteresowanie mediów. Stacja telewizyjna BBC wykorzystała jej historię w programie *Everyman* poświęconym ludziom, którzy mieli doświadczenia na progu śmierci. Nim rozpoczęto kręcenie filmu, producentka Angela

Tilby złożyła nam wizytę w domu. Podziwiała malunki Durdany rozwieszone na ścianach. Durdana zdradzała już talent artystyczny, malowała pejzaże, za które otrzymała wiele nagród i wyróżnień. Pani Tilby zasugerowała, że powinna spróbować namalować to, co widziała przebywając w gwiazdach.

Później córka wystąpiła w programie BBC *Pebble Mill at One*, pokazano też wówczas jej obrazy przedstawiające gwiazdy, które dały zresztą impuls dość ożywionej dyskusji. Nazajutrz po emisji telewizyjnej programu zatelefonowała do mnie niejaka pani Goldsmith. Należała ona do grona moich pacjentów, była niezmiernie inteligentną i oczytaną kobietą o niemiecko-żydowskim pochodzeniu. Widziała Durdanę w telewizji i pragnęła spotkać się z nią osobiście, a także jeszcze raz przyjrzeć się jej obrazom. Okazało się bowiem, że przeżyła doświadczenie bardzo podobne do tego, które miała nasza córka. „Gdy zobaczyłam ten obraz na ekranie telewizora, z wrażenia aż się zerwałam na równe nogi" — powiedziała. Była bowiem niemal pewna, że ona również odwiedziła takie, jak te namalowane przez Durdanę, ogrody.

Niebiańskie ogrody

Słuchając jej, widziałem, że była bardzo poruszona. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że próbowała nam powiedzieć nie to, że spacerowała gdzieś po podobnym ogrodzie, ale że znalazła się dokładnie w tym samym miejscu, które Durdana chciała przedstawić na obrazach.

Jak się wydawało, znała to miejsce znacznie dokładniej niż moja córka; widocznie zbyt wcześnie ją stamtąd wywołałem! Pani Goldsmith rozpoznała wszystko, co przedstawiał obraz Durdany, a także opowiedziała o rzeczach, których na nim nie było. Rozmawiały o tym, co znajdowało się wokół namalowanego przez nią zakola strumienia oraz o położeniu innych strumieni, o których córka opowiedziała kiedyś żonie.

Jakie uczucia towarzyszyły Durdanie podczas jej niezwykłego doświadczenia? Uderzająco podobne do uczuć opisywanych przez moją pacjentkę oraz wielu innych ludzi, którzy znaleźli się w bliskości śmierci. Była bardzo szczęśliwa wśród gwiazd i wróciła między żywych jedynie z poczucia obowiązku, ponieważ ją wołałem. Ogarnęło ją poczucie wolności, czuła, że nie istnieją dla niej ograniczenia przestrzeni, że w każdej chwili może znaleźć się, gdziekolwiek zapragnie. Nie istniało tam źródło światła, nie było więc i cieni. Wszystko było widzialne dzięki własnej wewnętrznej luminescencji. Nie słyszało się żadnych dźwięków, nie było zwierząt — przynajmniej ona ich tam nie widziała. Przedmioty z pozoru materialne były w istocie ich eterycznymi wizerunkami, zdawały się nie zawierać żadnej substancji ani nie mieć ciężaru.

Przedstawiłem tu historię Durdany w sposób najprostszy z możliwych. Czy coś z niej wynika? Gdzie znajduje się to miejsce, w którym moja córka spędziła kwadrans, gdy zapadła w „śmierć"? Durdana wierzy, że jej doświadczenia w jakiś sposób są refleksem jej własnych oczekiwań. Podrósłszy mówiła bowiem: „Gdybym była Marsjanką, być może cel mojej podróży przypominałby Marsa. Być może wtedy Bóg objawiłby mi się w czerwieni". Jednak jej doświadczenie musi być czymś więcej, niż tylko nadaniem plastycznej formy własnym wyobrażeniom, ponieważ pani Goldsmith również rozpoznała w jej obrazach znane sobie miejsca.

Pytania te pozostają bez odpowiedzi. Zrodziły się z relacji o doświadczeniu, które zostało dane pewnej małej dziewczynce — doświadczeniu dziwnym, zmuszającym do myślenia i wzbudzającym znacznie żywsze uczucia niż tylko zaciekawienie.

Na indonezyjskiej wyspie Sulawesi (oficjalnie Celebes), w Torai, zgromadzono w grocie figury przodków, by czuwały nad wegetacją roślin. Mieszkańcy wyspy wierzą, że duchy ich przodków dalej żyją i zapewniają im obfite plony.

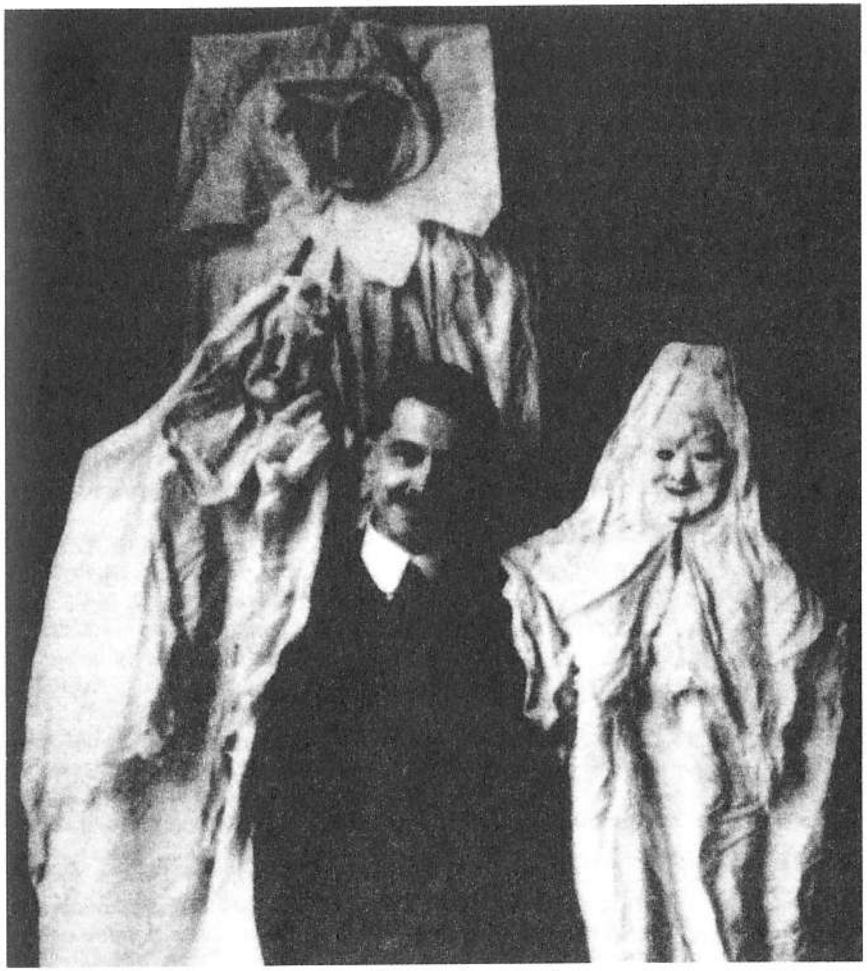

Pisarz i demaskator oszustów William Marriott w otoczeniu rekwizytów wykorzystywanych przez fałszywe media jako zmaterializowane duchy. W normalnym świetle, bez tajemniczej atmosfery seansu spirytystycznego, maski odziane w prześcieradła wyglądają jak rekwizyty z amatorskiego teatrzyku. A jednak widocznymi u góry kukłami oszukano wielu świadków, o czym można przeczytać na s. 191.

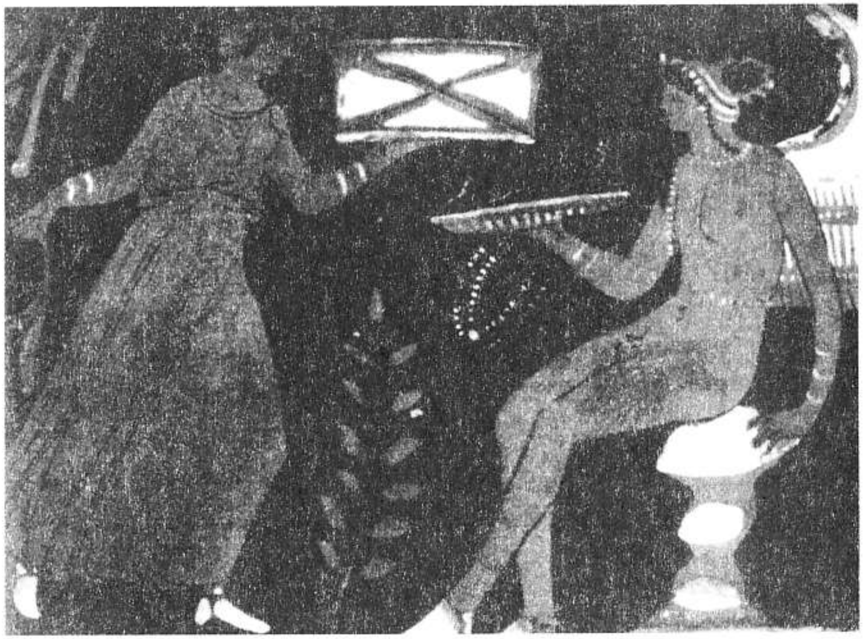

Pluton, przedstawiony po prawej stronie na rysunku zdobiącym wazę, był władcą podziemnego królestwa Hadesu. Jego małżonka, Persefona, stoi po lewej stronie. Wedle greckich wierzeń dusze zmarłych schodziły do Hadesu, krainy wiecznego cienia i smutku, która jednak nie była miejscem sądu ani kary.

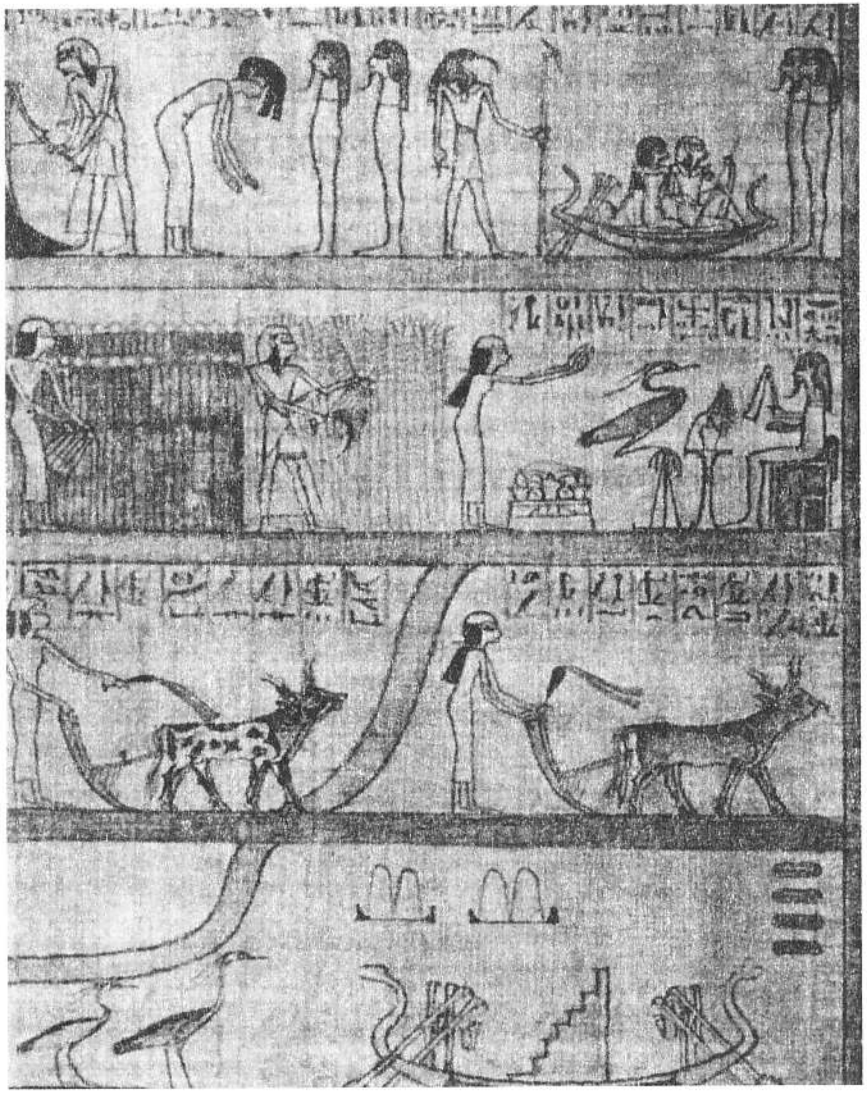

Starożytni Egipcjanie wierzyli, że życie pozagrobowe jest bardzo podobne do życia ziemskiego, tyle że znacznie szczęśliwsze. Ilustracja przedstawia wyobrażenie doskonalszej egzystencji w zaświatach.

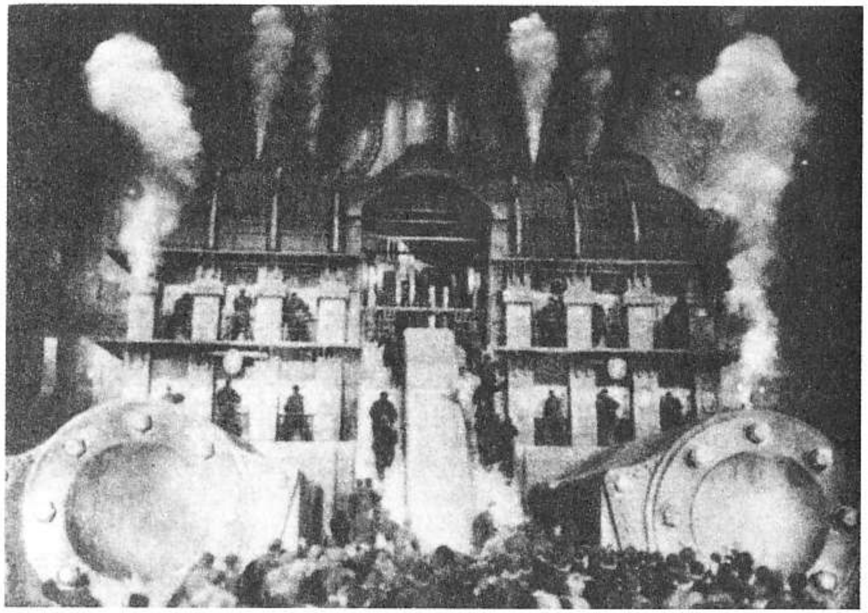

Niewielu ludzi spogląda w przyszłość ze spokojem. Filmy, takie jak zrealizowany w roku 1927 *Metropolis*, przestawiały wizje bezdusznej przyszłości, w której indywidualność człowieka została okrutnie stłumiona. Podobnie podczas hipnozy wizje przyszłych wypadków często zdają się udramatyzowaną formą naszych najgłębszych lęków i niepokojów.

Makabryczna wystawa zwłok członków miejscowego zakonu kapucynów na ścianach katakumb w Palermo na Sycylii. Zazwyczaj ciała zostawione na wolnym powietrzu ulegają rozkładowi mniej więcej osiem razy prędzej niż ciała pogrzebane w ziemi. Jednak powietrze sycylijskich katakumb ma specyficzne właściwości. Sprawia ono, że ciała zasuszają się i przekształcają w naturalne mumie.

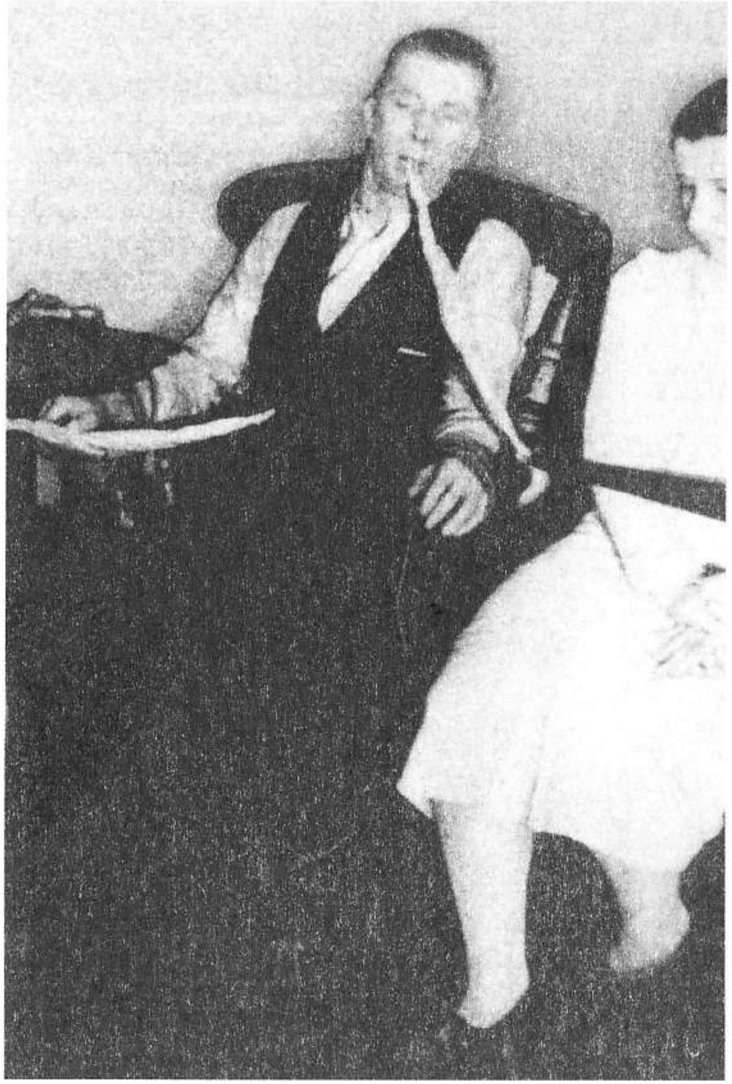

Walijski górnik, Jack Webber, na seansach produkował tajemniczą substancję zwaną ektoplazmą. Podobno potrafił również sprawić, że powstawały ektoplazmiczne „skrzynki głosowe", przez które przemawiały duchy. O tym zjawisku piszemy na s. 231.

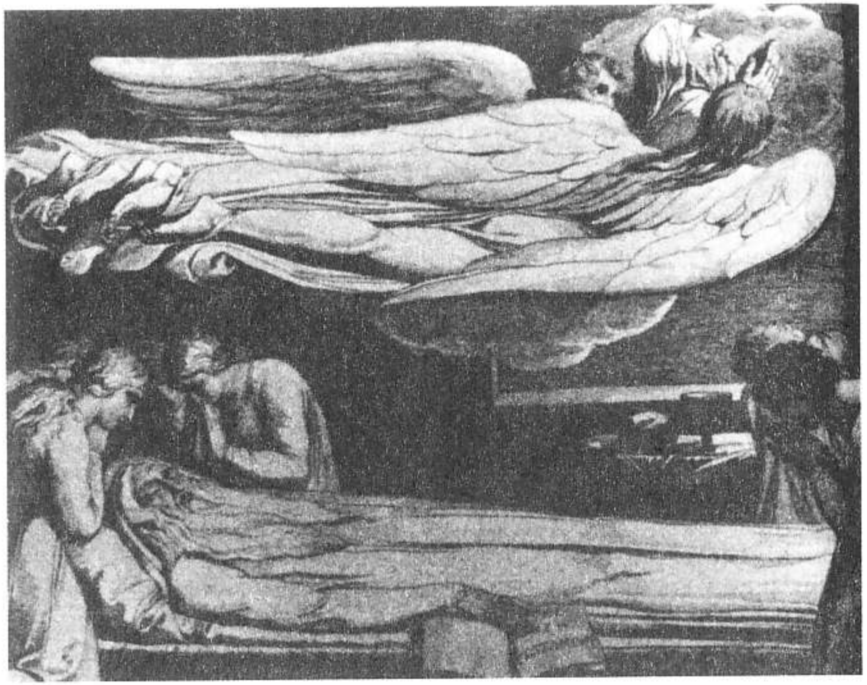

Rysunek Williama Blake'a przedstawia, jak prowadzona przez anioły dusza z radością i ufnością opuszcza swoje ziemskie ciało. Ludziom bliskim śmierci często ukazują się istoty — zazwyczaj wcześniej zmarli krewni albo przyjaciele — których zadaniem jest przeprowadzić umierającego na następny poziom bytu. O doświadczeniach na progu śmierci piszemy na s. 246.

Podczas seansu Isy Northage na dwadzieścia minut pokazał się w pełnym świetle Chedioack, jeden z jej zaświatowych pomocników. Uczestnik seansu, niejaki Ives, skorzystał z okazji i wykonał jego portret rysunkowy (*u góry*). Nadzwyczajne umiejętności medialne Isy Northage opisujemy na s. 226.

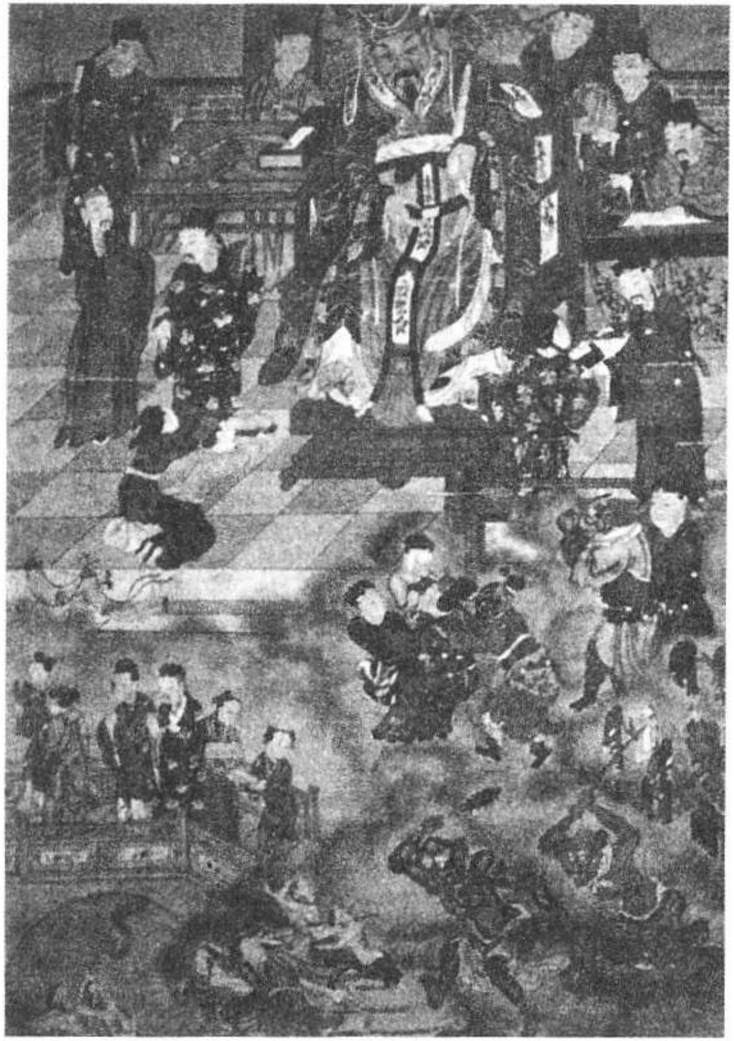

Starożytne malowidło chińskie przedstawia „siódme piekło". Wedle legendy jest to miejsce, gdzie trafiają dusze potępionych. Ścigają je tam okrutne psy, a przerażające diabły wymachując maczugami zaganiają je do rzeki śmierci.

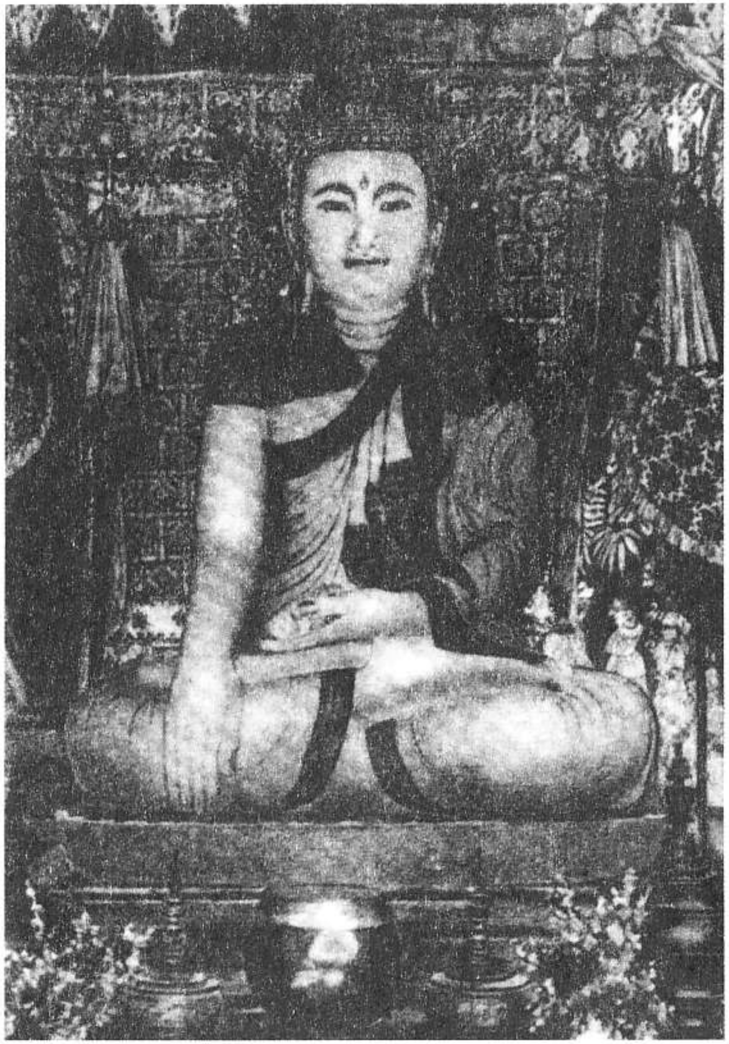

Budda, siedzący w klasycznej pozycji lotosu, sprzyjającej medytacji i oświeceniu, nauczał, że ostatecznym celem wszelkich ludzkich działań jest ucieczka z łańcucha reinkarnacji.

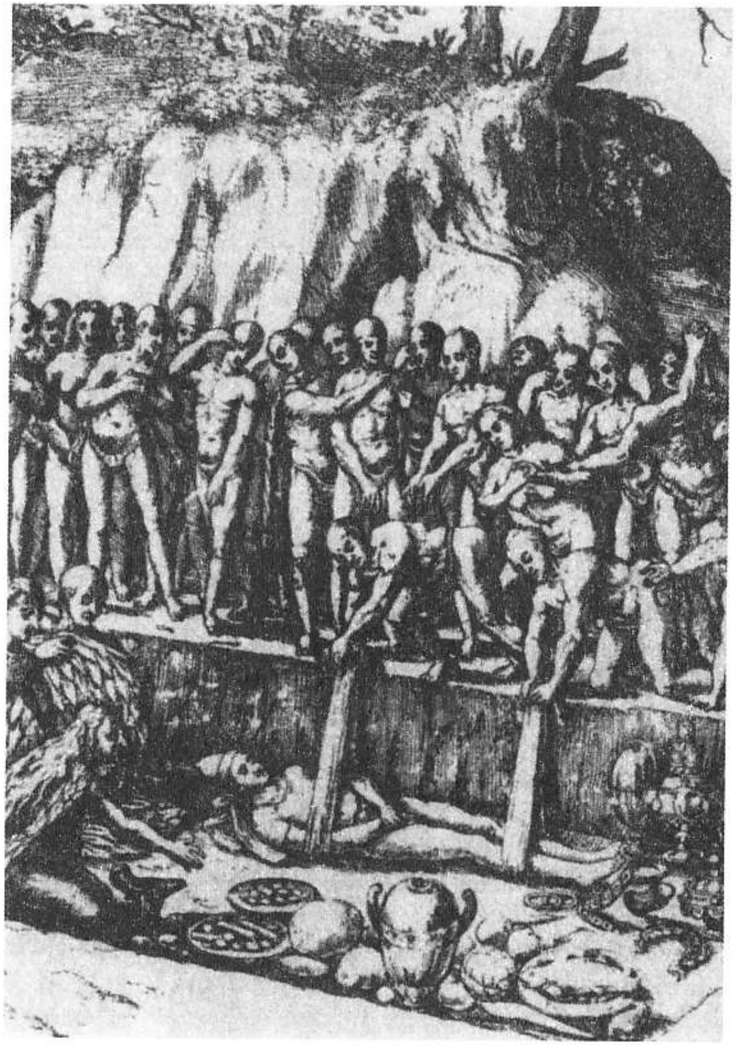

Na ilustracji widać peruwiańskich Inków składających do grobu swojego wodza i przygotowujących go do życia po śmierci. Podobnie jak wiele innych ludów pogańskich, również oni wyposażali groby dostojników w drogocenne przedmioty, jedzenie oraz broń, których będą potrzebować w zaświatach.

CHIRURG Z INNEGO ŚWIATA

Paranormalne zdolności Isy Northage ujawniły się w wyniku osobistej tragedii. Zaczęła od jasnowidzenia, kulminacją zaś jej działań były materializacje dawno zmarłego chirurga, który przeprowadzał operacje na ludziach.

W 1916 roku pewna młoda kobieta, Isa Philips, znajdowała się w ferworze przygotowań do ślubu i wesela, gdy nagle nawiedziła ją wyraźna i przerażająca wizja. Ujrzała swojego przyszłego męża, Kita, który odbywał właśnie służbę wojskową na froncie wojennym, jak rażony kulą spada z konia. Kilka dni później otrzymała wiadomość o jego śmierci.

Przyjaciel Kita przyniósł do domu Isy osobiste rzeczy jej narzeczonego i opowiedział jej, jak zginął. Jego sprawozdanie w każdym szczególe zgadzało się z nadzmysłową wizją Isy. Dziewczyna widziała wtedy również tego człowieka, Jacka Northage'a, który w owej tragicznej chwili przyszedł Kitowi z pomocą i miał też, jak się później okazało, odegrać ważną rolę w życiu Isy. Połączyła ich bliska przyjaźń, w 1919 roku zaś się pobrali.

Wkrótce po pierwszej demonstracji jej zdolności paranormalnych przyszły następne; zawsze wtedy, gdy Isa znajdowała się w niebezpieczeństwie, słyszała męski głos, który niczym duch opiekuńczy przeprowadzał ją przez trudności. Zaczęła również rozwijać umiejętności jasnowidzenia.

Po wojnie założyła niewielki zespół muzyczny, który przez pewien czas świetnie prosperował. Wówczas, gdy występowała w zespole, zaczęła „widzieć" twarze i całe postacie ludzkie stojące przed estradą. Owe „duchy" dawały jej znaki, że pragną z nią mówić i prosić o zagranie melodii, które miały specjalne znaczenie dla ich żyjących bliskich.

W końcu Isa porzuciła karierę muzyczną i poświęciła się przekazywaniu ludziom komunikatów z zaświatów; czyniła to na spotkaniach publicznych i w kościołach spirytualistycznych. W początkowym okresie swojej kariery, pod koniec lat trzydziestych, Isa była znana jako „medium z koncertyną", jako że w czasie seansów często odbierała drogą nadzmysłową melodię czy piosenkę, które od razu odgrywała na swojej koncertynie, opisując równocześnie ukazującego się jej w jasnowidzeniu ducha. Często potrafiła podać imię, a nawet szczegóły dotyczące zmarłej osoby, pogrążonym w żałobie krewnym i przyjaciołom przekazywała również od nich podnoszące na duchu wiadomości.

W ówczesnym społeczeństwie istniało ogromne zapotrzebowanie na medialne umiejętności Isy Northage, zwłaszcza gdy okazało się, że w jej możliwościach leży także wywoływanie zjawisk fizycznych. Pierwszy publiczny pokaz tego rodzaju odbył się w kwietniu 1937 roku, w jasno oświetlonej sali w Matlock, w Derbyshire. Podczas gdy Isa przemawiała do publiczności, kwiaty stojące w wazonie obok niej zaczęły się powoli same unosić i wkrótce kołysały się w powietrzu nad głowami zgromadzonych. Następnie, jakby na bis, uniósł się również stół z pustym już wazonem. Isa później zwierzyła się, że ją samą ów fenomen również zadziwił.

W pierwszym okresie działalności jako medium Isa wykorzystywała lekką aluminiową trąbkę z krawędzią wylotu obwiedzioną szerokim świecącym paskiem, dzięki czemu trąbka była widoczna w ciemności. Służyła ona jako megafon do wzmacniania głosów duchów. Isie asystowały trzy główne duchy. Pierwszym z nich był Chedioack pochodzący z Afryki Zachodniej, znany uczestnikom seansów jako Sambo. Zmarł on wskutek ataku gorączki w wieku dziewiętnastu lat i sam się wyznaczył na duchowego strażnika Isy, gdy ta pogrążała się w transie. Z kolei Ellen Dawes, Angielka, która zmarła w tym samym wieku co Sambo, pełniła funkcję pomocnicy, a także często komunikowała się ze swoją matką. Trzecim wreszcie członkiem zaświatowej trupy był doktor Reynolds, który 150 lat wcześniej zajmował się medycyną. To właśnie jego głos wyprowadzał Isę z niebezpieczeństw u zarania jej działalności mediumicznej.

Pocałunki z zaświatów

W lipcu 1939 roku spirytystyczny tygodnik „Two Worlds" zamieścił relację z jednego ze spotkań odbywających się w domu pani Northage, kiedy to zmaterializowana papuga fruwała w ciemnym pokoju i nawet przysiadła na czyimś ramieniu. Przez trąbkę przemawiały rozpoznawane przez zgromadzonych głosy, doszło także do materializacji pełnej postaci — była to żona jednego z uczestników seansu. Widziano i słyszano ją wyraźnie; nim powróciła do zasłoniętego pomieszczenia, mąż złożył na jej czole pocałunek.

W miarę umacniania się zdolności mediumicznych Isy, na każdym seansie pojawiało się coraz więcej niezwykłych zjawisk, materializacje zaś stawały się coraz bardziej przekonujące. Jeden z uczestników spotkania w Ashington w Northumbrii sporządził relację i ogłosił ją drukiem w 1941 roku. „Moja żona i córka — pisał — przybrały materialną postać, obie przemawiały do mnie, pocałowały mnie i utuliły. Z gabinetu przyniosły kwiat i podarowały mi go. Wówczas dołączył do nich jeszcze mój brat i odezwał się do nas przez trąbkę. Stwierdziłem, że niestety nie mamy skrzypiec — brat był utalentowanym skrzypkiem. Rzekł do mnie: „Przynieś jutro wieczorem skrzypce, zagram dla ciebie". Pożyczyłem instrument i następnego wieczoru brat wziął instrument i poprosił, byśmy przy jego akompaniamencie zaśpiewali *Auld Lang Syre*.

Bardziej szczegółowy opis warunków, w jakich Isa prowadziła seanse, dał w sierpniu tego samego roku G. W. Marshall, dziennikarz „Grimsby Advertiser". W jednym z pokojów jej prywatnego domu oddzielono od reszty wnętrza jeden kąt, zasłaniając go cienką kurtyną. Uczestnicy seansu zasiadali w kole, po czym gaszono światła. Wtedy wchodziło do pokoju medium i oświetlając sobie drogę słabym czerwonym światełkiem, kierowało się do gabinetu. Gdy dotarło do swojego miejsca, również to światełko gaszono.

Dziennikarzowi pozwolono rozejrzeć się po całym pokoju, zarówno przed, jak po seansie, który trwał dwie godziny i trzy kwadranse i w czasie którego dokonała się materializacja oraz przemawiały bezpośrednie głosy. „Jestem pewien, że do końca życia nie zapomnę tego doświadczenia" — napisał Marshall.

Innym uczestnikiem owego seansu był A. F. Cutforth, wiceprzewodniczący Spirytualistycznego Kościoła Louth. Stwierdził on, że zmaterializowane postacie, wyszedłszy z zasłoniętego pomieszczenia, przechadzały się wśród publiczności, po czym „większość z nich dematerializowała się na naszych oczach znikając nad podłogą; często przemawiały one nawet wtedy, gdy były zaledwie cal albo dwa nad ziemią". Ponadto lewitowały dwie trąbki.

Ożywiona ektoplazma

W kwietniu 1941 roku na seansie w Skegness pewnej matce ukazał się zmarły syn żeglarz; wyłonił się on z czegoś, co opisano jako „pulsującą masę ektoplazmy". Duch podobno szeroko się uśmiechał i sprawiał

wrażenie żywej osoby, przeprowadził długą ożywioną rozmowę ze swoimi braćmi, siostrą, babką i rodzicami. W sprawozdaniu czytamy: „Następnie stanął pośrodku koła i zaczął się rozpływać w powietrzu. Nie odszedł do gabinetu, jak inne duchy, ale po prostu znikał wprost na naszych oczach".

Po 1941 roku kariera Isy weszła w nową fazę, jej przewodnik bowiem, doktor Reynolds rzekł jej, by zaniechała wystąpień publicznych i skoncentrowała się na uzdrawianiu. W rezultacie Isa opodal swojego domu w Pinewoods w Nottinghamshire urządziła specjalny pokój do przeprowadzania seansów, klinikę oraz salę operacyjną. Owa sala była przeznaczona dla lekarzy z zaświatów, takich jak doktor Reynolds, by mogli w niej dokonywać swoich „paranormalnych operacji".

21 maja 1949 roku świadkiem takiej operacji chirurgicznej był redaktor „Two Worlds", Ernest Thompson. W drewnianym budynku w ogrodzie Isy zgromadziło się, licząc wraz z nią, osiem osób. Zamknięto drzwi, zgaszono światło i rozpoczęto seans. Isa znajdowała się w swoim gabinecie, pogrążona w transie. Wkrótce rozległy się dźwięki trąbki i do obecnych odezwała się duchowa pomocnica medium, Ellen Dawes. Następnie zmaterializował się doktor Reynolds, którego ciemna sylwetka rysowała się na tle czerwonej poświaty bijącej od lampki stającej na stoliku na kółkach. Na stoliku tym leżały kleszcze, elektryczne latarki: dwie czerwone i jedna biała, oraz dwie świecące płytki.

Udana operacja

Doktor Reynolds włączył latarkę i snop światła skierował na stół operacyjny, na którym leżał już pacjent, cierpiący z powodu ostrego wrzodu dwunastnicy. Dwóch z obecnych nie miało ochronnej maseczki na twarzy i doktor zwrócił się do nich z prośbą, by zakryli twarze, nim rozpocznie się operacja. Położył na brzuchu pacjenta bawełniane waciki zapewniając go, że nie sprawi mu bólu. Nie zastosowano żadnego środka znieczulającego.

Następnie wyjaśnił, że zamierza „zamrozić" część ciała, która będzie operowana, po czym z boku włoży swoją specjalnie w tym celu zdematerializowaną rękę do ciała pacjenta i usunie wrzód. Jego dłonie wniknęły w bok chorego, któremu jednocześnie zadał pytanie, czy odczuwa jakiś ból. Ten wyraźnie zaprzeczył. Nagle rozległy się odgłosy przypominające bulgot i doktor oznajmił, że „wrzód jest w bardzo złym stanie, zapewne nie uda się go wyjąć w całości, a nadto istnieje niebezpieczeństwo krwotoku". Wszystkie trudności jednak pokonano i fragmenty wrzodu zostały wydobyte na zewnątrz przez coś, co doktor opisał jako chwilowy otwór w brzuchu, i ułożone na wacikach leżących na ciele pacjenta.

Po zakończeniu seansu Thompson zebrał z tamponów fragmenty ludzkiej tkanki i umieścił je w butelce z płynem fizjologicznym. Kilka dni później oddał je do analizy medycznej, której wynik brzmiał: „Jest to ostry wrzód dwunastnicy, który obejmuje gruczoły Brunnera. Z jego stanu można wnosić, że wkrótce przeniknąłby do jelita, czego skutki byłyby jak najgorsze".

O historiach podobnych do tej można było czytać artykuły w prasie poświęconej zjawiskom paranormalnym przez całą dekadę lat pięćdziesiątych. Jednak Isa Northage, uległszy wypadkowi samochodowemu, przestała dokonywać materializacji i paranormalne operacje ustały. Mimo to nadal niosła pomoc chorym.

W sierpniu 1967 roku w szkockiej gazecie „Sunday Express" opisano wizytę w Pinewoods pewnego kierowcy autobusowego cierpiącego z powodu wrzodu żołądka. Na oczach zdumionych świadków Isa, masując jego brzuch, który „otworzył się jak róża", wyjęła zeń w dwóch częściach wrzód. Pacjent opowiadał dziennikarzowi: „przed operacją, cokolwiek bym nie zjadł, prawie zawsze wywoływało to ból. W godzinę po operacji mogłem uraczyć się posiłkiem złożonym z pięciu dań. Od tego czasu żołądek ani razu mi nie dokuczał".

GŁOSY Z ZAŚWIATÓW

Podobno głos chińskiego filozofa Konfucjusza, przemawiającego w języku starochińskim, słyszano jeszcze ponad 2000 lat po jego śmierci. Czy kryło się za tym coś więcej niż brzuchomówcza sztuczka? Czy cokolwiek przemawia za prawdziwością zjawiska „bezpośredniego głosu"?

Gdyby John Campbell Sloan wykorzystywał swoje umiejętności medialne do zarabiania pieniędzy, zbiłby zapewne nielichy majątek. W jego obecności bowiem zmarli podobno przemawiali swoimi własnymi głosami i toczyli długie rozmowy z żyjącymi krewnymi i przyjaciółmi. Jednak Sloan, nie mający prawie żadnego wykształcenia Szkot o pogodnym usposobieniu, postanowił nie wykorzystywać swoich nadnaturalnych talentów zawodowo. W ciągu pięćdziesięciu lat dawania seansów nie wziął za to od nikogo grosza, natomiast pracował zarobkowo jako krawiec, urzędnik pocztowy, pakowacz, garażowy, gazeciarz.

Wiele z zadziwiających seansów Sloana, na których rozlegały się głosy z zaświatów, zostało opisanych przez zajmującego się spirytyzmem autora, J. Arthura Findlaya w bestsellerowej książce *On the Edge of the Etheric* [Na skraju eteryczności]. Findley zrelacjonował w niej między innymi pierwszy seans, w którym brał udział 20 września 1918 roku. Odbył się on, jak to się zazwyczaj zdarza, kiedy dają się słyszeć bezpośrednie głosy, w ciemnym pokoju.

„Nagle przede mną rozległ się głos. Ogarnął mnie lęk. Mężczyzna siedzący obok mnie rzekł: „Przyjacielu, ktoś chce z tobą mówić". Odrzekłem: „Dobrze, kim jesteś?", na co głos odpowiedział: „Twoim ojcem, Robertem Downie Findlayem", po czym zaczął mówić o sprawie, którą znał tylko on, ja sam i jeszcze jeden człowiek, który, podobnie jak mój ojciec, zmarł kilka lat wcześniej. Byłem zatem jedyną żyjącą osobą, która wiedziała, o czym ten głos mówił".

„Było to samo w sobie nadzwyczajne — pisał dalej — ale jakże wielkie stało się moje zdziwienie, gdy po moim ojcu odezwał się inny głos. Przedstawił się jako David Kidston; był to ów drugi człowiek, któremu cała rzecz była znana. Poprowadził dalej rozpoczętą przez mojego ojca rozmowę".

W jaki sposób sceptycy tłumaczą tego rodzaju zdarzenia? Odpowiadają, że być może medium miało zdolności brzuchomówcze i przypadek sprawił, że natknęło się na informacje, o których zainteresowany sądził, że są jego tajemnicą. Jednak Findlay stanowczo odrzucił taką ewentualność.

„Nie mógł to być efekt działań żadnej, obojętne jak głęboko sięgającej, siatki wywiadowców ani tym bardziej podszywania się medium czy jego wspólników pod zmarłe osoby. Co więcej, byłem wówczas dla wszystkich zgromadzonych na owym seansie całkiem obcą osobą. Wchodząc do pokoju, nie przedstawiłem się, nie znałem nikogo z obecnych, nikt mnie nie znał i niczego o mnie nie wiedział".

Niekiedy Sloanowi udawało się wywołać dwa albo trzy głosy duchów równocześnie. Czasem na początku seansu pogrążał się w transie, kiedy indziej jednak pozostawał cały czas świadomy i prowadził konwersacje z rozmówcami w zaświatach".

Innym utalentowanym medium wywołującym bezpośrednie głosy była Etta Wriedt z Detroit w stanie Michigan. Nigdy nie wchodziła w trans ani nie odgradzała się od publiczności zgromadzonej na seansie, nie korzystała bowiem z gabinetu, jak czyniło wówczas wiele mediów. Przez cały czas pozostawała we wspólnym gronie i włączała się do rozmów toczących się między żywymi a umarłymi. Jednak kiedy w grę wchodził jakiś obcy język, pani Wriedt brała się za robótkę ręczną, znała bowiem tylko angielski.

Gdy w latach dwudziestych naszego wieku pani Wriedt występowała w Anglii, jednym z uczestników spotkań był wiceadmirał W. Usborne Moore; pisał o tym tak: „Często się zdarzało, że równocześnie w różnych punktach kręgu przemawiały dwa albo nawet trzy głosy. Wywoływało to pewien zamęt". O pewnym seansie tego samego medium w Ameryce donosił: „Słyszałem trzy głosy mówiące jednocześnie. Do każdego ucha dobiegał jeden głos, trzeci zaś dobywał się z trąbki. Niekiedy z instrumentu wypływały dwa głosy". Stwierdzał, że rozmowy były do tego stopnia realistyczne, że czasem zapominał, iż dyskutuje z tymi, którzy, jak sądzimy, odeszli z tego świata.

Inne świadectwo o talentach medialnych Etty Wriedt pochodzi od księżnej Dowager of Warwick, która była jedną z kochanek króla Edwarda VII. Księżna zaprosiła do siebie panią Wriedt, gdyż jej dom nękały dziwne i niewytłumaczalne zjawiska. Gdy Amerykanka przybyła do Warwick Castle, zaprowadzono ją do pokoju gościnnego, część jej bagaży zaś, wśród których znajdowała się trąbka używana podczas seansów, leżała na korytarzu przed drzwiami pokoju. Lady Warwick, czekając na swojego gościa, odważyła się podnieść trąbkę i przyłożyć ją do ucha. Natychmiast usłyszała charakterystyczny przemawiający do niej głos zmarłego przed kilkoma laty Edwarda VII. Okazało się nawet, że może podjąć z nim rozmowę, częściowo po niemiecku.

Od tej chwili król stał się duchem regularnie się zjawiającym w postaci bezpośredniego głosu na seansach w zamku. Okazał się rozmówcą do tego stopnia wylewnym, że inne duchy ledwo dochodziły, jeśli w ogóle, do głosu. Ostatecznie lady Warwick, w obliczu okazywanej zza grobu gwałtownej zaborczości swojego dawnego kochanka, postanowiła zakończyć seanse z udziałem pani Wriedt.

Poligloci z tamtego świata

George Valiantine, medium z Nowego Jorku, swoje mediumiczne talenty odkrył dopiero w wieku czterdziestu trzech lat, lecz prędko osiągnął na tym polu znakomite rezultaty, zwłaszcza w wywoływaniu bezpośrednich głosów. W 1924 roku angielski pisarz Dennis Bradley, sprowadził Valiantine'a do swojego ojczystego kraju, gdzie medium przez pięć tygodni dawało seanse niemal codziennie. Wśród publiczności znalazło się 50 wybitnych osobistości; podobno w czasie seansów przemawiało prawie sto różnych duchów. Na przykład powieściopisarz Caradoc Evans rozmawiał ze swoim ojcem w języku walijskim, inne zaś duchy konwersowały po rosyjsku, niemiecku i hiszpańsku.

Prawdopodobnie najbardziej zdumiewający komunikat z zaświatów pojawił się na seansie w Nowym Jorku pod koniec lat dwudziestych naszego wieku. Od pewnego czasu na seansach słyszano głosy posługujące się dziwnym i niezrozumiałym językiem, toteż zaproszono na spotkanie doktora Neville'a Whymanta, czołowego specjalistę w dziedzinie historii, filozofii oraz literatury dawnych Chin. Uczony rychło musiał porzucić swoje sceptyczne nastawienie. Najpierw usłyszał melodię wygrywaną na flecie w charakterystyczny dla Chińczyków sposób, później cichy, ledwo słyszalny głos wyrzekł słowo „K'ung-fu-Tzu", będące oryginalnym brzmieniem imienia wielkiego filozofa i nauczyciela z VI wieku przed naszą erą, Konfucjusza.

Bardzo niewielu ludzi poza Chińczykami, potrafi to słowo poprawnie wymówić. Mimo to jednak doktor Whymant nie od razu wierzył, że głos należał do starożytnego filozofa. Mógł to być ktoś, kto po prostu wypowiedział jego imię. Gdy jednak doktor Whymant nawiązał do fragmentu dzieł Konfucjusza, o którym sądził, że przy kopiowaniu ze starszych źródeł popełniono w nim błąd, i przytoczył pierwszy wers, wówczas od razu tamten głos wpadł mu w słowo i „dokończył recytację całości po chińsku, dokładnie tak jak to jest zapisane w najważniejszych dziełach źródłowych. Po przerwie trwającej 15 sekund, cytat został powtórzony, tym razem jednak z niewielkimi zmianami, które nadawały mu odmienne znaczenie".

Następnie, korzystając z kolejnej sposobności rozmawiania z głosem, Whymant oznajmił, iż w całym świecie jedynie sześciu nauczycieli chińskiego może wykazać się tak gruntowną znajomością języka chińskiego oraz dzieł Konfucjusza, a w owym czasie akurat żaden z nich nie przebywał w Ameryce. Doktor Whymant oświadczył także, że na jednym z seansów usłyszał pieśń sycylijską oraz dyskutował po włosku z innym bezcielesnym rozmówcą.

Dennis Bradley, który sprowadził Valiantine'a do Anglii, utrzymywał, że ów przekazał mu swoje paranormalne umiejętności. Pewien stały uczestnik seansów, włoski markiz Centurione Scotto, również odnalazł w sobie talenty mediumiczne tego rodzaju.

Utalentowany górnik

Jednym z najpotężniejszych w Wielkiej Brytanii mediów wywołujących bezpośrednie głosy był walijski górnik, Jack Webber, który swoje coraz doskonalsze w tym względzie umiejętności prezentował na cotygodniowych seansach organizowanych przez rodzinę swojej żony. Postanowił nie korzystać z gabinetu, gdyż dobrze wiedział, że to wzbudzi wśród publiczności podejrzenia. Zarządził natomiast, by przywiązywano go do krzesła i co pewien czas oświetlano czerwonym światłem, by obecni mogli się na własne oczy przekonać, że przez cały seans siedzi unieruchomiony więzami. Niekiedy pozwalał również na robienie zdjęć w podczerwieni dokumentujących wywoływane przez niego zjawiska fizyczne, między innymi lewitacje, częściowe materializacje oraz trąbki, przez które przemawiały głosy duchów.

Jego paranormalne umiejętności opisał w swojej książce *The Mediumship of Jack Webber* [Mediumizm Jacka Webbera] sławny uzdrowiciel Harry Edwards. Relacjonuje zdarzenia z ostatnich czternastu miesięcy działalności Webbera, który zmarł nagle w grudniu 1939 roku. W tym okresie ponad 4 tysiące ludzi było świadkami wywołanych przez niego niezwykłych zjawisk.

Edwards słyszał duchy mężczyzn, kobiet i dzieci odzywające się na seansach przez trąbki Webbera; niektóre mówiły w obcych językach, ich przekazy obfitowały w intymne osobiste szczegóły. Stwierdzał również, iż pewnego razu usłyszał dwa głosy duchów śpiewające w duecie przez jedną trąbkę.

Zdjęcia z seansów Webbera rzucają pewne światło na mechanizm powstawania zjawiska bezpośrednich głosów. Z lewitującymi trąbkami łączyły medium ektoplazmiczne podłużne formy; na niektórych zdjęciach widoczne są znajdujące się u końca ektoplazmy okrągłe kształty wielkości ludzkiego serca. Miały to być podobno „skrzynki głosowe", dzięki którym zmarli mogli mówić swoimi głosami.

W Stanach Zjednoczonych należąca do grona najgłośniejszych mediów Margery (której prawdziwe imię brzmiało Mina) Crandon pozwalała, by podczas jej seansów badać wywoływane przez nią zjawiska specjalnymi urządzeniami. Margery była żoną doktora L. R. G. Crandona, który przez 16 lat prowadził katedrę chirurgii Harvard Medical School. W 1923 roku zaczęli wspólnie dawać seanse i wkrótce mogli się pochwalić wywoływaniem wielu rozmaitych zjawisk paranormalnych.

Jeden z aparatów, który miał sprawdzić umiejętności pani Crandon, został skonstruowany przez bostończyka, doktora Marka Richardsona. Składał się z wypełnionej wodą tuby w kształcie litery U; na powierzchni cieczy w każdym ramieniu tuby umieszczono pływaki wskazujące poziom wody. Zadaniem Margery było dmuchnięcie przez specjalny giętki przewód tak mocno, by w jednym ramieniu tuby poziom wody się podniósł. Przez cały seans musiała w ten sposób trzymać wargami i językiem ustnik przewodu, by woda nie wróciła do poprzedniego położenia (świadkowie mogli widzieć, co się dzieje nawet w ciemności, ponieważ pływaki fosforyzowały). Medium postąpiło wedle wskazówek badacza i utrzymało podwyższony poziom wody, ale to utrudnienie w niczym nie przeszkodziło duchowi regularnie dającemu o sobie znać na jej seansach — jej zmarłemu bratu, Walterowi Stinsonowi — mówić, jak zwykle, donośnym głosem.

Gadające pudełko

Znacznie bardziej wymyślne urządzenie przygotował B. K. Thorogood. Było to pudełko zawierające siedem warstw różnych materiałów oraz bardzo czuły mikrofon sporych rozmiarów. Całość zamknięto na kłódkę i umieszczono w pokoju przed rozpoczęciem seansu, by zapisać głosy duchów. Z pudełka biegły do drugiego pomieszczenia dwa przewody, na których końcu zainstalowano głośnik. Ludzie tam zgromadzeni słyszeli dobywający się z głośnika głos Waltera, w pokoju zaś, gdzie trwał seans, nie słyszano, by cokolwiek było mówione do mikrofonu.

Jednak nie wszystkie media wywołujące głosy uznawano za rzetelne; na przykład George Valiantine został kilkakrotnie oskarżony o oszustwo. Kiedy zaś on i pani Crandon wyrazili zgodę na przeprowadzenie testów przez „Scientific American" — wydawnictwo to oferowało dwa i pół tysiąca dolarów za demonstrację obiektywnie istniejącego zjawiska paranormalnego — nie zdołali przekonać komitetu redakcyjnego.

Jednak to nie wywoływanie bezpośrednich głosów było zjawiskiem, które szczególnie intrygowało opinię publiczną. Valiantine bowiem wyprodukował serię odlewów woskowych, które rzekomo miały być prawdziwymi odciskami palców zmarłych sławnych ludzi. Medium zostało ostatecznie zdemaskowane przez Dennisa Bradleya — tego samego, który wydał dwie książki sławiące jego niezwykłe talenty. Swoje zeznania obciążające opublikował on w trzeciej książce, zatytułowanej *And After* [I potem]. Bradley stwierdzał, że wszystkie odciski „Valiantine sprokurował własnymi palcami rąk, paluchami stóp i łokciami".

Identyczne odciski

Odciski palców również przysporzyły kłopotów Margery. Miały to być odciski wykonane rzekomo, gdy zmaterializowała się ręka jej zmarłego brata Waltera i zostawiła odbicie w wosku. Na początku lat trzydziestych Bostońskie Towarzystwo Badań Paranormalnych udowodniło, że odcisk ów był identyczny z odciskiem dłoni dentysty pani Crandon, który był częstym gościem na jej pierwszych seansach.

Sceptycy uważają, że skoro owe media niektóre ze swoich zjawisk osiągały dzięki oszukańczym sztuczkom, to jest rzeczą bardziej niż prawdopodobną, że wszystkie te historie z duchami to jedno wielkie fałszerstwo. Nadal jednak trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób wywoływali niektóre z najbardziej zdumiewających bezpośrednich głosów.

Człowiekiem, przed którym ta dziedzina nie miała tajemnic i który przez wiele lat z powodzeniem funkcjonował jako medium, był William Roy. Należy on do najbardziej perfekcyjnych i bezwzględnych oszustów w dziejach spirytyzmu.

Jego metoda nie była skomplikowana. Pracował ze wspólnikiem, którego zadaniem było przeszukiwanie płaszczy, portfeli i toreb uczestników seansu, gdy ci już spokojnie zasiedli na widowni. W ten sposób pozyskane informacje asystent przekazywał medium za pomocą skomplikowanego systemu porozumiewawczego. Polegał on na tym, że William Roy stawał metalowymi płytkami umieszczonymi na podeszwach swoich butów na gwoździkach w podłodze, które z pozoru służyły jedynie umocowaniu dywanu. „Medium" miało w uchu maleńką słuchawkę; takie samo urządzenie można było zamontować na końcu trąbki, żeby asystent wywołał „głos ducha", Roy zaś równocześnie, pomagając sobie teleskopowo wydłużającym się drążkiem, wprawiał trąbkę w lewitację.

Oszukańcze praktyki Roya zdemaskowano, lecz zaczął on ponownie urządzać seanse, tym razem jako Bill Silver. Publiczność tłumnie przybywała na jego przedstawienia: byli wśród niej nawet niektórzy członkowie zespołu „The Beatles". Skądinąd później nawet wyszło na jaw, że wielu ludzi goszczących na seansach Billa Silvera świetnie wiedziało, że jest to William Roy. Jednak wierzyli, że teraz daje on popis swoich prawdziwych nadnaturalnych umiejętności. Roy, indagowany przez gazetę „Sunday", stwierdził, że uczynione przez niego wcześniej wyznanie było tylko stekiem kłamstw, które opublikował powodowany jedynie żądzą łatwego zysku.

PORUSZENIE W GROBOWCACH

Tajemnicze przemieszczanie się ołowianych trumien w zamkniętym grobowcu na Barbados na początku XIX wieku przez wielu było uznawane za efekt działania nadnaturalnych mocy.

Powiadają, że zmarli nie mówią. Ponieważ zaś ciała zmarłych złożonych w barbadoskiej krypcie cmentarnej były, jak wszystko na to wskazywało, jedynymi świadkami zmiany położenia ich trumien, siłą rzeczy zabrakło relacji naocznego świadka tych przejmujących grozą zajść.

Tak zwane „wędrujące trumny z Barbados" w latach 1812–1820 dość prędko stały się częścią folkloru Indii Zachodnich. Nie był to jednak odosobniony wypadek, a raczej zjawisko, które powracało z zatrważającą regularnością. Aż do czasu, gdy zarówno właściciele feralnej krypty, jak i miejscowi dygnitarze ostatecznie stracili zimną krew.

W owym czasie grobowiec ten, położony koło bramy katolickiego cmentarza, z którego rozciągał się widok na zatokę w Oistins na południowym wybrzeżu wyspy, należał do rodziny Chase. Był przykładem solidnej roboty murarskiej; zbudowano go z olbrzymich bloków koralowca (o wymiarach cztery na dwa metry), które do połowy były wkopane w ziemię, od góry zaś kryptę zamykała wielka marmurowa płyta. Dla kogoś, kto próbowałby potajemnie wkraść się do środka (czy wydostać się stamtąd na zewnątrz) odsunięcie owej płyty byłoby bez wątpienia zadaniem nad wyraz trudnym, jeśli nie wręcz niemożliwym.

Nim nastąpiły niepokojące incydenty, w grobowcu złożono dwie trumny: 31 lipca 1807 roku pochowano tam panią Thomasinę Goddard, w następnym zaś roku, 22 lutego, małe dziecko, Mary Annę Marię Chase. 6 lipca 1812 roku orszak żałobny odprowadzał do krypty zwłoki Dorcas Chase, starszej siostry wcześniej zmarłej dziewczynki. Kilku mężczyzn z ogromnym trudem odsunęło marmurową płytę i trumnę spuszczono na próg grobowca. Oczom stojących najbliżej i zaglądających w mroczną czeluść grobu żałobników ukazał się widok w najwyższym stopniu zdumiewający.

Trumna Mary Anny Marii została przesunięta w róg przeciwległy do tego, w którym ją postawiono, trumna pani Goddard zaś stała tuż przy ścianie. Obie trumny miały ciężką ołowianą powłokę, zatem coś znacznie silniejszego niż przeciąg musiało je przesunąć. Robotnicy położyli trumny na ich pierwotne miejsca, między nimi postawili trumnę Dorcas i czym prędzej zamknęli grobowiec. Kto albo co zakłóciło wieczny spokój zmarłych — i w jakim celu? Zdumieni i przestraszeni żałobnicy, by jakoś to sobie wyjaśnić, winę przypisali czarnym niewolnikom, którzy pracowali przy złożeniu do grobu pierwszej ze zmarłych sióstr Chase.

Czy rzeczywiście odpowiedzialność ponosili niewolnicy? Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że stosunki między patriarchą rodu Thomasem Chasem a jego czarnymi poddanymi dalekie były od serdeczności. Chase ze wszech miar zasługiwał na miano człowieka okrutnego, skoro jego tyrańskie zapędy przywiodły jego córkę Dorcas do targnięcia się na własne życie. Wydaje się jednak całkiem nieprawdopodobne, by ktokolwiek żywiący wobec niego urazę przedsięwziął aż tak drastyczne kroki, by wyrządzić w gruncie rzeczy tak nieznaczną szkodę.

Złośliwe duchy?

Tak się złożyło, że Chase zmarł miesiąc po tym incydencie; 9 sierpnia 1812 roku jego trumnę ustawiono w grobowcu obok innych, które tym razem stały na swoich miejscach. Minęło kilka spokojnych lat; nie było żadnego powodu, by podejrzewać, że na cmentarzu w Oistins dzieje się cokolwiek sprzecznego z naturalnym porządkiem rzeczy.

Kryptę rodzinną otwarto ponownie 25 września 1816 roku, by pochować małego chłopca, Samuela Brewstera Amesa. Trumny znów znaleziono w bezładzie; jak za pierwszym razem, podejrzenie padło na czarnych robotników. Ci jednak stanowczo zaprzeczyli oskarżeniom, incydent uważali za dzieło złośliwych duchów i wydawali się przerażeni. Do zmarłych odnosili się z zabobonną czcią i z tego choćby względu stali poza wszelkimi podejrzeniami. Wszystko, co wówczas uczestnicy pogrzebu mogli zrobić, to przywrócić trumnom ich właściwe położenie, dostawić do nich trumienkę panicza Amesa i zamknąć wejście marmurową płytą — co też, w wielkim pośpiechu, uczynili.

Grobowiec otwarto znów 17 listopada, by wstawić tam trumnę innego Samuela Brewstera, którą do krypty Chase'ów przeniesiono z miejsca pierwotnego pochówku na cmentarzu Świętego Filipa. Wieść o tajemniczych wydarzeniach rozgrywających się w krypcie rozeszła się szeroko, toteż w oczekiwaniu na nowe sensacje na cmentarzu zebrał się tłum gapiów.

Nie spotkało ich bynajmniej rozczarowanie. Stwierdzono bowiem, że wszystkie trumny zostały ułożone jedna na drugiej na trumnie pani Goddard, która spoczywała w krypcie niemal dziesięć lat. Pod tym ciężarem trumna się rozpadła. Gruntowne badanie krypty nie przyniosło żadnych efektów — ściany, podłoga i sklepienie były mocne i w żaden sposób nie naruszone. A mimo to po raz trzeci oczom żałobników ukazały się nieomylne oznaki gwałtownej aktywności wewnątrz grobowca. Możemy się tylko domyślać, z jaką bezradnością i uczuciem przerażenia żałobnicy przywracali ład w krypcie (szczątki pani Goddard zebrano i ułożono pod ścianą) i zamykali ją blokiem marmuru, pod który tym razem położono zaprawę murarską.

Nim znów zaszła konieczność otwarcia grobowca, minęły nieomal trzy lata, w ciągu których odwiedziły cmentarz tysięczne rzesze kierowanych ciekawością ludzi. 17 lipca 1819 roku pochowano Thomasinę Clarke. Trudno oprzeć się wrażeniu, że tajemnica krypty urosła do rangi poważnej sprawy państwowej, gdyż na uroczystości pogrzebowe przybył, w asyście dwóch urzędników, sam wicehrabia Combermere, gubernator Barbados. Na oczach setek milczących przejętych obserwatorów murarze skruszyli cement mocujący płytę wejściową, którą niewolnicy odsunęli na bok.

We wnętrzu panował chaos, każda trumna stała w innym miejscu, oszczędzone zostały tylko szczątki pani Goddard, które leżały nie naruszone, jak je poprzednio zostawiono, pod ścianą. Grobowiec po raz wtóry gruntownie przeszukano, jednak bez żadnych rezultatów. Robotnicy ustawili trumny jak należy. Posłano po piasek, rozsypano go na podłodze krypty, tworząc równą grubą warstwę, która niezawodnie utrwaliłaby odciski stóp tajemniczego łotra zakłócającego wieczny odpoczynek zmarłych.

Następnie, gdy położono marmurową płytę przy wejściu, gubernator odcisnął na zaprawie murarskiej swoją pieczęć, a za jego przykładem poszli inni.

Przerażony świadek

Dziwne wypadki do tego stopnia poruszyły miejscową opinię publiczną, że nikt nie miał cierpliwości, by nie wiadomo jak długo czekać na następny pogrzeb, który dałby sposobność rozwikłania tajemnicy. Po długiej dyskusji, której skutek mógł być tylko jeden, wicehrabia Combermere, przedstawiciel rządu Nathan Lucas, sekretarz gubernatora major J. Finch, R. Bowcher Clarke oraz Rowland Cotton pojechali do kościoła i zaprosili wielebnego Thomasa Ordesona, by wspólnie wyprawić się na cmentarz. Towarzyszyła im grupa zdjętych strachem czarnych robotników. Pieczęcie odciśnięte na spoiwie murarskim znaleźli nietknięte, z czego wynikało, że nikt nie otwierał wejścia do krypty ani tędy nie wszedł do środka. Na zewnątrz grobowca również nie było znać śladów wtargnięcia. Combermere zarządził, by skruszyć cement i otworzyć kryptę; odsuwaniu marmurowego kamienia towarzyszyły dziwne zgrzyty. Jak się okazało, powstały one wskutek tego, iż wejście od środka zostało zatarasowane jedną z dużych trumien. Natomiast mała trumna, należąca do Mary Anny Marii, została najwyraźniej w najodleglejszy koniec krypty ciśnięta z taką mocą, że uszkodziła ścianę z koralowca. Inne skrzynie stały w nieładzie, ale na piasku nie znaleziono śladów, które wskazywałyby na to, co mogło je poprzesuwać. Nathan Lucas relacjonował to zdarzenie w taki sposób:

„Sprawdziłem ściany, łuk, każdą część sklepienia i stwierdziłem, że wszystkie elementy były równie stare i jednolite. W mojej obecności murarz ostukał młotkiem płyty podłogi; nic nie budziło zastrzeżeń. Przyznaję, że nie potrafię wyjaśnić przemieszczeń owych ołowianych trumien. Złodzieje z pewnością nie mają z tym nic wspólnego, natomiast jeśli miałyby to być jakieś niewczesne żarty, to wymagałyby podjęcia wprost niewyobrażalnie wielkich środków ostrożności. Jeśli idzie o czarnych, to żywią oni tak zabobonny lęk przed zmarłymi i wszelkimi rzeczami z nimi związanymi, że stoją poza wszelkim podejrzeniem. Wiem tylko tyle, że to się naprawdę wydarzyło i że widziałem to na własne oczy".

Cokolwiek (czy ktokolwiek) sprawiło, że trumny w grobowcu Chase'ów wędrowały między czterema ścianami, stracił możliwość dalszego uprawiania tego niecnego procederu, gdyż wszystkie trumny wydobyto z krypty i ulokowano gdzie indziej na tym samym cmentarzu, gdzie zmarli mogli spoczywać w spokoju.

Znane są również inne wypadki, kiedy to trumny przemieszczały się w nie wyjaśniony sposób. Sir Algernon E. Aspinall, rozważając w swojej książce *West Indian Tales of Old* [Dawne opowieści zachodnich Indian] barbadoską tajemnicę powoływał się na „European Magazine" z września 1815 roku, w którym donoszono o krypcie w Stanton w angielskim hrabstwie Suffolk. Zdarzyło się tam, w sporych odstępach czasowych przynajmniej trzy razy, że — podobnie jak w Oistins — trumny w szczelnie zamkniętej krypcie zmieniały swoje położenie.

Dom duchów?

W wyniku jednego z tych „manewrów" najcięższa z tamtejszych trumien — na uroczystościach pogrzebowych niosło ją ośmiu żałobników — wspięła się na czwartą od dołu wnękę krypty. „W jaki sposób mogło do tego dojść, skoro wiadomo, że żaden człowiek tego nie uczynił?" pytano w „European Magazine". Nie trzeba dodawać, że mieszkańcy Stanton doznali równie wielkiego szoku, jak ci z wyspy Barbados. W 1867 roku F. C. Paley, syn rektora z Gretford opodal Stanford w Lincolnshire (Anglia) napisał również do redakcji „Notes and Queries" w sprawie powtarzających się przesunięć ciężkich ołowianych trumien (oprawionych również w drewno) w miejscowej krypcie. Jego list został potwierdzony przez świadka, który dodał jeszcze, że niektóre trumny zostały oparte o ścianę.

Zabobonni mieszkańcy Arensburga położonego na bałtyckiej wysepce Oesel, gdy w 1844 roku podobne wydarzenia zaszły na ich miejskim cmentarzu, przypisali to wampirom i wilkołakom. Wszystko zaczęło się w czerwcu owego roku od duchów nawiedzających konie należące do ludzi odwiedzających cmentarz. Niektóre z koni płoszyły się i uciekały, inne traciły przytomność albo wprost padały martwe. Również wiele zwierząt wówczas oszalało. Przyczynę odkryto wkrótce w krypcie rodziny Buxhoewdenów. Gdy uroczystość pogrzebową w kaplicy rodzinnej przerwały dziwne odgłosy dochodzące z przylegającej do kaplicy krypty, najodważniejszy przedstawiciel rodu wkroczył tam, by stwierdzić, że trumny ze szczątkami jego krewnych zostały porozrzucane. Lotem błyskawicy rozeszły się wieści o złych mocach; na Arensburg padła zgroza i przerażenie. Przewodniczący miejscowej komisji kościelnej, baron de Guldenstabbe, wszczął oficjalne dochodzenie i osobiście odwiedził kryptę, którą, przywróciwszy ład, zamknięto. Jednak trumny nie stały w miejscu długo.

Baron, zdecydowany rozwikłać tajemnicę za wszelką cenę, założył specjalny komitet do zbadania tej sprawy. Posunęli się dalej niż Barbadoszczycy i zdjęli podłogę krypty w nadziei, jak się okazało — płonnej, że odnajdą jakieś sekretne przejście. Podejrzewali, że pojawiły się tam wampiry, choć żadna z trumien nie została nawet naruszona. Zmuszony porzucić bezowocne dochodzenie, komitet zarządził, by w krypcie i kaplicy rozsypano popiół. Podobnie jak w Oistins wejście opatrzono sekretnymi pieczęciami, które przełamałyby się przy jakiejkolwiek próbie otwarcia drzwi.

Na trzy dni i noce postawiono w krytycznym miejscu żołnierską straż. Po tym czasie komitet powrócił i choć znalazł całe pieczęcie i nietkniętą warstwę popiołu, to trumny znajdowały się w największym nieładzie: niektóre stały wręcz do góry nogami, a jedna pękła tak fatalnie, że wysunęło się z niej kościste ramię. Mieszkańcy bałtyckiej wyspy wykazali się znacznie mniejszą cierpliwością niż Barbadoszczycy, którzy przez osiem lat żyli obok tak dziwnego miejsca. Arensburski komitet oraz rodzina Buxhoewdensów natychmiast postanowili przenieść trumny w bezpieczne miejsce, by w ten sposób położyć kres niezrozumiałym zajściom.

Jaka siła wprawia trumny w ruch, obojętnie czy spoczywają one w kryptach na Barbados, w Anglii czy na bałtyckiej wysepce? Jak się zdaje, nie istnieje żadne wyjaśnienie tego zjawiska. „Pułapki" zakładane przez rozmaite komitety — nie przełamane pieczęcie oraz nie naruszone warstwy piasku czy popiołu przykrywające podłogi — jednoznacznie nam mówią, że nie była to sprawka jakichś pozbawionych przyzwoitości typów.

Inne teorie

Do grona tych, którzy przyjmowali możliwość działania sił nadnaturalnych czy paranormalnych, należał sir Arthur Conan Doyle. Był on przekonany, iż trumny w Oistins przemieszczały się z powodu tajemniczych sił psychicznych, które podobno tkwią w ciałach przedwcześnie zmarłych ludzi — młodych dziewcząt z rodziny Chase i Samuela Brewstera Amesa. Być może jednak bardziej wiarogodna jest hipoteza wysunięta przez George'a Hunte'a, autora książki *Barbados*. Sądzi on, że „to wcale nie złe moce, ale powstający w procesie rozkładu ciał gaz wyzwalał gwałtowne siły zmieniające oryginalny układ trumien w kryptach i wywołujące chaos".

Czy na zmiany w kryptach mogła mieć jakiś wpływ woda? Czy trumny zmieniały położenie wskutek zalania wnętrza wodą? Grobowiec Chase'ów był wodoszczelny, wysoki i suchy, działanie podziemnych wód można zatem z całą pewnością wykluczyć. Ponieważ cała historia w Arensburgu rozegrała się w ciągu zaledwie kilku tygodni, to ślady zalania bez wątpienia zostałyby zauważone, a jak wiemy, nic takiego nie miało miejsca. Ołowiane trumny na pewno mogą unosić się na powierzchni wody — do tego jednak potrzebna jest właśnie woda.

Inną przyczyną przemieszczania się trumien w Oistins mogłyby być gwałtowne wstrząsy tektoniczne. Barbados leży w strefie aktywności sejsmicznej i sąsiaduje z obszarami noszącymi ślady trzęsień ziemi, a co więcej, na pobliskiej wyspie Świętego Wincentego znajduje się wulkan. Nawet najsłabszy wstrząs skorupy ziemskiej mógł wpłynąć na układ trumien — dlaczego jednak wpływ ów miałby być widoczny wyłącznie w krypcie Chase'ów? Teoria ta zatem jest wielce wątpliwa. W Stanton, Gretford i Arensburgu nie odnotowano nigdy ruchów tektonicznych.

Większość trumien z Barbados była wykonana z ołowiu, możemy zatem przyjąć, że siły magnetyczne o normalnej wartości nie spowodowałyby przesunięć. Mimo to właśnie w tym może się skrywać klucz do tajemnicy. Najważniejszy ślad wyłonił się z badań wykonanych przez samych Barbadoszczyków. Podczas ostatniego pogrzebu w 1819 roku ktoś wykonał rysunek przestawiający trumny równo ustawione i drugi szkic, zrobiony w kwietniu 1820 roku, gdy po raz ostatni otworzono ów grobowiec, na którym widnieją trumny chaotycznie porozrzucane.

Te dwa rysunki porównał Eric Frank Russell w swojej książce *Great World Mysteries* [Wielkie światowe tajemnice], w rozdziale poświęconym zjawisku przemieszczania się trumien: „Na początku trzy duże trumny ustawiono w równym rzędzie; środkowa była nieco bardziej odsunięta od wejścia. Na wieku każdej z nich położono małą trumienkę. Wszystkie skierowano nogami ku wejściu, stały zatem równolegle do bocznych ścian.

Gdy znaleziono je po przemieszczeniu, wszystkie były w innym, lecz również noszącym znamiona pewnego ładu, położeniu. Głowami skierowane były ku drzwiom, nogami zaś ku tylnej ścianie. Wyglądały dokładnie tak, jakby je zaskoczono na obracaniu się, w nader powolnym tempie, wokół własnego środka ciężkości. Niektóre były bardziej zaawansowane w obrocie, inne mniej, względem ścian bocznych tworzyły kąt mniej więcej 120 stopni. Zostały zatem jakby pochwycone w ruchu wirowym czy spiralnym, podobnie jak liczne przedmioty metalowe, które z jednego końca cięższe, obracają się dokoła własnej osi, zachowując się jak żyroskop, wprawiane w ruch siłą grawitacyjną, elektromagnetyczną czy Bóg jeden wie jaką jeszcze".

Założenia Russella, jakkolwiek nie prowadzą do ostatecznej odpowiedzi, wydają się mieć największą dozę prawdopodobieństwa. Przesądy i strach położyły kres możliwości prowadzenia dalszych naukowych badań nad tymi dziwami — pamiętamy, że do grobowca na Barbadosie wejście najpierw zamurowano, później zaś definitywnie go opróżniono. Tajemnice te do dziś są nie wyjaśnione. Na pewno wiemy tylko to, że przez osiem długich lat w krypcie Chase'ów w Oistins na Barbadosie rozgrywało się coś, co — parafrazując słowa Emily Brönte — możemy nazwać „niespokojną drzemką tych, którzy w tej spokojnej ziemi zapadli już w sen wieczny".

KOSMICZNA ŚWIADOMOŚĆ

Pacjenci nieuleczalnie chorzy odzyskiwali spokój ducha dzięki niezwykłej lekarce. Twierdziła ona, że odkąd sama doświadczyła umierania, nie boi się śmierci.

W kręgu kultury zachodniej prawie każdy człowiek boi się śmierci. Lęk ów występuje tak powszechnie i wywołuje tak poważne skutki, że medycy ukuli nawet specjalny termin na jego określenie — tanatofobia (*thanatos* po grecku znaczy „śmierć").

Lęk sam w sobie jest zjawiskiem naturalnym — ale czego właściwie tak bardzo się boimy? Odpowiedzi na to pytanie jest prawie tyle, ilu odpowiadających. Niektórzy boją się bólu i poniżenia, które mogą towarzyszyć śmiertelnej chorobie, inni sądu ostatecznego albo przeciwnie, lękiem napawa ich świadomość, że po śmierci odchodzi się w zapomnienie. Są też tacy, którzy nie boją się o siebie, ale o swoich bliskich, których opuszczą. Jednak dla większości ludzi śmierć jest po prostu „wielką niewiadomą", zbyt przerażającą, by o niej rozmyślać. Wskutek tego każde podjęcie tematu śmierci jest naruszeniem kulturowego tabu.

Jest rzeczą nieuniknioną, że ta swoista zmowa milczenia nakłada dodatkowy ciężar na barki tych, którzy stają w obliczu własnej śmierci. Dziś w krajach wysoko rozwiniętych powszechnie uważa się, że najodpowiedniejszym miejscem dla śmiertelnie chorych jest szpital. Usuwa się ich z domów i skazuje na bardzo bolesne i częstokroć już zupełnie bezcelowe leczenie; chorzy umierają w obcym miejscu wśród obcych ludzi. Stają przed największą traumą w swoim życiu, a najczęściej nikt nawet nie chce z nimi o nadchodzącej śmierci rozmawiać. Ci, którzy przychodzą z wizytą, dokładają wszelkich starań, by podtrzymywać fikcję, że wszystko będzie dobrze; podjęcie kwestii spisania testamentu uważa się za wielce nietaktowne. Jakże często umierający, nawet jeśli są otoczeni ludźmi, muszą doznawać przeraźliwej samotności, całkowitej izolacji.

W odpowiedzi na te potrzeby stworzono nowy zawód — terapeuty dla umierających. Jedną z czołowych postaci w tej dziedzinie była Elisabeth Kübler-Ross, amerykańska lekarka opiekująca się umierającymi. Jednak

to, co stanowiło prawdopodobnie najdonioślejsze osiągnięcie w jej pracy, niekiedy okazywało się źródłem nieporozumień z kolegami po fachu. W 1974 roku doktor Kübler-Ross złożyła takie oto jednoznaczne oświadczenie: „Podejmując pracę z umierającymi pacjentami, nie wierzyłam w życie po śmierci. Dziś natomiast nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości".

Źródłem tej wiary stały się jej niezwykłe doświadczenia osobiste. Ale nawet wcześniej to, co dawała jej obserwacja procesu umierania innych ludzi, również pozwalało jej myśleć, że być może jest to w istocie przejście do nowego życia.

Elisabeth Kübler-Ross stwierdziła, że śmiertelnie chory człowiek przechodzi przez pięć faz — choć może się zdarzyć, że odejdzie z tego świata, nim osiągnie ostatnią. Faza pierwsza to zaprzeczanie i unikanie kontaktu z innymi. Chory myśli: „Mnie to się na pewno nie przydarzy — nikomu o tym nie powiem". Później przychodzi gniew: „Dlaczego właśnie ja? Dlaczego nie ktoś starszy, gorzej ode mnie wykształcony, mniej potrzebny ludziom?" W trzeciej fazie chory próbuje coś wytargować „Jeśli zrobię tak, jak mi się radzi, to poczuję się lepiej". Ponieważ chory targowaniem się nic nie zyskał, ogarnia go depresja: „Ja naprawdę umieram — nikt inny, właśnie ja — umieram!" Na końcu przychodzi pogodzenie się z tym faktem.

Pielęgniarki często są świadkami diametralnej zmiany w zachowaniu pacjenta; zmiana ta zachodzi właśnie w ostatniej fazie. Chory może wówczas słyszeć głosy albo mieć wizje zmarłych przyjaciół i krewnych, którzy przybywają, by mu towarzyszyć w przejściu na inny poziom bytu (tanatolog doktor Raymond Moody tego rodzaju halucynacje nazwał „wizjami przejściowymi"). Umierający niekiedy mówią o wielokrotnie nawiedzających ich obrazach tunelów, świateł, o doznawaniu wielkiego spokoju wewnętrznego, uczuć podobnych do tych, których zaznają wędrujący poza własne ciało.

Niespodziewane szczęście

W swojej pracy doktor Kübler-Ross spotkała się z wieloma przypadkami tego rodzaju. Przeprowadziła również wiele rozmów z pacjentami, którzy przeszli śmierć kliniczną i zostali przywróceni do życia. Zwraca uwagę wyjątkowa zgodność ich opowieści o opuszczeniu ciała i doznawaniu niezwykłego szczęścia, nawet radosnej ekscytacji. Bardzo niewielu chciało stamtąd „wracać”, czynili to zazwyczaj powodowani uczuciem odpowiedzialności za swoich bliskich, których pozostawili na ziemi. Rzeczą najistotniejszą jest fakt, że nieomal wszyscy, którzy przeżyli krótkotrwałą „śmierć”, nie boją się prawdziwego i ostatecznego odejścia z tego świata. Pewien lekarz, który przywrócił do życia kobietę, stwierdził: „Opiekowałem się wieloma ludźmi pomagając im zaakceptować ich śmierć, ale wówczas po raz pierwszy w mojej karierze medycznej musiałem skłaniać kogoś do tego, by zgodził się żyć”.

Oczywiście nie wszystkim jest dane umieranie w spokoju ducha, bez cierpienia psychicznego i fizycznego. Wielu ludzi ma ogromną wolę życia, wskutek czego dochodzi do swoistej walki, jak to było z Wallacem Abelem. W 1975 roku przebywał on na oddziale Scottsdale Memorial Hospital w Arizonie (Stany Zjednoczone) z powodu zawału serca. W szpitalu dwa razy ustawała praca jego serca i za każdym razem reanimacja kończyła się sukcesem. Abel tak o tym opowiadał: „Nagle w czasie zabiegu poczułem szarpnięcie. Przejrzysta postać, którą byłem ja, usiłowała opuścić moje ciało. Rozpoznałem ją natychmiast, ale moje ciało stawiało opór, nie chciało jej wypuścić ze swoich objęć [...] Postać walczyła, szarpała się i wyrywała. Nagle zdałem sobie sprawę, że oto jestem świadkiem swojej własnej walki o życie”.

Nie wszyscy tanatolodzy podzielają zdanie, że owe doświadczenia bliskości śmierci są wystarczającym dowodem na istnienie jakiegoś rodzaju życia po śmierci fizycznej. Inny Amerykanin, psychiatra Russell Noyes poddał analizie 114 relacji pacjentów przywróconych do życia. W relacjach tych była mowa o przebywaniu poza ciałem, swobodnym unoszeniu się w przestrzeni, uwolnieniu od cierpienia i uczuciu radości. Doszedł on do wniosku, że te dziwne doświadczenia to skutek dokonywania się „depersonalizacji”, działania mechanizmu obronnego albo rodzaj odruchu bezwarunkowego, który został genetycznie zaprogramowany, by pomóc nam przejść przez największą traumę naszego życia, czyli własną śmierć. Noyes nie wierzy, by jakiekolwiek opowieści umierających były czymś więcej aniżeli halucynacjami.

Przeżywanie śmierci

Siła przekonań doktor Kübler-Ross jednak, jak już powiedzieliśmy, płynie z jej własnych zdumiewających doświadczeń. Zdarzyło się to na początku lat siedemdziesiątych. Po bardzo męczącym dniu w pracy, w czasie którego zajmowała się kilkoma pacjentami nieuleczalnie chorymi, lekarka położyła się, by odpocząć. Nagle doznała wrażenia, jakby opuszczała własne ciało. Jak się później dowiedziała, sądzono wówczas, że umarła, jako że zanikł jej puls oraz ustało oddychanie.

Gdy „powróciła” do swojego ciała, miała wrażenie, że dokonała odkrycia. Zrozumiała, że świadomość może w pewnych życiowych warunkach opuszczać ciało i że właśnie to się zdarza w chwili zgonu — świadomość ostatecznie oddziela się od ciała. Co więcej, zdawało się jej, że już wie, na czym polega umieranie. Ale czekało na nią jeszcze bardziej osobliwe i znacznie bardziej traumatyczne doświadczenie, które miało zmienić jej całe spojrzenie na życie, a zwłaszcza na śmierć. Pewnej nocy miała problemy z zaśnięciem. Nagle, jak pisze:

„Moim udziałem stało się jedno z najbardziej nieprawdopodobnych doświadczeń mojego życia [...] Przeszłam przez śmierć każdego z tysiąca moich pacjentów. Mam na myśli cierpienie fizyczne, ból [...] agonii, wołanie o pomoc. Cierpienie było tak wielkie, że nie sposób tego opisać. Nie było czasu, żeby chwilkę pomyśleć ani na nic w ogóle, zdołałam jedynie dwa razy zaczerpnąć oddechu, jak położnica między bólami porodowymi. Na ułamek sekundy udało mi się złapać powietrze, błagałam — przypuszczam, że Boga — o ramię, na którym mogłabym się oprzeć, o jedno ludzkie ramię, na którym mogłabym złożyć głowę. Wyobraziłam je sobie.

Wówczas rozległ się donośny głos: „Nie poddasz się”. Z trudem łapiąc powietrze, gniewnie zawołała: „Pomogłam tak wielu ludziom, a mnie nikt nie chce pomóc”. Jednak gdy wypowiadała te słowa, zdała sobie sprawę, że musi tego dokonać sama, że nikt za nią tego zrobić nie może. I w miejsce niewyobrażalnego cierpienia pojawiło się „niesłychane poczucie odrodzenia”. „Na cokolwiek w pokoju spojrzałam — swoje nogi, biurko, okno — wszystko zaczęło wibrować milionami molekuł. Wszystko wibrowało z niewiarygodną prędkością [...] W dali wstawało słońce, najjaśniejsze światło, jakie można sobie wyobrazić [...] To światło przenikało każdą rzecz, jakby samo słońce tam wpłynęło [...] wibracje ustały i miliony molekuł, a wśród nich i ja [...] zjednoczyły się [...] i ja również byłam częścią tej całości. Gdy to się stało, pomyślałam: „Jest mi dobrze, ponieważ jestem cząstką tego wszystkiego”.

Owo napawające grozą, choć pouczające doświadczenie nie było ostatnim paranormalnym wydarzeniem w jej życiu. Jakiś czas później, gdy siedziała w swoim gabinecie, przyszła była pacjentka, by zachęcić ją do wytrwałości w pożytecznej pracy. Elisabeth Kübler-Ross od razu ją rozpoznała. Była to niejaka pani Schwartz. Lekarka zaraz pomyślała, że doznaje halucynacji, pani Schwartz bowiem umarła jakiś czas wcześniej. Wówczas do głosu doszła naukowa dociekliwość: podała zjawie pióro i papier i poprosiła o sporządzenie datowanej notatki i podpisanie jej. Pani Schwartz, zrobiwszy, o co ją proszono, odeszła. Eksperci porównali tę notatkę z innymi pismami, które wyszły spod ręki tej kobiety za życia i stwierdzili, że to bez wątpienia jej charakter pisma.

Główne dzieło doktor Elisabeth Kübler-Ross, uznanej badaczki w nowo powstałej dziedzinie, jaką jest tanatologia, stanowi *Śmierć i umieranie*. Jest to pod wieloma względami główne źródło wiedzy dla lekarzy, pielęgniarek, pracowników socjalnych i wszystkich innych, którzy na gruncie zawodowym mają do czynienia z ludźmi nieuleczalnie chorymi. Jednak jej pewność co do istnienia życia pozagrobowego, doświadczenia przebywania poza ciałem oraz opisy kosmicznej świadomości wywarły na wielu jej kolegach z kręgów medycznych szokujące wrażenie. Napisane przez nią dzieło jest dla wielu źródłową lekturą, z jej szerokiego doświadczenia praktycznego korzystają kolejne pokolenia medyków, a mimo to niezmiernie rzadko podejmuje się dyskusję nad jej odkryciami. Nawet ludziom na łożu śmierci, którym łaskawy los zezwolił, by ich prowadziła doktor Kübler-Ross, nie muszą być znane jej opowieści o szczęściu czekającym za progiem śmierci. Lekarka bowiem poruszała ten temat jedynie na wyraźną prośbę. Jednak do wyodrębnionych pięciu faz procesu umierania z czasem, przynajmniej na swój osobisty użytek, dodała fazę szóstą — życie po życiu.

CELTYCKIE ZWIASTUNY ŚMIERCI

Zwiastujący śmierć kobiecy lament jest dobrze znanym elementem irlandzkiego folkloru. Zdarzenia z ostatnich lat zdają się dowodzić, że owa jedyna w swoim rodzaju płaczka również dzisiaj się odzywa.

Zdarzyło się to pewnej nocy na początku 1979 roku, w miejscowości Andover w angielskim hrabstwie Hampshire. Irene McCormack leżała w łóżku, gdy nagle usłyszała coś, co później opisywała jako „najbardziej przeraźliwe zawodzenie". Przebywała wówczas sama w domu, mocno przygnębiona, ponieważ jej matka, leżąca w winchesterskim szpitalu, była umierająca.

Gdy usłyszała zawodzenie, zdjęło ją przerażenie. „Dygocząc cała wstałam z łóżka — donosiła — i zeszłam na dół. W salonie pies skowycząc miotał się w kółko jak oszalały". Zwierzę nie mogło się uspokoić, toteż pani McCormack wzięła go do sypialni; gdy straszliwy lament ucichł, położyli się, czekając na świt.

Wraz z nadejściem dnia pojawił się posłaniec z wiadomością; panią McCormack wzywano, by przyszła do matki. Gdy dotarła do szpitala, starsza pani leżała pogrążona w śpiączce. Została przy łóżku matki, która niedługo potem zmarła. Po pogrzebie, gdy rytm codziennego życia wrócił do normy, pani McCormack opowiedziała rodzinie o zawodzeniu słyszanym pamiętnej nocy. Jej mąż, Irlandczyk, zasugerował, że słyszała zjawę zwiastującą śmierć, w jego rodzinnych stronach zwaną *banshee*. „Wielu członków mojej rodziny przyjęło to z pobłażliwym uśmiechem — opowiadała pani McCormack. — Pewno myśleli, że coś nie w porządku z moją głową [...] ale ja mam nadzieję, że nigdy więcej w życiu nie usłyszę czegoś takiego".

Wyraz *banshee* pochodzi od celtyckich słów *bean sidhe* określających „kobietę zajmującą się czarami". Powiada się, że jej zawodzenie zapowiada śmierć. Irlandzka tradycja podaje również, że ma ona długie włosy płomiennego koloru i rozczesuje je jak rusałka, gdy lamentuje w pobliżu domostwa, w którym do kogoś zbliża się śmierć. Jednak niezmiernie rzadko się zdarza, by ją widział albo słyszał człowiek, którego kres nadchodzi.

Banshee jest postacią od dawna zadomowioną w świecie irlandzkich legend. Podobno jej lament zwiastował śmierć dawnych bohaterów, takich jak król Connor McNessa, Finn McCool oraz wielki Brian Boru, którego zwycięstwo nad wikingami w 1014 roku uwolniło Irlandię od ich dominacji. W czasach znacznie mniej odległych, bo w 1922 roku, mieszkańcy wioski Cork opodal Sam's Cross słyszeli podobno przejmujące grozą jęki *banshee*, zapowiadające śmierć Michaela Collinsa, głównodowodzącego wojsk Republiki Irlandzkiej, który zginął w zasadzce w czasie wojny domowej.

Pod koniec lat sześćdziesiątych Sheila St Clair, irlandzka badaczka zjawisk paranormalnych przygotowała dla stacji BBC audycję radiową na temat *banshee*. Niektóre z zebranych przez nią relacji były zatrważająco przekonujące. Pewien piekarz z Kerry opowiadał o wyjątkowo przykrej nocnej zmianie, kiedy to wraz z kolegami piekł pieczywo na ranne dostawy. „Początkowo dochodziły nas niskie dźwięki, które przechodziły w crescendo; niewątpliwie był w nich jakiś ludzki pierwiastek [...] drzwi do pomieszczenia, gdzie pracowaliśmy, były otwarte, moi koledzy zostawili na chwilę pracę i wsłuchiwali się w ten głos. Potem, przez kilka minut rozmawialiśmy o tym. Nad ranem, mniej więcej o piątej, przyszedł jeden z dostawców pieczywa i rzekł do mnie: „Obawiam się, że dziś ty sam będziesz musiał usiąść za kierownicą ciężarówki. Właśnie dostałem wiadomość, że zmarła moja ciotka". Zawodzenie *banshee* dochodziło do nas z jego ciężarówki.

W programie Sheili St Clair o roli i historii *banshee* opowiadał jeden z mieszkańców County Antrim. Twierdził on, że w zamierzchłych czasach najbardziej bogobojne i szlachetne rody zostały wyróżnione duchami opiekuńczymi. Ponieważ te niebiańskie istoty nie posługują się ludzkimi środkami ekspresji, swoje najgłębsze uczucia mogą wyrazić jedynie wtedy, gdy do któregoś z ich podopiecznych zbliża się śmierć. Stąd właśnie się wziął lament *banshee*. Jednak z biegiem czasu irlandzkie rody traciły łaski, toteż tylko te rodziny, w których nie osłabła pobożność, cieszą się przywilejem posiadania osobistego zwiastuna śmierci.

Teoria owa może być bliska sercu pewnego amerykańskiego przedsiębiorcy z Bostonu, który kilka lat temu oznajmił, że *banshee*, podobnie jak inne mityczne postaci z kręgu europejskiego folkloru, przekroczyły Wielką Wodę. James O'Barry pochodzi z irlandzkiej rodziny, która przybyła do Massachusetts w 1848 roku. Po raz pierwszy usłyszał zwiastuna śmierci we wczesnym dzieciństwie.

„Pewnego ranka, leżąc w łóżku, usłyszałem nagle dziwne hałasy, jakby krzyki szalonej kobiety. Było to wiosną, za oknem śpiewały ptaki, słońce świeciło, niebo było niebieskie. Przez chwilę czy dwie myślałem, że zerwał się gwałtowny wiatr; jednak wystarczyło jedno spojrzenie na prawie nieruchome gałęzie drzew, by stwierdzić, że to nie wichura. Zszedłem na śniadanie i przy kuchennym stole zobaczyłem ojca ze łzami w oczach. Nigdy przedtem nie widziałem, by płakał. Matka powiedziała mi, że przed chwilą dowiedzieli się przez telefon o śmierci dziadka w Nowym Jorku. Choć był już bardzo posunięty w latach, tryskał zdrowiem, toteż jego śmierć wszystkich zaskoczyła".

Dopiero kilka lat po tym wydarzeniu O'Barry poznał legendę o *banshee*, wtedy też przypomniał sobie zawodzenie, które usłyszał, nim się dowiedział o śmierci dziadka. Ponownie usłyszał je w 1946 roku, w zupełnie innych okolicznościach. Odbywał służbę wojskową w amerykańskich siłach powietrznych; jego jednostka stacjonowała na Dalekim Wschodzie. Pewnego dnia o szóstej rano ze snu wyrwał go niski przeciągły jęk. Zdjęło go przerażenie.

„Wówczas od razu uświadomiłem sobie, co to znaczy. Poderwałem się gwałtownie z pościeli, czułem, że włosy zjeżyły mi się na karku. Głos stawał się donośniejszy, wznosił się i opadał jak syrena przed nalotem. Gdy ucichł, zdałem sobie sprawę, że byłem straszliwie przybity. Wiedziałem na pewno, że mój ojciec nie żyje. Kilka dni później otrzymałem wiadomość, która to potwierdziła".

O'Barry miał usłyszeć zwiastuna śmierci jeszcze raz siedemnaście lat później; wydarzenie to uważa za najbardziej godne uwagi ze wszystkich. Znajdował się w Toronto, w Kanadzie, częściowo z powodu obowiązków służbowych, częściowo dla wypoczynku.

„Wtedy też leżałem w łóżku, czytałem poranne gazety, gdy rozdarł mi uszy ten przerażający dźwięk. Stanęła mi przed oczami moja żona, synek, dwaj bracia. Pomyślałem „Dobry Boże, nie zabieraj żadnego z nich". Przeczuwałem jednak, że to nie o nich chodzi".

Miało to miejsce 22 listopada 1963 roku, wczesnym popołudniem. Irlandzki zwiastun śmierci lamentował nad śmiercią jednego ze znajomych O'Barry'ego — prezydenta Stanów Zjednoczonych, Johna F. Kennedy'ego.

Skoro Irlandczycy mają swoją *banshee*, to należy się spodziewać, że ich bliscy celtyccy kuzynowie, Szkoci, również nie są pod tym względem gorsi. Postacią w szkockim folklorze najbliższą jej charakterem jest „kobieta śmierci". Siaduje ona nad brzegami płynących na zachód potoków na zachodnim wybrzeżu Szkocji i pierze ubrania tych, których rychło zabierze śmierć. Z kolei górale szkoccy opowiadają o „czerwonym rybaku", odzianej w szatę z kapturem zjawie siedzącej na brzegu i łowiącej ryby.

Innym powszechnie Szkotom znanym sygnałem zbliżania się śmierci jest widmowy dobosz z zamku Cortachy w Tayside, siedziby lordów Airlie. Tradycja głosi, iż przybył on do wrogów swojego klanu z propozycją rozejmu, jednak zabito go, nim zdążył ją przekazać. W bardziej romantycznym wariancie mówi się, że w XV wieku dobosz regimentu górali szkockich był kochankiem lady Airlie. Nakrył go lord Airlie i strącił z okna wieży.

Cztery dobrze udokumentowane dziewiętnastowieczne relacje świadczą, iż widmo swoje szczególne zadanie wypełniało rzetelnie. W latach czterdziestych, przed śmiercią hrabiny Airlie, członkowie rodziny słyszeli werbel. Wdowiec po niej prędko ożenił się ponownie i w 1848 roku zaprosił do zamku wielu przyjaciół. Jeden z gości, panna Margaret Dalrymple, opowiedziała o niecodziennej muzyce, która dochodziła spod jej okna, gdy się ubierała — były to dźwięki piszczałki, do której dołączył bębenek. Na te słowa gospodarz i gospodyni zbledli. Po kolacji jeden z gości przedstawił zebranym związaną z tym legendę.

Widmowy werbel

Następnego ranka pokojówka panny Dalrymple, Ann Day, znajdowała się sama w sypialni, porządkując garderobę swojej pani. Nie znała historii o doboszu, toteż niezmiernie ją zaskoczyły odgłosy powozu zajeżdżającego na dziedziniec, którym towarzyszył werbel. Gdy zdała sobie sprawę, że dziedziniec był pusty, a dźwięki bębenka mimo to się rozlegają, dostała ataku histerii.

Następnego dnia, gdy jej pani ponownie usłyszała głos bębenka, postanowiła natychmiast wyjechać. Niedługo potem nowa lady Airlie zmarła w Brighton; zostawiła notatkę, iż nie miała wątpliwości, że werbel jej właśnie zwiastował śmierć.

Kilkoro ludzi słyszało dźwięki bębna i donosiło o tym w 1853 roku, tuż przed śmiercią lorda, w 1881 roku dwaj krewni zaś słyszeli dobosza w Cortachy, w czasie, gdy lord Airlie przebywał w Ameryce. Kilka dni później otrzymali wiadomość o jego śmierci.

Jeśli chodzi zarówno o irlandzką *banshee*, jak i szkockich zwiastunów śmierci, dziesiątki ludzi utrzymuje, że słyszeli albo nawet widzieli te postaci sygnalizujące zbliżające się nieszczęście.

Sheila St Clair wysnuła ciekawą teorię na ten temat, blisko spokrewnioną z teorią wielkiego psychologa Carla Gustawa Junga o istnieniu zbiorowej nieświadomości. Twierdzi ona, że mamy tu do czynienia z dziedziczną strukturą wspomnieniową, która przechodzi z jednej „psyche" na drugą. „Możliwe, że tak jak dziedziczymy cechy fizyczne [...] przejmujemy również jednostki pamięci, a ci spośród nas, których przodkowie po mieczu i kądzieli pochodzili z jednego plemienia, otrzymali *banshee* jako część odziedziczonej po nich pamięci. Równie dobrze symboliczny obraz płaczki może być elementem naszej świadomości rasowej [...] Tak jak inne poziomy naszej świadomości nie poddają się ograniczeniom czasu, które w pełni respektujemy na planie świadomego umysłu, tak jakaś cząstka umysłu rzutuje symboliczny dziedziczny wzorzec, który w zamierzchłych czasach został skojarzony z tragicznym wydarzeniem w plemieniu — może to być kobieta, zając czy ptak — jako rodzaj podświadomego «światła ostrzegawczego», które pozwala nam przygotować się na przyjęcie nieuchronnej tragedii".

PRZYSZŁE WCIELENIA

Wiadomo, że w stanie hipnozy możemy wracać do przeszłych wcieleń. Czy dzięki hipnozie możemy również zyskać wgląd w nasze przyszłe życie?

Odkrycie, że osoba wprowadzona w hipnotyczny trans może być cofnięta do czasów młodości, dzieciństwa, niemowlęctwa, a nawet, jak utrzymywano, do okresu życia płodowego, utorowało drogę regresji do rzekomych przeszłych wcieleń. Ale jeśli możliwe jest cofnięcie człowieka do poprzednich żywotów, i jeśli czas, wbrew potocznemu wyobrażeniu, nie upływa bezpowrotnie jak rzeka, ale pozwala na „skoki" w przeszłość, to czy nie powinno również być możliwe dokonanie projekcji obiektu poddającego się hipnozie w jego przyszłe życia? Tego rodzaju idea rodzi złożone pytania natury filozoficznej, jednak znane są eksperymenty, kiedy to próbowano na pogrążonych w hipnozie ludziach dokonać zabiegu progresji w podobny sposób, jak dokonuje się regresji.

Pionierskie prace w tej dziedzinie przeprowadził francuski pułkownik Albert de Rochas. W pierwszej dekadzie naszego wieku dokonał przynajmniej dziesięciu zabiegów progresji; hipnozie poddawał zawsze kobiety. Niekiedy wędrowali w przyszłość w obrębie ich obecnego życia, kiedy indziej zaś posuwali się aż do egzystencji, które nastąpią dopiero po śmierci w tym życiu.

Żeby przenieść osobę w przeszłość, pułkownik stosował „pionowe passy" (ruchy ręki w górę i w dół), by zaś wróciła ona do teraźniejszości, wykonywał „poprzeczne passy" (ruchy w linii poziomej). Podtrzymując stan hipnozy, doprowadzał je do tego, że wkraczały, pokonując kolejne etapy życiowe, w coraz odleglejszą przyszłość.

Jak się zdaje, obiekty tych hipnotycznych eksperymentów pragnęły, przynajmniej podświadomie, zaspokoić oczekiwania de Rochasa. Czyniły to wprowadzając go do swoich relacji z przyszłości; jego postać stanowiła często jedyny jasny punkt w tych osobliwie odpychających wizjach przyszłych żywotów. Szczegóły przyszłych egzystencji zdawały się w głównej mierze odzwierciedlać lęki przed tym, co przyniesie czas. Lęki owe przybierały w podświadomości udramatyzowany kształt zdarzeń rozgrywających się w czasie przyszłym dokonanym.

Jedne z pierwszych doświadczeń de Rochas przeprowadził z udziałem Josephine, osiemnastoletniej służącej z Voiron, z którą najpierw dokonywał klasycznych regresji. Po wielu sesjach z dziewczyną, w 1904 roku nadarzyła się pułkownikowi okazja wyjazdu do Paryża i ponowienia prób z czterdziestoletnią madame Lambert, z którą pracował już wcześniej. Pewnego razu, cofnąwszy ją w przeszłość, a następnie przywróciwszy w czas teraźniejszy, nie przerywał wykonywania poprzecznych ruchów — czynił to pod pretekstem, że chce jak najlepiej ją obudzić, lecz faktycznie po to, aby zobaczyć, jaki to wywoła skutek. Po pewnym czasie, nie informując jej o niczym, z obawy, by nie poddać jej w ten sposób jakiejś sugestii, polecił, by spojrzała na swoje odbicie w lustrze i powiedziała mu, jaki kolor mają jej włosy. Odparła, iż są gęsto przetykane siwymi pasmami, choć wówczas były jeszcze kruczoczarne.

Po kolejnych gestach hipnotyzera powiedziała, że ogarnia ją coraz większa słabość i skarżyła się, iż z każdym dniem traci siły. Stwierdziła, że postanowiła zamieszkać ze swoim młodszym bratem, który, wedle jej przekonania, miał zamiar się ożenić (w rzeczywistości żyła samotnie). Zobaczyła również siebie w wieku czterdziestu pięciu lat, jak na wsi opiekuje się starym człowiekiem, i uznała to zajęcie za nudne.

De Rochas nie odważył się bez wiedzy madame Lambert dalej posunąć procesu starzenia. Na jawie zaproponował jej, że w stanie hipnozy może ją doprowadzić do momentu jej przyszłej śmierci, którą to sugestię Lambert gwałtownie odrzuciła, choć nie pamiętała nic ani ze swojego przeszłego, ani przyszłego życia ujrzanego w hipnozie. Ich współpracę ostatecznie przerwał wyjazd de Rochasa z Paryża.

Hipnotyzer powrócił do eksperymentów z Josephine, wykorzystując tę samą metodę progresji, co z madame Lambert. Siedem sesji przyniosło różne rezultaty. Dziewczyna opowiadała, że miała wstąpić na służbę w domu de Rochasa (później faktycznie się tak stało), na czas sześciu tygodni, kiedy to czekała na posadę sprzedawczyni w magazynie w Grenoble, Les Galeries Modernes (nieprawda). Przedstawiła również szczegółowy, choć całkiem fikcyjny opis swojego ówczesnego mieszkania w Grenoble. Opowiadała, że po trzech miesiącach rzuciła pracę w magazynie i de Rochas zwrócił się do niej z prośbą, by wróciła do Voiron i dalej z nim współpracowała (nieprawda). Gdy powzięła zamiar, by jechać do Voiron, zmarła jej matka (nieścisłość) i od tego czasu nie miała żadnych wieści od pułkownika. W wieku dwudziestu pięciu lat mieszkała wraz z rodzicami, trzy lata wcześniej zrezygnowała z pracy służącej.

Dalsze ruchy hipnotyzera wywołały u dziewczyny oznaki wielkiego cierpienia, wiła się na krześle, rzucała głową, skrywała twarz w dłoniach, szlochała. Dawała tak przejmujące dowody udręki wewnętrznej, że poruszona tym widokiem obecna na sesji jej chlebodawczyni musiała wyjść z pokoju.

Przyszłość

Zasmucona i zawstydzona Josephine wyznała, iż ma teraz trzydzieści dwa lata i że dwa lata wcześniej została uwiedziona przez obiecującego jej małżeństwo młodego farmera. Długo odmawiała podania jego imienia, ostatecznie jednak powiedziała, iż był to Eugene F. de Rochas. Miała z tego związku dziecko i uważała, że uwiedzenie było karą za zło, które wyrządziła w poprzednim życiu.

Doprowadzona do wieku trzydziestu pięciu lat opowiadała, że jej ojciec już nie żyje, a jej rodzinę tworzą matka i dziecko. Mając czterdzieści lat nadal mieszkała w swojej rodzinnej wiosce Manziat i była w żałobie po swoim zmarłym dziecku (Eugene poślubił inną kobietę). Pięć lat później nie otrząsnęła się jeszcze z tego przygnębienia; utrzymywała się z pracy w zakładzie krawieckim. Nie miała żadnych wiadomości od swoich poprzednich pracodawców w Voiron, Louise zaś, jej tamtejsza najlepsza przyjaciółka, napisała do niej zaledwie trzykrotnie. Jej praca w zakładzie krawieckim spowodowała, że na starość poważnie osłabł jej wzrok, ale za to zdołała zapomnieć o swoich nieszczęściach. Zapytana, czy chciałaby się dowiedzieć, co się stanie, gdy jej obecne życie dobiegnie kresu, zawahała się, ale odparła „tak". Dalsze ruchy hipnotyzera sprawiły, że opadła na krzesło z wyrazem wielkiego cierpienia na twarzy, po czym osunęła się na podłogę. Gdy „zmarła", dobiegała siedemdziesiątki.

Szczęśliwy los

De Rochas, nadal wykonując hipnotyczne gesty, zapytał ją o jej życie po śmierci. Odrzekła, że była wolna od cierpienia, nie widziała jednak żadnych duchów. Obserwowała swój pogrzeb i słyszała, jak uczestniczący w nim ludzie mówili, że dla tej biednej kobiety, która nie miała po co żyć, śmierć była wybawieniem. Wprawdzie modlitwy kapłana nie znaczyły dla niej wiele, ale kiedy obszedł jej trumnę, odpędził złe duchy. Później znalazła się w stanie niemal całkowitej ciemności, od czasu do czasu rozjaśnianej promieniami światła, w którym dostrzegała wokół siebie duchy, mniej lub bardziej świetliste, jednak nie potrafiła się z nimi porozumieć. Odczuwała potrzebę ponownego wcielenia się i pragnienie wejścia do łona swojej nowej matki wyraziła przyjmując dobrze znaną pozycję płodową.

Później zaczęła mówić innym głosem, był to głos dwuletniego dziecka; — Lili, zdrobnienie od Alice albo Elise, córki Claude'a i Françoise. Dziecko, nie potrafiące podać swojego nazwiska ani nazwy miejscowości, w której mieszka jego rodzina, zmarło w wieku trzech albo czterech lat (na każdej z dwóch sesji Josephine podała inny wiek dziecka). Josephine nie była, jak to ujęła, całkowicie wewnątrz ciała dziewczynki, dostrzegała wokół niej zarówno dobre, jak i złe duchy. Po śmierci małej radośnie odpłynęła w tak dalekie przestrzenie, że nie widziała już Ziemi, a jedynie jaśniejące duchy. Owe duchy nie odzywały się do niej, nie mogła też odnaleźć wśród nich swoich rodziców ani przyjaciół. Stopniowo przypominała sobie swoje przeszłe życia, jednak nie potrafiła pojąć ostatecznego celu tych wszystkich reinkarnacji.

Niemniej, dotarła do jeszcze jednego swojego wcielenia, tym razem była to Marie, córka Edmonda i Rosalie Baudin, kupców z St Germain-du-Mont-Or prowadzących sklep z butami. W 1970 roku Marie miała szesnaście lat, zapisała nawet swoje nazwisko — jednak charakter tego pisma należał do Josephine.

Wspomnienia z przyszłości

Ku swemu zaskoczeniu, de Rochas stwierdził, że w czasie trzeciej sesji z Josephine pionowe passy przeniosły ją w przyszłość, nie do tyłu, a dzięki passom poziomym wróciła do teraźniejszości. Było to tym dziwniejsze, że na innych sesjach jego metoda zawsze przynosiła spodziewane rezultaty. Po ostatnim doświadczeniu z udziałem dziewczyny, uciskając jej czoło sprawił, że przypomniała sobie wszystkie przepowiednie.

Inny podmiot hipnotycznych działań de Rochasa, niejaka panna Mayo, osiemnastolatka, poddana progresji nie mogła wyjść poza dwudziesty rok swojego życia. Przewidziała, że mając dziewiętnaście lat ze smutkiem opuści dom w Aix. Wraz z ojczymem wyjechała do kraju zamieszkanego przez ciemnoskórych, nie noszących niemal żadnego ubrania ludzi. W przebłyskach widziała siebie w domu stojącym opodal stacji kolejowej, ale nie potrafiła odczytać jej nazwy. Ujrzała również, jak później w tym samym kraju występuje na scenie teatralnej, nie wiedziała jednak, w jakiej sztuce gra. W rzeczywistości zaś dziewczyna opuściła rodzinne Aix w niejasnych okolicznościach, nie powiadamiając o wyjeździe nawet przyjaciół. De Rochas uznał, że wizja przyszłości do tego stopnia przeraziła dziewczynę, że gwałtownie sprzeciwiła się wyjawieniu do końca jej charakteru.

Szesnastoletnia Juliette, modelka pozująca artystom, ujrzała swoją przyszłość znacznie bardziej dokładnie. Opowiedziała hipnotyzerowi o wydarzeniach, które miały się rozegrać za trzy lata: ponieważ jej ojczym nie mógł znaleźć pracy, wyjechali z Grenoble do Genewy, gdzie Juliette znalazła zajęcie jako modelka w pracowni rzeźbiarza nazwiskiem Drouet. Opisała nawet swoją ówczesną dietę oraz szczegółowo opowiedziała o codziennych zajęciach. Pozując poważnie się przeziębiła i musiała porzucić pracę. Przeniosła się do Nicei, gdzie wskutek choroby zmarła dożywszy zaledwie dwudziestu pięciu lat. Ponownie przyszła na świat w zamożnej rodzinie jako chłopiec, Emile Chaumette, który został księdzem. Później de Rochas próbował prześledzić koleje losu Julietty i stwierdził, że faktycznie wraz z matką opuściła Grenoble, ale tu wyraźny ślad się urywał i nie było sposobu sprawdzić, czy rzeczywistość jakoś się pokryła z hipnotyczną wizją.

Amerykanka, doktor Helen Wambach, na początku lat osiemdziesiątych naszego wieku podjęła badania nad przyszłymi wcieleniami. Prowadziła specjalne warsztaty, na których proponowała osobom poddawanym hipnozie progresję do roku 2100 albo nawet 2300. Jej zamiarem nie było prześledzenie indywidualnych losów jednostek, ale uzyskanie wglądu w ogólną sytuację świata i warunki życia ludzi. Odkryła, że w tak ukierunkowanym badaniu nie należy zadawać pytań, które mogłyby naruszyć samoświadomość osoby poddawanej hipnozie. Rzeczywiście, głęboko poruszające pytania, jak na przykład — „w jaki sposób umarłeś", blokowały przepływ informacji.

Między życiem a życiem

Doktor Wambach zazwyczaj wybierała datę, którą się zwykle pamięta, jak dzień urodzin. Pytania dotyczyły codziennych spraw, dzieci, kłopotów finansowych albo planów kariery zawodowej. Serie pytań powtarzano wielokrotnie, coraz dalej wchodząc w przyszłość. Po jakimś czasie w wizjach następowała zmiana. Po kilkudziesięcioletniej progresji wiele podmiotów opowiadało o przejściu w błogostan i wielką jasność, o swobodnym przemieszczaniu się. Badaczka uznała, że podmioty relacjonowały wówczas swoją egzystencję między poszczególnymi inkarnacjami. Inne podmioty doprowadzone do tego samego okresu opisywały z kolei bardzo przygnębiające doświadczenia życiowe. Po analizie zebranego w ten sposób materiału informacyjnego, doktor Wambach doszła do wniosku, że jakaś katastrofa o światowym zasięgu radykalnie zmieniła oblicze Ziemi. Niektórym „duszom" udawało się zdobyć ciało do zamieszkania, inne unosiły się w pustce albo być może nawet bezpowrotnie traciły rację bytu.

Metoda hipnotyczna wykorzystywana w tym badaniu rozpoczynała się od wizualizacji. Osoba poddawana zabiegowi wyobrażała sobie najdokładniej, jak tylko mogła, drzwi wejściowe do własnego domu, następnie w wyobraźni przenosiła się na dach i oglądała okolice. Później koncentrowała się na uczuciu lekkości, by w końcu swobodnie się unieść i poszybować w powietrzu ku swojej ulubionej plaży. Doktor Wambach sugerowała, by oczami wyobraźni dojrzeć białą chmurę, na której można się odprężyć i wybiec w przyszłość lub cofnąć się w czasie. Zamiast wyznaczać dokładną datę, która mogłaby wzbudzić lęki, skłaniała do wybrania takiego okresu ze swojego przeszłego albo przyszłego życia, który wydaje się szczególnie szczęśliwy.

Niektóre osoby opowiadały o apokaliptycznej katastrofie, wskutek której ludność Ziemi zmniejszy się do jednej dwudziestej części dzisiejszej liczby. XXI wiek obfitował w straszliwe klęski, wskutek których około 2100 roku zatrucie gleby stało się tak wielkie, że resztki populacji musiały zamieszkać w osłoniętych kopułami miastach i żywić się syntetycznym jedzeniem. W nieco jaśniejszych barwach przedstawiał się rok 2300, wówczas bowiem planeta zdołała się już odrodzić z zapaści ekologicznej. Liczba ludzi podwoiła się, oddychali świeżym powietrzem, jedli prawdziwe owoce; nie tylko zasiedlali na powrót Ziemię, ale zamieszkiwali również inne planety Układu Słonecznego.

Wariacje Goldbergowskie

Co ciekawe, inny hipnoterapeuta, doktor Bruce Goldberg, prowadził badania wykorzystując podobne metody. Ludzie, których wprowadzał w hipnotyczną progresję, również opowiadali o przyszłej totalnej katastrofie, jednak miała ona nastąpić nie wcześniej niż w XXV wieku. W swojej książce *Past Lives, Future Lives* [Życia przeszłe i przyszłe] zawarł prawdziwy katalog zarówno błogosławieństw, jak i nieszczęść, które spadną na przyszłe pokolenia. Są wśród nich pigułki informacyjne, zmiany geograficzne, podwodne metropolie.

2 lutego 1981 roku doktor Goldberg przeprowadził publicznie test mający świadczyć o wartości poznawczej hipnotycznych wizji przyszłości. Hipnozie poddał się dziennikarz z Baltimore, Harry Martin, którego, po wprowadzeniu w trans, poproszono o odczytanie codziennych wiadomości z przyszłego tygodnia. Tydzień później, porównując przepowiednię z rzeczywistymi wydarzeniami, stwierdzono wiele zbieżności, wśród których wyróżniał się zwłaszcza ściśle odpowiadający faktom opis pewnego wypadku drogowego.

W następnych doświadczeniach przeniesiono Harry'ego do jego przyszłego życia w XXII wieku. Stwierdził, że wówczas naukowo zajmował się problemem przenoszenia myśli; wraz z trzystoma kolegami pracował w szklanej piramidzie zasilanej energią słoneczną. O tym, czy przepowiednie owe się wypełnią, można się przekonać, rzecz jasna, dopiero wtedy, gdy czas przyszły stanie się naszą teraźniejszością.

SPIS TREŚCI

Akta UFO 5
Wprowadzenie 6
  UFO — pilnie strzeżone tajemnice 7
  Obserwacja UFO 13
  UFO na wojnie 19
  UFO potrafi zabić 24
  Czynnik Oz 29
  Wielkie spektakle UFO 34
  Rozwiązanie zagadki z Ripperston 51
  UFO czy tajna broń? 57
  Spotkania z UFO nad wodą 62
  Symbole na niebie 66
  Dwa elektryzujące doświadczenia 71
  Skręcające promienie 75
  Szalona noc w Maine 79
  Swoista logika 84

Odwieczne zagadki 89
Wprowadzenie 90
  Zmierzch bogów 91
  Ukryta twarz Fulcanellego 96
  Manuskrypt pełen tajemnic 102
  Twarz Chrystusa? 109
  Zagadka piramid 114
  Zjawy na środku oceanów 121
  Rany Chrystusa? 127
  Gdzie była Atlantyda? 145
  Zaginiony kontynent Mu 150
  Legenda o Lemurii 154
  Kontakty ze zwierzętami 158
  Niezwykłe wizerunki zwierząt 162
  Tajemnice Wielkich Jezior 166

Śmierć i poza śmiercią 173
Wprowadzenie 174
Pewność ostateczna 175
Czy śmierć jest snem? 181
Wędrówka duszy 185
Co się dzieje po śmierci 191
Dowód na życie pozagrobowe? 198
Martwi, ale nie naruszeni 204
Powrót do życia 209
Chirurg z innego świata 226
Głosy z zaświatów 231
Poruszenie w grobowcach 238
Kosmiczna świadomość 246
Celtyckie zwiastuny śmierci 251
Przyszłe wcielenia 256

Szanowni Czytelnicy!

Zakończyliśmy już wydawanie serii FENOMEN w jej dawnej formie pojedynczych książek poświęconych wybranemu zagadnieniu z danej dziedziny wiedzy ezoteryczno-tajemnej. Dotychczas można było je kupić w kioskach Ruchu oraz innych punktach kolportażu prasy. Obecnie FENOMEN jest sprzedawany w księgarniach. Szanowni dotychczasowi prenumeratorzy! W ramach wniesionych przedpłat otrzymacie Państwo trzy FENOMENY - oczywiście w nowej postaci...
Jeśli zainteresował Państwo nasz nowy FENOMEN, jeśli lubicie Państwo czytać wróżbach i przepowiadaniu przyszłości, o reinkarnacjach, wędrówce dusz i cudownych ozdrowieniach, o kontaktach obcych cywilizacji z ludzkością, niezwykłych ponadnaturalnych zjawiskach, o duchach, wampirach, widmach, potworach, latających spodkach, katastrofach, osobliwych właściwościach naszych ciał i umysłów, o proroctwach i przepowiedniach na koniec wieku, proponujemy nabycie za zaliczeniem pocztowym wszystkich (bardzo atrakcyjnych!) poprzednich tomików FENOMENA:

1. **Obcy**. Skąd pochodzą i dlaczego nas odwiedzają?
2. **Nadludzie**. Nadzwyczajne osiągnięcia ludzkiego umysłu i ciała
3. **Czary i magia**. Ujawnianie sekretów okultyzmu
4. **Nostradamus i inni**. Zdumiewające rewelacje o przyszłych zdarzeniach
5. **Duchy zwykłe i złośliwe**. Twarzą w twarz z widmami i niespokojnymi duchami

Udzielamy rabatu w wysokości 20 % od ceny 5.90 zł za tomik!

Zamówienia prosimy składać drogą pocztową pod adresem:
Dom Wydawniczy Bellona,
Dział wysyłki,
ul. Grzybowska 77,
00-844 Warszawa
Bezpłatna infolinia: 0 800 120 367

Akta UFO

Czy istnieje sprzysiężenie rządów, ukrywających sekret latających talerzy oraz odwiedzin naszej planety przez wysłanników z dalekich galaktyk? W jakiej mierze można wierzyć fotografiom przedstawiającym pojazdy pozaziemskie, jak również relacjom osób, które doświadczyły „kontaktów czwartego stopnia"? Dlaczego kontakty z kosmitami wywołują u ludzi osobliwe choroby? Czy niektóre UFO są wytworem głębi naszej psychiki? Co łączy kosmiczne istoty z ziemskimi duchami i upiorami?
Kontakty i spotkania z kosmitami - fantazja, czy urojenia?

Odwieczne zagadki

Czy na Całunie Turyńskim naprawdę widnieje wizerunek ciała i oblicza Chrystusa? Atlantyda, Lemuria, Mu: kontynenty istniejące w zamierzchłych czasach, czy tylko wytwory ludzkiej wyobraźni? Jak starożytni Egipcjanie wznosili piramidy? Kim był, i kim nadal jest, „latający Holender"? Czy zwierzęta potrafią dostrzegać coś, czego ludzie nigdy nie dostrzegą? Czy alchemicy odkryli cudowny eliksir młodości? Jeśli tak - ilu z niego skorzystało? Co wywołuje stygmaty? Czy można uzasadnić naukowo istnienie duchów?
Stoimy w obliczu niedocieczonych, niekiedy straszliwych tajemnic...

Śmierć i poza śmiercią

Czy dysponujemy dowodami na istnienie życia pozagrobowego w formie nieba i piekła? Czy niektórzy ludzie potrafią porozumiewać się z duchami? Co powoduje, że zwłoki niekiedy nie podlegają rozkładowi? Czy istnieją zwiastuny rychłego zgonu? Co to jest „kosmiczna świadomość"? Co wiemy, a czego nie wiemy o umieraniu? Czy możliwe są podróże astralne? Co mogą nam przekazać mieszkańcy tamtego świata? Co wiadomo o reinkarnacji - w przyszłość? Jak rozumieją śmierć i życie pozagrobowe rozmaite kultury?
Życie wieczne: mit, czy nadzieja człowieka?

http://ksiegarnia.bellona.pl/

ISBN 83-11-09099-8

9 788311 090996